

GDY WSZYSCY KŁAMIA, KTOŚ GINIE

DZIEWIĘCIORO KŁAMCÓW

NOWA POWIEŚĆ AUTORKI TRYLOGII
„NIEODGADNIONY” („TRULY DEVIUS”)

MAUREEN
JOHNSON

MAUREEN
JOHNSON



**DZIEWIĘCIORO
KŁAMCÓW**

Przełożył Paweł Łopatka

 **Poradnia K**

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Wstęp

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

XXIV

XXV

XXVI

XXVII

XXVIII

XXIX

XXX

XXXI

XXXII

Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginału: *Nine Liars*

Copyright © 2022 by HarperCollins Publishers
Published by arrangement with HarperCollins Publishers
Copyright © for the Polish translation by Paweł Łopatka
Copyright © for the Polish edition by Poradnia K, 2023

Redaktor prowadząca: JOLANTA KUCHARSKA
Redakcja: JOANNA TARGOŃ
Korekta: JOLANTA KUCHARSKA, AGNIESZKA ADAMIAK
Ilustracja na okładce: © by Leo Nickolls
Projekt okładki: KATIE FITCH
Mapa: CHARLOTTE TEGEN
Adaptacja okładki: GRZEGORZ ARASZEWSKI / garasz.pl
Projekt typograficzny serii: JOANNA RENIGER

Wydanie I

ISBN 978-83-67784-10-8

Wydawnictwo Poradnia K Sp. z o.o.

Prezes: Joanna Bażyńska

00-544 Warszawa, ul. Wilcza 25 lok. 6

e-mail: poradniak@poradniak.pl



Poradnia K

Poznaj nasze inne książki.

Zapraszamy do księgarni:

www.poradniak.pl

facebook.com/poradniak

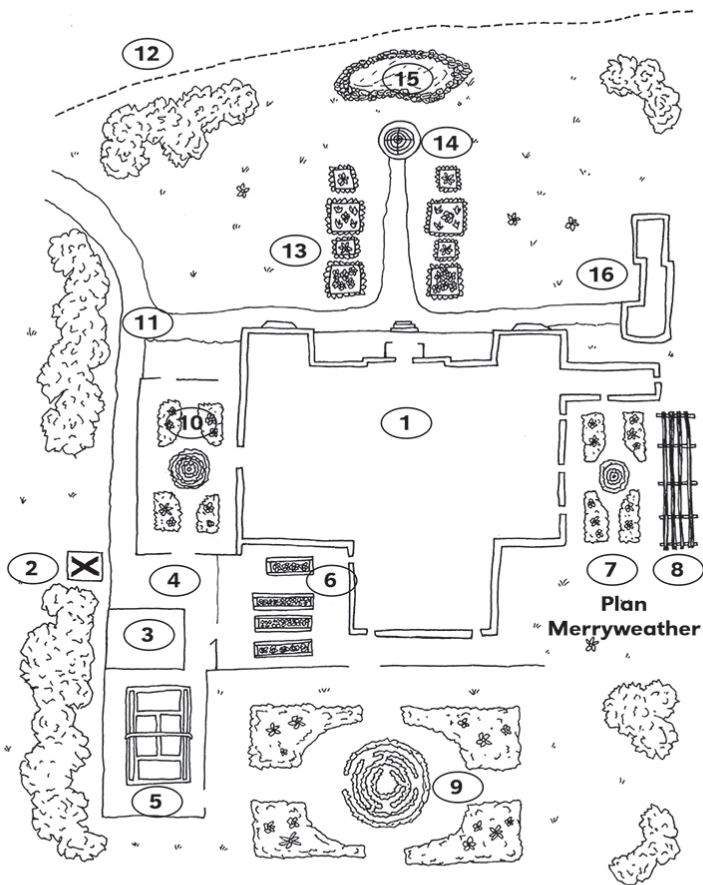
linkedin.com/company/poradniak

instagram.com/poradnia_k_wydawnictwo

Konwersja: eLitera.s.c.

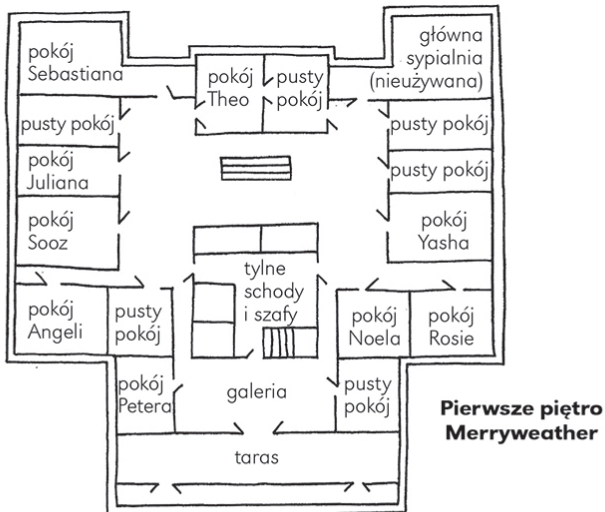
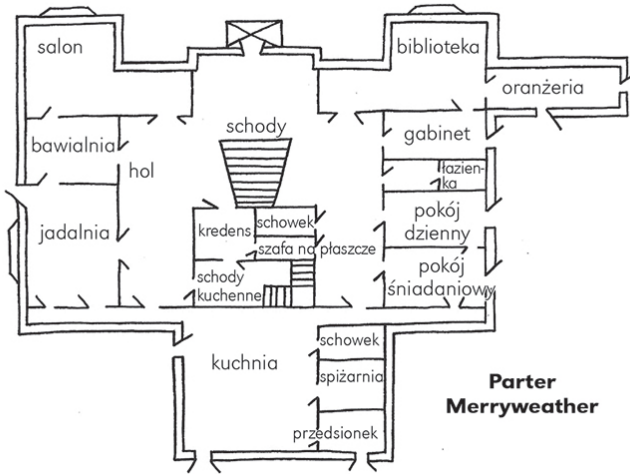
DLA GILLIAN PENSVALLE I PATRICKA HINDSA, KTÓRZY NIGDY NIE WYBRALIBY SIĘ DO WIEJSKIEJ REZYDENCJI, GDZIE POPEŁNIONO MORDERSTWO





**Plan
Merryweather**

- | | |
|--------------------------------------|---------------------|
| 1. Dom | 10. Ogród francuski |
| 2. DREWUTNIA | 11. Droga |
| 3. Garaż | 12. Ha-ha |
| 4. Miejsce do parkowania | 13. Ogród frontowy |
| 5. Kort | 14. Altana |
| 6. Ogród warzywny | 15. Staw |
| 7. Ogród francuski | 16. Stajnia |
| 8. Pergola | |
| 9. Tylny ogród z okrągłym labiryntem | |





23 czerwca 1995 roku

21.30

– Julian to dupek – stwierdziła Sooz. – Totalny dupek światowej klasy.

Sooz Rillington – metr osiemdziesiąt trzy wzrostu – w pełni wykorzystwała przednie siedzenie volva. Wyciągnięta przeżyła wszem wobec sześciopak, sprytnie podkreślony udającym bluzkę sportowym biustonoszem. Lecz aktualnie nie miała żadnej widowni, wyjąwszy siedzące na drzewach wzdłuż drogi wróble i grzywacze – rzecz jasna te, które interesuje ludzki brzuch.

Wyjechali z Cambridge z opóźnieniem, ale letnie dni w Anglii ciągną się w nieskończoność. Choć zbliżał się wieczór, wiejską drogę w hrabstwie Gloucester nadal zalewał złocisty blask słońca. Niebo było czyste, jednak w oddali wisiały pasma stalowoszarych chmur. Niebawem miało zacząć padać.

Taka to już jest Anglia. Wiecznie zanosí się tam na deszcz.

– Dupek kalibru Titanica – ciągnęła Sooz. – Każdego pośle na dno.

Uwagi te były adresowane do Rosie Mortimer. Bez reszty zajęta sobą Rosie wyglądała przez otwarte okno samochodu, muskając palcami przydrożne żywopłoty. Łopoczące na wietrze blond kuczki smagały jej twarz. Zdawała się wcale tym nie przejmować. Rosie nie należała do osób szczególnie skrytych, więc jej milczenie i nieobecny wyraz twarzy trochę zakłócały chemię łączącą ją z towarzysztem.

– Wiadomo – rzekł Yash. Yash Varma był mniej więcej wzrostu Sooz, a jako że odznaczał się nie-nagannymi manierami, oddał jej przednie siedzenie. – Skoro taki z niego dupek, czemu znosiłaś go prawie dwa lata? – zwrócił się do Sooz.

– Bo poza wszystkim ma tylek światowej klasy.

Znad kierownicy przytaknął jej Sebastian Holt-Carey.

– Niepodważalne we wszelkich aspektach – powiedział. – Nasz Julian jest dupą, i to pod każdym względem.

Sebastian zerknął w lusterko wsteczne, by sprawdzić, czy nie traci z pola widzenia zdezelowanego volkswagena golfa, który jechał za nimi. Golf zniknął mu na moment z oczu, ale niebawem znów się pojawił. Wliczając Sebastiana, volvem jechało pięć osób, golfem cztery. Łącznie więc mknęła wśród żywopłotów dziewiątka. Nie byle jaka. Jedyna w swoim rodzaju. Większa niż suma jej części. Sebastian, Theodora, Yash, Peter, Sooz, Angela, Julian, Rosie i Noel.

Należałoby ich przedstawić. Oto oni:

Sebastian Holt-Carey: przyszyły szósty wicehrabia Holt-Carey. Pan na włościach. Błyskotliwy i wielkoduszny, z upodobaniem do klimatów glamowo-gotyckich, jak również chłopców, których kręcą te klimaty.

Przez Cambridge prześlizgnął się za pomocą czerwonego wina, uroku osobistego i tytułu. Na egzaminie końcowym omal nie oblał chemii, bo zależało mu na najgorszej nocie. Nawet gdy wyda-

wał się nieprzytomny, potrafił zelektryzować widzów jedną banalną kwestią. Wybitnie wcielał się w mocne i mroczne postaci, jak nikt też umiał naprawić sypiącą się sytuację sceniczną. Sebastianowi nigdy nie brakowało słów.

Rosie Mortimer: filigranowa studentka z Irlandii, zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu, lecz obdarzona tubalnym głosem. Charyzmatyczna, o śmiechu, który potrafił wstrząsać murami. Istny wulkan energii. Nieco nadekspresyjna, co jednak w teatrze jest mile widziane. Zawsze gotowa wspiąć się na najwyższy diapazon emocji. Kiedyś nawet cisnęła kubkiem herbaty w policjanta.

Sooz Rillington: sarniooka, o niebotycznie długich nogach i równie niebotycznej pewności siebie. Stworzona do ról szekspirowskich, mistrzyni parodii. Impulsywna. Nie trzeba było jej specjalnie podpuszczać, a już zrzucała ciuchy i golusienka biegła drogą, śmiejąc się do rozpuku, niepostrzymana.

Noel Butler: wysoki i chudy, nerwowy, mizerny, namiętny palacz. Fan ubrań z lat siedemdziesiątych – wyłącznie z lumpeksu. Koszule z szerokim kołnierzem i wielkie okulary. Marynarki ze sztruksu w bardzo gruby prążek. Niezastąpiony w rolach sztywniaków.

Peter Elmore: urodzony sportowiec, lecz obojętny na futbol czy wiosła. Szczupły, o jasnorudych włosach i opadających powiekach, z fryzurą zawsze nieco za długą. Formalnie student nowożytniej myśli politycznej, realnie – chodząca encyklopedia żartów i teatru komediowego. Z całej grupy chyba najbardziej zdecydowany dostać się do branży. Gotowy spalić kuchnię, ilekroć usiłował zrobić grzanki.

Yash Varma: drugi maniak komedii. Już od dziecka fanatyk wszystkiego co zabawne. Siedział przed telewizorem, notując sceny i dialogi, by zgłębić zasady i nauczyć się pisać. Jako jedyny w grupie mógł konkurować z Peterem pod względem wiedzy na temat komedii, dlatego postanowili połączyć siły jako scenarzyści. Największy w grupie romantyk, wrażliwy na odrzucenie.

Julian Reynolds: piękny, o smutnych oczach i długich rzęsach. Ten wygląd był kłopotliwy: turyści prosili, aby Julian pozował z nimi do zdjęć – tylko dlatego, że studiuje w Cambridge, jest Anglikiem lub dlatego, że po prostu jest. Irytująco uzdolniony. Miał wszystko, co trzeba – świetny aktorsko, śpiewał i grał na gitarze. Nigdy nie podniósł głosu. Zresztą nie musiał, bo wszyscy bacznie go słuchali. Ambitny, źle czuł się w małej mieścinie na północy, skąd pochodził. Cała dziewiątka przyznałaby pewnie z goryczą, że tylko on przyciąga widzów na spektakle.

Angela Gill: studentka historii z Leeds. Opanowana – do czasu. Pierwsze trzy noce w Cambridge płakała z tęsknoty za domem, lecz smutek minął, gdy na imprezie poznała Sooz. Pisała skecze samotnie, paląc jednego papierosa za drugim i sącząc z kubka gin z tonikiem. Staranna i dbająca o szczegóły. Jako jedyna umiała korzystać z pralki właściwie.

Theodora Bailey: bez wątpienia najbardziej inteligentna z całej grupy. Studentka medycyny z londyńskiej dzielnicy Notting Hill. Ta, która chciała zrobić użytek z magisterium. Ta, która przywracała przepitych do stanu używalności. Reżyserka. Ta, która nad wszystkim panowała. Ta, która jako czarnoskóra kobieta w Cambridge musiała stawiać czoło niechętnym spojrzeniom, a także drwinom zarówno ukradkowym, jak i rzucanym jej prosto w twarz. Nierozzerwalnie związana z Sebastianem.

Ta oto dziewiątka pewnego czerwcowego wieczoru jechała na pełną przygód ostatnią swoją prawą.

– Problem z Julianem pole... – ciągnęła Sooz.

– Rany boskie! – Yash ukrył twarz w dłoniach. – Wystarczy. Od trzech lat non stop mówimy o Julianie. Od tego tygodnia dajemy sobie z tym spokój, dobra?

– Jak mamy o nim nie mówić, skoro jest?

– Tu, teraz, w aucie go nie ma.

– Ja tylko chcę, aby Rosie wiedziała, że postąpiła słusznie. Wiesz o tym, prawda, Rosie? Gdy mnie to zrobił, zachowałam się tak samo. Julian to krętacz. Jest zepsuty. Już dawno temu któraś z nas powinna była go wykończyć.

Wciąż nieobecna Rosie zmarszczyła czoło w zadumie.

– Już niedaleko, prawda? – zapytała Theodorę.

Theo wciśnięta między Yasha a Rosie była czwartym pasażerem. Jak zwykle w centrum wydarzeń. Ta próba zmiany tematu nie zwiódła nikogo, ale poskutkowała.

– Jeszcze jakieś dziesięć minut, kochani – odrzekł Sebastian.

Sooz uznała, że debatę o Julianie odroczone, sięgnęła więc do torebki chipsów serowo-cebulowych. Stwierdziwszy, że zostały w niej już tylko okruchy, zmiała ją i włożyła do kieszeni spodni dresowych. Czyich, nie wiadomo. Możliwe, że Petera, bo miały długie nogawki, a Peter był wysoki, ponadto jako jeden z niewielu lokatorów domu miał sportowe ciuchy. W ich domu w Cambridge pranie wciąż się mieszało, toteż ubrania stopniowo stały się wspólne. Człowiek musiał zdejmować koszulę z suszarki w pośpiechu, inaczej ktoś zaraz ją sobie przywłaszczał.

– Spójrzcie. – Sooz wyjęła z torby pięć dużych czarnych kopert. – Zapomniałam je wam pokazać. To zdjęcia z zeszłych dwóch tygodni. Odebrałam je wczoraj.

Podawała zdjęcia pasażerom na tylnym siedzeniu.

– Ten facet z Bootsa wciąż wywołuje ci gratis? – zapytała Theo.

– Tak to się teraz nazywa? – dodał Sebastian.

Sooz żartobliwie pacnęła go w ramię, aż omal nie wjechał w żywopłot.

– Normalnie mnie lubi. Co na to poradzę? Zresztą oszczędziłam dwadzieścia funtów.

Zdjęcia wyrwały Rosie z sennego rozmarzenia. Sięgnęła po jedną z kopert. Rozmowa umilkła na kilka minut, bo pasażerowie z tyłu przeglądali zdjęcia, Sebastian prowadził wielkie volvo przez kręte uliczki, a Sooz majstrowała przy radiu. W blasku zachodzącego słońca grała muzyka i śpiewały ptaki, a gdzieś w samochodzie pewnie było więcej paczek chipsów, na świecie zapanowała więc absolutna harmonia. Skręciwszy, Sebastian ledwie przejechał przez wąski otwór w żywopłocie, po czym ruszył pełną dziurą drogą wśród drzew. Dotarli do wysokiej żelaznej bramy, jedyne punktu ceglanego muru, którego nie obrósł bluszcz.

– Kto wysiądzie i otworzy? – rzucił Sebastian.

– Ja – odpowiedział Yash, otwierając drzwiczki.

– Kod to dziewiętnaście trzysta osiemdziesiąt siedem. Lekko przyciągnij bramę do siebie. Lubi się zaciąć. Przytrzymaj. Zamyka się szybko.

Yash postąpił zgodnie z instrukcją. Przytrzymał bramę, by przepuścić volvo i golfa. Pomknęli zaiszną aleją pod baldachimem gałęzi. Poprzez listowie przezierają nikle promienie słońca. Wokół roztaczała się Anglia w najlepszym wydaniu – Stumilowy Las, czarodziejski zakątek, zielona, uroczą krainą z zamierzchłych lat.

– Musimy zwolnić – powiedział Sebastian. – Chester niedosłyszysz. Tydzień zaczęłyby się nam fatalnie, gdybym przypadkiem przejechał naszego ukochanego ogrodnika.

– Byłby z tego dobry skecz – zauważył Yash. – Przejechać ogrodnika i jakby nigdy nic balować cały weekend.

– To nie byłby dobry skecz – orzekła Theo.

– Faktycznie – przyznał Yash po chwili namysłu. – Pewnie by się powinno go trochę podrasować. Przypomnijcie mi, abym podrzucił to Peterowi. Musimy napisać jeszcze jeden skecz na Edynburg...

– W tym tygodniu nie pracujecie – powiedziała Sooz.

– Musimy – odrzekł Yash. – Przynajmniej odrobinę. Piszemy na festiwal Fringe¹, a nie dla byle kretynów w pubie. Peter sądzi, że...

– Mam gdzieś, co sądzi Peter. W tym tygodniu nie ma mowy o pracy. Sebastian, zrób coś.

– Jeśli ci się wydaje – odpowiedział Sooz Sebastian – że mógłbym powstrzymać Petera i Yasha przed dążeniem do sławy, to wierzysz we mnie bardziej, niż na to zasługuję.

– Theo?

– Jestem tylko kobietą – odparła Theo. – Nie potrafię czynić cudów.

Wreszcie skręcili z alei i wydostali się z lasu. Niespodziewanie otoczyły ich ściany hortensji w urzekających odcieniach błękitu i purpury. Mijali pergole i ścieżki oplecione przez wisterię oraz kwitnące łososiowo krzewy róż. Powietrze wypełniała chłodna, słodkawa woń bzu po deszczu.

Przed sobą mieli Merryweather². Rozległe domostwo z kamienia w kolorze piasku, z dachem o czterech spadach, płaską fasadą i portykiem. Po ścianach pięły się bugenwilla i bluszcz – naturalne okrycie mające zmiękczać surową bryłę. Dom okolony był kamiennym tarasem, wzdłuż którego stały posągi i urny. Do najdalszego krańca budynku przylegała przeszklona oranżeria pełna drzewek doniczkowych. Przed domem ścielił się długi trawnik wiodący do stawu z altaną. Pozostałą część ziemi zajmowały ogrody otoczone murami z cegły – i ścieżki.

– Znów mi się nie mieści w głowie, że to twój dom – rzekła Sooz.

– Cały jestem niezwykle – odpowiedział Sebastian. – Tak czy inaczej w połowie się wali. Musi podpieścić go służba.

Podróż dobiegła końca na zwirowanym podejździe przy garażu z boku domu. Rosie wyskoczyła z samochodu i odeszła kilka kroków. Sooz i Sebastian wysiedli, by się rozciągnąć i zapalić, tymczasem Theo i Yash zaczęły rozpakowywać bagażnik.

– Rosie przechodzi trudny okres – szepnęła Sebastian.

– Mhm – potwierdziła Sooz, biorąc papierosa, którym ją poczęstował. – Zauważyłeś, jak Yash odepchnął Petera, by jechać z nami?

– Trudno byłoby tego nie spostrzec. Myślisz, że w tym tygodniu któryś z nich wreszcie wykona ruch? Teraz albo nigdy. Może by trzeba coś zrobić. Zamknąć ich razem na strychu.

– Niezły pomysł – odparła Sooz, patrząc, jak Yash omal się nie przewraca, próbując unieść najcięższą torbę, tymczasem Theo idzie to wyjątkowo sprawnie. – Szkoda, że nie masz lochu.

– Loch mam wyłącznie na własne potrzeby, moja droga. Ale w słusznej sprawie może zrobiłbym wyjątek.

– Gdyby Yash zajął się bzykaniem, nie dałby rady pracować.

– Nie bądź taka pewna – odpowiedział Sebastian. – Poza tym Peter pisałby dalej. Wiesz, że nasz ambitny chłopiec jest niepowstrzymany. Siedziałby z notesem przy drzwiach sypialni i zapisywał każdą niezręczną uwagę Yasha o seksie.

– O Boże! Tak mogłoby być. Przerobiliby to na skecz.

– Macie zamiar kiedyś pomóc?! – zawołał Yash, wyciągając z auta walizkę Sooz.

– Nie – odrzekli chórem Sooz i Sebastian.

– Tak tylko pytam. – odparł Yash, kiwając głową.

Z golfą, który wolno wjechał na podjazd, wytarabanily się jeszcze cztery osoby, o wiele bardziej wymięte niż pasażerowie przestronnego volva. Peter, który jechał obok kierowcy z mapą, w razie gdyby zablądził, wysiadł i wesoło poklepał dach. Kierowca, Noel, wygramolił się po nim. Wsunął w usta kolejnego z niekończącej się serii papierosów, zapalił i się przeciągnął.

– Jasna cholera – powiedział, lecz nie rozwinął tematu. Słowa mogły dotyczyć jazdy, posiadłości roztaczającej się wokół albo też życia w ogóle.

Juliana i Angelę trzeba było uwolnić z tylnego siedzenia, gdzie upakowano ich wśród walizek i wszelkiego rodzaju toreb. Angela wypetziła uczeptiona torebki, jej pomięte ubranie było przepalone. Po drugiej stronie wyłonił się Julian, tak samo zgrzany i mokry, ale pot mu pasował, a ciepło go rozluźniało. Natura dała mu oczy jak lazur i wąską przerwę między zębami, za sprawą której rozczułał uśmiechem. Ciało miał harmonijnie zbudowane, słowem – piękne. Nawet najdłuższa podróż pod stertą bagaży na tylnym siedzeniu w najmniejszym stopniu nie naruszyłaby jego urody.

– Szybko dotarliśmy – oznajmił Julian. – Uwinęliś-my się.

Angela, która opadła na podjazd i wachlowała się bluzką dla ochłody, jęknęła w odpowiedzi.

– Zdjęcie! – zawołała Sooz. – Zdjęcie, zdjęcie, no dawać! Zrobimy sobie tutaj.

Odezwały się głosy sprzeciwu, lecz Sooz je zignorowała.

– Chcę zdjęć z całego tego tygodnia. Zdjęć każdej chwili. To nasze zdjęcie z przyjazdu. Chodźcie tu wszyscy.

Skinęła na przyjaciół, by dołączyli do niej na skraju podjazdu przy jakimś budynku gospodarczym.

– Przed drewnutnią? – zapytał Sebastian. – Malow-niczo...

– Tu mogę ustawić aparat na samochodzie. Prędeż, bo zaraz stracimy światło!

Gdy się szykowali, Sooz ustawiła aparat na dachu auta i nacisnęła guzik timera. Podbiegła do nich, by znaleźć się w kadrze. Kiedy już zdjęcie zostało zrobione, powlekli torby przez warzywnik zewnętrznym pasażem zbudowanym, by służba mogła wносить drewno, węgiel i inne artykuły, nie zakłócając spokoju w ogrodzie z tyłu domu. Wielkie posiadłości przypominają Disney World – wyglądają zjawiskowo, lecz za tą piękną fasadą się pracuje. Kiedy dotarli do tylnych drzwi, Sebastian otworzył je i wpuścił przyjaciół do obszernego przedsiönka pełnego kaloszy i płaszczy przeciwdeszczowych.

– Najpierw pokoje, zabawa później! – zawołał Sebastian.

Yash pierwszy rzucił torby i ruszył biegiem. Zaczął się wyścig o pokoje. Angela, Peter, Julian, Sooz i Theo przedarli się przez kuchnię i labirynt małych pomieszczeń na zapleczu. Niektórzy poszli schodami kuchennymi, inni skierowali się do głównego holu. Stamtąd wspięli się po wielkich schodach, nie zważając na miny przodków Sebastiana, którzy obserwowali ich z portretów. W Merry-weather było szesnaście sypialni – niektóre miały łoża z baldachimem, a niektóre łazienki. Przyjaciele ubóstwiali grać i rywalizować, więc mknęli przez korytarze, ślizgając się po idealnie wyfroterowanych parkietach, beztrudno popychając nawzajem, aby zająć pokoje, których być może wcale nie chcieli.

Sebastian nie biegł, bo był w swoim domu – pokój czekał na niego. Zostawiwszy bagaż w przedsiönku, chwilę się poprzeciagał, a później poszedł do kuchni, wyjął z lodówki i otworzył szampana, który chłodził się tam jak zwykle. Wlał cały do kufła i wyrzucił przez okno nad zlewem. Roztaczał się stamtąd widok na ogród warzywny, gdzie kępy mięty tworzyły kosmaty dywan, błękitnie kwitł ogórecznik, a krzaki truskawek ugięły się pod ciężarem karminowych owoców. Oprócz inspektorów i bujnych roślin Sebastian zobaczył w ogrodzie coś jeszcze. Pod murem naradzali się Rosie i Noel. Jeszcze nie weszli do domu i przywierali do siebie. Wysoki Noel pochylał się, przybliżając ucho do jej ust. Pochylał się tak nisko, że co rusz musiał wsuwać wielkie okulary z powrotem na nos. Najwyraźniej nie chcieli, aby ktoś ich usłyszał, bo Rosie co chwilę zerkała w stronę okien.

„Intrygujące” – pomyślał Sebastian. „Trzeba to będzie poobserwować”.

Usłyszał, jak na górze przewraca się duży przedmiot.

„To nie szafka, bo nic nie spadało z łoskotem. A więc któryś stolik, pewnie ten mahoniowy z marmurową inkrustacją. Jest solidny. Wytrzyma”.

Z błogością sącząc szampana, stwierdził, że w ten weekend na pewno coś pójdzie nie tak.



I

Szanowna panno Bell,

czytałam o Pani ostatnich sukcesach w rozwiązywaniu niejasnych spraw, takich jak zbrodnie w Akademii Ellinghama, a także w obozie Słoneczne Sosny. W miasteczku dzieje się coś niedobrego, potrzebuję więc Pani pomocy w dotarciu do sedna problemu. Mój sąsiad zabija ludzi w suszarni przemysłowej i grzebie ich w ogrodzie publicznym. Chciałam przekopać ten teren sama, ale mnie nie wypuszczają ze względów prawnych, poza tym mam tylko matę łopatę, więc nie wiem, jak sobie bym poradziła. Czy zechce Pani przyjechać i pomóc mi...

Stevie Bell przerwała lekturę listu.

Był cichy, spokojny październikowy wieczór. Stevie siedziała z przyjaciółmi przy stole w przytulnej świetlicy Domu Minerwy. Janelle Franklin i Vi Harper-Tomo pracowały ręką w rękę na laptopach.

– Skończyłaś esej na Stanford? – Janelle zwróciła się do Vi.

– Prawie – odrzekła Vi.

– Na Tufts wysyłasz ten sam?³

Vi podniosła wzrok. Latem kupiła sobie nowe okulary z białymi oprawkami, ścięła włosy na krótko, rozjaśniła niemal do bieli, a te nad karkiem potraktowała jeszcze płukanką. Miała na sobie duży kosmaty niebiesko-srebrny sweter, który poniekąd pasował do włosów. Nawiazując do jesiennej palety barw, Janelle włożyła dziś rudy sweter i turban z tkaniny kente w żywych odcieniach złota, czerwieni i zieleni.

– Nie – odpowiedziała Vi. – Na Tufts piszę po japońsku i tego też jeszcze nie skończyłam.

– Daj znać, jak skończysz, wprowadzę to do Excela.

Janelle i Vi zostały parą od razu, gdy się poznały na początku zeszłego roku. Stwierdziły, że wolą studiować na różnych uczelniach, lecz zależało im na takich, które są blisko siebie. Mówiąc żargonem kryminalnym, stworzyły profil geograficzny nieznanego sprawcy. Ustaliły, czego wymagają od szkół wyższych, i namierzały zarówno rejon, jak i programy nauczania. Janelle co wieczór aktualizowała dane w Excelu, w którym notowała ich kolejne wspólne postępy.

Obok z zawziętym skupieniem i bezbrzeżną furią stukał w klawiaturę Nate Fisher. Nate – jeden z najbliższych przyjaciół Stevie – był bladym, szczupłym chłopcem, który w czasach królowej Wiktorii uchodziłby zapewne za suchotnika. Nosił złachane za duże spodnie i obciachowe tiszerty. Brązowa grzywka prawie zupełnie zasłaniała mu oczy. Ilekroć Stevie chciała się przed czymś wymigać, sekundował jej wiernie, ale dzisiaj ją zawiódł. Pisał bez przerwy od kilku godzin.

Stevie powinna była pracować. Miała dzisiaj przeczytać sześć artykułów na zajęcia z historii politycznej współczesnej Ameryki. Gdy jest się w klasie liczącej tylko pięć osób, czytania lektur nie sposób uniknąć. „O mediach można łąć wodę do czasu, improwizować, dopóki nauczyciel nie zmarszczy brwi i da ci odczuć, że się ośmieszasz”. Stevie spojrzała na tytuł na ekranie: *O stroniczności – jak interpretować to, co czytamy*.

W głowie rozbrzmiewał jej stukot klawiszy laptopa Nate'a. Nate miał na uszach słuchawki i śmigał palcami po klawiaturze. „Jeszcze nie widziałam, by pracował tak ciężko”. Nate pisał książki – do Akademii Ellinghama dostał się dzięki powieści, którą wydano, kiedy był nastolatkiem. Zarówno od terminów, jak i od myśli, że ma stworzyć, uciekał odtąd jak przed waranem z Komodo.

„Skąd raptem u niego ta koncentracja?” – myślała Stevie. „Może wynika z tego, że mamy październik. To już ostatni rok nauki. Jak, kiedy... Nawet się nie obejrzałam. Tak to jest z czasem. Zegar wciąż tyka – nieublaganie”.

Teraz też tykał bez cienia litości. Musiała czytać. Przed sobą miała artykuł najkrótszy z sześciu zadanych. Wiedziała, bo w ciągu minionej godziny przewinęła wszystkie sześć, sprawdzając ich długość i zastanawiając się, co czytać najpierw. Następnie łąziła do malej kuchenki obok świetlicy po kubek wody bądź czekolady na gorąco. Wychodziła do toalety, a później do swojego pokoju po kaptcie albo bluzę z kapturem lub wpatrywała się w umocowany nad kominkiem wielki łeb łosia przybrany świeżącymi światełkami.

Przez resztę czasu popatrywała na komórkę, aż nadszedł nowy esemes poświęcony łopacie i suszarni.

„Trzeba się wziąć do pracy. Dobrze. Tym razem się uda. Poczytam”.

Niewidzącym spojrzeniem przeleciała pierwszy akapit...

Szturchnęła Nate'a pod stołem nogą.

– Co? – spytał, ściągając słuchawki.

– Przejdiesz się ze mną? – spytała Stevie. – Do stołówki po ciasto?

Nate zerknął na ekran, odwrócił się do niej i westchnął.

– W porządku – odparł. – Ale tylko dlatego, że uwielbiam ciasto.

Stevie ulżyło, gdy się zgodził. Była niebezpiecznie blisko przeczytania całych trzech zdań.



Jesienne wieczory w Vermoncie są rześkie. Coś w powietrzu sprawia, że człowiek z miejsca przytomnieje. Pod stopami wszystko chrzęściło – pokryta szronem trawa, liście i zimne żwirowe ścieżki. Nadeptnięty patyk wydawał odgłos podobny do huków petardy, a z runa leśnego dobiegał szelest jakichś żyłatek. Dziś przypadała pełnia. Zawieszona w górze ogromne żółte oko przyglądało się badawczo wierzchołkowi góry.

– Dostałaś dzisiaj coś nowego? – spytał Nate.

– Omamy – odparła Stevie. – Przemysłowa suszarnia. Ogród publiczny.

– Już dawno nie miałaś omamów.

– To miła odmiana od tych wszystkich, których sąsiedzi kupują łódkę i wielką lodówkę turystyczną. Masa ludzi kupuje łódki i lodówki. Bodajże co drugi to seryjny morderca.

– Ile dostajesz takich wiadomości?

– Tylko kilka w tygodniu. Najwyżej dziesięć.

– To i tak masa osób chce, byś rozwiązywała ich bzdurne zagadki – zauważył.

– Im nie zależy na rozwiązaniu. W ogóle. Chcą opowiedzieć mi o czymś, co zobaczyli. A każdy widzi to czy tamto. Nie ma co robić. Jeszcze trochę, a zeświruję.

– No wiem. Tak ci się dzieje, gdy nie masz nad czym pracować. To nic dobrego. Kiedy już jest po zmroku, a ty po rozmowie z Davidem, właściwie zmieniasz się w zombie. Dlatego się z tobą przechadzam. Abyś nie zjadła owiec.

– Nie mam ochoty na owcę. – odparła Stevie. – Ale sowę może bym zjadła.

– Chrupiące lekkie sowe kości i pyszne mięsko.

– Albo i losia. O ile kiedykolwiek go zobaczę.

Dotarli do skweru przed Wielkim Domem – centrum administracji szkoły. Na jednym końcu skweru, świetnie utrzymanego obszernego trawnika o owalnym kształcie, stała marmurowa fontanna z posągami Neptuna, a na drugim altana. Pośrodku zwykle była tylko pusta przestrzeń, ale jedna z nowych uczennic, dziewczyna o niewiarygodnym imieniu Valve, która dorastała przy azylu dla zwierząt i zawsze nosiła co najmniej siedem kryształów, przywozła do szkoły trzy owce. Owce błąkały się tu i tam, ale najbardziej przypadł im do gustu skwer. Baraszkowały przy świetle księżycy obok małej drewnianej zagrody, którą dla nich postawiono.

W zwykłej szkole widok owiec na wolnym wybiegu z całą pewnością budziłby zdumienie, lecz ta nie była zwykła. To była Akademia Ellinghama.

Położoną w górach Vermontu Akademię otaczała legenda, jej sława sięgała daleko poza granice kraju, a grono wybitnych absolwentów było liczne. Jej długą historię można by streścić tak: w szalonych latach dwudziestych słynny bogacz Albert Ellingham wspina się na wysoką górę, tam z niedoboru tlenu dostaje bzika i postanawia zbudować szkołę swoich marzeń – szkołę, w której nauka będzie zabawą. Ponadto chce sobie wybudować rezydencję pośrodku kampusu, aby mieć oko na wszystko, co się dzieje. Wysadza w powietrze stromy stok góry i nie szczędząc pieniędzy, buduje kampus, jakiego świat nie widział. Z zazdrości o czerwono-złotą cegłę, ścieżki obsadzone drzewami, posągi, kręte alejki i gotyckie iglice Yale i Princeton obgryzłyby sobie bluszcz do ostatniego listka.

Albert Ellingham ogłosił, że w szkole nie będzie żadnych kryteriów rekrutacji. Kandydaci starali się o przyjęcie na własnych zasadach, w sposób, który odzwierciedlał ich pasje i wrażliwość. Dwuletni program był bezpłatny. Zajęcia przygotowywano, kierując się indywidualnymi potrzebami uczniów, których co rok przyjmowano tylko pięćdziesięciu. Szkoła była ambitna, egalitarna, postępową. Idealna pod każdym względem, wyjąwszy morderstwa.

Morderstwa. Nie jedno.

Do kilku doszło w 1936 roku, kiedy porwano żonę i córkę Ellinghama i zamordowano uczennicę. Była to jedna z najgłośniejszych zagadek kryminalnych dwudziestego wieku. Stevie dostała się do Akademii, aby ją rozpracować. Inne zbrodnie popełniono niedawno. Miniony rok „obfitował w wyzwania”, jak to subtelnie ujęła dyrekcja Akademii, zamiast oświadczyć: „Mieliśmy serię morderstw i w związku z tym masową ewakuację”. (Dlatego nowi czuli się dość niepewnie, a ściślej mówiąc, drżeli ze strachu).

Podczas wakacji Stevie pracowała nad kolejną nierozwiązaną sprawą, tym razem w Massachusetts, ciągnącą się od lat siedemdziesiątych. Powinno ją to było natchnąć do lektury *O stronniczości – jak interpretować to, co czytamy*. Ale świat tak nie działa, bo świata nie obchodziło, co robiła w zeszłym roku, miesiącu ani nawet dziś wieczorem, kiedy dzielnie próbowała przeczytać trzy zdania. Gdy świat jest w nastroju, może rzucić okiem na to, co obecnie robisz. Naprawdę liczy się to, co zrobisz potem. „Bo przecież ogólniak to nic innego jak jeszcze jedna rzecz do odhaczenia”.

– Wkurzasz się, gdy Vi i Janelle pracują w Excelu – powiedział Nate. – Za każdym razem wpadasz w panikę.

Nie mylił się. Był październik ostatniego roku nauki Stevie w liceum, a na całe jej dotychczasowe przygotowania na studia składało się: siedem zdjęć zaznaczonych na Instagramie, trzy okna przeglądarki, których nigdy nie zamykała, i strona notesu z takimi refleksjami jak „nauki ścisłe?” i „gdzie to jest?”.

Bo studia wiążą się z decyzjami. Oznaczają świadomość siebie i tego, dokąd zmierza się w życiu. Oznaczają zrozumienie, na ile naprawdę jest się bystrą i czy dorówna się intelektem kolegom z uczelni. Startować tam, gdzie byłoby się najbardziej lotną? Wybrać małą uczelnię czy może wielką jak miasto? Poza tym studia oznaczają pieniądze, a te stanowią problem. Stevie miała ich teraz niedużo, wystarczyły jej na drobiazgi i może sfinansowanie jednego semestru. Gotówkę na resztę czesnego musiałyby jakoś zdobyć. Pożyczyć albo ubiegać się o stypendium. Rodzice nie mieli pieniędzy. Do Akademii mogła przyjechać tylko dlatego, że pobyt i nauka tu były darmowe.

By więc odeprzeć w pełni uzasadnioną uwagę Nate'a, odpowiedziała pytaniem.

– Nigdy nie mówisz, gdzie składasz podanie – stwierdziła. – Co robisz, żeby się dostać na studia?

– Pracuję nad tym – odparł. – Wysyłam podania.

– A dokąd?

– Do różnych miejsc. Jeszcze nie wszystko mam ogarnięte. Ale ty musisz zacząć. Wiem, że na razie nawet nie szukasz. Nie możesz tego stale unikać.

– Nagle zostałeś szeryfem od studiów? – spytała Stevie.

– Po prostu – ciągnął – jesteś okropnie rozlazła, a z tym cholerstwem już wkrótce trzeba się będzie uporać. Powinnaś wybrać jakieś uczelnie. Zacznij wypełniać wnioski. Są pierwszoroczni, którzy już mają część tego gotową. Zrobił to nawet David.

Już po raz drugi przywołał imię jej chłopca, który był za granicą.

Bez ceregieli zadał jej cios.

– Z tego, co widzę, ostatnio sporo pisałeś – odrzekła.

– Owszem.

Zabrzmiało to szczerze i zarazem nerwowo, toteż wzbudziło ciekawość Stevie.

– Poważnie?

– Poważnie – odparł. – Piszę. No piszę.

– Łeżesz. Znaczy: piszesz, ale przeważnie nie. Pracujesz nad drugą książką? Dobrze ci idzie?

– W porządku – odparł lekceważąco. – Nie rozmawiamy o mojej książce.

– A jednak tak.

– Stevie, zajmujesz się głównie czekaniem na niego. Chcesz zostać drugą Penelopą? – Były to bardzo mocne słowa. – Popracuj nad którąś z tych kretyńskich spraw. Może przyjrzyj się tej z ogrodem i suszarnią. Zrób cokolwiek.

Stevie nie miała niczego na swoją obronę. Za obopólnym porozumieniem ucięli dialog, następnie w milczeniu udali się do stołówki, napełnili pojemniki ciastem i innymi wiktuałami, po czym wrócili pod jaskrawożółty księżyc.

„Nie da się ukryć, że Nate ma rację” – myślała Stevie. „Faktycznie trzeba mi tylko niedużej zbrodni. Niewyszukanej. Takiej, żebym się trochę wyluzowała. Więc nie sąsiada z suszarnią i łopatą. Prawdziwej. Tyle się ich popełnia. Na pewno znajdę coś dla siebie”.



23 czerwca 1995 roku

22.30

W Liliowym Pokoju (bez łóżka z baldachimem, ale z własną łazienką z wanną na szponiastych nogach – i oknem, wokół którego pięły się róże) rozpakowywała rzeczy Angela Gill. Własne, bo w przeciwieństwie do reszty Dziewiątki Angela zawsze pilnowała, by nie wziąć czegoś, co nie należy do niej, a jeśli to się przypadkiem zdarzyło, prała rzecz, prasowała i oddawała właścicielce bądź właścicielowi poskładaną. Ułożyła książki na nocnym stoliku. Dyplom bynajmniej nie oznaczał, że będzie teraz miała mniej do zrobienia. Niedługo zaczynała pracę w Muzeum Wiktorii i Alberta, musiała więc czym prędzej zostać ekspertką od tkanin i odzieży epoki Tudorów.

Gdzieś na końcu korytarza grała już na full muzyka – Blur. Zapewne puścił ją Noel. W innym pokoju – w ramach odpowiedzi – Sooz z miejsca włączyła, podkręcając głośność, Oasis. W grupie wciąż toczył się spór o to, która z tych kapel jest lepsza. Nie zażegnali go i tu, w Merryweather, przerzucając się skrajnymi opiniami na temat britpopu.

Angela otworzyła okno i wystawiła głowę, by zaciągnąć się świeżym wiejskim powietrzem i zapachem kwiatów. Widok nie był tak wspaniały, jak z innych pokoi – okno wychodziło na ogrodzony murem warzywnik – niemniej cieszył oczy, a wokół roznosiła się słodka woń.

Nadciągały ciemne chmury. Przed chwilą niebem wstrząsnął pierwszy pomruk letniej burzy.

„A więc się zaczęło!” – pomyślała Angela. „Mój ostatni wspólny tydzień z przyjaciółmi. Jak będę żyła bez nich? Jak sobie poradzę? Cały świat stanie się nieznośnie sa-motny”.

W skład Uniwersytetu w Cambridge wchodzi trzydzieści jeden autonomicznych kolegiów. Każde z Dziewiątki studiowało w innym kolegium i wybrało inny kierunek. Nigdy by się nie spotkali, gdyby nie wspólna miłość do teatru i cykl przesłuchań w pierwszych tygodniach ich pobytu na uczelni. Na przesłuchaniach poszło im różnie, ale od razu przypadli sobie do gustu. Przyjaźń grupowa jest dziełem chwili, emocji, aury i rzecz jasna przypadku. Poznawali się w długie wieczory w pubie, podczas prób i w kawiarniach oraz w sypialniach. To Yash rzucił pomysł, by założyć grupę komediową. Theo sekundowała mu i udało się to dzięki niej. Pod koniec pierwszego semestru decyzja została podjęta i skryształizował się skład.

W pierwszych tygodniach istnienia grupy przemyślivali, jak ją nazwać. Było wiele sugestii: Sza-tańska Babcia, Kosz ze Szczurami, Zabójcy Grzanek, Śpij jak Najgorzej... Studenci lubią nazwy w tym stylu – nie tylko śmieszne, ale też dziwne. Przed pierwszym występem musieli rozstrzygnąć sprawę, więc żwawym krokiem ruszyli do pubu. Dyskutowali przez kilka godzin i pochłonęli kontener chipsów. Gdy pili już najostatniejszą kolejkę, policzyła ich, jeszcze dość trzeźwa, Rosie.

– Jest nas dziesięć, więc powinniśmy być Dziewiątką... – rzekła wyraźnie znekana bezładną wymianą zdań.

– Dziewiątką czego? – zapytał Yash.

– No... – Rosie zajrzała do pustego kufła. – Dziewiątką i tyle. Po prostu, rozumiesz. Ta nazwa nie jest typowa jak inne. Jest prosta. Konkretna. Jak Blur, Pulp czy Suede.

Czas płynął i byli już lekko wstawieni, a jeszcze musieli mieć tekst na ulotkę, więc by się nad tym nie głowić do rana, ochrztili grupę mianem Dziewiątki.

Odtąd nie odstępowali się niemal na krok. Podczas wakacji przed ostatnim rokiem Angela znalazła idealną stancję – dom złożony z dziewięciu małych pokoi, trzech łazienek, w których spluczki działały zrywami, kuchni z kuchenką o czynnych tylko dwóch palnikach oraz salonu ze śladami po niedawnym pożarze. Dom stał daleko od miasta, więc na wykłady trzeba było dojeżdżać rowerem bądź autobusem, lub też czasami jednym z dwóch samochodów, które należały do członków grupy.

W domu zmieściło się dziewięć osób, lecz było ciasno i wciąż istniało ryzyko, że budynek stanie w płomieniach. Co najlepsze, na tyłach rozciągał się otoczony murem błotnisty ogród, prowadzący do brzegu rzeki. Chętnie przenosili tam domowe imprezy i gdy świeciło słońce, a częściej gdy nie świeciło, biesiadowali przy na wpół przegniętym stole piknikowym. Raz przed przyjęciem Sooz rozwiesiła w ogrodzie girlandy ze sztucznych kwiatów i ozdobne światełka – i już tam zostały, tak jak dwa okłaple namioty turystyczne, które Peter kupił na festiwal.

Tak wyglądało królestwo Dziewiątki; niebawem wszystko miało dobiec kresu. Wiedzieli, że kiedy ten tydzień się skończy, skończy się wszystko, zabawa musiała więc być szalona i trwać jak najdłużej.



Rozległo się pukanie do drzwi i stanął w nich Peter z właściwym mu sennym uśmiechem.

– Zgubiłem w aucie zapalniczkę – powiedział. – Mogę skorzystać z twojej?

Spośród całej Dziewiątki nie palili tylko Theo i Yash. Angela planowała rzucić po tym tygodniu.

– Jest w torbie – odparła. – Tej niebieskiej na łóżku.

Peter podszedł do torby i wydobyl zapalniczkę. Włożył papierosa do ust i dołączył do Angeli przy oknie.

– Jest jakaś szansa, że zechcesz nam pomóc przy kilku scenach? – spytał, zapalając.

– Mamy się odprężyć – przypomniała Angela. – Imprezujemy, pamiętasz?

– No jasne, ale będzie dość czasu.

Peter zawsze myślał przyszłościowo. Tylko on i Yash zamierzali żyć z twórczości komediowej, która była bardzo niepewnym źródłem utrzymania. Angela jednak nie wątpiła, że im się powie. Mieli żylkę do pisania i pracowali bez ustanku. Mimo że też tworzyła skecze, czuła, że nigdy im nie dorówna. Skończyła historię, więc jej powołaniem były – jak uznała – badania naukowe.

A może pokpiła sprawę. Po prostu nie zaangażowała się tak jak oni. Jeżeli chce się rozmieszać ludzi, trzeba do tego podejść śmiertelnie poważnie.

Usiadła na parapecie i wychyliła się bardziej, by chłodne powietrze muskało jej twarz.

– Ostrożnie – upomniął Peter. – To chyba jeszcze nie ten etap, żeby wypadać z okien.

– Pamiętasz, jak kiedyś Yash spadł z drugiego piętra, bo chciał rozśmieszyć dziewczynę? – spytała.

– Parodia Spider-Mana.

– Z którego była kolegium? Kings, nie?

– Pembroke⁴ – odpowiedział Peter. – Do dziś narzeka na ból żeber. Kości się chyba nie zrosły właściwie.

– Tak to jest z kośćmi. W dzieciństwie złamałam rękę w nadgarstku. Od tamtej pory wciąż się odzyska.

Peter przyglądał się jej zaciekawiony. Przebiegł ją dreszczyk ekscytacji. „Ma taką minę, jakby chciał mnie pocałować”. Bynajmniej by się nie zdziwiła, że akurat teraz. W ostatnich trzech latach nigdy nie nawiązali romansu. Jako jedni z nielicznych nie zostali parą; w obrębie Dziewiątki ciągle ktoś z kimś randkował i bezustannie zmieniano partnerów. By się nie zgubić w życiu intymnym, większość musiała prowadzić wykazy. Do najaktywniejszych w tym względzie należeli Julian i Sooz. Sooz miała na koncie dwa epizody z Julianem, prócz tego chodziła z Peterem przez blisko rok, przez tydzień była z Yashem, z Noelem kilka weekendów, niesystematycznie, a przez dwa miesiące kochała się z Angelą. Wszystkie dziewczyny, łącznie z Angelą, kolejno przepały się z Julianem. Sebastian też się do niego zalecał. Angela na pierwszym roku pocałowała namiętnie Yasha, a przez prawie cały drugi umawiała się z Noelem.

Zapanowanie nad tym wszystkim było jak lamigłówka logiczna. Nieraz gubili się w tej zabawie i zapominali lub przynajmniej udawali, że nie pamiętają, kto jest z kim. Te właśnie napięcia określały Dziewiątkę – splot wzajemnych reakcji na skrajne doznania innych. Przypominało to telenowele, tyle że na żywo, z aktorami nieustannie czujnymi na partnerów. Za sprawą owych napięć i uczuciowych zawirowań ich układ działał niemal bez zarzutu.

Peter nie dorównywał urodą Julianowi (nikt nie mógł się z nim równać pod tym względem). Nie był romantyczny w przeciwieństwie do Yasha ani ciapowaty jak Noel – wieszak na stare markowe ciuchy. Peter był opiekuńczy i nic mu nie umykało. Sooz wychwalała jego cielesne atrybuty (a zazwyczaj nie grzeszyła wylewnością). Miał szerokie barki i klatkę piersiową oraz faliste miedziane włosy. Ale najbardziej seksowne było w Peterze poczucie humoru – jeżeli o to chodzi, bił resztę Dziewiątki na głowę – lecz ta jego cecha ujawniała się stopniowo. W dialogu nie błyszczał tak jak Sebastian, unikał gestykulacji, którą lubili Noel i Yash. Był powściągliwy. Skrętnie notował i czyłował swoje pomysły.

Angela chciała zwierzyć się Peterowi z rosnącego w niej lęku przed przyszłością, przed życiem bez nich, przed zmianami, przed tym, że już wkrótce Dziewiątka przestanie ją wspierać. Chciała go złapać i przyłgnąć do niego. Pragnęła porwać w ramiona przyjaciół i nigdy, przenigdy nie pozwolić im odejść. Sądząc po jego minie, czuł dokładnie to samo.

Nagle błysnęło i gdzieś w dali rozległ się potężny grzmot. Niebo się otworzyło i lunął rześisty deszcz. Zamiast zrobić użytek z tej, jakże mistycznej, chwili i zaprosić Petera na *tête-à-tête* na podłodze, Angela rzuciła:

– Myślisz, że gramy mimo deszczu?

I tak się skończyło. Napięcie przysło jak bańka mydlana. Peter zmienił front. Angela zepsuła cały nastrój.

– Na pewno – odrzekł, oddając jej zapalniczkę. – Do zobaczenia na dole.

Zostawił ją samą z ponurymi myślami, a na dokładkę rozczarowaną i speszoną.

„Muszę ochłonąć. Użalanie się nad sobą jest bez sensu. Ten tydzień będzie cudowny, najfajniejszy nasz razem, zapowiada się świetna zabawa. Stanę na głowie, by odświeżyć tę chwilę z Peterem. Mogłoby to być zadanie do odrobienia w ciągu tygodnia”.

Chcąc się oderwać od natłoku myśli, podeszła do lustra, by dobrze przyjrzeć się lysej dziewczynie, która spojrzała na nią. Mimo że upłynęły już dwa tygodnie, to ciągle było jej trudno oswoić się z nową fryzurą. Angela nigdy nie chciała strzyc się na zero. Ale pewnego ranka zbudziła się z mglistym wspomnieniem, że grali w Prawdę czy Wyzwanie... Pobieгла do kuchni. W zlewku leżały jej włosy. Przy przyjaciółkach się śmiała, w pokoju jednak załapała się łzami – nie z furii, tylko dlatego, że się nie poznała. Tymczasem chyba nie wyglądała tak źle. „A może bez nich jest mi do twarzy? Może się taką polubię?” Nie potrafiła rozstrzygnąć tej ważkiej kwestii. Na głowie nieśmiało kięłkował jej meszek. Stwierdziła: „Całkiem przyjemny w dotyku”.

Znów ktoś zapukał. Zanim Angela zdążyła zapytać „Kto tam?”, drzwi się uchyliły. Tym razem wpadła z wizytą Rosie.

– Ange – rzekła cicho, zamykając za sobą drzwi. – Musimy chwilę pogadać.

– Co zmalował Jules?

– Jezu, świat nie kręci się wokół Juliana – odparła Rosie.

– Jemu to powiedz. Pewnie zemdleje z wrażenia.

Rosie zazwyczaj padała na łóżko, by poplotkować. Lecz dziś siadła na skraju z poważną miną.

– Coś ci się stało? – spytała Angela. – Dobrze się czujesz?

– Nie wiem. To znaczy... Wszystko w porządku. Tylko... coś zobaczyłam. Coś, czego nie zrozumiałam. No ale może bym zrozumiała to teraz. Przeczytałam w gazecie. A skoro widziałam te zdjęcia...

– O co ci chodzi? – Angela usiadła przy niej.

– Pewno mi nie uwierzysz, ja sama sobie nie wierzę... – Wypowiedź Rosie przerwało pukanie – i dołączyła do nich Sooz. Z butelką szampana w ręce i trzema szklankami w objęciach. Rosie pokręciła głową, dając znak Angeli, żeby zachowała jej słowa dla siebie.

– Jestem na was wściekła – powiedziała Sooz do przyjaciółek.

– Co? – nie zrozumiała Angela. – Dlaczego?

– Bo nie pijecie. Rodzice Sebastiana zostawili nam sześć skrzynek, jak go nazwał, kiepskiego szampana, kiepskiego, czyli lepszego niż wszystko, co od nie wiem kiedy mieliśmy w ustach. Wyglądacie smętnie... Nie zgadzam się na to. Julian narobił już dosyć kłopotów.

Rosie ukryła twarz w dłoniach i wydała zdławiony krzyk.

Sooz otworzyła butelkę gwałtownie, więc szampan się spenił i polał na kapę. Szybko napełniła i rozdała szklanki. Ciepły szampan z miejsca uderzył Angeli do głowy, aż poczuła rozkoszne mrowienie.

– Żadnych kwaśnych min – nakazała Sooz. – Ten tydzień jest dla nas, będziemy się bawić. Więc teraz grzecznie wypijcie do dna. Idźcie ze mną. I tak czas na grę.

Kokolwiek Rosie chciała wyjawić, stwierdziła, że lepiej chwilowo się wstrzymać. Choć wszyscy zgodnie wielbili Sooz, wiedzieli również, że nie jest dyskretna. Dla Sooz „tajemnica” nie znaczyło nic. Sooz zawsze dzieliła się wszystkim, co miała – dobytkiem, refleksją i rzecz jasną ciałem. Dzięki temu była tak dobrą aktorką i wyjątkową, szczerą przyjaciółką, ale nie umiała dochować sekretu, co czasem zmieniało relacje z nią w koszmar.

– Słusznie – przytaknęła Rosie. – Chodźmy i pograjmy.

– Bingo, no to chodźcie. Szkoda tracić czas.

Gdy ruszyły za Sooz ciemnym korytarzem, Rosie zatrzymała Angelę na moment.

– Pogadamy potem – rzekła do niej cicho. – Przyjdź po grze na górę, tutaj się spotkamy.

– Ale co jest grane? Co się stało? Powiedz.

Rosie pokręciła głową.

– Nie teraz – odrzekła. – To poważna sprawa, teraz nie dam rady.

Słowa te dręczyły Angelę przez lata. „Gdybym zawróciła Rosie do pokoju, chwilę odczekała ze schodzeniem na dół... posadziłabym ją na tej mokrej kapie i kazała sobie wszystko opowiedzieć. Gdybym choć raz zaufała intuicji, to może nigdy by do tego nie doszło. Wtedy moje życie... i życie przyjaciół potoczyłoby się zupełnie inaczej”.

Ale Angela tak nie postąpiła. Mijając na schodach pejzaże i portrety rodzinne, podążyła za Sooz i Rosie do reszty przyjaciół.

Wydarzenia zmierzały ku nieuchronnemu.



II

Wróciwszy do pokoju, Stevie usiadła na łóżku i ugryzła kawałek ciasta czekoladowego, który przyniosła ze stołówki. Pierwszy kęs ujawnił rzecz straszną, acz nieuniknioną – w składzie ciasta znajdował się syrop klonowy. W Vermoncie syrop klonowy jest we wszystkim bez wyjątku. W ciastach. Lodach. Kawie. Zupach. Musztardzie. Betonie. Nawet w wodzie. Ciasto czekoladowo-klonowe było o wiele za słodkie, niestety Stevie już zaczęła jeść. W przypadku ciasta nie ma mowy o odwrocie. Krzywiąc się na mdły smak, znów przystąpiła do lektury.

O stronniczości – jak interpretować to, co czytamy

Ażeby zgłębić temat stronniczości, najpierw należy zgłębić twórczość danego pisarza, a żeby zgłębić twórczość danego pisarza, należy zgłębić jego czytelników.

Stevie westchnęła i popatrzyła na sufit, skupiła się na rozecie nad lampą. Kaloryfer buchał żarem. Było nieznośnie gorąco. Wstała i lekko uchyliła okno, poprzestawiała to i owo na komodzie i wzięła z niej komórkę, którą odłożyła, by po nią nie sięgać, odrabiając zadanie. Ani jednego esemesa. Niczego, co by ją rozproszyło.

Odłożyła telefon i przejrzała się w lustrze. „Z włosami dzieje się coś dziwnego”. Chciała pójść do fryzjera latem, lecz zapomniała, więc teraz miała na głowie (blond) kudły. Gdy na początku semestru zamierzała skrócić je sama, usłyszała od Janelle, że wygląda okej. W kwestii ciuchów i fryzur Stevie polegała na Janelle, która znała się na tym jak mało kto. Wyczucia stylu nie przekazano Stevie w genach. Nie miała pojęcia, jak powinna wyglądać. Wiecznie nosiła tę samą czarną bluzę z kapturem, a od wielkiego dzwonu czerwony winylowy płaszcz z lumpeksu. Jej skromny zestaw do makijażu składał się z palety cieni, którą dostała na urodziny od Janelle, oraz błyszcząca do ust i jakiegoś rozświetlacza w kremie.

Wzięła rozświetlacz i zaczęła go nakładać na kości policzkowe. Twarz miała okrągłą, więc chciała ją trochę wysmuklić. Rozświetlacz się lepził. Stevie zrobiła sobie pod oczami lśniąca zmarszczki.

„Obejrzę filmik z instrukcją. Muszę się tego nauczyć”.

Pomyślała: „A gdyby tak strzelić sobie grzywkę? Właściwie czemu nie?”.

Kiedy podeszła do biurka, by poszukać nożyczek, przypomniała sobie, że przed dwoma tygodniami odebrała je jej Janelle, słysząc, jak zastanawia się nad grzywką.

„Nate się nie myli. Czekam jak Penelopa”.

Nieobecność Davida dawała jej się we znaki. Codziennie esemesowali, a rozmawiali przynajmniej raz na dzień, lecz jej to nie wystarczało. David realizował pierwszy semestr studiów w Lon-

dynie, a Anglia, jak wiadomo, leży daleko od Vermontu. Wstawał pięć godzin wcześniej, więc zwykle kontaktowali się w ciągu dnia, a dłuższe pogawędki prowadzili między osiemnastą a dziewiętnastą. Przez resztę wieczoru Stevie bezmyślnie gapiła się na przyjaciół, nie poświęcając pracy nawet minuty. Czula się z tym koszmarnie, ale nie wiedziała, jak z tego wyrwać. Uczucia Stevie przeżądały nad myślami. Miłość zapewne odebrała jej rozum. „Muszę się skupić. Muszę przeczytać to cholerstwo”. Wróciła do łóżka i wzięła laptop, aby spróbować jeszcze raz.

O stronniczości – jak interpretować to, co czytamy...

Wszystko zdawało się odwozić Stevie od przeczytania pierwszego akapitu. Otaczało ją coś w rodzaju pola siłowego. Dobrze wiedziała, kiedy będzie w stanie to przeczytać – w drodze na zajęcia, w komórce, spanikowana.

„Dlaczego taka jestem? Większość pracuje po ludzku”. Niektórzy mieli terminarze online i dokładnie ich przestrzegali. Lub – tak jak Janelle – korzystali z wymyślnych planerów, specjalnych długopisów i nalepek. Jeszcze inni wiedzieli, co mają robić, i robili – co działało na Stevie jak czerwona płachta na byka.

Do rzetelnego działania motywował ją blady strach. Ogarnięta paniką, pracowała co tchu. Jej umysł był sprawny, lecz miał tylko dwa tryby: zaćmienie i szaleństwo.

„Mogłabym obciąć włosy cząstkami. Trochę to potrwa, ale jest wykonalne...”

– O Boże – powiedziała na głos.

O stronniczości – jak interpret...

Kiedy nagle zabrzączał laptop, Stevie omal nie zakrzusiła się ciastem. Na ekranie zobaczyła „David” i ikonę wideorozmowy. „Pewnie mam usta całe w okruskach, a zęby oblepione brunatną mazią”. Obtarłszy się dłonią, przejechała językiem po zębach. Dopiero wtedy odebrała.

– Późno dziś dzwoniysz.

– Dla mojej księżniczki nigdy nie jest za późno.

David oparty o zagłówek ze sztucznego drewna patrzył w kamerkę pod kątem służącym chyba wyłącznie psom o obwisłym podgardlu – i jemu.

– Jesteś pijany?

– Zaraz pijany – odrzekł. – Spotkałem kilku znajomych. Po prostu. Wypiłem dwa piwa. A może trzy. Wypiłem cztery. No i po tych pięciu...

„Jezu, jaki on jest przystojny. Jaki seksowny”. Z punktu widzenia Stevie David był uosobieniem seksu. Miał lekko kręcone włosy, długie ręce i długie nogi – i dobrze czuł się w swojej skórze. Gdy przyjechała do szkoły, cieszył się tam sławą nicponia. Mówiono, że wiecznie jest pijany lub na haju. Mimo że te pogłoski były mocno przesadzone, to fakt – nie stronił od gandzi i nie wylewał za kołnierza. Na zajęcia uczęszczał wtedy, kiedy miał na to ochotę lub musiał się czegoś dowiedzieć. Tego typu refleksje nachodziły go rzadko i na ogół zakładał, że pośpiech jest niewskazany. Do najwybitniejszych jego osiągnięć na kampusie należy zaliczyć spanie na dachu, medytację poprzez krzyki o piątę nad ranem, drzemkę na zajęciach pod koldrą w pokemony i wypuszczenie w bibliotece kilkudziesięciu wiewiórek. Po odejściu ze szkoły – właściwie: kiedy gdy go z niej usunięto – David wziął się w garść i wyszedł na prostą. Skończył zaocznie liceum z najwyższymi notami, a w czasie wakacji pomagał przy kampanii wyborczej. Stał się wzorowym obywatelem, więc Stevie sądziła, że nie pije nawet w Anglii, gdzie alkohol wolno spożywać od osiemnastego roku życia. Podczas ich nocnych wideorozmów był trzeźwy do bólu i pełen werwy.

Podobał jej się lekko wstawiony. „Ależ go tutaj brakuje”.

– Jest taka sprawa... – zaczął.

Żołądek Stevie skurczył się do rozmiarów orzecha. Było to odruchowe. Na każdą wypowiedź urwaną w połowie jej układ nerwowy stawał w płomieniach. Tak się poczuła, kiedy jej powiedział,

że poznał kogoś w Anglii. Kogoś bystrego, z poczuciem humoru i tym akcentem, kto hoduje konie albo coś w tym stylu.

– Co? – zapytała, gdy umilkł. – Co? Mów.

– Jesteś przesłiczna. I twarz ci się błyszczy.

Adrenalina znacznie opadła Stevie, lecz nadal waliło jej serce i kurczył się żołądek. Prędko roztarła pięścią rozświetlacz.

– Co? – powtórzyła.

– O rany! Okej. Więc tak sobie myślę. Ja jestem tutaj, a ty tam, prawda?

Stevie przytaknęła i dała mu znak ręką: „Przejdź do rzeczy”.

– To nic dobrego, tak że się zastanawiam... Może byś chciała tu do mnie przyjechać?

– Co?

– Może chciałabyś przyjechać...

– Słyszałam – odparła. – I chcę tam jechać, wiadomo. Ale nie mogę.

– Dlaczego?

– Ponieważ...

Nie polegało to na braku chęci. Jasne, że bardzo tego pragnęła. Wyjechać do Anglii chciał każdy, a Stevie najgoręcej, tyle że to było niemożliwe. Dlaczego – nie znajdowała jednoznacznej odpowiedzi, w każdym razie wiązało się to ze szkołą, życiem i całą masą innych spraw.

– Dobra, ale zaczekaj... – David osunął się lekko i musiał wyprostować. Położył laptop na kolanach, zmieniając perspektywę. – Rozmawiałem z ludźmi, którzy mnie tutaj sprowadzili. I mówię, że ty też powinnaś przyjechać, bo... no bo powinnaś, a oni na to, że pogadają z koleśkiem z naszej ambasady, który zajmuje się turystyką oświatową czy jakoś tak... Przed chwilą koleś się do mnie odezwał... Aleś ty śliczna, rozgwiadeczeko...

– Dajże spokój!!!

– Dobra! W porządku! Nie zatrzymałabyś się w tym domu co ja, ale mają pokoje w przyległym, który jest z nim połączony. Mówią, że mogą oddać do czterech pokoi na tydzień albo i dłużej, a ty byś zbajerowała, że jedziesz na staż zagraniczny. W ambasadzie zawsze miałabyś do kogo zadzwonić. Na wszelki wypadek, gdyby przychrzaniała się Quinn...

– Poczekaj... Załatwiłeś... cztery pokoje? Dla...?

– Ciebie. No i Nate'a, Janelle i Vi, bo wiem, że tylko wtedy wypali. To żadna filo... – Machnąwszy ręką, zrzucił komputer z kolan. Stevie patrzyła w sufit, dopóki go nie podniesie. – Staż zagraniczny. Ten gość jest w stanie ci pomóc. Więc powiesz w szkole, że chcesz zwiedzić muzea. Czy coś takiego. Jedziesz do Anglii i cześć.

Z przejścia Stevie wetknęła deser pod bluzę.

– Muszę mieć paszport. Przecież nie mam paszportu.

– Złożysz podanie. Zwykle nie czeka się długo. Po prostu przyjeżdż, już nie kombinuj i w drogę. Jest tu królowa. Przyjeżdżaj. Zbierz się i leć.



Chwilę później Stevie omal nie wyrwała z zawiasów drzwi pokoju Janelle. A gdy już Janelle dzwoniła do Vi, pobiegła na koniec korytarza i zapukała do Nate'a. Nie reagował, więc wysyłała mu esemesy, aż drzwi wreszcie się uchyliły i wyjrzał.

Wszyscy chcieli lecieć z nią do Anglii.

Następnego ranka Stevie zbudziła się z myślą, że część nocnej rozmowy była sennym marzeniem – tymczasem czekała na nią masa wiadomości Davida zawierających nazwisko, mail i numer telefonu, a także adres domu w Londynie. Prawdziwa była zarówno jego propozycja, jak i osoba z ambasady gotowa protegować Stevie.

Każdą wolną sekundę między zajęciami, laboratorium i jogą poświęcała na przeglądanie rozkładu lotów i informacji paszportowych. Zaoszczędziła trochę pieniędzy, bo podczas wakacji zatrudnił ją Carson Buchwald, właściciel serwisu Zapakuj, który zapragnął zrobić podcast o prawdziwej zbrodni. Pracując incognito w jego letnim obozie, pomogła rozwikłać słynną, przez lata otwartą sprawę Skrzyni w Lesie. Buchwald dobrze zapłacił jej za czas spędzony na obozie, prócz tego dostała zaliczkę, kiedy montował podcast. Nie był to wprawdzie majątek, lecz zarobiła więcej, niż pracując w galerii handlowej lub sklepie spożywczym. Czasami mogła pozwolić sobie na lepszą kawę, zainwestowała też w kilka nowych czarnych bluz. Zostało jej dość gotówki na bilet lotniczy oraz codzienne wyżywienie i drobne wydatki.

Na kolacji w stołówce (wieprzowina w glazurze klonowej z purée ze słodkich ziemniaków z kropłą syropu klonowego) Stevie, Nate, Vi i Janelle zaczęły tworzyć prezentację – obmyślać, jak zbajerują zarząd szkoły, aby zezwolił im na wyjazd do Londynu. Nauka w szkole, w której dochodzi do kilku morderstw, jest średnio przyjemna. Takie wydarzenia mrożą atmosferę. Starając się nieco poprawić uczniom nastrój, Akademia podjęła decyzję o wprowadzeniu zdalnego nauczania. Przedtem uczniowie mieli być tam obecni stale, „uczyszczać”, „integrować się” i tym podobne. Jednak po ujawnieniu pierwszych zbrodni zarząd rozluźnił przepisy. Okazało się, że wiele rzeczy można robić poza szkołą. Akademii nadal zależało na udziale uczniów w zajęciach, ale nie sprzeciwiała się, gdy któryś z nich musiał wyjechać do domu, odwiedzić uczelnię lub zrealizować projekt poza Vermontem. Każdemu było wolno uczestniczyć w zajęciach zdalnie.

Po czterech godzinach i niezliczonych filiżankach kawy, przed końcem wieczoru wspólnie spikrowali w Excelu coś wiarygodnego: szczegółowy harmonogram kolejnych dni, podając konkretne miejsca związane z kulturą i dziejami Anglii oraz indywidualne plany i cele naukowe. Przeglądali harmonogram aż do północy, po czym wysłali mailem do dyrektorki, doktor Quinn. Nie liczyli, że do rana coś się jeszcze wydarzy, lecz w ciągu dziesięciu minut nadeszła odpowiedź. Brzmiała: „Jutro o osiemnastej w moim gabinecie”.

„Jadę do Anglii” – myślała Stevie. „O ile Quinn wyrazi zgodę. Co nie jest pewne z uwagi na wiadome zajścia i moją skłonność do wikłania się w morderstwa”.

Potrzebowała tylko słowa „Tak”.



23 czerwca 1995 roku

23.00

– Jesteście wreszcie, skarby! – zawołał Sebastian, gdy Sooz wprowadzała do salonu Angelę. Odkorkował butelkę i przytknął do ust. Udało mu się upić trochę spienionego szampana, a reszta

chlusnęła na obcisłą ciemnofioletową koszulę. Lepką dłonią odgarnęła czarne farbowane włosy.

– Serio, będziemy grali? – spytał z kanapy Yash. – Leje jak z cebra.

– No jasne! – odrzekł Sebastian. – Nie wiemy co to strach!

– Mów za siebie.

Angela siadła obok Yasha, zapadając się w poduszki. Ustawiona przed kominkiem cokolwiek sfatygowana stara sofa o miękkim obiciu w aksamitny wzorek kusiła obietnicą błogiego relaksu. Byłoby cudnie rozłożyć się na niej z drinkiem i książką – i godzinami sycić się ciepłem, słuchając trzasku płonących polan.

– A może zostaniemy – rzucił Yash. – Jak ludzie. Można by się napić...

– Ktoś tu chyba ma stracha. – Mówiąc to, Peter wkroczył z zaśniedziałą waltornią, jednym z nieprzeliczonych w Merryweather antyków. Kiedy w nią zadał, był podkreślić wagę swoich słów, puściła tylko smętnego bąka.

– Ciekawe, po co musimy w to grać, ilekroć tu jesteś-my – podjął Yash.

– Dla podtrzymania tradycji – wyjaśnił Sebastian.

– Jakiej tradycji? Jesteśmy tu dopiero trzeci raz. To przecież nawet jeszcze nie zwyczaj.

Noel rzucił się na kanapę od tyłu i wśliznął między Angelę a Yasha. Takie dziwne manewry sprawiały mu rozkosz, lubił skakać po meblach i uganiać się po schodach, wspinać na krokwie i zwisać z nich głową w dół.

– A więc... – Sebastian chwycił torbę i zaczął rozdawać woreczki z przezroczystymi pelerynami przeciwdeszczowymi. – Jestem pierwszym poszukiwaczem. Policzę do stu, żebyście zdążyli się schować. Ten, kogo znajdę, wchodzi do teamu szukających. Dostaje ode mnie i wkłada żółtą pelerynę. – Zademonstrował woreczek z żółtą peleryną. – Widzicie? Znalazionych przyprowadzacie do mnie po peleryny. Aha, wykluczamy budynki gospodarcze.

Włożył rękę do spodni i chwilię tam gmerał.

– Do nocy jeszcze daleko – rzekł Yash. – Trochę za wcześnie na wyciąganie ptaszka. Nawet jak na ciebie.

Sebastian podniósł rękę i z triumfem pokazał pęk kluczy.

– Wszystko jest pozamykane, a innych kluczy nie ma. – Wpatrywał się w nie przez chwilę, jakby podważając ich sens, a potem wepchnął na miejsce tak gwałtownie, że wszyscy się wzdrygnęli. – W porządku – podjął, chwilię się lekko. – Klucze spoczęły wśród rodowych klejnotów.

– Jak to? – zapytał zdumiony Yash. – Dlaczego je chowasz akurat tam?

– Bo w kieszeni się nie mieszczą. Zdefasonowałyby mi spodnie. No więc zapomnijcie o budynkach gospodarczych. Kryć można się tylko w obrębie domu i w ogrodach wszystkich bez wyjątku, na zalesionych terenach okolonych murem granicznym z kamienia, a nigdzie poza ha-hą⁵. Musimy wyznaczyć jakieś granice, inaczej trwałoby to do końca tygodnia.

– A ty zaszyjesz się w domciu przed deszczem? – Pytanie Noela pobrzmiło ironią.

– Nie, skarbie. Nie jestem aż tak wrażliwy. Moją bazą będzie altanka nad stawem. Właśnie, ustalmy, że gdy już wyjdzie się z domu, nie ma powrotu aż do zamknięcia gry.

– Latarki są? – spytała Sooz.

– Dla szukających! – wykrzyknął Peter. – Trzymamy się tej zasady od zawsze.

– Ma się rozumieć. – Sebastian pokiwał głową. – Wygrywa ten, kogo znajdziemy na końcu. Gdzie Rosie? Pora zaczynać.

– Robi siku – odparła Sooz. – Zaraz przyjdzie.

Już po chwili na schodach rozległy się szybkie kroki i w drzwiach stanęła Rosie, lekko nieprzytomna.

– Okej! – rzekł Sebastian. – Więc zaczynam odliczać. Raz, dwa, trzy...

Grupa się rozproszyła. Theo i Yash na razie zostali w salonie, a reszta ruszyła ku licznym drzwiom wiodącym na dwór. W Merryweather nie brakowało kryjówek – dom miał wiele pokoi i kilka sal bankietowych, różne wielofunkcyjne pomieszczenia gospodarcze, takie jak pralnia, ponadto szafy, komórki, ciasne korytarzyki, wielkie zagracone poddasze i kolosalną piwnicę. Każdy, kto zechciałby wypuścić się na zewnątrz, miał do dyspozycji bezkresne ogrody z wysokimi rabatami, sad i dziesiątki ciemnych zakamarków za budynkami i pośród drzew. Ambitny gracz mógł schować się tutaj na zawsze.

Doliczywszy do stu, Sebastian otworzył oczy i bacznie rozejrzał się po pustym salonie. Pilnie nasłuchiwał odgłosu jakiegokolwiek ruchu nad głową. Nic. Było słychać tylko, jak deszcz bije o szyby, podłoga nie zaskrzypiała nawet przez ułamek sekundy. Uśmiechnął się, wychylając resztę szampana z najbliższego kieliszka.

– Uwaga, szukam! – zawołał.

Zaczął od domu, gdzie najpierw znalazł Theo, co nie zdziwiło go wcale. Siedziała w kukki w jednym ze schowków pod schodami. Sebastian i Theo bardzo się przyjaźnili, więc pewnie ukryła się blisko, żeby do niego dołączyć. Następny był Yash, który bez entuzjazmu wcisnął się pod łóżko w pokoju Noela. W wyniku pierwszych oględzin domu nie ujawniono nikogo prócz nich.

Ekipa poszukiwaczy składała się już z trzech osób. Włożyli żółte peleryny i wyszli na deszcz, który znacznie przybrał na sile. Z nieba leciały strugi wody. Widoczność była słaba, a krople tłukły w okrycia z ogłuszającym łoskotem.

– Przecheszę ogród frontowy, a później skieruję się do altany – powiedział Sebastian. – Ty – zwrócił się do Theo – sprawdzasz ogrody wokół oranżerii i wracasz pod dom. Yash, idź od drugiej strony. Zacznij od kortu tenisowego.

Czwartą osobę namierzono ponad godzinę później. Była nią Angela. Theo znalazła ją przyczajoną gdzieś w stajni. Tuż przed pierwszą w nocy Yash znalazł Petera pod ławką w ogrodzie z tyłu domu. Tymczasem ulewa gwałtownie się wzmogła. Rozmokły grunt zmienił się w błoto tak grząskie, że biegnąc, mieli wrażenie, iż chce ich wessać. Błyskało się coraz bliżej, ale Dziewiątka nadal szukała, próbując wrzaskiem zagłuszyć burzę wśród czerni ciętej przez snopy światła latarek. Sebastian rządził w altanie, wymachując butelką szampana i zagrzewając przyjaciół pijackim rykiem.

Okolo wpół do drugiej Peter odnalazł Sooz zadekowaną w wysokim żywopłocie wzdłuż wewnętrznego obrzeża ogrodu okolonego murem. Parę minut przed drugą wciąż brakowało trojga z Dziewiątki. Akcja przybrała zawrotne tempo. Poszukiwacze drwiąco wołali schowanych. Światłem latarek wydobywali kształty z ciemności, czatowali pod drzwiami, na krańcach ścieżek, zapamiętali szperali kijami pod każdą ławką. Próbowali podwójnych okrążeń, aby wypłoszyć przyjaciół.

Rozległ się straszny łoskot i w całym domu zgasły światła.

Dokoła zapadł smolisty mrok.

Yash pobiegł do Sebastiana do altany.

– Trzeba to olać – powiedział. – Niewiele brako...

– Jeszcze jeden obchód i koniec!

Przekora Sebastiana poskutkowała. Odnaleźli Juliana, który ambitnie wdrapał się na pergole, i przywierając do pnączy, doszczętnie zmókł. Gdyby nie kichnął, akurat gdy pod nim była Angela, tkwiłby tam pewnie do końca swoich dni.

– Wracać do zamku! – ryknął Sebastian. – Ogłaszam finał! Czas na kielicha! Zbierzcie oddziały!

Gromkie wezwanie rozniosło się echem po posiadłości. Jedno za drugim wrócili w burzy do domu, przemoknięci do suchej nitki i strasznie spragnieni. Torując sobie latarkami drogę w egipskich ciemnościach, co chwila potykałi się i upadali ze śmiechem. Sebastian zapalił świece, a Peter dorzucił drew do kominka. W półmroku salon jakby się skurczył.

– A gdzie są Rosie i Noel? – spytała Theo. – Zostali?
Wofali ich po imieniu, kierując głosy ku schodom i drzwiom wejściowym, jednak na próżno.

– Wygląda na to, że się przejęli zabawą – rzucił Sebastian. – Godne podziwu.

– Czy aby na pewno zabawą?... – odparła Sooz.

– Nie umniejszaj ich osiągnięć. Wiem, czego nam trzeba. Czekajcie.

Sebastian padł na podłogę i zaczął się czołgać w stronę ciemnego kąta. Zaopatrzył się w świeczkę, lecz mu ją wyrwał mijany po drodze Yash.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała Angela.

– Tam... jest... porządny towar. Whisky. Nie byle jaka. Rocznik tysiąc dziewięćset trzydzieści sześć. Musimy ją obalić, czujecie.

Sebastian pełznął, dopóki jego głowa nie napotkała szafki pod ścianą. Obrócił się naznak i wsadził rękę do spodni, wijąc się niczym owad odwrócony odnóżami do góry.

– Jeszcze jeden taki występ, a nigdy nie zostaniesz ojcem – rzekł Yash z odrazą, kiedy Sebastian dumnie wydobyl klucze.

Zagrzechotał nimi i przystąpił do dźgania drewnianych drzwiczek w poszukiwaniu zamka.

– To niepotrzebne – stwierdziła Theo.

– Jak śmiesz?! – wykrzyknęła. – Gdzie się podziała twoja odwaga? Z takim podejściem Anglia nie wygrałaby wojny do dziś.

Zgrzyt, zgrzyt; Sebastian uparcie zadawał tortury szafce.

– Poświęć ci, stary – zaofiarował się Yash.

– Na nic mi światło! Jestem artystą! Nie podchodź!

Brzęknięcie, zgrzyt, zgrzyt. Bitwa o szafkę zmieniła się w spektakl. Widowisko dziejowe.

– Raz, przyjaciele, jeszcze do wyłomu! – zakrzyknął Sebastian, donośnie skrobiąc po drewnie. – Do wyłomu... Lub... zatkajmy tę szafkę trupami Anglików.

– A więc doszliśmy do tego punktu wieczoru, gdy błędnie cytuje się Szekspira – rzekł Julian.

– Cisza! Nic tak w pokoju... cośtam, cośtam, cośtam, cośtam... Lecz gdy... pustych szklanek zarzmi w uszach trąba, niechaj przykładem waszym tygrys będzie! Natęźcie żyły, w sercu krew za-palce, ukryjcie dobroć pod... czegoś tam czymś tam. Pod czym ukrywa się dobroć? Pod peruką?

– Przegina, i to strasznie – skomentował Yash.

Chociaż Sebastian miał skłonność do przesady, skecz ślimaczył się jak rzadko, więc znużył już widzów.

– I... szuka guza. – Peter poczołgał się ku niemu na kolanach.

Sebastian gwałtownie wyciągnął rękę na znak „Stój!”.

– A ty, żołnierzu! – odparł. – Którego członki były lepione w Anglii! Przychodzisz pomóc swemu królowi! O konia! Moje królestwo za...

– Butelkę whisky – dokończył Peter, odbierając mu klucze, nim zadźga szafkę na śmierć. Gdy Sebastian grzmotnął głową o posadzkę i udawał trupa, Peter wyszukał w pęku właściwy klucz. Ledwo drzwi szafki stanęły otworem, Sebastian się poderwał.

– Jesteś światłem narodu – rzekł z powagą do Petera. – Dopilnuję, byś nie został pominięty na liście wyróżnionych. – Zanurzył ręce w szafce, odgarniając butelki, których szcęk przypominał odgłosy oręza. – Jest! – rzekł i przytulił do serca trofeum. – Tysiąc dziewięćset trzydzieści sześć. Unikatowa. – Ucałował butelkę nabożnie.

– Nie czekamy z otwarciem na Noela i Rosie? – zdziwiła się Theo. – Bo tak by chyba wypadało...

– Nie, będzie już w pogotowiu, gdy zdecydują się wejść.

Mrucząc pod nosem jakieś zaklęcie, Sebastian uroczyście rozlał whisky do dziewięciu szklanek, z których siedem rozdał obecnym w salonie.

– Zdrowie! – powiedział, unosząc szklankę. – Nasze. Najgenialniejszej, najbardziej uzdolnionej, najpiękniejszej i najskromniejszej paczki w Cambridge, a może i na świecie. Żeby nam nigdy nie brakło puent! Zgrywajmy się, uczmy na błędach, Kochajmy! Szaleję za wami, choć serce mam podłe. Bez was moje życie straciłoby sens.

Angela głośno pociągnęła nosem.

– Przygotowałeś to sobie – rzekł Yash.

– Może. A teraz pijcie, obmierźcie wieśniaki.

Sebastian nie kłamał. Whisky miała aromat dymu z palonych niegdyś w górach Szkocji ognisk. Gładko spływała po podniebieniu i zalewając nozdrza falą ciepła, docierała do trzeciego oka. Wchodziła w krwiobiegu podstępnie i zniewalała człowieka, wiodła na skraj rozkoszy, jak obiecywał jej mit. Wywoływała kaca – nieraz poprzedzonego pawiem – gdy się jednak ją piło, była bezkonkurencyjna.

– O retę, nie czuję dłoni – bąknął Yash. – Mam tylko palce, i to sflaczałe.

– Mów do mnie jeszcze – zagruchała Sooz.

Zebrani zatracili się w ciepłe whisky i ognia, w odgłosach burzy grzmiącej za oknem. Po chwili – czy też po wielu godzinach? – Peter niepewnie podniósł się na nogi.

– Będę rzygał jak kot – oznajmił urzędowym tonem. – Trudno mi jeszcze ustalić, kiedy.

Tuż po nim poddała się Angela, stwierdzając, że idzie spać. Jako następna oddaliła się Theo, wstępując najpierw do kuchni po wodę dla siebie i przyjaciół. Taka już była, że po każdej nocy chłania stawiła im przy łóżkach szklanki napełnione wodą.

Julian, Yash, Sooz i Sebastian pozostali w salonie. Impreza przeciągnęła się, więc osaczał ich mrok. Sebastian włączył Blur. W błogim milczeniu, owinięci kocami rozkoszowali się ciepłem, blaskiem kominka, smakiem whisky. Sebastian leżał z odchyloną głową, uśpiony lub zapatrzony na zdobienia sufitu.

– Rosie i Noel naprawdę się przejęli. – Yash przerwał ciszę. – À propos, która to godzina?

Julian zbliżył rękę do ognia i spojrział na zegarek.

– Wpół do czwartej – odpowiedział.

– Ktoś poza mną zauważył, jak się ostatnio zbliżyli? – spytała Sooz. – Miejemy nadzieję, że różną się teraz gdzieś w błocie. – Zerknęła na Juliana, który obojętnie sączył whisky. „Nie pozwolę się ignorować, zwłaszcza po nocy na deszczu, prawie dwóch butelkach szampana i jednej z najlepszych whisky”. – Julian, ta Kanadyjka z pubu przed tygodniem... – podjęła. – Dowalałeś się do niej. Ty to nie masz co narzekać.

– Nie narzekam. – Julian spojrział na nią zza zasłony gęstych rzęs. – Nie powiedziałem ani słowa.

– Jaka Kanadyjka? – zaciekawili się Yash, lecz Sooz puściła pytanie mimo uszu.

– Skoro tutaj jesteśmy, wiecie, skoro się rozstajemy, musimy być wobec siebie uczciwi – ciągnęła Sooz. – Musimy to i owo rozstrzygnąć. Jeżeli ktoś ma coś do powiedzenia, niech to koniecznie powie.

– Zawsze mam coś do powiedzenia – odrzekł leniwie Sebastian.

– W sensie: coś istotnego – wytłumaczyła mu Sooz.

– No, ale jaka Kanadyjka? – powtórzył Yash przymulony.

– Taka Pod Koniem z Piórami – odpowiedziała Sooz.

Wyraźnie speszony Julian wpatrywał się w dno szklanki.

– Pod Koniem z Piórami? – wybelkotał Yash. – Pod Koniem z Piórami poznałem laskę z Kanady...

– O nią mi chodzi – odparła Sooz. – Julian był tam przed tobą.

– Co? Bez jaj, stary...

– Spotkałeś się z nią w sobotę – przerwał Julian. – Ja w piątek. W życiu bym ci tego nie zrobił. Dobrze wiesz.

Zaległa niezręczna, acz swojska cisza. W sercu każdego z Dziewiątki wciąż kotłowały się emocje, więc dramatyczne pauzy były na porządku dziennym.

Yash wstał, chwając się lekko.

– Dobra, będę się ewa... yyyyy... Muszę...

Ruszył zygzakiem, więc nim opuścił salon, potrzącił stolik i zderzył się z framugą. Niedługo z jednej z toalet na dole dobiegły nikle odgłosy wymiotów.

– Czasami jesteś nie do zniesienia – zwróciła się Sooz do Juliana po chwili. – Zdradziłeś naraz Rosie i Yasha. Oto twój nowy niezwykły sukces.

– Nie zdra...

– Zdradziłeś – ucięła krótko.

Julian podniósł się i zaczął przemierzać pokój, przesuwając dłonią po grzbietach książek na półkach. W rozedrganym blasku świec upodobił się do romantycznego poety. „Te skrzące oczy i pięknie chmurne czoło”. Wyglądał niczym lord Byron we flanelowej koszuli i workowatych dżinsach oraz naszyjniku z muszelek.

– Nie zdradziłem Yasha – dokończył poważnie. – Nawet się jeszcze do niej nie odezwałem. Wiesz dobrze, Sooz, że to nie w moim stylu.

– Mhm, a Rosie? To jednoznaczne. Zdradziłeś ją i koniec. Ale czym się tu martwić, prawda?

– Może by wreszcie dać sobie z tym spokój? I zająć się czym innym, zastanów się, Sooz. Czy zawsze będzie trzeba dokopać Julianowi?

Wyrwany z drzemki Sebastian parsknął jak koń.

– O co wam chodzi? – zapytał. – Przysnąłem na moment, kiedy znów się żarliście. W kółko to samo, ten wasz wieczny cyrk: ty się na niego wydzierasz jak wściekła, bo jest, jaki jest, i już się nie zmienia, a ty znów stękasz i chcesz się wymigać, bo takie z ciebie nękane ciacho. Więc się przerzniczcie albo zamknijcie. Musicie na coś się zdecydować. Mam w nosie, co wam pasuje bardziej!

Burknąwszy niechętnie, Sooz oddaliła się od Juliana aż na drugi kraniec salonu, pod okno z widokiem na front posiadłości. Na dole wybrzmiały odgłosy wymiotów i zaszumiała spuszczana woda.

– Żyję – zawołał słabo Yash w pustkę i ruszył schodami nierównym krokiem. Podczas wspinaczki dwa czy trzy razy upadł.

Znowu zaległa cisza. Julian pozostał w pobliżu kominka, a Sooz uparcie tkwiła przy oknie. Sebastian westchnął.

– Nuuuudy – powiedział. – Sooz, wróć. Opowiem wam straszną historię.

Sooz nawet nie drgnęła wpatrzona w coś za szybą.

– Ktoś tam jest – rzekła. – Właśnie widziałam błysk latarki. Dałeś latarkę Rosie albo Noelowi?

– Nie – odrzekł Sebastian. – Latarki są dla szukających.

– Któraś musiało znaleźć latarkę, bo przed sekundą widziałam błysk. Pewnie wciąż myślą, że się chowamy. Zawołam ich. Moment. Czekać. – Wyszła do głównego holu i zaczęła głośno nawoływać. Jej teatralne wrzaski tonęły pośród burzy. – Nic – oznajmiła, wróciwszy do salonu. – Niemożliwe, żeby mnie nie usłyszeli. Wygląda na to, że nie chcą wejść.

– A może po nich wyjdźmy, co? – spytał Julian. – Trzeba by; leje jak cholera – dodał.

– No i niech leje, zostawmy ich w spokoju – wciął się Sebastian, by udaremnić dalszą dyskusję na temat Rosie i Juliana. – Noc jest koszmarna, ale mają siebie. Kto zgłodniał? Paluszki rybne? Frytki z piekarnika?

Tak oto Rosie z Noelem szybko poszli w niepamięć, wyparci przez mrożoną rybę rzuconą na blachę i włączoną do nienagrzanego piekarnika. Deszcz smagał okna i mury Merryweather, jakby chciał wykpić nazwę domostwa.

Sebastian miał rację – noc była koszmarna. Choć z innych względów niż sądził.



III

– Co zmalowałaś tym razem, Stevie? – spytał na powitanie Larry Ochroniarz.

W następstwie zdarzeń zeszłego roku Larry Ochroniarz został wylany, a później znowu go zatrudniono, gdy pomógł Stevie i jej przyjaciółkom wydostać się ze szkoły, w której utknęli podczas śnieżycy. Teraz zajmował swoje zwykłe miejsce przy drzwiach frontowych Wielkiego Domu, za biurkiem, zaopatrzony w kawę w blaszanym kubku. Spojrzawszy na czworo uczniów przed sobą, westchnął niechętnie na znak, że ich lubi.

– Wiesz, że na takie pytania odpowiadam tylko w obecności adwokata – odparła Stevie. – Wyjedli wszystkie bułeczki dyniowe, które ci wzięłam dziś ze stołówki.

Janelle przesunęła dłonią po pojemniku.

– Jaki ma humor? – spytała Stevie.

– Wchodząc, nuciła – odpowiedział Larry.

– Co to oznacza? – zapytała Vi.

– Trudno powiedzieć. Przypuszczam, że dobry, choć raz nuciła, kiedy ktoś wjechał skuterem elektrycznym do jeziora Champlain. Możecie iść na górę.

Stevie powędrowała wzrokiem po schodach w stronę balkonu, gdzie w wyniosłym milczeniu czekała na nich doktor Quinn. Wielki Dom znajdował się w sercu kampusu Akademii. Stawiając szkołę w latach dwudziestych ubiegłego stulecia, Albert Ellingham wybudował sobie rezydencję w samym jej środku. Był to elegancki kolos z ton zwiezonego z zagranicy drewna, ciętego kryształ, marmuru i barwionego szkła. Rozegrały się tutaj dramaty rodzinne uwiecznione na obrazie, który zawisł na podeście schodów – surrealnym portrecie Alberta, Iris i ich córki Alice pędzla ich przyjaciela Leonarda Holmesa Naira.

Niedawnej tragedii jeszcze nie namalowano.

Doktor Quinn przejęła gabinet zajmowany wcześniej przez doktora Scotta zwanego MówcieMi-Charles, nadgorliwego dyrektora szkoły, który opuścił to stanowisko przed rokiem. Kiedy urzędował tu Charles, drzwi gabinetu zdobiły hasła typu „Odrzucam waszą rzeczywistość i zastępuję ją własną”, „Podważaj wszystko” i „Prowokujcie mnie”, z których ostatnie budziło najwyższą odrazę uczniów. Sprowokowali go do tego stopnia, że zniknął z gabinetu. Z drzwi usunięto plakaty i tablicę ogłoszeń, odsłaniając to, co było tu od początku – szybę z dymnego szkła z delikatnym secesyjnym grawerunkiem. W miejscu egzaltowanych sloganów Charlesa zawisła prosta i elegancka metalowa tabliczka z napisem „Dr Jenny Quinn, dyrektor szkoły”.

Stanął w mroku korytarza. Stevie cicho zastukała do drzwi.

– Wejść – odezwał się głos z wnętrza.

Doktor Quinn siedziała za biurkiem skupiona na ekranie laptopa. Zgodnie z panującą modą miała na sobie drogie szpilki z czerwonymi podeszwami oraz nie mniej drogą groźną suknię, przesyadnię luźną, z masą namarszczeń. Należała do osób, które człowiek spodziewa się spotkać na konferencji na najwyższym szczeblu – zapewne dlatego, że bywała na takich konferencjach. Stanowisko szefowej Akademii Ellinghama było jak na nią niezbyt ambitne, ale szkoła miała prestiż, ogromny budżet i znakomity stok narciarski tuż za progiem. W razie potrzeby Quinn mogła przenieść się odrzutowcem do Waszyngtonu lub Nowego Jorku, a podczas wakacji jeździła po świecie, by negocjować umowy bądź walczyć z aligatorami. Robić dla sportu, co tylko chciała, taką po prostu miała naturę.

– Usiądźcie – rzekła, nie podnosząc wzroku.

Pierwotnie mieściła się tutaj przebieralnia Iris. Do dziś nie zdjęto wybranej przez nią tapety z gołębioszarego jedwabnego papieru. Jedna ze ścian miała pokaźną dziurę – zamaskowaną na miarę możliwości pracowników obsługi. Wbrew ich usilnym staraniom gdzieś tam straszły rozdarcia, wyraźne ślady po zniszczeniu ściany w minionym grudniu. Stojąca teraz przed doktor Quinn czwórka uczniów była przy nim obecna, a ściślej – wybiła dziurę.

Gdy szkołą kierował MówcieMiCharles, gabinet wypełniały sofy i figurki Funko Pop. Te niedorzeczne przedmioty zniknęły. Został tylko duży plan Akademii w ramie, wiszący między oknami a ponoć należącem niegdyś do Marii Antoniny zegarem z zielonego marmuru, który stał na kominku. Doktor Quinn wstawiła swoje regały z książkami i drewniane biurko, w którym spokojnie mogłaby zamieszkać wieloosobowa rodzina.

Uplasowawszy się na krzesłach ustawionych w podkowie, przyjaciele czekali, aż Quinn przestanie pisać. Dyrektorka podniosła głowę, niespiesznie zdjęła okulary i obrzuciła ich spojrzeniem kata, któremu odebrano sznur.

– Więc... – powiedziała.

Nate nerwowo odchrząknął, co było błędem. Doktor Quinn nie należało okazywać strachu, bo od warana z Komodo różnił ją tylko wygląd.

Quinn postąpiła jak śledczy podczas przesłuchań – odczekała, aż cisza stanie się nieznośna. Człowiek nie umie zbyt długo milczeć. Przyrodzona konieczność wypełnienia ciszy pogrąża morderców na każdym kroku. Stevie wiedziała to jako namiętny oglądacz filmów z przesłuchań wrzucanych na YouTube'a.

– Wysłałam pani arkusz kalkulacyjny – zaczęła Janelle, przerywając ciszę. – Dotyczy tygodniowego stażu za granicą.

– Widziałam – odparła doktor Quinn chłodno. – Chcę to usłyszeć od was osobiście. Powiedźcie mi, co zamierzacie tam robić. Jeżeli się zgodzę. Wyjaśnijcie mi to.

Ostatnie zdanie nie wróżyło dobrze.

– Pierwsze dni poświęcilibyśmy zabytkom – podjęła niezbita z tropu Janelle. – Tower, Pałac Westminsterski, Galeria Narodowa, Muzeum Wiktorii i Alberta. Gdy spojrzysz pani na trzecią stronę, zobaczy listę lektur dodatkowych, którą opraco...

Doktor Quinn uciszyła Janelle gestem.

– O ciebie się nie martwię. Więc kto następny?

Vi wstała i postąpiła krok ku dyrektorce.

– Zajęłabym się – rzekła – skutkami kolonializmu.

– To dość obszerny temat – odparowała doktor Quinn.

– Zawęzę go do Muzeum Brytyjskiego – odpowiedziała Vi – i kwestii własności artefaktów kulturowych.

– A ty, Nate?

– Książki – wydusił. – Twórcy...

– Mógłbyś to sprecyzować?

– Biblioteka Brytyjska. Yyyyy, zamierzam... Są tam rękopisy. Mam zamiar. Im się przyjrzeć. Oryginalne. Poza tym w Londynie. Organizują wycieczki. Śladami wielkich. Pisarzy z Wyp.

Quinn odchyliła się na krześle i obracała wieczne pióro w palcach.

– No, a ty, Stevie? – spytała po chwili. – To wyjazd na zaproszenie Davida Eastmana, więc, jak przypuszczam, planujesz coś znaczącego, a nie tylko szukasz wymówki, by wyrwać się ze szkoły i odwiedzić chłopaka. Nie mówiąc już o innych nierozsądnych powodach.

– Cóż – rzekła Stevie. – Liczyłam, że po prostu... muzea. Szczególna...

„A przecież to przećwiczyłam”. Zrobiła listę miejsc i uzasadnień, kłamstw o niebudzącej podejrzeń logice. Lecz pod zjadliwym spojrzeniem Quinn jej wena przysła jak bańka mydlana.

– Szczególna...?

„Nie daj się, Stevie. Nawijaj”.

– Szczególna... rola, jaką odgrywa Anglia w obrazowaniu przestępczości w mediach. Angielskie kryminaly. Dlaczego je lubimy. Skąd wzięła się ich popularność, zwłaszcza w międzywojniu. Morderstwo jako forma rozrywki. W sensie: czytanie o nim.

Chociaż zabrzmiało to chaotycznie, Stevie zdołała oddać sedno sprawy.

– Rozumiem. Wiecie, skąd we mnie wątpliwość, czy mam się zgodzić na wasz wspólny wyjazd? Bo zwykle kiedy działacie grupowo, trzeba spodziewać się przykrych następstw.

– Nie my jesteśmy winni – odrzekła Stevie. – A zgodę można uargumentować.

– To wyjazd naukowy – wskazała Janelle. – Ale też bardzo nas ekscytuje. Chcę, wszyscy chcemy zobaczyć Londyn. Ktoś zaproponował bezpłatne noclegi. Inaczej nie byłoby nas stać na pobyt. Akurat w tym tygodniu przypada Święto Dziękczynienia, tak że opuścilibyśmy najwyżej cztery dni szkoły. Taka okazja nie trafi się nam drugi raz.

„Super rozegrane” – pomyślała Stevie. „Ten ton pod koniec godny Oscara”.

Quinn znów zaczęła bawić się piórem. Ciszę mąciły tykanie zegara i stukot włączonej właśnie instalacji grzewczej.

– W porządku. – Quinn odezwała się wreszcie. – Rozumiem, że cała ta mistyfikacja to podstęp, który ma mnie przekonać. Ale nie da się ukryć, że okazja jest świetna. Londyn to miasto, które trzeba zobaczyć. Wstępnie się zgadzam, ale nie bez zastrzeżeń. Gdy nauczyciele poprą plany, sporządźcie terminarz i będziecie się go trzymali. Będziecie mieszkać i spędzać czas jako grupa. Wszelkie zmiany planów wyłącznie za moją zgodą. W Londynie mam wielu znajomych. Wszędzie. Przede mną nie da się ukryć niczego. Będę też dzwonić o przypadkowych porach. Macie odbierać za każdym razem, podawać namiar i mówić, co robicie. Zapamiętajcie: będę śledziła każdy wasz krok.

Stevie stawiała czoło mordercom, biegła co sił, ratując skórę, spadała z wysokości, nieraz bywała na skraju otchłani. Nic jednak nie mogło się równać ze zgrozą, jaką czuła na myśl, że Quinn gotowa jest w każdej chwili złapać samolot i lecieć tam po nią, tylko dlatego, że schrzaniła sprawę.

Lecz Stevie nie była mniej czujna od niej.



24 czerwca 1995 roku

8.30

Theo oderwała głowę od poduszki. Spojrzała na zegarek i mocno potarła policzki. Z jednej strony czuła, że powinna jeszcze pospać. Wczołgała się do łóżka ledwie trzy godziny temu. Z drugiej – wiedziała, że już nie zmrury oka. Miała wrodzoną niezdolność do spania po szóstej rano, bez względu na to, jak spędziłaby wieczór, toteż uznała, że ósma trzydzieści jest porą dość już nieprzyzwrotną. „Za kilka miesięcy zaczynam szkolenie w szpitalu, i mimo że nieraz nie dośpię, będę musiała wypełniać swoje obowiązki. To niezły trening”. Podniósłszy się na cudownie wygodnym łóżku, opanowała odruch wymiotny i po chwili wstała.

Wczoraj wypijała najmniej ze wszystkich, tak czy siak – cztery kieliszki szampana. Pięć. Albo sześć. Zresztą nie wiadomo. Sebastian pilnował, żeby szkło nie było puste nawet przez moment. „Poza tym przecież ta stara whisky...”. Theo miała wrażenie, jakby na jej umysł narzucono ciężką, grubą kapę.

Przed snem próbowała się przebrać, lecz nie znalazła piżamy, więc miała na sobie ogromny tiszert z logo The Prodigy. Wzięła z podłogi i włożyła spodnie dresowe. Do Cambridge przyjechała z długimi włosami. Z każdym kolejnym rokiem skracala je o kilka centymetrów. „Lekarka powinna mieć prostą fryzurę, do włosów nie może jej się nic przyczepiać – jak rzygi bliskich, gdy się ich prowadzi do ubikacji po nocnym pijaństwie”. Mimo że była ostrzyżona po męsku, to przesunąwszy palcami po włosach, znalazła w nich igły i jakieś szczątki organiczne – pamiętki z niedawnych poszukiwań wśród cisów. Powyciągała je. Mogli ucierpieć bardziej – na szczęście podczas burzy nikogo nie uderzyła spadająca gałąź. By nie wspomnieć o drzewie. „Parę igielek – da się to przeżyć”.

Po szybkim siku i ochlapaniu twarzy Theo ruszyła schodami na dół, pilnując, by stawiać stopy na krawędziach, bo wtedy stopnie prawie nie skrzypią. Ryzyko, że w takim olbrzymim domu zakłóci spokój, było znikome. Ale mieszkając z nimi wszystkimi w niesamowitej ciasnocie w Cambridge, nabrała nawyku chodzenia na palcach, by mimowolnie kogoś nie zbudzić.

Weszła do kuchni i duszkiem wypila kufel wody, po czym wychyliła filiżankę kawy rozpuszczalnej i pochłonęła kilka herbatników ocalałych z imprezy. Balując, zmienili kuchnię w pobojowisko, więc Theo musiała ją trochę ogarnąć. Ponalewała płynu do mycia naczyń do blach ze zwęglonymi resztkami frytek i paluszków rybnych. Puste opakowania wyrzuciła do kosza, zamiotła podłogę i pozmywała naczynia. Następnie zaczęła obchód rezydencji, by liczyć rannych i ledwo żywych.

Sebastian i Sooz jeszcze spali na sofach, więc cicho wróciła na górę, gdzie przemierzając kolejne korytarze, nieomal bezszelestnie zaglądała do pokoi. Yash, Angela i Peter byli każde u siebie, w różnych stadiach rozebrania i rozmaitych pozycjach. Yash tak się głęboko zagrzebał w pościeli, że sterczał z niej tylko kosmyk jego włosów. Angela leżała na łóżku twarzą w dół. Peter, w samych majtkach, spał w poprzek łóżka, nogi i głowa dyndały mu w powietrzu. Juliana znalazła dopiero po dłuższej chwili, bo postanowił się przespać na szeszlongu w bibliotece. Okryła go kocem.

Noela i Rosie szukała bez powodzenia w wybranych przez nich i wolnych pokojach oraz we wszystkich innych pomieszczeniach labiryntu, jakim był Merryweather. Im dłużej szukała, tym bardziej chciała ich odnaleźć. Otwierała kredensy, zaglądała do szaf, wchodziła do spiżarni, piwnicy, łazienek, przedpokoi. Choć był to przedziwny wynik zabawy, zdarzyły się już o wiele dziwniejsze. Swego czasu Theo znalazła Sebastiana śpiącego na wycieraczce pod wejściem od frontu. Wrócił z pubu pieszo, po czym padł pod drzwiami, zwinął się w kłębek i zapadł w sen. Innym znów razem znalazła Sooz w wózku sklepowym w ogrodzie na tyłach domu. Nie zdumiałaby się zbytnio, gdyby Noel i Rosie kryli się w którejś z altan lub budynków gospodarczych.

A jednak czuła niepokój. Zawsze musiała dokładnie sprawdzić, czy wszyscy są cali, czy coś się nie stało. Ponadto czuwanie, kiedy reszta śpi, potrafi znudzić, gdy trwa kilka godzin. Zazwyczaj Theo dawała im pospać, tyle że dotąd mieli dużo czasu. Dziś czas się liczył, każda sekunda była cenna. Po tym tygodniu wrócą do Cambridge, spakują rzeczy i się rozstaną. Peter, Sebastian, Sooz, Yash i Angela wybierali się do Londynu. Julian – na północ, gdzie miał się zatrudnić jako prawnik. Rosie do Dublina albo Manchesteru, wciąż nie umiała podjąć decyzji. Noel nie był pewny, dokąd się przenieś, na razie jednak wracał do domu we wschodniej Anglii. Theo czekało jeszcze kilka lat studiów w Cambridge, a później praktyki w szpitalach. Do pracy kardiologa trzeba sposobić się latami, więc będzie to robiła bez ośmiu części siebie...

Dopiero po chwili stwierdziła, że nadeszła właściwa pora na delikatne budzenie. By ściągnąć ich z łóżek, musiała mieć dobry powód, inaczej byłiby nieszczęśliwi. „Zrobię kanapki z bekonem, to zaraz się ockną”. Wyjąwszy Rosie – dla Rosie, która nie jadła mięsa, postanowiła zrobić grzanki z wegetariańskimi kielbaskami.

Woń smażonego bekonu zwabiła najpierw Petera. Przywłókł się do kuchni i zatopił w krześle. Po jego chodzie i wyrazie twarzy Theo zorientowała się, że wciąż jest pijany.

– Skąd w tobie tyle dobroci? – zapytał.

– Taka już jestem – odparła Theo. – Strasznie wyglądasz.

– Strasznie dziękuję.

Przyjął kanapkę, pochłonął żarłocznie i błyskawicznie sięgnął po drugą.

Jako następni przyszli Yash i Sooz i razem padli na niewielką sofę pod oknami. Theo rozdała im herbatę i kanapki, które jedli z mniejszym niż Peter zapalem.

– Wciąż nie chce mi się to pomieścić w głowie – wymamlał z pełnymi ustami Yash. – Wreszcie kogoś poznałem... Poznałem łaskę, więc oczywiście musiał tam poleżeć Julian.

– Zanim ją poznałeś – dodała mu otuchy Theo. – Jasne, że spodobałeś jej się bardziej.

– Podałem jej nasz numer telefonu i adres. I pożyczyłem kompakt Pulp. Obiecała przesłuchać go dokładnie i oddać. Naprawdę... strasznie ją polubiłem.

– Julian to dupek. – Sooz oparła mu głowę na barku.

– Bez dwóch zdań dupek – przytaknął Yash.

– Wiadomo, jest dupkiem – potwierdził Peter. – Ale tym razem nie zrobił nic złego.

– Prócz zdradzenia Rosie – przypomniała Sooz.

– Natura ciągnie wilka do lasu. Pewnie zdążyła do tego przywyknąć. Każda przywyka.

– Ja nie przywykłam.

– Chodzi mi tylko...

– Tak czy siak, Rosie jest mądrzejsza ode mnie. Tolerowałam to stanowczo za długo. Rosie nie. A już na pewno nie tak często. Skądinąd byłam nie lepsza od niego. Uważam po prostu, że Rosie i Noel są dla siebie stworzeni, no i cieszę się, że się spotykają. A ty, Kochanie – rzekła do Yasha – nie gryź się dupkiem i łaską z Kanady.

– Nie zadzwoniła. Pewnie wróciła do domu. Spodobała mi się, rozumiesz. A jej się spodobał mój pomysł na skecz, w którym mamy na głowach wiadra i tego nie zauważamy.

Peter zamknął oczy.

– Ten skecz nie wyjdzie – powiedział. – Trzeba go pod-rasować.

– O Boże, wy dwaj... – westchnęła Sooz. – Nic dziwnego, że nigdy nikogo nie macie. Nic tylko pisanie skeczy. Nawet przez dziesięć sekund nie potraficie się zająć czymś innym. Przed chwilą byłęś zdruzgotany. Nie, Yash?

– Chyba można by zrobić z tego skecz.

Toster wyrzucił grzanki. Theo dorobiła jeszcze kanapek i wyłożyła je na talerz, który postawiła na tacy z kilkoma filiżankami herbaty, a następnie ruszyła z tym wszystkim do salonu. Za nią Sooz, Yash i Peter – jak łase na bekon kaczęta. Kiedy kładła tacę na stole, Sebastian zerwał się z fotela w nagłym przypływie energii.

– Dobra! – zawołał. – Dobra! Co jest? Co robimy?

Wypił zawartość najbliższej szklanki: ostatek bursztynowego płynu z domieszką popiołu z papierosa.

– Pójdę po Juliana, śpi w bibliotece – powiedziała Theo.

Od strony schodów przyczłapała Angela. Przetarłszy oczy, porwała kanapkę z bekonem i uplasowała się na dywanie, żeby ją zjeść. Theo wróciła z zaczerwienionym Julianem, który mierzył blond włosy. Niedospany Julian z kołtunem na głowie był jeszcze bardziej pociągający niż zwykle.

– Widzieliście Noela i Rosie? – zapytała ich Sooz.

– Szukałam, nigdzie ich nie ma – odrzekła Theo.

Sebastian oparł się o gzyms kominka i jęknął.

– Dalej to robia? – spytał. – Po południu przyjeżdża Chester. Ma delikatną naturę. Przyłapanie dwóch osób na gorącym uczynku może go zabić.

– Powinieneś ich znaleźć – rzuciła Sooz.

– Dlaczego ja?

– Bo to jest twój dom. Bo jesteś panem na włościach. To będzie twój martwy ogrodnik. Zaimponuj nam jakoś, bo nie przetrwamy tego ranka.

– Chcecie mnie wypchnąć w ten rażący blask... – wskazał palcem szarą poświatę za oknem – ...bo dwoje naszych przyjaciół nie może żyć bez seksu?

– Uspokój się. – Theo podała mu herbatę. – Wypij to. Rozejrzemy się za nimi razem.

Łyknąwszy herbaty, Sebastian się skrzywił.

– Tu nie ma śladu alkoholu! Cholera! Chcesz mnie wykończyć?

– Mhm – odparła. – Wypij i nie gładź. Zaraz poprawisz to jeszcze wodą.

– Jestem – oznajmił, donośnie bekając – czcigodnym szóstym wicehrabią Holt-Carey. Należy mi się szacunek.

Sooz rzuciła w niego torebką po chipsach, która wylądowała mu na ramieniu.

– Zignoruję to, prostaczkco, jako że nie jest całkiem pusta – rzekł. – Poślijcie mnie na śmierć. Theo, ruszajmy w tę straszłą drogę poprzez palące słońce pustyni.

– Ile mogliśmy obalić butelek? – spytała Theo, gdy szli rozmokłym trawnikiem. Stalowy kolor nieba dobitnie wskazywał, że burza wkrótce wróci.

– Kto wie? Szampana za dwadzieścia parę. Jeżeli mniej, to by była ženada. Do tego piliśmy, co się nawinęło.

– Rodzice nie zmyją ci za to głowy?

– A nawet gdyby, kto by się przejmował? Alkohol w końcu trzyma się po to. Nie wyjeżdżamy z Cambridge codziennie.

– Co myślisz o Rosie i Noelu? – zapytała Theo.

– Można się było tego spodziewać tak jak w przypadku innych dwóch osób... – Sebastian spojrzął na nią znacząco.

– Proszę cię, przestań – odpowiedziała.

– Odkąd pamiętam, lubisz się z Yashem. Więc na co czekasz? Działaj, szkoda czasu.

– Nieraz już o tym rozmawialiśmy.

Przeszli przez bramę w murze ogrodu i skierowali się dalej podjazdem. Żwir chrząścił im pod nogami.

– Nie, Theo. Ilekroć pytam, nie odpowiadasz.

– Bo najpierw muszę skończyć szkolenie, więc...

Natknęli się na wiadro i odwrócone do góry dnem taczki.

– Chester normalnie chowa je pod kluczem. – Sebastian wskazał na taczki zdziwiony. – To jego ulubione, traktuje je jak skarb, przypuszczam... – urwał.

Dotarli do drewnutni. Otwartej. Klódka była zamknięta, lecz ktoś poradził sobie z drzwiami, zrywając z nich skobel.

– A niech to! – Sebastian podbiegł do drzwi. – Żeby to szlag...

– Włamanie? – spytała Theo.

– Na to, cholera jasna, wygląda. Nikt z naszych raczej by tak nie postąpił.

Sebastian zajrzał do środka i sięgnął do włącznika światła, który nie działał.

Nie było tam prawie nic do zabrania prócz drewna, pajęczyn, zepsutych narzędzi. Ale drewnutnia mieściła coś jeszcze, coś niewątpliwie wartego zachodu. Sebastian sprawdzał, czy nie zginęło. Po chwili wyjął zza drzwi siekiere. Wszedł głębiej i uniósł ją nad głowę, poruszał nią wolno, macając w powietrzu. Natrafił na pętlę na końcu sznura, po czym ostrożnie wsunął w nią ostrze. W końcu, szarpnąwszy pętlę, opuścił wąskie składane drewniane schody.

– Na górze gra – stwierdził, stojąc w połowie schodów. Theo widziała go od pasa w dół, reszta zniknęła w ciasnej przestrzeni, niewielkim stryszku pod dachem. – Ten ktoś nie znalazł tego, czego szukał, jeżeli wybrał się tutaj w tym celu. Podłoga nasiąkła, więc drzwi na pewno były otwarte przez całą noc. Zadał sobie niemały trud na nic. Dlaczego mi się tak przyglądasz? – spytał.

Theo jak nigdy świdrowała go wzrokiem, gdy zszedł i znalazł się w zasięgu światła.

– Twoja twarz – rzekła.

– Co?

– Skaleczyłeś się. Krwawisz. Z prawej strony.

– Wątpię. – Sebastian dotknął policzka. – Jak bym to zrobił? – Obejrzał palce. Ociekały krwią. Jeszcze raz dotknął policzka, który nie był nawet drażniony. Krew najwyraźniej wzięła się znikąd. – Nie mam tu rany, więc skąd ta krew?

Wtedy ją spostrzegł. Pomiędzy drewnem. Z początku myślał, że to polano. A potem odniósł wrażenie, jakby polano miało na sobie gumowiec. Ze sterty drewna wystawała goła noga.

Widząc ją, Theo padła na ziemię, zaczęła ściągać polana z Rosie.

Ściągać je z tego, co z niej pozostało.



IV

Odlot zaplanowali na sobotę przed Świętem Dziękczynienia. Rodzicom Stevie było z początku przykro, że nie pokłócą się z nią o średniej wielkości indyka z gotowym nadzieniem, lecz na wieść, że w sprawę zaangażowany jest David, podeszli do niej całkiem inaczej. Darzyli Davida miłością nieznośną i wkurzającą. Kochali go, bo:

a) według ich zapatrywań posiadanie chłopaka było głównym życiowym celem Stevie,

b) David był synem ich bohatera, toksycznego polityka, który, okryty hańbą, chwilowo zniknął i robił to, co zwykle robi toksyczny polityk, czekając, aż ludzie darują mu błędy. Jeżeli chodzi o takie rzeczy, pamięć zbiorowa jest niezwykle krótka.

Tak czy inaczej działało to na korzyść Stevie. Problem ten został wymazany bez trudu.

Inni kolejno odbyli rozmowy z rodzicami i otrzymali zgodę na wyjazd w celach naukowych. Dostali maile od pracownika ambasady, co czasem wystarczy, by usankcjonować byle wycieczkę.

Uczestniczyła w zajęciach. (W zasadzie) czytała lektury. Chodziła balować do jurty. Patrzyła, jak liście żółkną i czerwienieją, a w końcu brązowe opadają z drzew. Jadła syrop klonowy pod każdą postacią i udawała aktywną członkinię rady uczniowskiej. Była obecna fizycznie. Mentalnie – nie bardzo. Rozpierała ją radość granicząca z przestraczeniem. Świat nabrał kolorów, nęcił, uskrzydlał. Powietrze nagle pachniało upojniej. Ni stąd, ni zowąd lekcje stały się ciekawsze. Matematyka nabrała sensu. Nowi uczniowie jawili się Stevie jako wcielenia cnót, a jej przyjaźnie przybrały na sile. Pokochały ją owce, a ona to odwzajemniła.

Jej myśli wciąż krążyły wokół jednego tematu niczym pszczoły wokół ula. Na kilka dni przed odlotem Stevie stwierdziła, że sama nie upora się z wątpliwościami i musi zasięgnąć rady eksperta. Zapukała do drzwi Janelle. Ta podniosła wzrok znad zadania z fizyki oraz robotki i jakiegoś serialu, którymi – jak to miała w zwyczaju – zajmowała się jednocześnie.

Stevie usiadła na podłodze i przez chwilę w niej dłuwała, szukając słów.

– Gdy pojedziemy do Anglii... – zaczęła. – Nie... będę mogła widywać Davida za często. A jestem trochę... bo go nie było, więc myślę... myślę... chybabym chciała... – Choć znała słowa, wypowiadała je z trudem. – My chyba... yyy...

– Chcesz się z nim przespać – stwierdziła Janelle.

Stevie skinęła na znak, że trafiła.

– Skąd wiesz?

Wymowny uśmiech Janelle oznaczał: „Jesteś tak słodko prostolinijna”.

– Co za pytanie? – odparła Janelle. – Mimo że nie znam się na tej całej męskiej anatomii, mam jako takie pojęcie o podstawach.

– Nie! Nie. Nie. Nie... Co się robi? Nie... Co się robi, to wiem. Chodzi mi o to... Co zrobić... no, żeby do tego doszło? Jak się mam przygotować? Chcę być gotowa w razie...

– A, pytasz o antykoncepcję?

– Nie. Mam na myśli... To znaczy... Powinnam... jakoś... się ubrać?

– No właśnie nie. Na tym to jakby polega.

– Ubrać się przedtem. W sensie co włożyć.

– Ahaaaa. – Janelle kiwnęła głową. W temacie ciuchów orientowała się jak mało kto. – Więc przede wszystkim pamiętaj, powinno być ci wygodnie. Wtedy od razu poczujesz się seksownie. W czym czujesz się seksownie?

– Pytasz mnie serio? Właściwie to w niczym.

– Chodzi mi o to, w czym czujesz się atrakcyjna.

Stevie rozejrzała się bezradnie po pokoju.

– No, może... w bluzie...?

Janelle oparła się o łóżko. Bardzo lubiła wyzwania.

– Bluzy do seksu nie istnieją. Na świecie nie ma bluz do seksu.

– Przestań powtarzać „bluzy do seksu”.

– A co... z bielizną? – spytała Janelle.

– No mam bieliznę.

– Może kupiłabyś fajną?

Stevie już o tym myślała, lecz fajna bielizna była nie dla niej. Kupowała trójpaki majtek z bawełny, zazwyczaj czarnych. Jedyna niewyciągnięta para jakoś trzymała się gumki. Tę magiczną parę trzymała na specjalne okazje – gdy ją czekało wybitnie długie kucanie lub też premiera nowego odcinka ulubionego podcastu. Co się zaś tyczy stanika – o ile nie zapominała go włożyć – nosiła wiecznie ten sam, sportowy, z przeceny. Stanik więc miała. Nie byle jaki. Powyciągany. Z plamami po dezodorancie, których nie dało się sprać.

– Zrobmy zakupy online – zaproponowała Janelle, otwierając przeglądarkę. – Zobaczymy, co jest.

Skinęła na Stevie, żeby usiadła przy niej, po czym z uśmiechem zaczęła szukać bielizny. „Jakby to było dziecinnie łatwe. I jeszcze miało nic nie kosztować”.

– Wpierw górna półka. – Janelle weszła na stronę pełną przyjemnie zamglonych zdjęć, na których widniały skąpane w słonecznym blasku, usadowione na sofach, zadowolone z siebie modelki w bieliźnie. – Obczajmy fason stanika. Jaki ci się podoba?

„A co tu jest do podobania? Staniki nie różnią się niczym. Ot, dwie miseczki, dwa ramiączka i pas”.

– Push-up? – spytała Janelle. – Może bardotka? Koronkowy?

Stevie nerwowo stuknęła palcami w podłogę.

– Zacznijmy od czegoś prostego – powiedziała Janelle, klikając w jeden ze staników: czarny, koronkowy, ze srebrnym wykończeniem. Przywodził na myśl strój francuskiej pokojówki, kosztował okrągłe dziewięćdziesiąt dolarów. Mimo że Stevie teraz nie brakowało pieniędzy, nie mogła sobie pozwolić na zakup tak drogiego stanika.

– To ma być proste? – zdziwiła się Stevie.

– Czarna koronka to dzisiaj standard.

– Ale kosztuje dziewięćdziesiąt dolarów!

– Ile mogłabyś wydać?

– Yyy... sama nie wiem. Nie zastanawiałam się nad tym.

Stevie nie odpowiadała żadna z kolejnych propozycji Janelle. Różowy był zły, bo nadto jaskrawy. Zwyczajny czarny był zbyt poważny. Czerwony w ogóle nie wchodził w rachubę. Niebieski byłby całkiem do rzeczy, gdyby nie różnobarwna koronka. Janelle zachwycił jaskrawożółty, bo żółty kolor lubiła najbardziej. Stevie nie wzięłaby go jednak nigdy – a w białym czułaby się jak ofiara. Zielony tylko ją zniechęcił. „Przecież zmieniałabym się w roślinę”.

– Tobie nie chodzi o kolor – rzekła Janelle na koniec. – Nie potrzebujesz stanika. Szukamy gdzie indziej.

– Nie musimy – odpowiedziała Stevie. – Może po prostu... jeszcze... się nad tym namyślę?

Już namyśliła się w ostatnich tygodniach. Kupiła i spakowała coś do walizki, którą w tej chwili miała ze sobą w samolocie.

Podczas podróży chciała poczytać i odrobić bieżące zadania, aby mieć je z głowy. Zamierzała nie tracić czasu. Lecz gdy samolot wystartował w noc i oświetlenie przygasło, oszołomiona zapatrzyła się w małe ekran przed sobą. Tępo wodziła palcem po spisie dostępnych filmów, gdy natłok wrażeń wprost rozsadał jej mózg. Znalazła *Morderstwo w Orient Expressie*. Film ten widziała co najmniej dziesięć razy i właśnie dlatego włączyła go znów. Stwierdzenie, że go oglądała, byłoby jednak przesadą. Miała go przed oczami. Wiedziała, że jest.

Na kolację Stevie przyjęła potrawę opisaną jako „kurczak”. Nie mogąc sobie poradzić z otwarciem opakowania sosu do sałatek, stwierdziła, że musi rozerwać je zębami. Po kilku próbach zrobiła to tak finezyjnie, że sos zachlapał jej przód czarnej bluzy (tej do noszenia przez całą wycieczkę, zbrukanej na wieki epitetem „do seksu”), a przy okazji włosy Nate’a. Nate tego nie spostrzegł, ponieważ coś czytał, jednak wołała mu o tym nie mówić.

Wreszcie zza horyzontu wyłoniło się słońce i w różowawym blasku przelecieli nad kanałem. Łąd przypominał zieloną patchworkową kołdrę – wielkie jego połacie okalały żywopłoty, szpalery i wijące się autostrady. Później zaczęli wolno schodzić w dół. Stevie zorientowała się, że pod nimi jest Londyn. Jeszcze przemknęli nad krętą Tamizą. Łądując, samolot dwukrotnie zawadził o ziemię.

Już przełknęła koszty włączenia komórki. Co prawda było to wbrew jej nawykowi oszczędzania, lecz absolutnie nie mogłaby się bez niej obyć. Odczytała serię esemesów od Davida.

„Wystartowałaś?”

„Lecisz?”

„Obserwuję twój samolot. Jesteś w pobliżu Islandii. Pomachaj Islandii”.

„Jesteś już na miejscu?”

Chciała mu odpowiedzieć, ale miała problem z zasięgiem, w dodatku wszyscy rzucili się po torby, aby czym prędzej prysnąć z maszyny, jakby ktoś miał do niej wpuścić trujący gaz. W całym tym zamieszaniu z niemalym trudem wyciągnęła plecak spod fotela przed sobą. Wstała, po czym strząsnęła okrucy z kolan i powłóczęc nogami, ruszyła do wyjścia. Po drodze ogarnęła wzrokiem pozostałości po locie. Samolot wyglądał jak pobojuwisko: puste papierki, pogniecione koce, puszki po pringles, porozrzucane plastikowe kubki i maseczki na oczy.

„Jakby się skończył nie lot transatlantycki, tylko naprawdę ostra impreza”.

Pierwszym wrażeniem Stevie po przyjeździe do Anglii był ciąg korytarzy z ludźmi w kolejkach. Korytarze lotniska Heathrow zdawały się nieskończone, przemieszczano się pieszo lub korzystano z ruchomych schodów wśród wszechobecnych reklam miasta, na których miejscowi witali gości z otwartymi ramionami. Dotarłszy krętymi przejściami do kontroli granicznej, Stevie, Vi, Nate i Janelle czekali z setkami podróżnych. Stevie stanęła na końcu kolejki z pachnącym jeszcze farbą nowym paszportem. Przez chwilę dałaby sobie uciąć głowę, że agent celny otworzy go i spojrzy na nią ze słowami: „Masz zakaz wstępu, cudaku. Nic z tego”. A może: „Czy to pani rozwiązała te zagadki? Bo chyba znalazłem w walizce ciało”.

Okazało się, że nie muszą się wcale odzywać. Wprowadzano ich kolejno do przeszklonej kabiny, w której każde kładło paszport tekstem do dołu, a przypinające o ciarki komputerowe oczko zjeżdżało w dół i robiło im zdjęcie. Drzwi się otworzyły i Stevie bez przeszkód została wpuszczona do Zjednoczonego Królestwa.

W oczekiwaniu na bagaż wysłała Davidowi wiadomość, że już wylądowali. Czekaając na odpowiedź, gniewnie zerkała na komórkę. Nie odebrała nic, nawet gdy przechodzili przez dziwną barierkę, która sprawdzała, czy ma się coś do oclenia. Gdy się nie miało, szło się zielonym korytarzem, gdzie Stevie była pewna, że ktoś ją przeszuka albo choćby zagadnie, lecz nie przyczepił się nikt. „Widać wierzą tu ludziom na słowo”. Wstrzymała oddech z nadzieją, że dostrzeże Davida wśród zebranych przed wyjściem z hali przylotów osób z kwiatami, kartkami i balonikami.

Poczula się jak balon, z którego uchodzi powietrze. David nie czekał, by ją powitać. Ani przy punkcie transferów z lotniska, ani przy barze lub bankomacie. Choć bardzo chciała, by jej nie zobaczył uwalanej sosem i z czerwonymi oczami, to pragnęła wypatrzeć go w tłumie, jak się rozgląda podniecony, radosny.

Pojawił się jednak facet w brązowym swetrze, z podkładką do pisania, na której widniało: „Janette Franklin, Nate Fisher, Vi Harpertomo, Steve Bell”.

– Moje na wierzchu – rzekł Nate, ciągnąc walizkę. – Steve. Janelle, Vi i Steeve.

Facet, mówiący z silnym akcentem cockney, kazał im iść za sobą. Tak też zrobili. Przeszli przez halę przylotów do windy, która powiozła ich w górę, na parking. Szli za nim tak długo, że Stevie nabrała obaw, czy nie padli ofiarą niezdarnego porwania. Liczyła, że wsiądą do (typowo londyńskiej) wielkiej czarnej taksówki przypominającej melonik, lecz czekał na nich czarny minivan z napisem „Addison Lee” na tylnej szybie. Minęły ledwie trzy, cztery minuty, kiedy pędzili już autostradą, i choć wiedziała, że ruch jest lewostronny, musiała chwilę się z tym oswajać. Przyglądała się ciężarówkom: „Są trochę inne niż nasze”. Na polach przy szosie pasły się stada owiec, jakby przywieźli część szkolnego pejzażu.

Nigdzie nie było znaku „Witamy w Londynie, jest u nas tłoczno i mamy duchy”. Nie wiedzieć kiedy pejzaż się zmienił. Przy drodze przybyło domów i sklepów. Ruch zgęstniał, raz po raz mijali wiadukty. Gdy zobaczyła pierwszego czerwonego piętrusa, wszystko zaczęło się nagle wyodrębiać. Czerwone skrzynki pocztowe jak słupy. Ozdobne tablice z nazwami ulic – tło białe, słowa czerwone i czarne. Okazałe domostwa wzniesione z cegły, o oknach łukowych i balkonach z kutego żelaza. Rzędy pełnych surowego majestatu niezliczonych budynków o białych fasadach. Flagi brytyjskie łopoczące przed hotelami. Symbole metra – czerwone pierścienie z poziomym błękitnym paskiem pośrodku. A potem Stevie ujrzała słynny pomnik Erosa na Piccadilly Circus. Minąwszy uliczki teatrów i pubów, ruszyli prędzej wzdłuż brzegu rzeki. Musieli objechać szary gmach z kamienia, potężny jak pałac, więc trwało to długo. Po kilku zakrętach pod tajemniczą bryłą minivan zatrzymał się przed domem z czerwonozłotej cegły. „Jak widać, bardzo lubią tu cegłę”. Pięciopiętrowy, o wielu szczytach, miał wysokie okna łukowe. Obok stał drugi dom, taki sam, a między nimi biegł niski pasaż.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział kierowca.

Gdy wyruszyli z lotniska, Stevie pisała do Davida, co się z nią dzieje. Lecz urzeczona wszystkim wokół, przestała jakieś pół godziny temu, więc na komórkę spojrzała dopiero teraz, by sprawdzić, czy wreszcie się odezwał.

„Przepraszam. Coś mi nagle wypadło. Postaram się spotkać z Tobą wieczorem”.

Oczy jej zaszyły łzami.

– Co? – spytała Vi.

– Przeczytaj. – Stevie pokazała wiadomość.

– To nic takiego – stwierdziła Vi. – Wypakujemy się, a potem się zobaczymy.

„Postaram się spotkać z Tobą wieczorem». Co, do cholery, ma to oznaczać?».

Pochyliwszy się nad komórką, Nate też przeczytał wiadomość.

– Super – powiedział. – Liczyłem, że się poprzytkacie.

– Wsiadka! – Janelle otworzyła drzwi. – Dojechaliśmy! No dalej, dalej!

Stevie westchnęła, przelknęła ślinę i otworzyła drzwi po swojej stronie. Niewiele brakowało, a potrąciłaby rowerzystę. Kiedy się oddalał, usłyszała przekleństwo.

– Zawsze patrz w prawo – rzekł jakiś głos.

W otwartych drzwiach pojawiła się głowa. Bujna czupryna, ciemna jak skrzydła kruka bez uprzedzenia zawisła przed Stevie. „Ten gąszcz splątanych niesfornych kędziorów i krzywy uśmiech...”.

– Co słyhać, głupki?



V

David wyciągnął rękę, by pomóc jej wysiąść z auta.

– Ty...

– To był żart, Stevie. Uwielbiasz żarty!

– Nie znoszę. – Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Dłoń miał tak ciepłą, był taki szarmancki. „Nasz pierwszy dotyk, nasz pierwszy kontakt. Jest przy mnie znowu. To naprawdę on”.

– No przecież. – Pochylił się i pocałował Stevie. Przelotnie. Ledwo musnął jej wargi.

Kiedy się wyprostował i zobaczyła go w pełnej krasie, wszystko wróciło na swoje miejsce. Odkąd wyjechał, widziała go tylko na setkach zdjęć i w niezliczonych wideorozmowach, ale teraz, gdy miała go przed sobą, nie mogła oderwać oczu od jego loków tańczących na wietrze. Był w tym swoim pięknym, długim, czarnym płaszczu. Wydał na niego dwa tysiące dolarów. Kupił go, aby zrobić na niej wrażenie i wkurzyć ojca, bo zapłacił jego kartą. Udało mu się i jedno, i drugie.

Płaszcz wywoływał niezwykły efekt. Nie dość, że zmysłowo omiatał łydki Davida, to jeszcze podkreślał jego męskie rysy. Był to magiczny element ubrania, skrojony jakby specjalnie dla niego.

Pod płaszczem David miał złachane spodnie od dresu Yale, należące kiedyś do ojca – białe litery na jednej nogawce mocno przetarły się już i kruszyły. Gdy Stevie zbliżyła się do Davida, poczuła dziwną, nieznaną woń. „Inny detergent, o ostrym zapachu. A więc tak pachnie angielski David”. Chciała go teraz porwać w ramiona, przyprzeć do auta, wtulić się w niego, namiętnie całować do utraty tchu, aż słońce zajdzie i wstanie znowu. Chciała zatracić się w swoich uczuciach, być nieprzyzwoita w tym uniesieniu. Chciała zapomnieć o bożym świecie, wziąć odwet za długie samotne noce. Pragnęła smaku skóry Davida. Tymczasem rzekła:

– Jesteś do kitu.

Chwyił ją w pasie i podniósł, po czym zakręcił się z nią w objęciach. Omal nie uderzyła nogami kierowcy, który odskoczył, cicho kwękając, następnie podszedł do bagażnika i zaczął wyjmować z niego walizki. David przywitał się z przyjaciółmi. Z Vi dogadywał się zwykle świetnie, więc wymienili serdeczne uściski. Choć Janelle nie zawsze było z nim po drodze, podała mu rękę, jak to grzeczna Janelle. Nate wyjątkowo nie znośli się ścisnąć, więc ukłonili się sobie po prostu.

Od pół godziny Stevie trzymała w spoconej dłoni banknot dziesięciofuntowy. Wręczyła go kierowcy, zanim odjechał. Z jego spojrzenia nie zdołała wywnioskować, czy to jest dużo, czy nędzna jałmużna. Stwierdziła, że nigdy nie da jej to spokoju. Myśl o tym będzie ją budzić nocą.

– Witam w Londynie – powiedział David. – To Craven House, w którym się zatrzymacie. – Ja mieszkam tu. – Wskazał identyczny dom obok. – Są połączone tym korytarzem i świetlicą. Mieszkacie tutaj.

Wziął najbliższą walizkę i zaczął ciągnąć za sobą. Tak się złożyło, że należała do Nate'a, który był wniebowzięty, że wyręcza go David. Nie sposób wytwornie wnieść bagaż po schodach do holu, w którym roi się od świetlówek. Nadały one skórce Stevie odcieln twarzowy – szarozielony jak smętna kapusta. Choć był dopiero późny listopad, to w kącie stała niewielka choinka – jak ktoś, kto trafił na bal przypadkiem i ma to za złe całemu światu.

W recepcji zrobiono im zdjęcia, które nadrukowano na karty identyfikacyjne. Stevie starała się nie patrzeć na swoje, z plamą sosu na bluzie i przekrwionymi oczami. Każde dostało też klucz na kółku.

– Numer dziewiętnaście na piątym piętrze – rzekła do Stevie kobieta za kontuarem.

Była tam winda, lecz śmiesznie ciasna, przeznaczona dla ludzi, a nie do wwożenia na piąte piętro durnych walizek gości ze Stanów. Wcisnęli się do niej z bagażem wszyscy. Stęknąwszy, niechętnie ruszyła w górę.

– Tędy. – David chwycił walizkę Stevie.

Żeby się dostać do swoich kwater, musieli przejść przez troje masywnych drzwi, nie wiedzieć po co dzielących korytarz.

– Pewnie się komuś to opłacało – rzekł Nate.

– Miejscowi kochają drzwi przeciwpożarowe – wyjaśnił David. – Chyba dlatego, że przed wiekami miasto prawie doszczętnie spłonęło.

Większość pokoi była zamknięta, z kilku płynęły ciche odgłosy rozmów.

– Trochę tu pusto – stwierdziła Stevie.

– Bo o tej porze Londyn drinkuje, więc lokatorzy zjeżdżają do baru, żeby się napić, zjeść coś, posiedzieć. To jakby taki rytuał, rozumiesz. Ty mieszkasz tu, Vi. Nate, to twoje drzwi. Janelle, zdaje się, kilka drzwi dalej. To... dziewiętnastka – rzekł David na koniec.

Stevie weszła do funkcjonalnie urządzonego pokoju, z którego okien roztaczał się widok na ulicę. W przeciwieństwie do wymyślnych pokoi w Akademii był ascetyczny jak współczesne płótna. Białe ściany bez ozdób, puste tablice korkowe, lampy wpuszczone w sufit i tuż obok łóżka.

Przymknąwszy drzwi, David wziął Stevie w objęcia. Spojrzał jej w oczy.

– Naprawdę tu jesteś.

– Poczekaj. Ty żartowałeś z tym zaproszeniem?

– Mhm. Chcesz wrócić?

Tak długo dzielące ich czas i dystans poszły w niepamięć w ułamku sekundy. Stevie przepełniła miłość – nie tylko do Davida. Do szafy wbudowanej w ścianę, do przekrzywionej żaluzji, do oparzonej logo szkoły plastikowej butelki na wodę... Rozradowana chłonęła klimat.

– Że jestem zajęty, to w sumie prawda – powiedział. – Mam dzisiaj wykład, którego nie mogę opuścić. Wrócę mniej więcej za dwie godziny. Tymczasem się rozgościecie i spotkamy się o czwartek. Najpierw zabiorę was do lokalnego, a potem mam niespodziankę.

– Jaką?

– Prawdziwą. Zaskakującą jak to niespodzianki.

– „Lokalny”... – Stevie nie zrozumiała. – Co to znaczy „lokalny”?

– Tak nazywają najbliższy pub. Pub w okolicy, w której się mieszka. My też go mamy, więc musimy pójść. W Londynie, w Anglii to obowiązek. Tu każdy chodzi do lokalnego.

Ujął jej twarz w dłoń i pocałował ją w usta. Pocałunek był krótki, bo David się śpieszył, ale głęboki, bo wytęskniony. Był zapewnieniem, że są nierozłączni, i pełnym euforii niedowierzaniem. Stevie chwyciła Davida za kark i z całej siły przywarła do niego. Niemal już zapomniała jego gorący oddech, zniewalające poczucie bliskości, więzi, pragnienie, aby zespolić się, wzlecieć, połączyć się z nim ciałem i duszą...

Oderwał się od niej i cofnął z uśmiechem.

– Na to nie braknie nam czasu – obiecał. – Niestety muszę być na tym wykładzie. Na razie. Spróbuję wrócić jak najprędzej.

Po wyjściu Davida Stevie rozpięła walizkę i spojrzała na to, co „spakowała”. W przeciwieństwie do Janelle, która zaplanowała i ułożyła w workach próżniowych stroje na kolejne dni – pakowała się tak, jakby właśnie do niej dotarło, że plotki o potworze zostały potwierdzone i dotrze on do miasta w ciągu najbliższych paru minut. A, co ciekawe, naprawdę się starała. Powyciągała rzeczy z szuflad i szafy i rozłożyła na łóżku, aby się w nich rozeznąć. Okazało się, że ma tiszerty – i z napisami, i bez. Kilka par dżinsów: takie, które lubiła, i takie, które pasowały w miarę, oraz kompletnie niedopasowane, które kupiła, więc była na nie skazana do końca życia swojego lub ich. Przywiozła do Anglii jedyną sukienkę, czarną, z której nawet jeszcze nie odpięła metki. Wszystko to upchnęła do walizki w dzikim szale w dniu przed odlotem, bo poprzedniej nocy musiała ślezczyć nad pracą, z którą spóźniła się już dwa dni. Wzięła też tylko trzy pary skarpetek.

Coś jednak Stevie spakowała starannie. Wydostała to teraz i poszła do Janelle, która ostrożnie wyciągała z torby podręcznej i układała na biurku długopisy i notesy. Janelle nie mogła się bez nich obyć, służyły jej do prowadzenia dziennika.

– Muszę ci coś pokazać – powiedziała Stevie, wchodząc i zamykając za sobą drzwi. – Chcesz zobaczyć, co kupiłam? Na wiadomą okazję.

– No pokaz! – Janelle rozwarła oczy szerzej.

Stevie otworzyła papierowe pudło.

– Kupiłam to wczoraj tuż przed odlotem. Upchnęłam do torby bez otwierania.

Gdy rozrywała worek z plastiku, wypadły z niego pochłaniacze wilgoci. Otrzepała zawartość i podniosła do kontroli.

Janelle zamarła na długą chwilę.

– To kombinezon? – spytała wreszcie.

– Jednoczęściowa piżama z polaru.

– Niewiarygodne. Znalazłaś bluzę do seksu.

– Posłuchaj – odparła przejęta Stevie. – Chociaż nie bardzo kojarzy się z seksem, ma całą masę guzików, zobacz. Spokojnie można ją rozpiąć, a później... – Spojrzała na to, co zwisa jej z rąk.

Spostrzegła wszystkie szczegóły piżamy. Jaskrawą czarno-czerwoną kratę, odstraszącą grubość polaru, solidne zapięcia. „Kiedy ją wybierałam, wydała mi się sensowna”.

– Ciuchy należy kupować pod siebie – Janelle w końcu przerwała milczenie. – A ta piżama jest moim zdaniem tak w twoim stylu jak nic innego.



Po południu znów spadł deszcz. Inny niż wczoraj, nie tłukł w szyby i dach. Stukał. Zasnuł mgłą okna. Obmył kwiaty w ogrodzie i rozmiękczył ziemię, roznosząc świeżą ozonową woń. Dziewiątka siedziała w domu w półmroku, bez słowa, przygnębiona, gdy umykał dzień. Na zewnątrz stały furgonetka i trzy radiowozy. Po błotnistym trawniku chodzili policjanci w mundurach, obserwowani z okna salonu przez Sooz, która godzinę wcześniej szlochała tak spazmatycznie, że aż zebrało ją na wymioty.

Nakazawszy im, żeby nie opuszczali salonu, policja badała resztę pomieszczeń. Zeznawali kolejno w osobnym pokoju. Sebastian dwukrotnie, bo dom należał do niego, musiał więc odpowiadać na dodatkowe pytania. Właśnie na niego czekali. Angela siedziała między Peterem a Yashem. Skulona w fotelu do czytania Theo patrzyła na zgasłe węgle w kominku. Julian przemierzał salon, rozglądając się po ścianach i meblach. Choć w Merryweather panował chłód, nikt się nie kwapił do rozpalenia ognia, zwłaszcza że nie wiedzieli, czy mogą to zrobić. Czy po morderstwie wolno palić polana?

– O co tu, kurde, chodzi? – spytała Sooz, głównie siebie. – Śni się nam koszmar? Wszystkim ten sam?

Rozległo się skrzywienie schodów. Sebastian wracał z przesłuchania. Gdy wszedł do salonu, zwrócili ku niemu oczy. Zwykle radosny, miał zwieszoną głowę. Jego policzki straciły kolor; rozciąrał je, jakby szukając krwi. Twarz umył przedtem co najmniej sześć razy, więc piekła go skóra. Od razu ruszył do barku na kółkach. Sięgnął po pierwszą z brzegu butelkę.

– Mówią – powiedział – że jeśli chcemy, możemy iść już do swoich pokoi. Chociaż na górze skończyli szukać, i tak nie wolno nam wychodzić z domu. Musimy tu zostać przynajmniej do rana. A potem... – urwał. Potem... kto wie? – Poza tym – podjął – tu w okolicy niedawno doszło do kilku włamań. Dokładnie czterech w ostatnich tygodniach. Skubią ze sprzętu i innych rzeczy.

– Więc włamywacze... – szepnął po chwili Yash. – To, kurwa, sprawka byle złodziei?

Było to tak niedorzecznie potworne, że świat nagle wydał się pozbawiony sensu.

Sooz postukała nogą w podłogę, podniosła się i zaczęła krążyć wokół sofy.

– Nie rozumiem – rzekła. – Ta szopa była zamknięta, prawda? Mówiłeś, że wszystko jest pozamykane. Jak Rosie i Noel się do niej dostali?

– Nie wiem. – Sebastian lknął whisky, żeby się opanować. – Sądzę, że weszli, gdy drzwi już były otwarte. Musieli usłyszeć tamtych i próbowali ich powstrzymać. Może już byli w środku, złodzieje wrócili i ich znaleźli.

Angela zerwała się z sofy.

– Coś nie tak, Ange? – spytał Peter.

– Muszę się przebrać – odparła. – Muszę to ściągnąć i się wykapać. – Mocno roztarłszy ramiona, wybiegła z salonu ku schodom.

Czuła się jak duch bytujący poza czasem. A jeszcze wczoraj wpadli do sieni z krzykiem i śmiechem, po czym pognali do ulubionych pokoi. Dziś wszystkie były pootwierane przez policjantów. Do domu wtargnęli obcy, grzebali w walizkach, szufladach i schowkach. Uroczy widok wokół wcale się nie zmienił. Rosnący pod oknem krzew dzikiej róży pysznił się drobnymi pastelowymi płatkami. Uroda płatków raniła ją, deprymowała. „Czy ja w ogóle istnieję?”. Prawdziwy był Noel, wysoki i szczupły, leniwie uśmiechnięty. W odjazdowo obciachowych ciuchach. Którego słowa czasami zaskakiwały. A piegi były widoczne tylko w jaskrawym słońcu. Angeli przypomniał się wieczór, kiedy Noel i ona podprowadzili ze sklepu wózek, a potem długo wozili się po ulicy, przypatrując się gwiazdom i zachwycając *Bagpussem*... Noel, który właściwie nigdy niczego się nie domagał i mył za innych naczynia, a po zaledwie jednym kieliszku tequili szalał i biegał golutki po drodze. Przemily Noel, który genialnie wcielał się w drani. Uczynny Noel, który pożyczal wszystkim swój wóz.

Prawdziwe były roześmiane zielone oczy Rosie, dzinsy z plamą po lakierze do paznokci na kolanie, sznurkowe bransoletki na ręce. Rosie u niej przed Gwiazdką, gdy pakowały prezenty, Rosie w zachwycie nad *Modern Life Is Rubbish* Blur. „To moja płyta, bo jest na niej numer *Villa Rosie*, nie wspominając o *Pressure on Julian!* To przeznaczenie, Ange, ja i Jules. Damon Albarn wysłał to nam”. Rosie i jej tajemnica zeszłego wieczoru. Coś zobaczyła. Coś, czego nie rozumiała...

Egzaltowana Rosie.

„No ale może bym zrozumiała to teraz”.

Nie.

Przerażona. Nieżywa. Już nie.

A teraz coś zobaczyła Angela. Coś, czego także nie mogła pojąć.

Umarłaby, gdyby nie weszła do wanny z ciepłą wodą. „Kąpiel mnie uspokoi, powstrzyma dzwonienie w uszach”. Przekręciła kurki, zrzuciła bluzkę i dzinsy, po czym usiadła na skraju wanny. Sprawdziwszy dłonią wodę, stwierdziła, że jest zbyt gorąca. Mimo to weszła do wanny z nadzieją, że otrzeźwieje. Z miejsca zapiekło ją całe ciało, zaczęła rozcierać śwędzącą skórę. Krew napłynęła jej do twarzy. Myśli zagłuszał szum wrzątku. „Niech splucze wszystko, wyparzy ten ból”.

Gdy poziom wody zbyt mocno się podniósł, Angela zakręciła kurki. Usiadła, podciągając kolana pod brodę, i zapatrzyła się na deszcz za szybą.

„Coś zobaczyłam. Coś, czego nie rozumiałam”.

Zaschło jej w ustach. Bolała ją głowa. Minionej nocy wypili tak dużo.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

– To ja – rzekła Theo. – Mogę wejść?

Dziewiątka żyła i pracowała wspólnie. Żadne nie miało chwili prywatności. Przebijając się razem za kulisami lub w domu i uprawiając miłość, wciąż widywali się nago, więc przyjmowanie gości, gdy siedzi się w wannie, od dawna nikogo nie dziwiło. Theo wśliznęła się do łazienki z kubkiem, który postawiła na krześle tuż obok wanny.

– Przyniosłam ci herbatę. Z cukrem, bo chociaż nie słodzisz, to jest ci teraz bardzo potrzebny.

– Skąd u ciebie ten spokój? – zapytała Angela.

– Nie jestem spokojna – odrzekła Theo. – Doznałam szoku tak jak my wszyscy. On z czasem przejdzie. Każdemu inaczej. Jest ci tak zimno, bo przeżyłaś szok. Ja też się trzęsę. Trzeba się zażyć. Jeść i porządnie nawadniać organizm.

Theo chciała już odejść, ale Angela ją zatrzymała.

– Zaczekaj. Muszę z tobą pogadać. Zamknij drzwi. – Theo zamknęła drzwi. – Coś nie gra, Theo. Gdy przyjechalśmy tu wczoraj... – Angela ściszyła głos, bo roznosił się echem. – Rosie wzięła mnie na bok, żeby mi się z czegoś zwierzyć.

– Chodziło o Juliana?

– Nie. Nie o niego. Zabrzmiało to... Nie wiem. Wydawało się poważne. Wiadomo, że Rosie lubi... – Angela nie była w stanie mówić o Rosie w czasie przeszłym – ...dramatyzować. Ale tym razem było inaczej. „Coś zobaczyłam” powiedziała z takim naciskiem... I że tego nie rozumiała. Konieczne chciała mi to zdradzić od razu, ale wtedy nie mogła, więc miałam to usłyszeć po grze.

– Coś zobaczyła? – powtórzyła Theo.

– Tak powiedziała. Ze szczególną powagą.

– Niczego nie zasugerowała?

– To jeszcze nie wszystko. – Angela przybliżyła kolana do piersi i otarła czoło z potu, który spływał jej do oczu. – Widziałam coś wczoraj. Nie daje mi to spokoju od rana, ale nie chciałam mówić

przy wszystkich, bo nie mam pojęcia, co znaczy. Nocą, gdy szukaliśmy, mijalam drewnię. Na drzwiach nie było kłódki. Nie była odblokowana. Zniknęła, rozumiesz.

– Angelo... – odparła powoli Theo. – Rano widziałam kłódkę na drzwiach. Drewnia była zamknięta. Dlatego zerwali skobel.

– W środku nocy jej nie było – upierała się Angela. – Przechodziłam koło drewni. Spoztryglam, że nie ma kłódky, więc chciałam tam wejść, ale drzwi były zablokowane od środka. Widziałam pod nimi światło. Nawoływałam, ale nikt nie reagował. Chwilę stukalam do drzwi, wreszcie zrezygnowalam. Ale wierz mi, kłódky na drzwiach nie było.

Theo usiadła na posadzce przy wannie.

– Ange – powiedziała. – Mózg będzie nam wciskał kit. Trzeba zachować trzeźwość myślenia i wspólnie przebrnąć przez tę tragedię. Nie wiem, jak się z tym uporamy ani jak będziemy żyć bez nich, ale na pewno musimy o siebie dbać. Ogromnie was kocham... – Nie mogła dokończyć.

Angela zamknęła się w sobie. „Widziałam to jak na dłoni. Podeszłam do drzwi. Kłódky nie było, a wewnątrz mrugało światło. Do drzwi przyciągnęły mnie właśnie te błyski. Tak jest. Z pewnością coś zobaczyłam. Ktoś był za drzwiami, nasłuchiwał, czekał. Przecież to czułam. Naprawdę. A może nie?”.



VI

Nazywany przez Davida „lokalnym” pub, do którego się wybrali, mieścił się zaledwie kilka przecznicy dalej, za dwoma innymi. Gdy wychodzili, była dopiero szesnasta trzydzieści, ale David oznajmił, że na dobrą sprawę jest wieczór. Niebo było ciemne i lekko zabarwione fioletem. Włączono już oranżowe latarnie uliczne.

– Jesienią robi się tu ciemno absurdalnie wcześniej – rzekł David. – Zwłaszcza gdy jest pochmurno. Czyli prawie zawsze.

Rozkład ulic w Londynie przypominał sieć pijanego pająka. Niektóre skręcały i urywały się gwałtownie, inne były poprzecinane pasażami i domami przerobionymi z dawnych stajen. Zaskakujący organizm splatały zaułki. Słowa na jezdni przypominały głupim Amerykanom, skąd jadą auta, ale przed każdym przejściem Stevie i tak patrzyła w złą stronę.

– Pub trzeba wybierać z głową – podjął David. – W tym mają najlepsze promocje na drinki i najfajniejszą muzykę, a poza tym przymykają oko na żarcie kupione gdzie indziej. Na przykład niesamowite nachos z tego bistra na rogu... – wskazał restaurację U Señora Sama – ...ale angielskie nachos są obrzydliwe. Nigdy nie jedzcie angielskich. Słowo wam daję, że raz widziałem, jak kładli na nie fasolę w sosie pomidorowym. Ale ryba z frytkami jest świetna. To nie stereotyp. To fakt. Więc właśnie ją zamówimy.

Weszli do niezbyt obiecującego lokalu o nazwie Mr Chips, kieszonkowego, pomalowanego białą farbą, z zaledwie trzema małymi stołami, przy których nikt nie siedział. Wiszące na ścianie menu sprawiło Stevie w konsternację. Bo mimo że rozumiała słowa składające się na nazwy potraw, połączono je w układ tajemnych znaczeń nie do pojęcia.

– Zamówię dla nas – rzekł David. – Ja stawiam! Wezmę wszystkiego po trochu. Dwa razy dorsz z frytkami i dwa razy łupacz z frytkami, krewetki tygrysie z frytkami...

– Burger w panierce? – zapytał ze zgrozą Nate.

– Śmiało! – zachęcił David. – Zdrowe arterie są dla frajerów.

Kiedy wrzucono produkty na rozgrzany głęboki tłuszcz, powietrze wypełnił mocny niezdrowy zapach – i chwilę potem znów znaleźli się na ulicy, z okazałym stosem styropianowych pudełek.

Pub nosił nazwę Siedmiu Biskupów i – tak jak spodziewała się Stevie – wyglądał jak żywce wyjęty z Dickensa. Pomalowany z zewnątrz czarnym lakierem, miał złoty napis i szyld z obrazkiem przedstawiającym mitrę. Fasadę rozjaśniała szachownica okien, a z wnętrza biło pogodne, ciepłe światło. Oprócz drewnianego baru ze lśniącymi kranami były tam przytulne drewniane boksy o wysokich ściankach, niektóre jeszcze niezajęte.

– Przyszliśmy w samą porę – powiedział David, kładąc stos jedzenia na jednym z wolnych stołów. – Pijemy! Kto ma na co ochotę?

– Masz też na myśli alkohol? – spytała Vi.

– To, czego dusza zapagnie – odparł.

Janelle skończyła osiemnaście lat w październiku, a Nate tuż po niej na początku listopada. Stevie osiemnaście miała skończyć w grudniu, a Vi dopiero w lutym. Przed wyjściem zastanawiali się, co będą tu robić. Choć planowali, że wezmą coś mocniejszego, na miejscu poczuli się trochę nie-swojo.

– Przeżenacie się martwić – uspokoił ich David. – Widzicie? – Wskazał na jedzenie przed nimi. – To jest posiłek. W Anglii alkohol wolno brać do posiłku, gdy się ukończy szesnaście lat.

– Poważnie? – zdumiała się Janelle. – Przedziwna ustawa.

– Witajcie w ojczyźnie przedziwnych ustaw. A oto następna, o której się dowiedziałem na wykładzie z wprowadzenia do tematu *Prawo brytyjskie a międzynarodowe* – ustawa łososiowa z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego. Nie wolno handlować łososiem pozyskanym w podejrzany sposób. Będę pilnował. No więc pijemy. Już! Mówcie, co chcecie!

– A co jest dobre? – spytała Vi. – Chcę coś takiego, co tutaj pasuje. Pewno coś w kuflu? David, ty wybierz.

David przytaknął i spojrzął na Janelle, która zaciekawiona lustrowała bar.

– Nie lubię piwa – oznajmiła Janelle. – Mają coś innego?

– Cydr – podrzucił David. – Jest nieco słodszy.

Przystąpiła na cydr. Nate tradycyjnie wybrał colę.

David zwrócił się ku Stevie.

– Sama nie wiem – westchnęła. – Chyba... – Poczwały się głupio, mówiąc „kuflu”. Chciała się zachowywać normalnie, swobodnie. Tylko po prostu nie wiedziała jak. – Chyba...

Obok ich boksu przeszedł ktoś z lampką wina. Stevie piła już wino, a właściwie szampana – ciepłego, w kubku, siedząc z Element Walker na podłodze łazienki w pierwszym dniu pobytu w Akademii Ellinghama. To było w porządku, piła za zdrowie Ellie.

– Masz chęć? – zapytał David, podążając za jej wzrokiem – Białe wino?

– Tak, jasne – odparła bez przekonania.

Ulokowali się w (zielonym wyściełanym) boksie i wyjrżeli przez okno, to jest oprawione w olów szybki.

– A więc... – Nate otworzył jedno z pudełek i wyciągnął z niego frytkę. – Dotarliśmy, a jeszcze nie stało się nic dziwnego.

– Po co w ogóle to mówisz? – Janelle badawczo przyjrzała się dużym kawałkom ryby, po czym ostrożnie wyjęła jeden.

– Chodzi mi o to, że kłopoty depczą nam po piętach. Gdzie się tylko ruszymy. Daję im trzy dni.

Frytki były grube i gorące jak lzy słońca, a ryby tak świetne, jak zapewniał David. Na ekranie u góry wydzierał się Harry Styles, zachęcając tłum fanów do dobroci dla bliźnich. David wrócił z drinkami i wśliznął się na miejsce obok Stevie, a następnie luzacko ogarnął ją ramieniem. Stevie upiła łyk białego wina. Okazało się smaczne i przyjemnie uderzyło jej do głowy.

Znow byli razem. Wszyscy jej przyjaciele. David. David tak blisko, że mogła wtulić twarz w zagłębienie jego szyi. Musiała się wstrzymać. Pragnęła zrobić dużo więcej.

– Pospieszmy się z jedzeniem. Musimy wyjść... – David popatrzył na telefon – ...za kwadrans.

Chociaż niechętnie zmieniał lokale, to tu, w Londynie, był przewodnikiem. Ponaglenie wyraźnie zirykowało Janelle. Vi, sądząc po jej minie, nie miała nic przeciwko pośpiechowi, a Nate chciał coś zjeść i był gotów wyjść wbrew zdrowemu rozsądkowi. Dokończyli ryby z frytkami i osuszyli kiełbki, po czym wstali i znowu zanurzyli się w noc.

David poprowadził ich wąskim zaułkiem, przez krótki tunel, a później most. W końcu znaleźli się na drugim brzegu rzeki. Choć nie padało, powietrze przenikała wilgoć, klując ich w twarze jak mikroskopijne igły. David objął Stevie i przyciągnął do siebie. Idąc tuż obok niego, czuła się skrępowana, ale też nigdy w życiu nie było jej tak cudownie. W ustach pozostał jej cierpki smak wina, a błogie oszłomienie rozmyślało światła wokół, zmieniając Londyn w migotliwą wizję pełną barw i odcieni. Znad płynącej niespiesznie Tamizy wiatr przywiewał leciutką woń morza. A może inna? Mieszały się jej zmysły. Była zmęczona i ociążała, a jednocześnie nad wyraz czujna.

David szedł rażnym, sprężystym krokiem. Miał kilkudniowy zarost. „Na pewno dobrze wie, jak mu z nim do twarzy, inaczej przecież by się ogolił”. Meszek pod jego nosem i na podbródku był idealny, wręcz artystyczny. David włożył dziś nowy, czarny obcisły sweter. „Czy to wszystko dla mnie? Czy świat mi sprzyja aż tak?”. Wino rozgrzało jej myśli, hormony rozgrzały resztę.

„Niech ta noc potrwa wiecznie, niech się nigdy nie skończy”.

Idąc dziarsko wzdłuż rzeki, minęli informację turystyczną i London Dungeon² oraz pomalowaną na żywe, wesołe kolory staroświecką karuzelę. Przed sobą ujrzeli oświetlone koło kolosalnych rozmiarów – diabelski młyn nazywany London Eye. Obracając się niby fioletowo-błękitna korona, górowała nad nabrzeżem. Zamiast krzesłek miało klimatyzowane szklane kapsuły mogące pomieścić dwadzieścia kilka osób. Kolejka była krótka. Wyglądało na to, że tylko nieliczni wybrali tę rozrywkę w dżdżysty listopadowy wieczór.

Nieco na uboczu stała samotnie dziewczyna. Wysoka i koścista, o wystającym podbródku. Nawet przez grubą zielonkawo-niebieską kurtkę dało się zauważyć, że ma spiczaste łokcie. Gęste brązowe włosy upięła w niedbały kok, a piwne oczy z kącikami uniesionymi konturówką zakryła wielkimi okularami. Machała w ich stronę, jakby naprowadzała samolot.

– Kto to? – spytała Stevie.

– To Izzy – odpowiedział David, gdy do niej podeszli. – Koleżanka z seminarium. Iz – zwrócił się do dziewczyny – to moi przyjaciele.

– Ty jesteś Stevie – rzekła Izzy. – Ty... Janelle, prawda? I Vi. I Nate. Czy się nie mylę? – Rozpoznała ich wszystkich. – David wciąż o was mówi. Bez przerwy. Już się nie mogłam doczekać spotkania.

Zazwyczaj słysząc takie słowa, Stevie uznalaby je za sarkazm lub lekką przesadę. Lecz Izzy sprawiała wrażenie szczerzej. Pogodna i żywiołowa, miała też w sobie subtelność. Podobnie jak Janelle umiała świetnie dobrać dodatki. Jej palce zdobyły liczne pierścionki, a uszy kolczyki w kształcie koszyczków z kwiatami. Wokół szyi zawiązała fioletowo-żółtą jedwabną apaszkę. Janelle lustrowała to wszystko z aprobatą.

– Jesteśmy gotowi – zwróciła się Izzy do Davida. – Mamy ostatnią kapsułę. – Wskazała pomost do wsiadania. – Znajoma rodziców pracuje w tej firmie – wyjaśniła. – Mogę dzięki niej jeździć Okiem, gdy tylko zechcę, za darmo. Zdarzyły mi się nawet przejażdżki, kiedy było już zamknięte z powodu gości specjalnych albo prac konserwacyjnych. Zawsze jest super wyjść z ludźmi na miasto. Zabieram ich tutaj, to moja specjalność.

Londyn wyda się znajomy każdemu, kto jak Stevie śledzi brytyjskie seriale kryminalne – nawet osobom, które nigdy w nim nie były. Stevie widziała London Eye wielokrotnie, obracające się na drugim planie *Sherlocka Holmesa*. Wiedziała, że jest to wielki, oświetlony fioletowo diabelski młyn tuż nad rzeką. O tym, że nie przepada za diabelskimi młynami, przypomniawszy sobie dopiero wtedy, gdy szybko przeszli przez pomost i wsiedli do poruszającej się ciągle kapsuły. Nim się zorientowała, kapsułę szczelnie zamknięto – i wraz z przyjaciółmi ruszyła do góry. Pod nimi wolno sunęła Tamiza, malały Parlament i cały Londyn.

W ciemnościach nie dało się dostrzec szczegółów, noc podkreślała kontury tworzone przez sztuczne oświetlenie. Było widać krwiobieg Londynu: ulice, mosty, samochody. Każdy element tęt-

nił energią. Mniejsze budynki jawiły się jako gęstwina cieni, większe ukazywały swoje zarysy. Postrzępione iglice, wieże z zamierzchłych czasów i nowoczesne szklane wieżowce wcinają się niczym noże w odległy horyzont. Jeden z drapaczy chmur nazywał się dosłownie Odlamek¹⁰.

Rozpadało się. Deszcz tłukł o kapsułę, która zaparowała, oprócz smug światła nie było nic widać. Izzy wypytywała przyjaciół o wycieczkę. Czy lot przebiegł im miło? Jak podobają się pokoje? Czy są zmęczeni? Czy dobrze się bawią – choć oczywiście dopiero co przyjechali, więc przecież jeszcze tego nie wiedzą. Miała długie ramiona i wdzięczne dłonie, którymi wymachiwała z dużą ekspresją. Uparła się pomóc im przy robieniu zdjęć – grupowych oraz Davida ze Stevie i co najmniej kilkunastu Vi całującej się z Janelle na tle panoramy Londynu. („Pejzaż co prawda jest niezbyt widoczny, ale wy wyglądacie wręcz bosko”). Wyraźnie chciała zbliżyć się z grupą, pomóc jak może, co było dość dziwne. W jej pogawędkach z Davidem nie było nic niestosownego: wymieniali swobodnie uwagi o szkole i domu studenckim. A jednak Stevie czuła się skrępowana przy tej ładnie pachnącej przyjaznej nieznanym. (Zagadnięta przez Janelle o zapach, Izzy odpowiedziała, że nosi Kwiat Pomarańczy od Jo Malone).

– Co to, kurde, za jedna? – Nate zapytał cicho Stevie. – Czemu nas lubi?

– Jesteśmy mili. – Stevie wzruszyła ramionami.

– Nie bardzo – odparł. – Najwyżej znośni. Wszyscy Anglicy są tak życzliwi?

– Nie wiem – odrzekła Stevie, gdy Izzy namawiała Vi i Janelle na jeszcze jedną turę zdjęć.

Kapsuła powiozła ich z powrotem ku rzece. Kiedy przejażdżka dobiegała końca, Izzy przysunęła się bliżej do Stevie.

– Strasznie się cieszę, że tu jesteś – szepnęła. – Chciałam podzielić się tym z kimś już od dawna, ale niestety nie miałam z kim, a gdy David opowiedział mi o tobie, stwierdziłam, że podzielę się tym z tobą, kiedy tylko przyjedziesz. Pomyślałam, że zaczekam do końca przejażdżki. Widzisz... – Chwyliła się poręczy biegnącej wzdłuż kapsuły. – Muszę ci powiedzieć o pewnym morderstwie.

– I znowu się zaczyna – mruknął pod nosem Nate.



VII

Wróciwszy na ziemię, musieli schronić się przed deszczem w pobliskim South Bank Centre – gigantycznym bunkrze z gładkiego szarego betonu, w stylu brutalistycznym, jak zapewniła Janelle. Oznakowanie kierowało ich do dziesiątek pomieszczeń: teatrów, sal zebrań i wystaw, restauracyjek, kawiarni. Wybrali kawiarenkę, gdzie przycupnęli nad herbatą i ostatnimi z muffinek polecanych tego dnia.

– Na pewno ciągle słyszysz, że ktoś wie o jakiejś zbrodni. Ale ja nie zmyślam. Moja ciotka widziała morderstwo. Była na miejscu. Zamordowano jej przyjaciół. – Izzy mówiła szybko, słowa wylewały się z jej ust. – Kiedy ciotka Angela studiowała w Cambridge, należała do grupy teatralnej. Członkowie grupy byli ze sobą bardzo zżyci. Mieszkali razem na stacji. Po egzaminach końcowych wyjechali na tygodniową imprezę. Jeden... Sebastian, jest czarujący... jego rodzina ma wielki dom na wsi, który nazywa się Merryweather. Wybrali się tam, aby uczcić koniec nauki. Pierwszego dnia wieczorem bawili się w chowanego na terenie posiadłości. Zaczęło padać, więc wrócili do domu. Wszyscy, z wyjątkiem dwóch osób. Kilkoro z grupy poszło ich szukać nazajutrz rano. Znaleźli ich w drewni. Znaczy nieżywych. Z siekierą... Nocą przeszkodzili jakimś włamywaczom. Zawsze słyszałam taką wersję, ale... – Pochyliwszy się, Izzy omal nie strąciła ze stołu filiżanki z resztką herbaty. – Angela opowiadała mi o tym, kiedy dorastałam. Nigdy ze szczegółami. Tylko tyle, że była na domówce, gdy w środku nocy zjawili się włamywacze i zamordowali dwoje jej przyjaciół. Jest naturalnie bardzo przeczulona na ten temat. Wiem, że dlatego unika pewnych miejsc. Woli być w mieście. Wieś wprawia ją w niepokój... No więc ta sprawa, o której prawie już zapomniałam, wróciła latem tego roku. Pomieszkiwałam u Angeli, kiedy przeszła zabieg kolana. Zerwała coś na siłowni i musiała to wyleczyć, więc była unieruchomiona przez prawie dwa tygodnie. Wymagała opieki, bo zażywała środki przeciwbólowe i przez kilka dni nie mogła wstawać, tak że jej towarzyszyłam, parzyłam herbatę, podawałam supę itepe... – Izzy uroczco zatrzepotała dłonią na znak „stawiałam ciotce przy łóżku różne rzeczy przyjazne niesprawnym”. – Miała włączony telewizor. Raz oglądała news o jakimś morderstwie, gdy nagle powiedziała: „Sądzę, że jedno z moich przyjaciół popełniło zbrodnię. Byłam przy tym”. Więc zapytałam: „Jak to?”. A ona: „Chodzi mi o tych, których zabito. Na drzwiach nie było kłódki. Została zdjęta, widziałam”. A potem powtórzała, że... podłożono... dowody? Na pewno jej się to nie przywidziało. Mówiła o czymś, o czym była mocno przekonana, ale gdyby nie naćpała się proszkami, nie puściłaby pary z ust.

– Twoja ciotka powiedziała: „Sądzę, że jedno z moich przyjaciół popełniło zbrodnię” – powtórzyła Stevie.

– I że tam była. Prócz tego o kłódce i podłożu... podścieleniu, posadzeniu?... Bełkot... Dowodu? A potem chyba uświadomiła sobie, co mówi, bo przerwała. Nie mam pojęcia, co robić. Pytałam ją o to później, ale zaczęła wciskać mi kit.

– Niektóre leki przeciwbólowe są bardzo silne – stwierdziła Janelle. – Nie podejrzewasz, że ciotka po prostu odleciała? Że jej relacja ma się nijak do faktów?

– Gdybyś usłyszała to od niej na własne uszy – odparła Izzy – nie miałabyś wątpliwości, że to się stało naprawdę. Choć prozki uspiły jej czujność, mówiła przejrzyście i jasno. Oczy jej tak błyszczały, jakby przypominała coś sobie i wyleciało jej z głowy, komu się z tego zwierza. Od tamtej pory nie daje mi to spokoju, a nie potrafię odpuścić. Czytam, co mogę na temat tych morderstw; niestety informacji jest za mało. Rzecz w tym, że... dotąd nie wykryto sprawcy. Nigdy nikogo nie oskarżono ani nie postawiono zarzutów. Biegli stwierdzili napad rabunkowy i postępowanie zostało umorzone. Ale ona coś wie i to ją zżera od środka. Nie mogłam się z tym uporać, więc kiedy kilka tygodni temu poznałam Davida i mi o tobie powiedział, uznałam to za przeznaczenie. Bardzo w nie wierzę. Czekałam, kiedy cię poznam i ci o tym opowiem.

Kiedy już Izzy to zrobiła, Stevie nie miała pojęcia, co jej odpowiedzieć. Podobne prośby dostawała zwykle w formie maili lub esemesów, nikt nie pochylał się nad kawiarnianym stolikiem z szeroko otwartymi oczami, nikt też nie pachniał subtelnie kwiatem pomarańczy, nie stukał o blat paznokciami z odprysniętym zielonym lakierem ani nie dziobał szczątków muffinki.

– No więc mi zaświtało. – Myśl Izzy zawisła na moment w powietrzu i zatoczyła krąg dookoła stołka. – David wspominał, że macie dużo do zwiedzenia... No i że w tym tygodniu idziecie do Tower. Angela robi programy historyczne dla BBC. Jest specjalistką od dziejów Londynu. Właśnie nagrywa nowy dokument. I tak mi przyszło do głowy... Gdybyście mieli ochotę, można by wziąć coś na wynos i zjeść z nią kolację! Nie mieszka daleko, stąd to zaledwie kilka przystanków metra. Z radością was pozna i mogłaby wam opowiedzieć mnóstwo ciekawostek o Henryku VIII i jego żonach. O Tower wie wszystko. Napisała coś o niej... artykuł czy rozdział do książki? Bo tam je święto. Dwie żony króla. Więc warto by ją poprosić, by o tym coś powiedziała. Na końcu ulicy, przy której mieszka, jest niesamowita restauracja, gdzie robią najlepsze curry na wynos. Tylko jeżeli zechcecie, bo – jak wiem – macie plany, ale stwierdziłam, że to zaproponuję, bo przyjechaliście zwiedzić miasto, a kolację pewnie musicie zjeść tak czy siak...

Trajkot Izzy miał w sobie coś niemal eleganckiego. Jej słowa brzmiały okrągło jak kula tocząca się po marmurowej posadzce, swobodne w ciągłym ruchu, niepowstrzymane bez zewnętrznego napędu. Każda kolejna wypowiedź była uprzejma i życzliwa, podana jedynie jako sugestia, ale w miarę słuchania Stevie dość szybko pojęła, że nie jest to spontaniczne, lecz z góry zaplanowane. Izzy wytoczyła argumenty zbyt rozsądne, żeby dało się je zbić.

„Człowiek nie kłóci się lekkim wietrzykiem... Dlaczego byśmy nie mieli poznać tej historyczki, spróbować czegoś pysznego i posłuchać o zbirze z toporem?”

– ... rzecz jasna nie chcę krzyżować wam planów...

Wszyscy spojrzeli na Janelle, która odparła:

– Nasze kolacje są zwykle otwarte. Spotkanie z historyczką, która dużo wie na temat Tower, to chyba niezły pomysł?

– Skoro tak, to cudownie! Umówmy się jutro po waszym zwiedzeniu. O której by wam pasowało?

Wydawali się bezsilni wobec tak grzecznego ataku. Przygaśli też z niewyspania, przez zmianę czasu i chłodny deszcz. Stevie z całych sił zapragnęła wrócić do swojej kwatery, skryć się pod ciepłym kocem i zabrać ze sobą Davida. Kwestia została rozstrzygnięta.

Do Craven House wrócili pieszo. Kwatery Davida i Izzy mieściły się po jednej stronie, a Stevie i reszty po przeciwnej. Nate, Vi i Janelle pojechali windą pierwsi, zostawiając Izzy, Stevie i Davida.

– Śpij dobrze! – rzekła Izzy do Stevie, czekając, że David skieruje się tam, dokąd ona, po czym pokręciła głową i poprawiła się. – Ale ze mnie gapa. Przecież idziecie w tamtą stronę. No to na razie! Do jutra!

Dla Stevie było to jawne potwierdzenie faktu, że David idzie z nią. Mimo że miała za sobą niejedną randkę z Davidem – to ilekroć ktoś wskazywał, że są parą, nadal czuła się niezręcznie. Tak, jakby o jej sprawach wiedzieli wszyscy wokół. A oczywiście wiedzieli.

Jako detektyw Stevie bacznie obserwowała innych, czego przykrym następstwem było obserwowanie Stevie przez innych.

Kiedy dotarli do jej pokoju, David wsunął ręce w kieszenie płaszcza i okrążył niewielką przeszczeń. Wiedział, że gest ten optycznie wydłuży płaszcz. Z chytrym uśmieszkiem, lisim grymasem omiótł wzrokiem pustą tablicę korkową, torby, przekrzywioną żaluzję. Zatrzymał się przy wbudowanym biurku i usiadł na jego krawędzi, po czym podniósł z bazy tani czajnik z plastiku.

– W zestawie jest nawet czajnik – powiedział. – To tu podstawa. Ubóstwiają czajniki. Nalewasz wodę i pstrykasz.

Odstawił czajnik na bazę.

– Wiedziałeś o tym? – spytała Stevie. – O tym morderstwie?

David przytaknął.

– Zależało jej, żeby ci opowiedzieć. Każdy ma jakąś historyjkę, prawda?

– Chyba tak.

– No to teraz masz okazję poznać panią z telewizji i posłuchać o zbrodni. Widzisz, jak umilam ci życie? – Sekunda ciszy. – Chodź... – prosił.

Stevie stała tuż przy włączniku światła. Zawahała się. „Mam je wyłączyć? Byłby to jasny sygnał, czego się teraz spodziewam. Średnio subtelny. No, ale ma być fajnie, więc bez przesady”. Uznała, że nie warto być przesadnie powściągliwą.

Mijając włącznik, niby niechcący potrąciła go ramieniem. David roześmiał się.

Ruszyła na koniec pograżonego w półmroku pokoju. Starła się nie potknąć o torby leżące na podłodze. Przez okno wpadał do wnętrza blask ulicznej latarni. Było na tyle jasno, że widziała zarys twarzy Davida: długi nos, delikatnie wygięte brwi.

– Bardzo... – powiedział, nachylając się do niej. – Baaaaardzo się cieszę, że przyjechałaś.

Uniosła głowę napięta i pocałowała go mocno. Przeszył ją dreszcz podniecenia i ogarnęło poczucie, jakby tu, między nimi szalał kosmos. Zmęczeni niewygodną pozycją oderwali się od biurka, opadli na podłogę, zapominając o łóżku. „Nigdzie nie jest tak cudnie jak na zimnym linoleum”. David włożył jej ręce pod tiszert, którego nie mogła zrzucić, bo zaważała jej bluza. Usiadła prosto, by ściągnąć i jedno, i drugie.

„Teraz przydałby się któryś z tych eleganckich staników, które pokazywała Janelle, choć w sumie co za różnica?”. Rozciągnięty sportowy był równie dobry, David wyciągał już dłoń...

Po komórkę.

Stevie nie usłyszała dzwonka. „Wideorozmowa z doktor Quinn!”.

– A niech to – szepnęła, sięgając po tiszert. – Cholera, miałam zadzwonić. Choleeera...

Włożyła tiszert i podniosła się z podłogi. Kręciło jej się w głowie i ledwo stała na nogach. Przejechała ręką po włosach, ale nic to nie dało. Odebrała, gdy David poczołgał się kilka kroków dalej.

– Tak, dzień dobry, przepraszam. Bo pomieszało mi się z czasem. Yyy... wypakowywałam rzeczy.

– Po ciemku? – zapytała Quinn. Odchyłona na krześle w swoim gabinecie, dzwoniła z komputera. Stevie miała nieodparte wrażenie, że patrzy na nią zza biurka.

– Dopiero co weszłam... Byłam u Janelle. Prze-praszam.

Stevie włączyła stojącą obok łóżka czerwoną lampkę do czytania. Wydawało się, jakby oświetliła twarz latarką, by opowiedzieć historię mrozącą krew w żyłach. Siadła na łóżku, próbując przybrać swobodną minę.

– Jak tam mieszkanie?
– Świetne – odparła Stevie. – Ładne. Świetne. Wspaniałe.
– Wspaniałe, świetne. Więc je zobaczymy.
Słyszając to, David odsunął się jak najdalej od kamerki.
– Włącz górne światło, niech mu się przyjrzę – rzekła Quinn.
– Już... – Stevie przeszła do włącznika na ścianie przy drzwiach, omijając Davida, by nie znalazł się w kadrze. Oświetliła pokój i nadal omiatała go kamerą. Był tak mały, że David musiał wcisnąć się za plecy Stevie i wejść na łóżko. Które cicho skrzyknęło.
– O, cześć, Davidzie – powitała go Quinn. – Podejź i mi pomachaj.
Stevie rozwarła usta w żalostnej próbie sprzeciwu, lecz zanim zdążyła się wygłupić, dyrektorka pokręciła głową. David wciągnął i poprawił koszulę, po czym stanął przed kamerą.
– Cześć – odrzekł. – Dawno się nie widzieliśmy. Pokazywałem Stevie, jak działa czajnik. – Naciśnął guzik czajnika, który rozbłysł i wydał radosny bulgot, jakby nie mogąc doczekać się herbaty.
– Skomplikowana maszyna – rzekła Quinn suchym tonem. – Nauka obsługi zajęła mi masę czasu. A teraz proszę, opuść pokój. Moja rozmowa ze Stevie chwilę potrwa, więc nie ma sensu, żebyś czekał pod drzwiami.
– Aha – odparł David. – Aha. Więc w każdym razie tak działa czajnik, do jutra, Stevie...
„Wiedziała. Na stówę wiedziała. Mogło to być domniemanie, a może ma tutaj wtykę... albo się podłączyła do miejscowego monitoringu. Dla doktor Jenny Quinn wszystko jest wykonalne”.
– Najlepiej byłoby, gdyby David trzymał się z daleka od twojego pokoju – powiedziała Quinn do Stevie, kiedy zostały same. – W Londynie jest późno, a musisz być wyczerpana podróżą. Złe samopoczucie wynikające z różnicy czasu odczuwa się szybko, choć jak się przekonałam, na drugi dzień bywa gorzej. Odpocznij. Dobrej zabawy z czajnikiem.

Z NOTESU NADKOMISARZA PHILLIPA STARLINGA, WYDZIAŁ POLICJI W GLOUCESTER

24 czerwca 1995 roku

Okoliczności:

Zdarzenie miało miejsce w Merryweather, dużym domu na ponadpięćdziesięcioakrowej działce, z licznymi budynkami gospodarczymi i rozległym terenem. Właściciele bawią w Grecji, więc w okolicy wiadano, że dom może być niezamieszany. Wczoraj około dwudziestej drugiej przyjechał do domu z wizytą wraz z ośmiorgiem przyjaciół syn właścicieli, który studiuje w Cambridge. Osoby zatrudnione w domu były wtedy poza nim. Ustalono miejsca pobytu wszystkich.

Siedmioro świadków, współlokatorów, konsekwentnie zeznało, że między dwudziestą trzecią a drugą trzydzieści wzięli udział w przyjęciu i zabawie w chowanego na terenie posiadłości. W tym czasie wszyscy uczestnicy przyjęcia poruszali się swobodnie po terenie, zarówno chowając się, jak i szukając. (Szczegóły w zeznaniach świadków). Kiedy gra była w toku, rozpetęła się silna burza z piorunami.

Około drugiej trzydzieści burza zerwała linię wysokiego napięcia u wylotu St Swithun's Lane, jedynej drogi dojazdowej do Merryweather. Merryweather i wioska Ramscoate-on-Whyle zostały pozbawione prądu, a służby ratownicze wysłały tam furgonetkę, aby zapobiec pożarowi i przypadkowym porażeniom. Furgonetka przybyła o trzeciej i pozostała na miejscu do siódmej trzydzieści. Żeby zapobiec zbliżaniu się do przewodu pojazdów lub osób, furgonetkę postawiono w poprzek wylotu St Swithun's Lane, blokując do niej dostęp. W tym czasie żaden pojazd nie

mógłby wjechać lub wyjechać z Merryweather bez napotkania przeszkody w postaci furgonetki. Załoga furgonetki zeznała, że drogą nie poruszały się żadne pojazdy ani osoby, co nie jest dziwne, zważywszy na porę i gwałtowny charakter opadu. (Ważne: Merryweather ma elektroniczną bramę, którą otwiera się, wstukując kod na panelu. Kod ten jest znany wielu miejscowym, którzy pracują w posiadłości bądź realizują do niej dostawę. Podczas awarii prądu bramę trzeba byłoby otwierać siłą, a żadnych śladów włamania nie znaleziono).

Gdy zasilanie wysiadło, siedmioro świadków wróciło do domu. Dwoje uczestników przyjęcia, Rosalyn Mortimer i Noel Butler, nie reagowało na okrzyki ogłaszające koniec gry. Świadkowie zeznali, że Mortimer i Butler nawiązali relację miłosną, można więc było sądzić, że zaszyli się w miejscu, w którym by im nie przeszkadzano. Siedmioro świadków pozostało w domu do rana, pijąc i rozmawiając. Nikt z nich nie słyszał podejrzanych hałasów, ale wołanie o pomoc lub odgłosy intruzów z pewnością zagłuszyłaby burza. Świadek Suzanna Rillington twierdzi, że „wyraźnie widziała” przed frontem domu błysk latarki. Nie potrafiła ściśle określić godziny, ale zważywszy, że słońce jeszcze nie wzeszło, przypuszcza, że było to między trzecią a trzecią trzydzieści.

Dzisiaj około południa świadkowie Theodora Bailey i Sebastian Holt-Carey udali się na poszukiwania zaginionych członków grupy. Tuż przed drewnutnią nieopodal garażu znaleźli taczki odwrócone do góry dnem. W drewnutni przechowuje się drewno i narzędzia ogrodnicze, nie ma w niej żadnych wartościowych przedmiotów. Jej drzwi otwarto przedtem siłą, to jest zrywając skobel. Klódkę, na którą się je zamyka, znaleziono nienaruszoną. Przyjąwszy, że ktoś podjął próbę włamania, świadkowie weszli do drewnutni celem sprawdzenia ewentualnych szkód. Znaleźli w niej zwłoki Mortimer i Butlera.

Uwagi na temat ofiar i miejsca wypadku:

Obie ofiary były częściowo zastonięte drewnem opałowym, obie też zaatakowano ostrym, ciężkim narzędziem, które pozostawiło klinowate rany odpowiadające ostrzu siekiery. Przechowywana w drewnutni siekiera zginęła. Posterunkowy Whitsgale znalazł siekiere z długim trzonkiem w strumieniu, który przepływa przez posiadłość. Obie ofiary doznały licznych obrażeń, a także znacznej utraty krwi. Umieszczenie tacek i użycie siekiery świadczą o zakłóceniu przebiegu przestępstwa.

Drzwi drewnutni otwarto, więc podłogę zalał deszcz, uniemożliwiając pobranie odcisków palców oraz zmywając krew i inne pozostałości. Drewnutnię oświetlała przymocowana do sufitu pojedyncza żarówka. Została rozbita. Sądząc po śladach krwi na jej brzegach, zniszczono ją siekiere podczas ataku. Kawałki rozbitej żarówki znaleziono na polanach zakrywających ciało Mortimer, ale pod ciałem Butlera, co zdaje się wskazywać, że Mortimer zginęła jako pierwsza. Butler prawdopodobnie wszedł na miejsce przestępstwa, gdy Mortimer leżała już martwa pod polanami.

Lekarz medycyny sądowej przybył na miejsce o czternastej. Ze wstępnych oględzin wynika, że Mortimer i Butler zmarli mniej więcej w tym samym czasie. Kiedy dokładnie, nie ustalono, ale nie żyli od dziesięciu, dwunastu godzin. Ponieważ po raz ostatni byli widziani o dwudziestej trzeciej, musieli zginąć między dwudziestą trzecią a czwartą nad ranem.

Kilkoro świadków twierdzi, że kiedy w trakcie gry przechodzili obok drewnutni, była nienaruszona i nie leżały przed nią taczki. Jeden z dwóch kluczy do drewnutni miał przebywający w domu ogrodnik, a drugi Holt-Carey, który nosił go z pękiem innych i nigdy się z nim nie rozstawał. (Zabudowania gospodarcze zostały na czas gry zamknięte i objęte zakazem wstępu).

Zakładając, że intruz(-zi) nie przyszedł/nie przyszli do Merryweather pieszo (byłoby to mało prawdopodobne z uwagi na lokalizację posiadłości oraz wymiary i ciężar potencjalnego łupu), zapewne przybył(-li) i opuścił(-li) miejsce zdarzenia przed awarią prądu o drugiej trzydzieści. Po-

jazd był przypuszczalnie zaparkowany w miejscu niewidocznym z okien domu. Uwagę zwraca rozbieżność czasowa w zeznaniu świadka Rillington na temat błysku latarki. Gdyby intruz(-zi) odjechał(-li) o drugiej trzydzieści, taki błysk nie nastąpiłby o trzeciej i później. Rozbieżność tę można tłumaczyć faktem, że świadek przez cały wieczór spożywała alkohol, a noc obfitowała w silne wyładowania. O wiele bardziej miarodajne będą tu rejestry firmy energetycznej.

Uzupełniono 12 lipca: grupa krwi znalezionej na szczątkach żarówki pozostałych w gwincie odpowiada grupie krwi Mortimer.



VIII

– Panoptikon – rzekła Vi.

Siedzieli wokół wysokiego, lekko chwiejnego stołu w Pret a Manger na rogu ulicy. Jedli śniadanie. Stevie wybrała dużą kawę i brownie, co pewnie nie było najzdrowsze, ale jej odpowiadało. Zdezorientowana co do czasu, potrzebowała w siebie wtłoczyć ile tylko zmieści cukru i kofeiny.

– To rodzaj więzienia... – podjęła Vi, wybierając z owocowego pucharka mango, by zjeść je najpierw. – W kształcie kolistym. Cele otaczają główną wieżę strażniczą, do której nie da się zajrzeć. Chodzi o to, że potrzebny jest tylko jeden strażnik, bo więźniowie nigdy nie wiedzą, kiedy są obserwowani, więc mają poczucie, że są obserwowani stale. – Vi studiowała reformę systemu penitencjarnego, podobne rzeczy miała więc w małym palcu. – Quinn nie musi być wszędzie. Po prostu musi być gdzieś.

– Myślisz, że ma w budynku kogoś, kto nas obserwuje, czy był to fuks? – spytała Stevie.

– Nieważne – odparła Vi. – W tym cały szkopuł.

– Co ją to obchodzi? – zapytała Stevie.

– Gdy się jest opiekunem, trzeba pilnować, by nie dochodziło do seksu, nawet gdy wie się, że do niego dochodzi, i nie ma w tym nic złego. To patriarchalny kac. Nawet nie kac. Tylko patriarchalny.

Vi przybrała wyraz rozczarowania; zjadła już całe mango, jedyną truskawkę i trzy winogrona, a teraz sięgała po mlecznobiałe kawałki melona, kryjące się na dnie każdego pucharka owoców. Vi nie lubiła marnować jedzenia, więc do konsumpcji melona bez smaku przystąpiła z ponurą miną.

Podczas dyskusji Janelle sprawdzała terminarz w komórce, kiwając głową na znak aprobaty rozmaitych jego punktów. Z okazji ich wielkiego dnia na mieście wyglądała odjazdowo. Ostatnio zapatrywała się w internetowych komisach, gdzie wynalazła kilka ciuchów – lub jak je określała „egzemplarzy”. W tej chwili miała na sobie jeden z nich: obcisłą sukienkę swetrową z zygakowatym wzorem w rdzawych barwach jesieni. („Vintage Missoni! Dałam za nią pięćdziesiąt pięć dolców, bo miała dziurkę w obszyciu. Spokojnie da się zacerować. Missoni!”). Włosy upięte w dwa koki ozdobila brązowo-oranżowymi zapinkami. Na wyjścia takie jak dzisiejsze Janelle nie wkładała byle czego.

– Powinniśmy wrócić drogą, którą szliśmy wczoraj wieczór – powiedziała. – Wzdłuż rzeki i złać turystycznego piętrusa przy Temple Pier, który jest blisko. Kończmy i chodźmy. Nate, nie zamierzasz nic jeść?

– Nie jestem głodny – odrzekł. – Trzeba się zbierać.

Zaczęli więc wdrażać plan, który w pierwszym oglądzie wydał się Stevie bardzo sensowny, krótki i spójny. Kupili bilety na autobus turystyczny zatrzymujący się przy głównych atrakcjach i jeździli po Londynie, co Janelle śledziła w komórce. Wyszli pod pałacem Buckingham, żeby zo-

baczyć zmianę warty, to znaczy postać przy bramie, za którą chodzą mężczyźni w ogromnych czarnych futrzanych czapkach. Później znów autobusem do odległego rogu Hyde Parku. Zgodnie z nazwą Hyde Park był parkiem – i to olbrzymim. Łączył się z jeszcze kilkoma parkami. W podróży tyle się dzieje – człowiek łączy w kółko, próbując pojąć, gdzie jest. Widzieli pałac Kensington, pomnik Piotrusia Pana, sztuczne jezioro Serpentine, gdzie zastanawiali się, czy by nie wynająć łódki, ale nie było czasu, Kąciak Mówców... A za łukiem następny park. Nazywał się Green Park i był właściwie ogrodem na tyłach Buckingham. Stamtąd do St James's Park i St James's Palace („Jest tu dużo więcej pałaców, niż sądziłam”), do Westminsteru, na Downing Street numer 10 i do Imperialnego Muzeum Wojny. Z powrotem do autobusu. Znów w jakimś innym kierunku. Gdzieśmy to byli? W Covent Garden? W Soho? Na Russell Square. Teraz to tylko nazwy. Nazwy i wielkie budynki.

Stevie kręciło się w głowie i słabła uwaga.

W myślach pojawiła jej się Izzy. Czubek jej brody, długie ręce, puchata kurtka, włosy tak elegancko spiętrzone... „Izzy i David spędzają tu razem mnóstwo czasu. A nie wspominał mi o niej, dzwoniąc. Czy tak? No może raz wspominał o jakiejś Iz. A do mnie to nie dotarło. Dlaczego o niej nie mówił? Bo sobie coś planowali. Jak tę wczorajszą przejażdżkę. Wiadomo, że niespodzianka była ekstra. Załatwił mi wycieczkę London Eye i historię o morderstwie”.

A jednak.

Tyle czasu razem. Tyle nocy w Londynie jak ta miniona. Tyle długich dżdżystych wieczorów i rozmów w pu-bie i przechadzek tymi ulicami... ulicami, których nie znała.

„Moja ciotka widziała morderstwo. Była na miejscu”.

Stevie spojrzała na telefon. Dla poszukiwań miała zaledwie kilka punktów odniesienia. Dwa morderstwa. 1995. Wiejski dom. Włamywacz.

W Google było niewiele. Znalazła tylko jeden czy dwa artykuły powtarzające podstawowe informacje, które podała jej Izzy. Dziewięcioro świeżych absolwentów Cambridge wybrało się do posiadłości pod nazwą Merryweather dwudziestego trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku. Tego wieczoru podczas burzy bawili się na zewnątrz w chowanego. Dwoje uczestników zabawy nie wróciło do domu. Nazajutrz rano znaleziono ich w drewnitni zamordowanych siekierą. Uznano, że sprawa ma związek z kilkoma lokalnymi włamaniami. I tyle. Nic więcej.

Obie sprawy, nad którymi pracowała przedtem – skrzyni w lesie i zbrodni w Akademii Ellinghama – zostały drobiazgowo opisane i nagłośnione, więc miała pod dostatkiem materiału. Brak informacji na temat tego morderstwa drażnił i intrygował. Był to nieznan, niezbadany grunt.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Nate, klepiąc ją lekko w ramię.

Wrócili do punktu wyjścia. Stevie nawet nie zauważyła, kiedy. Pospiesznie chwyciła torbę i zbiegła z Nate'em na dolny pokład. Kiedy wysiedli, na chodniku czekały już na nich Janelle i Vi.

Zapadał już zmierzch, gdy wkraczali w zielonkawie światło holu Craven House. Choinka wyglądała dziś smutniej. Chyliła się w lewo i ktoś przyczepił do paru ozdób poruszające się oczy. Dwie bombki spadły i smętnie kiwały się pod nią.

– Żal – zauważył to Nate, mijając choinkę. – Wiecie, najlepszy fanfik, jaki czytałem w życiu, to historyjka erotyczna o Thorze i Tonym Starku, którzy mieszkają razem na choinkowej seksfarmie.

– Co? – nie zrozumiała Vi. – Chodzi o farmę seksu czy plantację choinek?

– Jedno i drugie – odrzekł, gdy Vi otwierała drzwi do świetlicy. – Przeważnie seks, jakieś drzewka czy coś. Chyba nie bardzo znali się na interesach, no bo z wieńcem ostrokrzewu jednak pewnych rzeczy się nie robi.

Świetlica była sporą przestrzenią ze wstrząsającym fioletowym dywanem, kilkoma sofami o drewnianych stelażach i dużymi stołami do pracy oraz niewielkim barem w kącie, najwyraźniej zamkniętym. Byli już tam David i Izzy, siedzieli razem na sofie, pracując na swoich laptopach. Izzy

miała na sobie białą bluzkę oversize z szerokimi rękawami. Stevie wyglądała by w niej pewnie równie nieporządnie jak Izzy – tyle że Izzy bluzka dodawała uroku.

Stevie doznała dziwnego uczucia. Zapiekło ją ostro jak ogniem.

– No! – zawołała Izzy, wstając. – Wróciście? Gotowi do drogi?



Ciotka Izzy mieszkała w dzielnicy Islington, oddalonej o kilka stacji na północ. Wiodący tam odcinek metra – czarna kreska wśród schludnych zawijasów na planie – nosił nazwę Linia Północna. Musieli więc przejść pieszo do stacji Embankment, mieszczącej się przy znanej im już drodze nad rzeką. „Metro. To słynne londyńskie metro. Dziś dla Davida już nie jest atrakcją”.

Mieszkał tu od miesięcy, więc tylko musnął kartą czytnik, podczas gdy Stevie, Nate, Vi i Janelle chwilę szarpali się z biletami. Gawędził i żartował z Izzy, kiedy jechali niewiarygodnie długimi schodami, zagłębiając się w podziemną otchłań. Ściany były wyłożone ekranami, które wyświetlały w kółko te same reklamy, uparcie zachęcające do kupna nowego dreszczowca pod tytułem *Krew o świcie*, biletu na spektakl *Ryszard III* i gwiazdkowego deseru w sklepie pod nazwą M&S.

Unosił się tam nikły, jakby mineralny smrodek, coś między wonią paliwa a piwniczną stęchlizną.

Nowe uklucie, gdy Izzy pokazała Davidowi coś w komórce.

„Nie masz powodu do zazdrości” – powiedziała sobie Stevie, kiedy stali na peronie, patrząc na wielkie plakaty pokrywające zaokrąglone ściany metra. „Jak coś, to chyba ekscytuję Izzy bardziej niż on. Czy może Izzy próbuje w ten sposób coś ukryć...”.

– Ej. – Gorący oddech przy uchu Stevie przyprawił ją o takie ciarki, że na pół sekundy jakby stopniał cały jej prawy bok. – Wiesz co? – szepnął David.

– Co?

– Mydło. – Przejechał językiem po jej uchu.

Znad torów powiało i zjawił się pociąg. Po kulturalnym „bim-bom” nagrany głos oznajmił ze sztywnym angielskim akcentem: „Uwaga na odstęp pomiędzy peronem a po-ciągciem”.

– To tak na serio? – zapytał Nate.

Zapchany pociąg pękał w szwach; miejsc siedzących nie było i brakowało już stojących. Ściśnięci w gąszczu ramion, wszyscy się chwiali, gdy przyspieszał. Janelle i Vi przywarły razem do słupa, a David objął Stevie. Od zaduchu i kołysania Stevie zaczęła odpływać. Nie usnęła, ale nie była tak czujna, jak by chciała. „Na tej wycieczce nie ma czasu na sen. Cenny jest każdy dzień, każda noc, każda chwila”.

Długo ściskali się, stali, kiwali i tłoczyli, zanim pociąg wypluł ich na stacji o nazwie Angel. Wyszli na szeroką ulicę restauracji i sklepów.

– To niedaleko – rzekła Izzy pogodnie. – Mniej więcej kwadrans pieszo.

Wbrew jej zapewnieniom wyprawa strasznie się wlokła. Wreszcie – po pokonaniu co najmniej kilkunastu ulic – zatrzymali się w niewielkiej restauracji Róża Bengalska, gdzie na dużym ekranie puszczano stare filmy bolly-woodzkie.

– Wybiorę różne dania i podzielimy się, dobrze? Ja stawiam – zarządziła Izzy. – Czy ktoś nie jada mięsa?

Vi właśnie przechodziła na dietę wegańską, co wzięto pod uwagę. Izzy zamówiła wiele potraw, których Stevie nie знаła. Wszystko, co lądowało na stołach w miedzianych naczynkach, wyglądało bajecznie i tak też pachniało, dla Stevie jednak było totalną niewiadomą. Słuchała, jak Izzy podaje

nazwy. „Bierzemy wszystko, co mają w karcie?”. Bhuna z jagnięciny, rogan josh, krewetki tandoori, saag paneer, aloo gobi, bhindi masala, chana masala, chapati, paratha, peshwari naan... Pomimo kilku mglistych skojarzeń całkiem zgubiła się w natłoku słów. Pierwszy raz od przybycia do Anglii odczuła dystans dzielący ją od domu. „Nie mogę nawet zrozumieć, co stawia nowa znajoma Da-vida”.

Czekali krótko. Wręczono im trzy torby wypełnione po brzegi, po czym ruszyli za Izzy ulicą, przy której ciągnęły się rzędy identycznych szeregowych domów z brązowej cegły. Każdy miał lśniące czarne drzwi, do których prowadziło sześć betonowych albo kamiennych stopni – i wzdłuż chodnika niskie czarne ogrodzenie z kutego żelaza, za którym były wejścia do suterren. Stevie nie bardzo wiedziała, jak wyglądał Londyn w czasach Dickensa, ale wyobraziła sobie, jak na tych schodach rozmawiają kucharki, pokojówki i kominiarze. Dzisiaj zamiast wozów zaprzężonych w konie po ulicy tej jeździły niemożliwie małe samochody i skutery, a pod schodami stały na posterunku plastikowe pojemniki na śmieci.

– Cześć, Bucie – powiedziała Izzy.

– Witasz się z butem? – zapytał David. Izzy wskazała wieko kosza do segregacji odpadów na małym dziedzińcu domu. Niby Kot z Cheshire z *Alicji w Krainie Czarów* siedział na nim duży rudy kocur, polując na własny ogon.

– Nazywa się But – odrzekła, podając Davidowi torby z jedzeniem i biorąc kota w ramiona. – Bo jest taki głupi. Najbardziej lubi bawić się ścianą. Ma klapkę, ale nie rozgryzł, jak działa. Brak ci rozumku, prawda? – zwróciła się do kota. – Ale przynajmniej jesteś grzeczny. Będzie wniebowzięta.

– Ciotka wie, że przyjdziemy? – zapytała Stevie.

– Posłałam jej esemesa – odpowiedziała Izzy. Zapukała dwukrotnie, po czym wyjęła klucze, otworzyła drzwi i wprowadziła ich do ciemnego przedsionka, w którym na rzędach kołków wisiało schludnie pełno płaszczy. Stał tam też rower i kamienny posązek Buddy. Odstawiła Buta, który okrążył przedsionek trzy razy i spacerowym krokiem ruszył do otwartego salonu. Gdzieś nad nimi płonęło światło, lecz panowała głucha cisza. – Cześć! – zawołała ku schodom. – To tylko ja! Przyniosłam jedzenie!

Zabrzmiało to dziwnie, bo Izzy nie przyszła sama, ponadto wskazywało, że wcześniej nie było mowy o jedzeniu. Stevie usłyszała szurgot odsuwanego krzesła i kroki. Schodami zeszła kobieta. Podobna do Izzy na tyle, iż było jasne, że jest jej ciotką. Sprężyste kręcone włosy sięgały jej do linii brody. Brwi miała gęste, starannie wymodelowane, ale nie była umalowana. Miała na sobie spodnie od piżamy i kilka numerów za duży tiszert.

– A, tak – rzekła. – Dzień dobry...

– Przyprowadziłam znajomych – rzekła Izzy. – To David z uczelni. A to jego przyjaciele ze Stanów... Janelle, Vi i Nate... A to jest Stevie. Stevie Bell.

Nazwisko Stevie wypowiedziała takim tonem, jakby Angela miała je znać i zaklaskać.

Angela jednak nie zaklaskała.

– Mhm – mruknęła. – Dobrze. Miło was poznać.

Spojrzała na Izzy z miną mówiącą: „Po co ich sprowadziła? Nie zamawiałam pięciorga Amerykanów”.

– Zwiedzają zabytki – podjęła Izzy. – Jutro jadą do Tower. Więc pomyślałam, że skoro nie jesz, kiedy pracujesz, przyniosę jedzenie i może sobie pogawędzimy.

„Nie wspomniała jej o naszej wizycie. Przyszliśmy nieproszeni. Co prawda z masą jedzenia, ale jednak nieproszeni”. Stevie zerknęła na Davida z obawą, a on tylko wzruszył ramionami i uśmiechnął się do niej półgębkiem.

– Mhm. Tak. Dobrze. Oczywiście. Jesteście w samą porę. Jeszcze nic dziś nie jadłam, umieram z głodu. Izzy mnie zna. Chodźmy do kuchni.

Angela ochłoneła ze zdumienia albo przynajmniej dobrze się maskowała. Mieszcząca się na tyłach domu niewielka kuchnia o bladeżółtych ścianach wyglądała pogodnie. Izzy postawiła torby na stole, a Angela zaczęła wyjmować z szafki talerze, gdy piątka Amerykanów starała się im nie zaważać, co było dość trudne.

- Spędzacie w Anglii wakacje? – spytała uprzejmie Angela.
- Odbywamy tygodniowy staż naukowy za granicą – wyjaśniła Janelle.
- Aha, rozumiem. To fajnie.

Izzy wciąż wyciągała pojemniki z torby – najwyraźniej bez dna. Były tam blaszane naczynka z parującym ryżem w żółto-pomarańczowe cętki, niezliczonymi curry, cieciorką i zieleniną oraz chlebki pita i kilkanaście plastikowych kubeczków z przyprawami, z których Stevie nie rozpoznała ani jednej. Czowała się, jakby oblała życiowe zadanie polegające na znajomości podstaw indyjskiej kuchni na wynos.

Angela głośno kichnęła kilka razy.

– Jestem przeziębiona – rzekła tytułem przeprosin za muśnięcie nosa chusteczką. – Prawie nie czuję smaku. Ile to kosztowało? – Obejrzała paragon. – Siedemdziesiąt osiem funtów. Zaczekaj.

Wyjęła z szuflady i wręczyła Izzy cztery banknoty dwudziestofuntowe.

– Oj nie!... – zaprotestowała Izzy. – Naprawdę!... – Na nieprzejednany gest ciotki jednak przyjęła banknoty.

Napełnili talerze jedzeniem, które wyglądało i pachniało przepysznie – ciemnoczerwonymi i bladeżółtymi curry, świeżym, leciutko osmolonym pieczywem, aromatyczną jaskrawą kolendrą. Nate nakładał sobie potrawy tak zawzięcie, że omal nie pospadały z talerza. W kuchni nie było dość miejsca dla siedmiu osób, przenieśli się więc do salonu, gdzie Angela dokładała starań, by niespodziewani goście poczuli się swobodnie.

– Więc Stevie, Nate, Vi i Janelle uczęszczają do szkoły, która nazywa się Akademia Ellinghama, w Vermoncie. – Usiadłszy na podłodze przy stoliku do kawy, Izzy pałaszowała posiłek. – No i uczęszczał tam też David.

Słowa „w Vermoncie” wymówiła w taki sposób, jakby to był jakiś baśniowy dom uciech. Trzeba przyznać, że poniekąd miała rację. Przynajmniej z punktu widzenia Stevie.

– Słyszałam o Ellinghamach. – Angela oderwała kawałek chleba z zapalem. – Porwanie w latach trzydziestych? Nie rozwiązali tego, prawda? Czy coś się ostatnio zdarzyło?

– To Stevie! – Izzy puściła w obiegu przyprawę na tacy.

Nie wyjaśniła, a Angela nie pytała. I dobrze. Stevie była w domu nieznanym, trzymając wielki talerz z jedzeniem, lekko otumaniona ze zmęczenia. Nie byłaby w stanie wygłaszać wykładu o dochodzeniach. Chciała zjeść, nie bekając, popieścić się z chłopakiem i może usnąć na podłodze.

Ku zdumieniu Stevie Izzy zaczęła mówić o jej pracy nad sprawą porwania i morderstw w Akademii – nawet o takich szczegółach, które nie trafiły do mediów. Opowiedziała o listach Nieodgadnionego i niedawnych zgonach. Mogła dowiedzieć się tego wyłącznie od Davida. Znała i przytaczała wszelkie detale bezbłędnie. W związku z powyższym Stevie stwierdziła: po pierwsze David mówił o niej bardzo dużo. Po drugie Izzy jest czujna. Po trzecie zrobiła z niej Wikipedię Holmes, chodzącą, mówiącą, dedukującą bazę danych, która połyka prawdziwe zbrodnie i wypluwa sprawiedliwość.

– Ach tak – spuentowała Angela, kiedy Izzy już skończyła. – Rozumiem. To jest naprawdę coś.

Pochlebilo to Stevie, ale też do jej serca wkrađło się inne, mniej miłe odczucie. „Dlaczego Izzy tak na mnie zależy? Czy wzięła mnie tu po prostu, bym pogadała z jej ciotką? Czy chce w ten sposób wzbudzić zaufanie Davida? «Twoja dziewczyna! Opowiedz mi o niej!»”. Stevie nagle wywołała obrazy długich wieczorów w pubie, dotykających się pod stołem nóg, zaciekawionej, skupionej

miny Izzy. Izzy miała ciepłe brązowe oczy, delikatną aureolę z włosów, dołeczek w lewym policzku. I inteligencję. W metrze rozmawiała z Vi i Janelle o światowej polityce. Zainteresowania Vi i Izzy pokrywały się poniekąd – sprawiedliwość ekologiczna, brak bezpieczeństwa żywnościowego, polityczne następstwa systemów penitencjarnych. Izzy zaczęła uczyć się japońskiego online, więc Vi, która znała ten język nieco lepiej, dawała jej różne wskazówki. Izzy miała wszystko, co trzeba; serdeczna, pełna temperamentu i bystra, była z Davidem przez cały czas...

„A ja za oceanem, daleko w Ameryce, bez planu na przyszłość i pomysłu, jak naprawić planetę. Żebym przynajmniej wiedziała, jak obciąć włosy...”

Za oknem rozległy się głośnie wybuchy, jakby ktoś strzelał z rewolweru – i Stevie ujrzała błysk złotego światła. Jako że od przedszkola brała udział w ćwiczeniach na wypadek strzelaniny, niemal odruchowo schowała się pod okno, by zniknąć z pola widzenia.

– Nie ma się czym niepokoić. – Angela dołożyła sobie chutneya. – To końcówka fajerwerków z Nocy Guya Fawkesa. Ktoś wciąż odpala je w ogrodzie.

– Słyszeliście o Nocy Guya Fawkesa? – spytała Izzy. – „Pamiętaj, pamiętaj, bo data to święta, gdy spisek wykryto prochowy. Piątego listopada, wydała się zdrada, w pamięci tę datę zachowaj”⁴¹...

– W zarysie – odrzekła Janelle.

Motywy przewijał się w wielu angielskich kryminałach, które czytała Stevie. Mimo że kojarzyła kukłę, do końca nigdy nie rozumiała, o co chodzi.

– Henryk VIII... – rzekła Angela. – Zapewne wiecie, że miał sześć żon. Gdy chciał zostawić pierwszą, Katarzynę Aragońską, by się ożenić z Anną Boleyn, nie zgadzał się na to Kościół. Po wieloletnich konfliktach odłączył się od katolików i ogłosił się głową Kościoła w Anglii. Zniszczył tysiącletnie panowanie Kościoła rzymskokatolickiego w kraju. Rozwiązał klasztory. Przejął kościelne majątki, a było tego niemało. Ta zmiana religii spowodowała wielkie zamieszanie, katolicy i protestanci przez wiele dekad walczyli o kontrolę nad koroną. I w tysiąc sześćset piątym roku grupa fanatyków katolickich zawiązała spiszek w celu wysadzenia parlamentu i uśmiercenia króla. Jeden z nich, Guy Fawkes, został znaleziony w podziemiach parlamentu z trzydziestoma sześcioma beczkami prochu. Los obszedł się z nim okrutnie. Torturowano go, dopóki nie wydał współników. Buciku! Przestań!

But radośnie rozłożył swe rude cielsko na płaszczu Stevie i z zapalem przyssał się do jednego z guzików. Ledwie Angela zaczęła się podnosić, odskoczył i smyrgnął schodami na górę.

– To jego hobby – wyjaśniła Angela. – Lubi odgryzać guziki od ubrań. Gryzie guziki, zamki, sznurówki... Przepraszam.

– Herbaty? – Izzy nagle zerwała się z podłogi i wzięła kilka brudnych talerzy. – Ktoś ma ochotę? Zaparzę herbaty.

Pospiesznie wyszła z pokoju.

– Jutro idziecie do Tower? – zapytała Angela. – Tam poddawali go torturom. Za kilka tygodni będę miała tam zdjęcia. Pracuję jako narratorka dokumentów historycznych, właściwie w nich występuję. Być może Izzy wam o tym wspomniała. To jeszcze jeden program o żonach Henryka VIII. Głód wiedzy na ten temat jest nienasycony. Kochają je wszyscy. Seks i morderstwa.

– Morderstwa? – powtórzyła Stevie.

– Bo jak inaczej nazwać zabicie dwóch żon?

„Racja. Idiotka ze mnie, jak mogłam o to pytać?”. Mózg Stevie działał na zwolnionych obrotach.

– Niezmiennie budzi to ciekawość – ciągnęła Angela. – Władca oczarowany kobietą do tego stopnia, że zniszczy wszystko, by ją poślubić, dopina celu w listopadzie tysiąc pięćset trzydziestego drugiego roku. Ona rodzi mu córkę. Po dwóch zaledwie latach myśli, jak się jej pozbyć. Bierze kochankę, już wybrał następczynię. Aby ożenić się znowu, musi odprawić żonę. Dla nowej już nie za-

mierza się trudzić jak dla poprzedniej. Dopiero co przecież rozsądził religię, postawił świat do góry nogami, nie może więc po prostu przyznać, że z tamtą mu nie wyszło. Musi Annę wymazać. – Wy-rzekła to słowo ze szczerym niesmakiem. – Aresztowano ją pod całkowicie chyba sfingowanymi za-rzutami niewierności, oskarżając między innymi o związek z własnym bratem.

– Ojejku! – wykrzyknęła Vi.

– No właśnie. Król chciał, aby zniknęła, więc miała zniknąć, bez względu na cenę. Im haniebniej, tym lepiej. Nie mogło być żadnych wątpliwości. Po zatrzymaniu Annę zabrano do Tower. Podczas zwiedzania prawdopodobnie usłyszycie, że przyplęnęła Bramą Zdrąjców, ale tak nie było. Tak czy inaczej zostaje tam uwięziona. Henryk już poza domem dobrze się bawi z nową miłością. Wszystko skończyło się szybko, po jakichś dwóch tygodniach, w maju tysiąc pięćset trzydziestego szóstego roku. Aresztowano ją drugiego. Mężczyzn, o romans z którymi ją oskarżono, wzięto na przesłuchania, to znaczy torturowano. Piętnastego Anna była sądzona i uznana za winną. Siedem-nastego stracono mężczyzn, a ona miała zginąć dziewiętnastego. Siedemnaście dni. Tyle wystar-czyło, by z królowej stała się oskarżoną, uwięzioną, osądzoną i straconą. Król dał jej, że tak to na-zwę, prezent na pożegnanie. Karą za zbrodnię, za jaką została skazana, było spalenie na stosie. Po-nieważ była królową, uznał, że to nie przystoi. Powziął decyzję o jej ścięciu. Ale zwyczajne ścięcie też mu nie wystarczało. Posłał do Francji po najlepszego kata, który wykonywał egzekucje mie-czem. Zwróćcie uwagę, że zrobił to, zanim uznano ją za winną, tak jakby wiedział, jak się to wszystko zakończy. – Za oknem znów błysk – tym razem mniejszy – i trzask. – A oto drobny ponury szczegół – podjęła Angela. – Tower z nich słynie. Skazany na ścięcie toporem musiał położyć głowę na kłocu, o tak... – Wychyliła się naprzód i przekrzywiła głowę tak, jakby na czymś ją kładła. – ...Jed-nak w przypadku miecza wyglądało to inaczej. Skazaniec kłękał, ale głowę unosił. Kiedy Anna we-szła na szafot po przemówieniu, a wygłosiła wzruszającą mowę, musiała zdjąć płaszcz, nakrycie głowy, wszystkie klejnoty. Musiała nawet zapłacić katu sakwą pełną pieniędzy, którą jej dostar-czono, i oficjalnie mu przebaczyć. Wszystko zgodnie z procedurą, ale gdy o tym pomyślę, chce mi się płakać. Włożyli jej czepek, kazali uklęknąć i zawiązali oczy. Teraz nie widzi. Kat, trzeba przy-znać, świetnie zna się na swoim fachu. Ma pewną metodę na utrzymanie głowy ofiary w odpow-iedniej pozycji. Woła pomocnika, by przyniósł mu miecz, tyle że pomocnika nie ma, a miecz trzyma już w ręku. Woła, ponieważ ofiara instynktownie odwróci się tam, skąd powinien nadejść pomocnik. Wydaje się to trywialne, ale skutkuje. Drobnym oszustwem działał tak dużo. Wystar-czyło jedno machnięcie mieczem. Ciekawe, że przy tych wszystkich zabiegach – procesy, tortury, sprowadzenie kata z zagranicy – nie rozważono, co zrobić z ciałem. Nikt nie zadbał o trumnę. Jed-en z żołnierzy musiał pójść do zbrojowni i znaleźć jakąś skrzynię.

Izzy wróciła z tacą pełną parujących kubków, każdym z innej parafii, i opakowaniem herbatni-ków w czekoladzie. Rozdała kubki, podając Stevie biały w różowe kropeczki.

– A oto finał całej sprawy – dodała Angela, przyjmując herbatę. – By sześć lat później odebrać ży-cie piątej żonie, Katarzynie Howard, Henryk nie najął już kata z mieczem. Pozwolił użyć topora.

„I teraz ktoś raptem się włączy”. Z tą myślą Stevie spostrzegła, że Izzy chce przejść pałeczkę w rozmowie.

– Wiesz, ciociu... – rzekła Izzy. – Mówiłam Stevie... bo ona ma znaczne osiągnięcia na tym polu... Częstujcie się... Mleko... Vi, słodzisz? Stawiam tu cukier... Mówiłam, co ci się zdarzyło. Co spotkało twoich przyjaciół. No wiesz. Te morderstwa.



IX

Angela mocniej ścisnęła kubek. Nie była to wdzięczna zmiana tematu.

„Nikt nie wspomina o zbrodni ot tak”.

– Wiem – dorzuciła Izzy prędko – że to dla ciebie bardzo przykre, no ale... skoro Stevie... jest specjalistką w tej dziedzinie, a sprawy nigdy nie rozwiązano...

Znów odczekała, licząc, że Angela przejmie stery, ale na próżno. Wbrew jej wcześniejszym słowom Angela nie miała pojęcia, co ją czeka. Nie wiedziała, że przyjdą, że będzie udzielać lekcji historii, nie wiedziała o kolacji, więc się nie spodziewała, że będzie opowiadać o jednym z najokropniejszych zapewne dni w swoim życiu.

– Izzy...

– To naprawdę w porządku – przerwała Izzy, choć nie jej było rozstrzygać, co jest dobre dla ciotki.

Janelle wierciła się, mocno zażenowana. Vi wbiła wzrok w resztki curry z cieciorką na swoim talerzu. Nate przybrał kompletnie obojętny wyraz twarzy, oddalił się od nich duchem, przeniósł na inny poziom istnienia. Nawet David zerknął na Stevie pełen troski.

– Kiedy kończyłam studia – wyjaśniła Angela – zamordowano dwoje moich przyjaciół. Coś potwornego. To było włamanie. Sprawcy czy sprawców nie ustalono. Z dość oczywistych względów nie lubię o tym rozmawiać.

„Trudno się dziwić”. Ale jej zachowanie świadczyło o czymś przeciwnym. Przesunęła się na skraj kanapy. Rozpaczliwie pragnąc rozmowy, wstrzymywała się jednak.

„Czy tylko ja to widzę?” – pomyślała Stevie.

Gdy chcesz coś od kogoś wydobyć, to w żadnym razie nie pytaj. Zacznij mówić samemu, co według ciebie się stało, tylko na opak. Ten ktoś nie musi mieć ochoty na rozmowę, ale na pewno będzie cię poprawiał.

– Chyba gdzieś o tym czytałam – rzekła Stevie.

– Taaak? – zdumiała się Angela. – Doniesień było bardzo mało. Wątpię, czy słyszałaś cokolwiek.

– Coś o grze? W posiadłości? W chowanego? I ktoś utonął?

Izzy otworzyła usta, aby poprawić Stevie, ale szybko zamknęła, gdy do niej dotarło, co się dzieje.

– Nie – zaprzeczyła Angela. – To znaczy graliśmy, owszem. I działo się to w posiadłości. Ale...

– W basenie? – ciągnęła Stevie.

To było nie do przyjęcia dla Angeli, zarówno jako przyjaciółki ofiar, jak i zawodowej historyczki. Nie mogła dłużej siedzieć i tolerować tych bzdur. Wstała i poszła na górę.

– O nie – jęknęła Vi.

Angela wróciła po chwili z arkusikiem w ramce, który podała Stevie. Był to plakat, odręczny, skserowany na musztardowym papierze.

DZIEWIĄTKA PRZEDSTAWIA SEKSPARTY W SALI BINGO

45 MINUT SKECZY, KTÓRE ZNIESMACZYŁYBY TWOJĄ CIOCIĘ

Było tam zdjęcie – rzecz jasna ksero odbitki fotograficznej, więc czarno-białe i niezbyt ostre. Mimo to Stevie zorientowała się od razu, że widnieje na nim dziewięć osób zapraszających na komedię. Każda miała na sobie kostium, z których jednak żaden nie nawiązywał do reszty. Wysoka kobieta w niechlujnym stroju wieczorowym. Ktoś w cylindrze. Rozebrany do naga chłopak z przyrodzeniem zakrytym maszyną losującą.

– Wyglądało to tak – powiedziała Angela. – Studiując w Cambridge, należałam do grupy teatralnej. Było nas dziewięcioro. Poznaliśmy się na tygodniu powitalnym i podczas pierwszego roku spotykaliśmy na przesłuchaniach. Zaprzyjaźniliśmy się. Pisaliśmy i występowaliśmy razem.

– Dziewiątka? – spytała Stevie.

– Tak się nazywaliśmy – odrzekła Angela. – Wbrew pozorom nie byliśmy źli. Nie dorównywaliśmy może Footlights¹², ale mieliśmy wiernych fanów. Dwa razy byliśmy na Fringe w Edynburgu i poszło nam świetnie. Sooz... – wskazała wysoką kobietę w obszarpanej sukni wieczorowej – ...jest aktorką. Gra w sztukach Szekspira, sporadycznie w serialach. Pracuje bez przerwy. Jest fantastyczną parodystką. A Yash i Peter... – Zerknęła na golasa przytrzymującego kule bingo i chłopca w stroju kowbojskim. – To Peter, ten nagi. Ten w kapeluszu to Yash. Tworzą tandem autorski, pracują przy masie produkcji – programy z celebrytami, sitcomy, przeróżne rzeczy. Tydzień temu zdobyli nagrodę za swój najnowszy show. Zdarza im się to ciągle. Tak więc przynajmniej troje z nas występuje zawodowo. Ja też robię coś w telewizji, więc w sumie czwórka... Tak czy owak na trzecim roku wynajęliśmy wspólnie dom. Byliśmy dla siebie wszystkim. Rodzina Sebastiana miała dużą wiejską posiadłość Merryweather. Jeździliśmy tam czasami po semestrze. Po egzaminach ostatniego roku Sebastian zaprosił nas na imprezę z okazji zakończenia szkoły. Jego rodzice wyjechali do drugiego domu, do Grecji, tak że ten mieliśmy tylko dla siebie. Wieczorem w dniu przyjazdu bawiliśmy się w chowanego. Uwielbialiśmy to. Ktoś zaczynał jako poszukiwacz i każda osoba, którą znalazł, dołączała do ekipy szukających, aż na końcu zostawała tylko jedna. Graliśmy do wczesnych godzin porannych, z tym że gdy nasiliła się burza, weszliśmy do domu. Dwoje moich przyjaciół, Rosie i Noel... Z początku nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że zaginęli. Przypuszczaliśmy, że są... że chcieliby ze sobą trochę pobyc. Rano znaleźliśmy ich w drewni. Nocą przeszkodzili włamywaczom, a może włamywacze im. Tak czy siak, zabito ich siekierą w tej szopie. Policja nigdy nie ustaliła sprawców. To cała historia.

– A co z kłódką? – spytała Izzy.

Angela nie wykrzyknęła i nie cisnęła talerzem, lecz słowo „kłódka” zmroziło jej krew w żyłach. Przechyliła głowę na bok. Po chwili milczenia wykrztusiła:

– Słucham?

– Co z kłódką? – powtórzyła Izzy. – Znaleźliście przyjaciół w drewni, która miała być zamknięta. A jak mi mówiłaś, wieczorem kłódki nie było na drzwiach.

– Kiedy to powiedziałam?! – Krew uszła z twarzy Angeli.

– Gdy zamieszkałam u ciebie, po operacji kolana. Na początku tego roku.

Nastrój w pokoju diametralnie się zmienił.

– Więc z kłódką nic – odparła Angela tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, że było wręcz przeciwnie.

– Wspomniałeś o podrzuceniu dowodu i że...

Angela nie kryła już zdenerwowania.

– Byłam na bardzo silnym leku, Izzy.

– Mówiłaś, że według ciebie mordercą jest jedno z twoich przyjaciół. Rozumiem, że to dla ciebie straszne, ale poczułam, że to prawda. Stevie mogłaby pomóc. Już coś takiego robiła.

Gdy kot ocierał im się o kostki, zapadło niezręczne milczenie. Temat został ucięty. Więcej nie będą mówić o zbrodni.

– Nie chcę być nieuprzejma – powiedziała Angela – ale z samego rana muszę zadzwonić, a dzisiaj mam jeszcze coś do skończenia.



– Co o tym myślisz? – spytała Izzy, gdy byli znów na ulicy, zmierzając ku wejściu do metra.

– Było to...

„Jakie? Wymijające na pewno, ale unik to rozsądna reakcja na niezapowiedzianą wizytę nastolatków z zagranicy i prośbę o opowiedzenie o największej traumie życia. A jednak coś tu zastanawia – wyraz oczu Angeli na dźwięk słowa «klóдка». Ta klóдка nie zrodziła się jej w wyobraźni pod wpływem opioidów. Istniała realnie, a w każdym razie była wspomnieniem. Co prawda pamięć bywa zwodnicza, ale Angela zapamiętała to długo przed wzięciem środka na ból, no i pamięta do dzisiaj”. Wspomnienie uruchomiło w Angeli coś, czego Stevie nie potrafiła określić.

– Przedziwne, prawda? – ciągnęła Izzy. – Wcale nie chciała mówić o klóдке. Coś tutaj nie gra, nie sądzisz, Stevie? Żebyś widziała, co wyprawiałam, gdy ciotka była na tych opioidach.

Kiedy wracali, ścisk w metrze był mniejszy, a sytą Stevie ogarnął spokój. Pociąg kołysał. Londyn przemykał za oknami w szeregu nazw przystanków, w przebłyskach kafelków, tuneli i twarzy.

Siadła na jednym z tapicerowanych siedzeń. „Materiał na siedzeniach w wagonie metra? To niebezpieczne. Nie wiadomo, co w nim mieszka”. Położyła głowę na ramieniu Davida i zaczęła odpływać.

– Hej.

Ramię podskoczyło i Stevie poderwała głowę z donośnym parsknięciem.

– Jesteśmy na miejscu.

Stevie co prawda słyszała o jet lagu, ale nie miała pojęcia, jakie są jego objawy. „Widocznie takie. Zasypia się po prostu”. Do Craven House wlokła się jak pijana.

– Jesteś padnięta – powiedział David, wodząc palcem po jej podbródku, kiedy wrócili. – Położysz się. Jet lag jest gorszy na drugi dzień. Mam dzisiaj trochę pracy. Powinnas się przespać.

Stevie nie chciała być zmęczona. Teraz pragnęła się dokąś z nim wybrać. „Ale to niewykonalne”. Jej ciało wyłączało się już na noc.

– Jutro – rzekł David. – Kiedy skończycie. Chcesz iść na randkę?

– Na co?

– Sam nie dowierzam. Prawdziwą randkę.

– Ohydztwo – odrzekła.

Uśmiechnął się i pocałował ją. Powłócząc nogami, weszła z do windy. Dotarłszy do pokoju, ściągnęła ubranie i padła na łóżko. Słuchała skrzypienia plastiku o ramę, patrzyła na aureolę wokół

ulicznej latarni. Ktoś kopnął butelkę i rozległy się śmiechy. Jej żołądek był pełny curry. Hormony szalały, a wzrok zamglił się z wyczerpania.

„Więc z kłódką nic. Byłam na bardzo silnym leku, Izzy”.

Angela okłamała ich. „Po co? Po co się silić na kłamstwo, przecież mogła to zlekceważyć? Dlaczego udawała, że kłódka jest nieważna, skoro jej głos i ciało mówiły, że ważna?”.

W ostatnich chwilach przedsennej świadomości do Stevie coś dotarło. Znała emocję, która igrała na twarzy Angeli, kiedy ta snuła opowieść. Nie był to smu-tek wywołany tym, co się stało, czy rozdrażnienie naciskiem, by zwierzać się z traumy gromadzie obcych nastolatków.

To był strach.

Fragment zeznania świadek

Angeli Gill złożonego

24 czerwca 1995 roku

Mogłaby pani opisać charakter grupy obecnej teraz w posiadłości?

Wspólnie mieszkamy w Cambridge. Tworzymy też grupę teatralną. Obchodzimy ukończenie studiów. To znaczy... obchodziliśmy...

O której godzinie przyjechali państwo wczoraj?

Tuż przed dwudziestą drugą.

Gra, w którą państwo grali, rozpoczęła się...

Mniej więcej o dwudziestej trzeciej. Wybieraliśmy pokoje i gawędziliśmy, a zaczęliśmy, gdy było już ciemno.

Dokąd udała się pani na początku gry?

Wyszłam głównymi drzwiami od frontu. Rosie tak samo.

Czy wyszedł tamtędy ktoś jeszcze?

Nie. Tylko my dwie.

Dokąd się panie skierowały?

Rosie na lewo, w stronę podjazdu i lasu. Ja prosto przed siebie. Omal się nie potknęłam o ha-hę. Dotarło do mnie, że biegnę tamtędy bez sensu, więc zawróciłam za stajnię na tyły domu, no i schowałam się w ogrodzie. Po jakiejś godzinie siedzenie w błocie mnie zmęczyło, więc wyczołgałam się, żeby poszukać innej kryjówki, przytulniejszej. Wtedy właśnie mijałam drewnię.

Czy próbowała pani do niej wejść?

Nie próbowałam.

Dlaczego?

Sebastian powiedział, że jest zamknięta.

Sprawdziła to pani?

(cisza na taśmie)

Panno Gill?

(cisza na taśmie)

Czy coś było nie tak z zamknięciem drewnutni, panno Gill?

Nie. Przepraszam. Nie czuję się... Kłódka... była... pewna. Solidna. Podczas gry. Tak było. Widziałam. Drewnutnia była zamknięta.



X

„Tower” – stwierdziła Stevie zbита z tropu – „wbrew nazwie wcale nie jest wieżą”. Tak wiele zjawisk i sytuacji w życiu okazywało się czym innym, niż sądziła. Był to wielki kamienny mur graniczny z wieżyczkami i trawiastym rowem, gdzie kiedyś stał maszt, oraz kilkunastoma szczytami, wieżami i rozmaitymi budynkami wewnątrz. A wszystko to mieściło się pośrodku tłocznej dzielnicy biznesowej tuż obok szklanych (prawdziwych) wież nowoczesnej metropolii.

– Powinniśmy się zmieścić w dwóch, trzech godzinach. – Janelle zerknęła na komórkę, kiedy czekali w kolejce na otwarcie. – Ale o pierwszej mamy zwiedzanie Old City, a dochodzi dziesiąta, więc może się uda obskoczyć Tower w ciągu dwóch godzin, żebyśmy zjedli i wysłali pierwszy wideoreportaż. Wszyscy ściągnęli apkę wycieczki, prawda?

Łyknąwszy kawy, Stevie spojrzała na słynny Tower Bridge, który widnieje na wszystkich pocztówkach i plakatach. Sprzedawano tam z wózków magnesy, ściereczki i etui na telefon z flagą brytyjską – nieomylny sygnał, że jest to miejsce dla nich. Jako turyści przez duże T zmachają się w końcu i kupią bluzy albo tiszerty z nadrukiem „Londyn”.

„Więc z kłódką nic. Byłam na bardzo silnym leku, Izzy”.

Angela była świadkiem zbrodni, zbrodni, którą chciała zostawić w przeszłości. Tak powiedziała. Nie chciała mieć nic wspólnego z tą historyjką, którą rzekomo zmyśliła pod wpływem leku na ból. „No ale chodzi właśnie o to. Tu wkrada się fałszywa nuta. Cały problem tkwi w kłódce”. Stevie ujrzała ją w wyobraźni: brylkę metalu z pałąkiem u góry, otwieraną kluczykiem u dołu. Typową kłódkę zabezpieczającą skobel na drewnianych drzwiach.

„Więc sama myśl o tym przeraża Angelę? Dlaczego?”.

Kolejka zaczęła posuwać się naprzód. Stevie potknęła się o szczelinę w chodniku, aż z dziurki w wieczku kubka z kawą wytrysnęła pianka, wlatując jej do nosa, ściekając na rękaw płaszcza i lekko plamiąc przód bluzki. Już miała polizać rękaw, gdy się zreflektowała.

„W podróży robi się ze mnie flettuch”.

– Znowu cię bierze, hm? – Nate zrównał z nią krok.

– Co?

– Historia zbrodni. Ta z wczoraj wieczór. Już wsiąklaś.

– Nie wsiąklałam. Poza tym kto zabija przyjaciół siekierą?

– Dziwna odpowiedź, zważywszy, z czym się stykamy.

– Tak, ale zbira z siekierą nie widzieliśmy. To porąbane. Morderstwo zawsze jest porąbane, ale to tu już na maksa. Angela odleciała po lekach przeciwbólowych. To pewnie nic takiego.

– Wiem, że cię to gnębi, bo od rana siedzisz cicho, a przed chwilą chciałaś polizać rękaw. Przecież widziałem. To typowe objawy.

– Nieważne, czy mnie to gnębi. Nie mogę tu zdziałać za wiele.

– Dotąd cię to nie powstrzymywało.

Stevie kupiła bilet wstępu – tak drogi, że zaparło jej dech. Mając dość skromne kieszonkowe, zauważyła, jak prędko się kurczy. Kiedy stojący za nią Nate przyłożył kartę do czytnika, ten wydał dźwięk dezaprobaty. Spróbował więc znów.

– Karta nie działa – oznajmiła kasjerka. – Czy ma pan inną?

– Ja, yyy... – Nate wygrzebał portfel zawierający jedną dwudziestofuntówkę, która nie wystarczała na bilet.

– Proszę. – Stevie przytknęła swoją kartę. – Oddasz mi później.

– Dzięki – rzekł Nate. – Złamałem chipa, tak mi się zdaje.

Uśmiechnął się niewyraźnie, lecz zmrużył oczy, jakby zmartwiony kartą. Zdumiało to Stevie. „Nate’owi nie brakuje kasy. Żadne z nas nie ma jej tyle, co on. Wydał książkę”. Nie wiedziała co prawda, ile na niej zarobił, podejrzewała jednak, że sporo. Ponadto wszystkim zapłacono za pracę w obozie podczas lata – rzecz jasna nie fortunę, ale przyzwoicie.

„Za bardzo się w to wgłębiam”.

Po przejściu przez główną bramę twierdzy znaleźli się w otoczonym murem zespole zabudowań, nieomal odrębnym mieście: Wieża Solna, Wieża Szerokiej Strzały, Wieża Martina, Wieża Ceglana, Wieża Prochowa, Wieża Beauchamp... spięte blankami i poprzeplatane alejami, zielenią, ścieżkami. Głos w apce oznajmił bez tchu, że formalnie twierdza jest nadal siedzibą królów. Dawniej była pałacem, budowlą obronną, katownią, zbrojownią. Służyła jako więzienie dla każdego, kogo tylko można sobie wyobrazić – od hardych przywódców religijnych, przez szpiegów pierwszej wojny i obalonych monarchów, po czarnoksiężników, którzy wydrapywali na ścianach instrukcje z kosmosu. Bronili jej strażnicy, którym było dane tu mieszkać w jednej z wielu uroczych rezydencji wzdłuż murów. Mieli nawet swój pub wypełniony dziś historycznymi pamiątkami. Miejsce to było świadkiem ponad-tysiącletnich rządów i licznych krwawych batalii. Przewijały się tutaj miliony turystów.

Przez setki lat nawet – ciągnął głos przewodnika – w Tower mieściła się cała menażeria, bo cóż daje się władcy, który posiada już wszystko? Pawiany, lamparty, tygrysy, słonია lub dwa. Gdy Henryk III dostał niedźwiedzia polarnego, prowadził go na smyczy nad Tamizę na łowienie ryb. Królowie miewają dziwaczne rozrywki. Ale że zwierząt nie doglądano jak trzeba, to małpy gryzły, a lew kogoś pożarł. Sądząc, że strusie są wszystkożerne, opiekunowie karmili je gwoźdźmi. W końcu zoo śmierci zostało zamknięte i zwierzęta przeniesione do właściciwego.

Głos przeszedł do chronologii, Henryków, Karolów, Ryszardów, Edwardów, każdego, kto tylko żył tam i umarł, i wznosił różnego typu budowle. Wieże i kaplice stworzyły gęsty labirynt, w którym gubili się napastnicy, niezdolni dopaść Karola, Edwarda czy kogokolwiek z ówczesnych rządzących. Choć Stevie chciała, nie mogła się zaciekawić, kto miał tu łóżko w czternastym stuleciu. Było jej obojętne znaczenie kominka w tym miejscu. Wczoraj Angela starała się im wyjaśnić, dlaczego Tower jest taka ważna, gdy jednak tylko wypłynął temat morderstwa, Stevie wykasowała te dane z pamięci.

Lecz jej uwagę przyciągnęły drzwi. Ciężkie, o grubości kilkunastu centymetrów, były zaopatrzone w wielgachne klódki.

Znów przypomniała sobie, że z klódką coś nie grało.

Wyszli już nie wiadomo z której kolejnej wieży, wrócili na ścieżki wijące się wokół Tower.

– Muszę iść siku – oznajmiła Vi. – I muszę jeszcze napić się kawy.

W obrębie murów nie brakowało kafeterii i stoisk. „Nic nie dopełnia zwiedzania dawnej twierdzy lepiej niż cappuccino, to oczywiste”.

Pokazał się strażnik w charakterystycznym kapeluszu i mundurze, z plastikowym pojemnikiem w ręku.

– To – wskazał przewodnik pobliskiej grupie turystów – Mistrz Kruków, odpowiedzialny za kruki, które mieszkają w twierdzy na stałe.

– Mistrz Kruków – powtórzył Nate. – Niesamowite. Mistrz Kruków.

Mistrz zaczął częstować ptaki ich ulubionymi przekąskami, w tym biszkoptami nasączonymi krwią.

– Obrzydliwa robota – dorzucił Nate. – Tak czy siak, nazwę ma zarąbiś.

– Krew? – zapytała Stevie. – Po prostu... krew? Niewiadomego pochodzenia? Powinni mówić, skąd biorą tę krew!

– Nigdy nie tłumacz, skąd masz krew. – Nate spojrział na Stevie zagadkowo.

– A teraz – powiedział przewodnik – coś, co chce zobaczyć każdy. Oto Tower Green, miejsce egzekucji najślawniejszych więźniów Tower. Były wśród nich lady Jane Grey, zwana „dziewięciodniową królową”, i Anna Boleyn, druga żona Henryka VIII.

Był to prawdziwy szaszczyt, jako że większość więzionych w Tower biednych drani (przewodnik ujął to nieco inaczej) wykańczano publicznie na pobliskim Tower Hill, na Tower Green zaś ginęli tylko przedstawiciele znaczących rodów szlacheckich. Obecnie w miejscu, gdzie kładli głowę pod topór, znajduje się dzieło sztuki – szklana poduszka.

Tower, ciotka Izzy, król Henryk VIII, nieszczęśni studenci, których w latach dziewięćdziesiątych pocięto na kawałki siekierą – splatało się to w umyśle Stevie w całość. I nic dziwnego, zwłaszcza że przewodnik radośnie opowiadał, jak oderżnięte głowy wystawiano przed Tower i na moście, aby więźniowie wiedzieli, co ich czeka.

– Życie jest nędzne i mija szybko – rzekł Nate.

Zza rogu wyłoniły się Janelle i Vi. Bez kawy.

– Była za długa kolejka. – Vi uśmiechnęła się tajemniczo.

„Może to prawda, a może nie. Widać wymknęły się na minutę, by się popieścić albo porobić sobie zdjęcia”.

– Teraz klejnoty. – Janelle zajrzała do apki. – A później White Tower, to ta duża, i koniec.

Weszli do mrocznego okazałego budynku. Pilnie strzeżonego przez prawdziwych żołnierzy z prawdziwą bronią. Obejrzeliklejnoty koronne.

– Magiczne kapelusze – komentował Nate. – Czarodziejskie różdżki. Magiczne kule. Magiczne łyżki. Normalnie skrzynia czarodzieja.

– Dosłownie wszystko – dodała Vi – jest pokradzione.

Potem udali się do White Tower, głównej budowli pośrodku kompleksu. Jest to zamek sprzed wieków, forteca. Janelle nie mogła oderwać oczu od zbroi. („Ubrania wykute z metalu!”). Znajdował się tam nawet kącik kryminalny dla Stevie – miejsce, gdzie odkryto kości dwojga dzieci – jak się przypuszcza, „książąt z Tower”, zamordowanych rzekomo przez Ryszarda III. Oglądali pomieszczenia wypełnione bronią i kulami armatnimi. Zwiedzanie skończyło się jakże wesoło w sali tortur. Wśród eksponatów było tam madejowe łoże oraz kajdany i tak zwany bocian, który powodują skurcze wszystkich mięśni ofiary, wywoływał bóle stopniowo przyprawiające o obłąd.

Po dwóch godzinach spędzonych w Tower Stevie kręciło się w głowie od wież, muszkietów, kruków i władców. Znaleźli hotspot wi-fi, żeby się skontaktować z Akademią i przekazać doktor Branfield z wydziału historycznego uwagi o tym, co zobaczyli. Zdecydowanie najprytniejsza dziś Vi złożyła drobiazgowy raport pełny spostrzeżeń na temat grabieży – z wyszczególnieniem klejnotów i miejsc ich pochodzenia.

Posilili się kanapkami i wyruszyli na kolejną wycieczkę. Tym razem po Old City, zwanym Miłą Kwadratową i zajmującym taką właśnie powierzchnię w sercu miasta. Stevie nie zwracała uwagi na fragmenty rzymskiego muru, ukryty za kratką magiczny kamień zwany Kamieniem Londyńskim ani na zrekonstruowaną rzymską świątynię, która mieści się teraz w podziemiach biurowca. „Londyn jest niepowstrzymany”. Główną nauką płynącą z ich wypraw oraz budynków, dat, iglic, posągów i kamieni było to, że budowanie trwało długo. A potem wszystko się paliło. Albo ktoś pragnął zmiany, nowości, budował więc dalej, tyle że w innym już stylu. „Wszyscy pomarli w wyniku zarazy? Nie ma problemu. Wykopać doły i cześć”. Ciała układano w siedmiu warstwach na kształt archeologicznych. „Czasami ktoś próbował naprawić drogę, a tu wylania się szkielet i macha do niego kościstą ręką”. Zdarzało się to tak często, że musiały się tym zająć specjalne zespoły archeologów.

„Śmierć. Dżuma. Zagłada. Tortury. Ścięcia. Wesola stara Anglia!”

Stevie nie mogła nie podziwiać mistrzostwa zagrania Izzy. Izzy wrobiła ją w słuchanie o historii Angli i o tym miejscu przepojonym cierpieniem. Gdy się tylko pomyśli o zabójstwie siekierą, pochłania ono człowieka bez reszty.

„Morderstwo z użyciem siekiery to poważna sprawa. W Tower była to okrutna nauczka i mściwa sprawiedliwość. Rzadka w powieściach kryminalnych siekiera jest atrybutem kina grozy. Nie trudno zakraść się z nożem, pistoletem czy trucizną, jednak siekierę ktoś zauważy na pewno. W przypadku zbrodni w Merryweather wydaje się bronią dogodną. Najprawdopodobniej znajdowała się w szopie na drewno. Jeśli tych dwoje zamordował ktoś z Dziewiątki, to musiał działać pod wpływem chwili... Do tego dochodzą względy praktyczne. Jak jedna osoba z siekierą zamordowała dwie osoby w szopie? Czy była to krwawa jatka? Dlaczego ci dwoje nie stawili mu czoła? Jak brzmiały słowa Angeli? «Drobne oszustwo». Popenił je kat, żeby Anna Boleyn obróciła głowę, by było mu łatwiej ją zabić”.

Stevie pomyślała, że to może wystarcza, by zamordować bez konsekwencji. Drobne oszustwo.



XI

Gdy pokonawszy wielokilometrowe szlaki po wielowiekowych dziejach Londynu wrócili do Craven House, David czekał na nich w holu. Na koszulę z krawatem narzucił już płaszcz. Nad górną wargą i na brodzie miał zaledwie cień zarostu. Wystudiowana niedbałość i sposób, w jaki przysiadł na schodach z wyciągniętymi nogami... doskonale wiedział, jak się prezentuje.

– Hej, świrusko – rzekł, wstając, by pocałować Stevie w usta. Uczucie, jakiego doznawała, ilekroć to robił, było niezmiennie świeże i urzekające. Cudowna chwila bliskości. Ciepłe powietrze z jego nozdrzy i miękkość jego warg... Tak delikatnie przytulał kark Stevie, ledwie mus-kając jej krótkie włosy. – Gotowa do wyjścia?

– Teraz? Mogłabym...

– Pięć minut, Bell. Potem w drogę.

– Dokąd idziemy?

– Znów niespodzianka. – Uśmiechnął się do niej złowieszczo.

Znowu więc mieli pójść wczorajszą trasą. „Jak to przyjemnie już troszkę ją znać”.

– Dziwnie się we mnie wpatrujesz – powiedział.

– Po prostu... dobrze wyglądasz. Odstrzelony. A ten płaszcz...

– Lubisz mnie tylko dzięki płaszczowi – zażartował David.

– Mhm – odparła. – Od dawna wodzę cię za nos, żeby go zdobyć.

– Zaczyna się o piątej – oznajmił.

– Co się zaczyna?

Pokręcił głową.

Poszli na stację Embankment i pojechali Circle Line, żółtym spaghetti na planie metra, przedłużeniem zielonej District Line. Kierując się na wschód, wysiedli na Aldgate. David poprowadził Stevie rozległą ulicą handlową pełną nowoczesnych szklanych biurowców, placów budowy i ozdobnych starych budynków ze złotej cegły. Gdzieś pośród tego wszystkiego zauważyła Burger Kinga.

– Daleko jeszcze... – zaczęła.

– Jesteśmy prawie na miejscu.

Kiedy tylko zobaczyła pierwszą tabliczkę z napisem „Whitechapel”, wiedziała. Skręcili za róg, gdzie aż roiło się od turystów – takich jak ona.

– Tędy na wyjątkową wycieczkę – rzekł mężczyzna w cylindrze. Miał długie, bujne siwe włosy i obwisły pod-bródek. – Bilety nadal dostępne. Każdy, kto nabył je on-line, powinien mieć kod, więc proszę wyjąć komórki, abym go sprawdził, i wyruszamy.

– Czy to... wycieczka śladami Kuby Rozpruwacza?

– Dla mojej książeczki nic nie jest zbyt mordercze – odrzekł David. – Uzgodziłem to nawet z Janelle.

Wyciągnął komórkę w stronę mężczyzny – do kontroli.

Jak większość fanów prawdziwych zbrodni Stevie znalazła podstawowe fakty dotyczące sprawy Kuby Rozpruwacza. Londyn, rok tysiąc osiemset osiemdziesiąty ósmy. Po okolicy kręcił się zagadkowy mężczyzna, zabijał prostytutki, ubogie kobiety, które walczyły o przetrwanie. Stał się znany z niebывale zręcznych ciosów. Ofiary atakował w miejscach, gdzie byłoby łatwo go znaleźć. A tak naprawdę był zwykłą kanalią. Prasa nadała mu pseudonim Kuba Rozpruwacz i rozdmuchała sprawę. Liczba jego ofiar wzbudzała niemałe spory, lecz ostatecznie przypisano mu pięć. „Dziś jest upiornym bohaterem ludowym”.

Stevie była już na wielu wycieczkach. W przeciwieństwie do innych okolic, które zwiedzała, nie zobaczyła tu żadnej wspaniałej budowli, wież czy wieżyczek, popiersi z marmuru lub iglic. Król Henryk III nigdy tu nie zaglądał. Szli przez nijakie ulice wschodniego Londynu, na ogół opustoszałe przed nocą. Mijali smażalnie kurczaków, banki, puby, sklepy z e-papierosami i sklepy tekstylne... w większości zamknięte. „Dawne składy z brązowej cegły poprzerałoby na luksusowe mieszkania”. Przewodnik pokrótce omówił warunki społeczno-ekonomiczne Londynu w epoce wiktoriańskiej, wskazując, że kobiety mordowane przez Kubę Rozpruwacza musiały prostytuować się, żeby zarobić na chleb. Wiele z nich nałogowo piło sprzedawany dosłownie wszędzie tani dżin, ponieważ tylko odurzenie pozwalało im zapomnieć o trudach życia na ulicach East Endu.

Przewodnik nie ujął tego tak delikatnie. Stevie zdziwiło, że nie nazywa ich seksworkerkami.

„Turyści przyszli dla morderstw. Zawsze przychodzą dla morderstw. Nie da się ukryć, że ja też przyszłam dla nich – jednak to wcale nie jest takie proste”.

– Przez długie tygodnie panował tu spokój – rzekł dramatycznym tonem przewodnik. – Gdy nagle trzynastego września tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego Kuba Rozpruwacz uderzył dwukrotnie w ciągu jednej tylko nocy, dwukrotnie w ciągu zaledwie trzech kwadransów... Dziś jest to znane jako podwójne morderstwo. Pogoda była pod psem, pochmurnie, padał deszcz i bił grad, szalała straszna wichura...

W kieszeni płaszcz Davida rozległo się buczenie.

– ...w jaki sposób to robi? Jak zabija dwie osoby w dwóch częściach miasta w tak krótkim czasie? Jak wykonuje nikczemną operację w mroku Mitre Square? Czyżby był widmem?

– Nie – powiedziała do siebie Stevie.

„W historiach o zbrodni zawsze chodzi o to samo: byle kretyń stwierdza, że odebranie komuś życia bynajmniej nie jest niczym nagannym. Morderca to w głębi duszy mała słaba jednostka. Tu ginęły kobiety, a ginęły dlatego, że były biedne i totalnie bezbronne”.

Znowu buczenie.

– Od kogo? – zapytała.

– Od Izzy – odparł David, patrząc na esemesy.

– Mordercy to cienie – oznajmił przewodnik. – To właściwość która ich określa.

– Mordercy to dupki – rzuciła Stevie na głos. – To jest właściwość, która ich określa.

Ktoś się odwrócił. Przewodnik uśmiechnął się drwiąco, wskazując, że już miał do czynienia z takimi jak ona, młodymi ludźmi z ich wyobrażeniem o świecie, więc jej reakcja ogromnie go bawi. Kiedy poganiał grupę, Stevie zatrzymała Davida, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Jestem ci wdzięczna – szepnęła – ale...

– Nie. Od pół godziny normalnie mnie skręca. Były inne wycieczki śladami Kuby Rozpruwacza. Ale wybrałem tę, no bo koleś ma kapelusz. Coś mi się zdaje, że się pomyliłem. Dałem się nabrać na ten cylinder.

– Co to w ogóle znaczy, że mordercy to cienie?
– Diabli wiedzą. Cóż, mamy teraz trochę czasu. Co powiesz na kolację i lekką rozrywkę? Przychodzi mi do głowy parę fajnych pomysłów.

„Oto nadeszła ta boska chwila”.

Stevie zadrżała, jakby przeszył ją prąd.

„To stanie się tej nocy”. Już czuła to przez skórę. Chłonęła energię płynącą ze złocistobrązowych wiktoriańskich składów przerobionych na mieszkania, świecących oranżowo latarń, z ludzi na elektrycznych skuterach sunących w mroku ulic. „To się stanie”.

Tyle że komórka ciągle buczała. David wyciągnął ją, wysławszy odpowiedź i szybko wsunął z powrotem do kieszeni.

– Sorry – powiedział. – Izzy wariuje.

– Czemu?

– Ciotka nie odpowiada na jej esemesy. Izzy się boi, że jest zła o wczoraj.

– No tak – odrzekła Stevie. – To bardzo możliwe. Izzy przegięła z tą nagłą wizytą. I zarzuciła ją masą spraw.

„Więc z kłódką nic. Byłam na bardzo silnym leku”.

– Chodźmy – rzekł David i przygarwał ją do siebie. Ruszył komicznie długimi krokami do stacji metra, którą mijali przed chwilą. – Wiem, co nam teraz poprawi humor. Zabieram cię do najlepszej restauracji w Londynie.



Restauracja U Alego Londyńczyka miała – „Chyba spotykane tu często” – prostą białą witrynę z jaskrawymi świetłówkami i przymocowany do ściany telewizor pokazujący mecz piłki nożnej. W oknie obracało się na pionowym ruszcie ciasno ułożone warstwami mięso, którego cienkie plasterki odkrawał z dużą wprawą jeden z mężczyzn urzędujących za kontuarem. Oparłszy się o kontuar obiema rękami, David przyglądał się, jak pracuje.

– Ali to artysta – powiedział. – Spójrz.

Ali z uśmiechem uniósł plaster mięsa cieniutki tak, że niemal przezroczysty. Przepracowawszy dwa tygodnie wakacji w delikatesach za ladą, Stevie potrafiła docenić jego niezwykły kunszt.

– Ta potrawa – rzekł David – napędza Anglików. Kebab. Pyszności, naprawdę. Popatrz.

Inny mężczyzna rzucił na blachę chlebki pita. Zapach gorącego pieczywa i mięsa oszałamiał.

– Mówi się, że ryba z frytkami – ciągnął David. – Nie. Ani kielbaski z tłuczonymi ziemniakami. Tutaj wszyscy jedzą kebaby.

– Ma rację – przytaknął Ali, gdy jego pomocnik wkładał pitę do pojemnika ze styropianu. – Chcesz wszystko?

– Chcę wszystko – odpowiedział David. – To moja dziewczyna. Ze Stanów. Jest sławną detektyw.

– Serio? – Ali pokiwał głową w roztargnieniu, gdy do pity z mięsem dodawano szatkowaną sałatę, czerwoną kapustę, marynowaną paprykę, pokrojonego pomidora i ogórka, a na koniec polano wszystko białym sosem.

Kiedy kebaby były gotowe, Ali wbił je na kasę.

David sięgnął po portfel, lecz Stevie pacnęła go w rękę.

– Stać mnie – mruknęła.

- Sławna detektyw – powtórzył David.
- Świetnie – powiedział Ali z aprobatą. – Powinieneś się z nią ożenić.
- Być może się ożenię – odparł David z uśmiechem, zabierając pojemniki.
„Co? Cooooo?”.

Stevie stwierdziła, że to pewnie żart. „Facet od mięsa coś rzucił o tak... No, ale David odpowiedział. Twierdząco. Z czegoś takiego przecież się nie żartuje. Ciekawe, co to znaczy”.

Usiedli na ławce nad rzeką, mimo że zaczęło kropić.

– Deszcz to przyprawa – wyjaśnił David. – Wszystkiemu polepsza smak. Człowiek pomału się przyzwyczaja. Kiedy jest zimno, w ogóle nie marznie, a mżawkę przestaje uważać za deszcz.

– Tak tutaj jadasz? Kanapki na deszczu?

– Nie. W tym tygodniu jadam z fantazją, bo przyjechałaś. Normalnie żywię się spaghetti z puszki. No dalej. Spróbuj. Posił się sztuką.

Pomimo ogromnych starań Stevie nie mogła podnieść tej wielkiej kanapki porządnie – by więc ją ugryźć, nachyliła się nad pojemnikiem. Kebab był tak smaczny jak zachwalał go David, tłusty, mocno czosnkowy i ob-fity.

– Widzisz? – rzekł David. – Najlepsze jedzenie w mieście.

Jedli w milczeniu dłuższą chwilę. Stevie stwierdziła, że od tych spacerów po zimnie umiera z głodu.

– Złożył mi propozycję – powiedział David i wziął kolejny potężny kęs.

– Ojciec? – spytała.

Ciężkie skinienie.

– Tak. – David stał kropłą sosu z kącika ust. – Odciął mnie od pieniędzy. Nawet na naukę. Nie daje nic. Ale zadzwonił. Przed dwoma tygodniami. Zaproponował opłacanie czesnego, jeżeli stanę w Anglii i skończę szkołę. Dlatego, mówił, że dobrze mi tu idzie, a on sobie nie życzy widzieć mnie w kraju. Zawadzam. Więc jeśli przez trzy lata zatrzyma mnie za granicą, to będzie miał przynajmniej ten jeden kłopot z głowy.

Serce Stevie zadrżało z lęku. Kwestia szkoły Davida pozostawała dotąd w sferze niedomówień. „Miał to być tylko jeden semestr za granicą. Niedługo dobiega końca. Aż nagle...”.

– Podoba mi się tu – ciągnął. – Ale też nie chcę od niego pieniędzy. Odparłem, że zobaczymy się w Gwiazdkę, i szybko się rozłączyłem.

– Więc nie zosta...

– Pobyt w Londynie ma swoje dobre strony. To bardzo fajne miasto. Poza tym wolę być z dala od niego. Ale ty mieszkasz daleko, co już mi się nie podoba. Co o tym myślisz? To znaczy wiem, że jeszcze nie jesteś pewna... To znaczy nigdy nie wspominasz, gdzie chcesz się dalej uczyć. Mogłabyś tutaj. Mają solidne kursy kryminalis-tyczne.

– No dobrze, tylko jak?

– Jak co? – zapytał David.

– Nie wiem, skąd... wziąć na to kasę. Ani jak to załatwić. Stopnie mam niezłe. W zasadzie. No ale nie wiem, czybym się dostała.

– Ja się dostałem.

– Tobie jest łatwiej, bo chociaż ojca masz do bani, no to jednak pomaga. – Zabrzmiło to źle. – Chodzi mi...

– Wiem, o co ci chodzi – rzekł David. Sprawiał wrażenie, jakby go to nie zeszło. – Ty rozwiązujesz zagadki morderstw. Ja tylko ci towarzyszę.

– Tak, ale nie o to pytają w koledżach. Nie ma pytania, ilu wykryłeś sprawców.

Chwilę wpatrywał się w Stevie z zaciekawieniem.

– Nie rozumiesz, prawda? – spytał. – W ogóle nie rozumiesz.

– Słucham? Uważasz, że się kryguję?

– Mniej więcej.

– Skądże – odparła. – Znam swoją wartość. Ale w koledżu może być różnie. Zrobiłam sporo, ale po drodze opuściłam pełno zajęć. Nie jestem Janelle.

– Nikt nie jest Janelle, Stevie. Być może nawet ona.

– Nie znam języków. Nie znam się na sztuce. Na niczym nie gram. Jeśli w podaniu nie będzie testu o prawdziwych zbrodniach, mogę mieć przerąbane. Podanie do Akademii złożyłam tylko dlatego, że znalazłam tę sprawę.

Raptem nie mogła dokończyć kebaba. Był pyszny, czosnkowy i ociekał sokami, ale na myśl o przyszłości straciła apetyt. Wstała i wyrzuciła resztkę do kosza w poczuciu winy, że marnuje jedzenie. Podeszła do nadrzecznego muru i oparła się o niego łokciami. „Ta słynna Tamiza”. W jej pochodzącym z telewizji i książek wyobrażeniu Tamiza była dość wąska, urokliwa i miła. Prawdziwa – obszerna – płynęła wartkim nurtem i poruszało się po niej dużo statków. Lekko pachniała morzem lub jakimś pierwotnym żywołem. Pluskała o nabrzeże. Była nieustępliwa.

David podszedł do Stevie i zapraszająco rozchylił poły płaszcza. Objęła go w pasie i wtuliła głowę w jego pierś.

– Niech to szlag – rzekła cicho. – Okropne.

– Co?

– Nie mieć wszystkich przy sobie. Chcę być z tobą. I z Janelle. I z Natem. I z Vi. A tak się przecież nie stanie.

– Tak, ale... na razie jesteś tu. Coś się wykombinuje. No zobacz! Jesteś w Londynie! Powinniśmy się bawić. Chcesz się zabawić?

– O jakich zabawach myślisz? – Stevie spojrzała mu w oczy.

– O najróżniejszych – odpowiedział.

Poczuła, że serce bije mu mocniej. Jej też przyspieszyło, by mu dorównać. „Najwyższy czas. Czas, żeby odbyć tę rozmowę. David w tej chwili jest ze mną całym sobą, więc moglibyśmy... robić, co dusza zapagnie”.

– Muszę cię o coś spytać... – zaczęła. – Czy...

Miała to przerobione – w jaki sposób zapyta. Bez ceregieli. „Uprawiałeś już seks?”. Lecz kiedy nadszedł ten moment i miała zadać pytanie, słowa rozpadły się i uleciały z wiatrem semantyki. „Co znaczy «seks»? O co dokładnie mi chodzi? A jeśli odpowiedź będzie twierdząca, a taka będzie prawie na pewno – co wtedy? Mam przesłuchiwać go dalej jak w sądzie? Co robił, z kim i ile razy? Zechcesz zaznaczyć na mapie...”.

David wciąż czekał na resztę pytania. Na jego ustach igrał uśmiezek. „Wie, o co chcę spytać, i sądzi, że to zabawne? Czy też się niepokoi, co mi chodzi po głowie, bo przecież «Czy...» może skończyć się jak bądź, zwłaszcza że jestem wariatką, która nie umie rozmawiać z ludźmi. Ciekawe, czy też by mnie o to zapytał? Na tyśiąc procent zna już odpowiedź... Nie. Nie uprawiałam. Moje doświadczenie na tym polu jest skąpe. Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia, jak się wtedy postępuje”. Myśl ta wstrząsnęła Stevie. Bliższy kontakt fizyczny peszył ją do tego stopnia, że chyba tylko cudem w podobnych sytuacjach nie uciekała z wrzaskiem ani nie mdlała.

David czekał. Wyczekiwanie dotarło do punktu, w którym pytanie zaczęło rozwiewać się jak dym na wietrze.

„Dzyń” i brzęk oznajmiły nadejście esemesa. Mimo że David nie sięgnął do kieszeni, Stevie czuła jego komórkę przy biodrze. Znów zabrzączała jak uparta osa.

- Chcesz odebrać? – spytała. Znów brzęk. Moment przeminął. – Czy to od Izzy?
- Nie wiem. Nie patrzyłem.
- Często się spotykacie – stwierdziła Stevie, odsuwając się od jego piersi i pleców.
- Owszem. Co z tego?
- Mnie to nie przeszkadza.
- Jednak przeszkadza, skoro o tym wspominasz.

Stevie uświadomiła sobie dobitnie, że rozmowa zmierza w złą stronę, i to szybko. „Najwyższa pora obrócić to w żart. Przekształcić w coś pozytywnego”. Ale David patrzył na nią, lekko unosząc brew, co oznaczało, że jest przejęty, no a to lekkie uniesienie brwi dodawało mu uroku i jednocześnie ją drażniło. W związku z powyższym uznała, że coś tutaj śmierdzi – i nie, nie zamierza tego odpuszczać. Było to jak rozchwiany ząb, który domaga się ruszania. Dziura w tkaninie, którą trzeba roz-dłubać.

„Nie. Niech ta rozmowa się skończy”.

– No właśnie, ledwo o tym napomknęłam.

Jej głos był zbyt beznamiętny. Prowokowała wojnę.

– Jesteśmy na tym samym seminarium – odpowiedział David. – Tylko ja, Izzy i taki Graham, który nosi po kieszeniach ser luzem. Izzy i ja trzymamy się razem, bo koleś wygląda na internetowego drapieżnika. Mieszkam tu teraz. Są tutaj ludzie...

– Przecież wiadomo. Ludzie są wszędzie. Nie miałam na myśli...

– Właśnie, że miałaś. Musisz mi ufać. Myślisz, że nie panuję nad sobą czy jak? Że nie traktuję cię serio? Skąd ci się biorą te podejrzenia? Stąd, że ja ostro pracuję nad tym, by nie być pojebem, żeby się zmienić? A David pojeb tak samo cię lubił, dobrze wiesz, Stevie, że cię nie zdradzał. Łaziłem po dachu i wagarowałem, ale poza tym było jak teraz.

– Daj spokój. Już dobrze? – bąknęła Stevie.

– Bardzo się staram, pamiętaj.

– Mhm...

David odetchnął i pokiwał głową. Czasem zdarzały im się takie spięcia. „Od normalności do nagłego szału”. Puls Stevie przyspieszył, ale nie z radości. Serce waliło jej targane lękiem. Szyja zaczęła potwornie pulsować. Ramiona zdrętwiały, jakby poraził ją prąd.

– A niech to – jęknęła.

– Co? – spytał David.

„Nie tu. Nie teraz. Tylko nie to”.

Napady paniki niestety tak mają, że przychodzą znienacka, kiedy im się spodoba. Nie sposób przewidzieć, kiedy się wtrynią. Przejmują władzę i wykrzywiają świat.

– Stevie?

Nie wiedziała, o co go poprosić. Nieomal na oślep rozpięła torbę i wymacała brelok ze środkiem przeciw-lękowym.

– Niedobrze ci?

Z trudem pokręciła głową.

– Atak paniki – odpowiedziała. Po chwili gmerania zdołała wydobyć mikropojemnik i go odkręcić. Wyjęła tabletkę. Połknęła na sucho. – Okej. – Odepchnęła jego opiekuńcze ramie. – Nic się nie stało. Przejdźmy się trochę. Pooddychajmy śmierdzącym powietrzem. Czujesz? To zimny odór tej rzeki.

Była jak rupieć pod pachą Davida. „Czy na nas patrzą? Co myślą o mnie?”. Mijali ludzi z innego świata, takiego, w którym wszystko ma sens.

– Odpręż się. – David szeptał jej do ucha. – Oddychaj wolno.

„To nie takie łatwe”. Ale spróbowała. „Pomoże, wiadomo”. Wiedziała, że napad paniki minie, że to, co pękło, niedługo się scali i świat powróci na zwykłe tory. Choć przechodziła przez to wielokrotnie, to jednak nigdy w miejscach publicznych. Z reguły zdarzało się to przed snem lub gdy już spała – bez żadnych świadków. Kiedy się mogła schować pod kołdrą, chodzić od znanej ściany do znanej ściany. Albo położyć się na podłodze. „A to jest Londyn, mroczny i żywy, głośny i obcy” – myślała Stevie. „Tutaj, w tym mieście mogę się tylko trzymać Davida”. Przywarła do niego.

Był jej jedynym drogowskazem, kiedy wracali do metra i przedzierali się przez hałas jaskrawo oświetlonej stacji. W wagonie musiała odwrócić się od okna i wesprzeć głowę na jego ramieniu, bo widoki za szybą, piętrzące się nieznosnie, sprawiały jej niemal fizyczny ból. Przeszywający świst, stukot w tunelu... krzykliwe reklamy polis turystycznych... zdjęcia batonów wielkości krowy... „Korzystne stawki za połączenia”... Liczby i domy... Kredyty i żywność... „Czemu to wszystko jest tak natarczywe? Komu to służy? Po co ten pęd?”.

– Oddychaj. – David upomniał cicho.

– Przecież oddycham – wymamrotała.

Wdech, wydech. Wdech, wydech. Wracała do życia. „Oddychaj, tak jak cię uczyła psycholog. Mówiła: «Podążaj za oddechem, Stevie. Oddychasz, to znaczy, że nic ci nie jest. Chwyć się oddechu. Staraj się pilnować, by wydech był nieco dłuższy niż wdech. Wciągnij powietrze, przytrzymaj i wypuść». Z oddechu tkła przytulny kokon, był jej oparciem, wyraźnym i pewnym. Trzymając się jego i płaszcza Davida, odzyskiwała kontrolę nad sobą.

I tak jechali do Craven House.

Gdy tam dotarli, lek zaczął już działać. Świat jeszcze pędził, lecz zwalniał stopniowo. Stevie przylgnęła do Davida, mimo że nogi przestały jej się plątać i chód był stabilniejszy. Już mniej raniło ją miganie świateł. David był obok, ochraniał ją ciałem, zaczęła niemal cieszyć się chwilą.

W milczeniu pomógł jej wejść do windy, milczał też, prowadząc ją przez korytarz. Drzwi pokoju Nate'a były uchylone. Nate podniósł głowę na otepiałą Stevie.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Nic wielkiego – odrzekł David. Odebrał Stevie klucz, którym gmerała przy zamku, i pomógł jej otworzyć drzwi.

– Jesteś pijana?

Stevie pokręciła ciężko głową i weszła do pokoju, w którym panował półmrok. Wiedziała, że lekarstwo ogłuszy ją już wkrótce. Zrzuciła płaszcz i nie podnosząc go z podłogi, wlaża do łóżka. Materac z czegoś sztucznego zaskrzypiał, kiedy kulila się pod kołdrą. Pod jej powiekami kłębiły się obrazy, zmieniały co sekundę jak w kalejdoskopie. Londyńskie ulice i widok na most... tutejsze realia społeczno-ekonomiczne w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku... smak czosnku na wargach Davida... Izzy i ciotka... i kłódka na drzwiach... Jej upór... Podłużna, kanciasta twarz Davida... Miętkość jego płaszcza i ciepło oddechu... Wszystko zlewało się i wędrowało tnącymi ścianę szlakami światła zza żaluzji. Kiedy w końcu lek zadziałał, chaos emocji rozwiął się i znikł.

**Fragment zeznania świadek
Suzanny Rillington złożonego
24 czerwca 1995 roku**

Proszę dokładnie opowiedzieć, co robiła pani tamtej nocy, od rozpoczęcia gry, w którą się bawiliście. Dokąd pani poszła, kiedy zaczęła się gra?

Wyszłam od tyłu, przez wiatrołap. Ogrody tu są olbrzymie. Pomyślałam, że ogród z tyłu domu to dobry punkt na początek. Jest tam labirynt z cisu.

Czy ktoś pani towarzyszył?

Julian, ale gdy tylko wyszliśmy, każde ruszyło gdzie indziej.

Dokąd się pani udała?

Chwilę biegałam po ogrodzie, ale nie mogłam znaleźć sensownej kryjówki. W końcu wylądowałam w ogrodzie po północnej stronie domu. Tym otoczonym murem. Wcisnęłam się między rosnące tam krzewy.

Wie pani, kiedy panią znaleziono?

Miałam wrażenie, że sterczę w deszczu wieki, ale nie wiem, o której to było.

Kto panią znalazł?

Peter. Gdy wyszłam zza krzaków, żeby przenieść się gdzie indziej, akurat wtedy przechodził przez ogród. Oto cały sekret – nie wolno się poruszać.

I zabrał panią do altany, żeby włożyła pelerynę?

Tak. A potem zaczęłam szukać.

Czy podczas chowania się albo szukania była pani w pobliżu drewnutni?

Mijałam ją kilka razy, ale nie zamierzałam się w niej chować. Była zamknięta.

Skąd pani wie?

Powiedział nam Sebastian. Zamknięto wszystkie zabudowania gospodarcze. Przechodziłam tamtędy, ale nie przyglądałam się za bardzo. Gdyby drzwi były otwarte, a taczki wyniesione, spostrzegłabym to chyba. Nie, mogę powiedzieć, że na pewno.

Czy przebywając na zewnątrz, widziała pani Rosie lub Noela?

Kiedy gra się zaczęła, wydaje mi się, że widziałam, jak Noel biegnie przez tylne ogrody, ale nie jestem pewna. Noel to świetny wspinacz, więc może wybrał drzewo.

Niestety tego dokładnie nie wiem.

O której mogła go pani widzieć?

Nie mam pojęcia... Na samym początku.

Widziała pani, którymi drzwiami zwykle wychodzi z domu?

Nie.

Więc gra skończyła się, kiedy...

Błysnęło potwornie i rozległ się grzmot, po czym pogasły wszystkie światła w domu. Od razu stwierdziliśmy, że wracamy do środka. Nie chcieliśmy, by kogoś poraził piorun, tak czy tak musieliśmy się ogrzać i napić.

Wie pani, która to była godzina?

Chyba około drugiej trzydzieści, ale nie jestem pewna. W holu jest zegar szafkowy. Wybija godziny i połówki godzin. Pamiętam, że odezwał się tuż po naszym przyjsciu, bo w holu było ciemno i ten dźwięk był upiorny.

Więc Rosie i Noel nigdy nie wrócili?

Tak. Zdawało nam się, że się zaszyli w jakiś kąt. Romansowali. W tamtym tygodniu zbliżyli się do siebie, więc uznaliśmy, że spędzają tę noc razem i lepiej będzie zostawić ich w spokoju.

Romansowali?

Tak.

I było to świeże?

Tak. Rosie... do niedawna umawiała się z Julianem.

Czy doszło do zerwania?

Tak. Julian jest podrywaczem. Rosie miała już dość.

Zerwała z Julianem?

Tak, ale... on by... Jeżeli pan sugeruje...

Niczego nie sugeruję. Staramy się tylko ustalić fakty.

Julian to playboy. Przywykliśmy do tego. Podobne sytuacje zdarzają się nam często. Więc chociaż się gniewamy, nie przekraczamy pewnych granic. Jedyne przypadki agresji u nas to wylanie przez Rosie coli na głowę Juliana. Lubimy się. Kochamy. My...

Chce pani odetchnąć?

Nie. Poradzę sobie. Proszę. Nie przerywajmy. Jestem im to winna.

Co się działo, kiedy państwo wrócili?

Poszliśmy ogrzać się do salonu. Sebastian się uparł, że wyjmie pewną whisky, wielki rarytas zamknięty w szafce. Czołgał się po nią przez cały pokój, a gdy próbował otworzyć szafkę, omal nie rozwalił ściany. Peter musiał położyć się na podłodze, by mu pomóc. Whisky była jedyna w swoim rodzaju, więc wnosiliśmy toasty i gawędziliśmy. Według mnie wypiliśmy jej trochę za dużo, bo Peter dostał mdłości, a Angela odpłynęła do łóżka. Theo też się położyła, ale najpierw – jak to ona – poszła do kuchni po wodę dla wszystkich. Przyszła lekarka. Zawsze dba o innych. Yash też chorował. Sebastian, Julian i ja zostaliśmy, aby dokończyć butelkę. Rozmawialiśmy, gdy nagle zobaczyłam to światło.

Światło?

Coś błysnęło za oknem! Ale nie był to piorun. Jakby latarka czy coś takiego. Pod domem... Snop światła. Pomyślałam, że może to Noel albo Rosie.

Gdzie to było dokładnie?

Gdzieś bardzo blisko. W pobliżu domu. Błysnęło gdzieś w okolicy podjazdu. Po drugiej stronie frontowego patio...? Wyglądało to, jakby ktoś wyszedł zza węgła. Wstałam zobaczyć, czy to nie oni. Myśle: „Ciekawe, no bo latarkę można mieć tylko, kiedy się szuka, a przecież nie znaleziono żadnego z nich”. Sebastian i Julian nie widzieli światła. Sebastian był plecami do okna, a Julian coś robił, patrzył gdzie indziej. A ja siedziałam twarzą do okna. Bardzo wyraźnie widziałam ten błysk.

O której to było?

Szczerze mówiąc, nie wiem. Chyba straciłam poczucie czasu. Ale w ciemnościach błysnęła latarka. O tej porze roku słońce wschodzi wcześniej, tak między czwartą a wpół do piątej. Więc było chyba niedługo przedtem. Uznałam, że to Rosie lub Noel, więc poszłam do drzwi – głównych, od frontu. Nawoływałam, kazałam im wracać, wołałam, że gra już się skończyła. Krzyczałam za nimi. Bez przerwy krzyczałam...

Jak się pani czuje? Chce pani odpocząć?

Poproszę o kawę. Nic mi nie będzie. Yyy... mogłabym dostać filiżankę kawy?

**Fragment zeznania świadka
Sebastiana Holt-Careya złożonego
24 czerwca 1995 roku**

To posiadłość pana rodziców, zgadza się?

Tak.

Rodzice obecnie przebywają za granicą?

Tak. W naszym domu w Grecji. Wyjeżdżają kilka razy w roku.

A pan przyjechał z Cambridge z przyjaciółmi, by uczcić ukończenie studiów?

Zgadza się. Mogłbym zapalić? Jestem...

Proszę. A więc to pańscy przyjaciele. Współlokatorzy, czy tak?

Tak.

Czy rodzice wiedzieli, że państwo tu będą?

Tak. Wiedzą.

Jakiego typu personel jest w domu?

Nikt z pracowników nie mieszka u nas na stałe. Kilka razy w tygodniu przychodzą sprzątaczkі. Mamy co najmniej czterech ogrodników. Główny nazywa się Chester Jones. Mieszka w Ramscoate.

Wczoraj nie było tu nikogo z obsługi?

Tak jest. Nie było nikogo prócz nas.

Myśli pan, że miejscowi wiedzieli o wyjeździe rodziców?

Podejrzewam, że tak. Wie pan, jak żyje się w wiosce. Każdy zna dobrze sprawy sąsiadów.

Czy brama na końcu podjazdu jest zawsze zamknięta?

Zawsze.

A kto zna kod?

Nie wiem. Przypuszczam, że pracownicy i dostawcy. Zapewne zna go też większość miejscowych.

Jak się tu dostać, gdy wysiądzie prąd?

Bramę otwiera się również kluczem.

Kto ma klucz?

Rodzice. Ja. Chester.

Powiedział pan gościom, że zabudowania gospodarcze są zamknięte, zgadza się?

Tak.

Wśród nich drewnitnia, czy tak?

Mhm. Niedawno założyliśmy tam zamek z uwagi na włamania w okolicy. Ktoś się włamuje, wykrada sprzęt. Przez lata wynieśli nam kilka siodła.

Skąd pewność, że wszystko zostało zamknięte? Czy pan to sprawdzał?

Nie. Rodzina wszystko zamyka przed wyjazdem.

Podczas zabawy był pan „poszukiwaczem”?

Tak.

Z czym to się wiązało?

Ze staniem w altance. Pokrzykiwaniem. Kiedy kogoś znaleźli, prowadzili go do mnie. Każdemu z nowych poszukiwaczy dawałem latarkę i żółtą pelerynę. Taka to śmieszna zabawa.

Stał pan w altanie prawie przez całą noc?

Tak. Miałem niezłą ochronę przed deszczem.

A więc gra skończyła się, gdy wysiadł prąd?

Tak. Grzmiało stanowczo za blisko. Ganiecie na dworze byłoby kuszeniem losu, bo w każdej chwili mogło zaważyć się drzewo, a na otwartej przestrzeni może człowieka trafić piorun. Podejmując ostatnią próbę, odnaleźliśmy Juliana na szczycie pergoli i przerwaliśmy zabawę.

Kto go znalazł?

Angela.

Kto postanowił, że wracacie do domu?

To była nasza wspólna decyzja.

O której to się stało?

Około drugiej trzydzieści, przypuszczam.

Co działo się, kiedy weszliście do domu?

Wróciliśmy do salonu, żeby się ogrzać, owinęliśmy się kocami, rozpaliliśmy w kominiku. W szafce była butelka wyborowej whisky, więc pomyślałem, że trzeba się napić za spotkanie. Wyjąłem ją.

Korzystał pan z kluczy?

Tak. Tylko że było strasznie ciemno. Trochę się z nimi szarpałem. Wyjąłem whisky i ją piliśmy. Ludzie pomału szli spać.

Przypomina pan sobie, kto pierwszy opuścił salon?

Wydaje mi się, że Angela. Albo Peter. W którymś momencie wyszła też Theo. Zazwyczaj kiedy pijemy do późna, troszczy się o nas, zanoszą nam wodę do pokoi. Wiem, że zostałem w salonie z Yashem, Julianem i Sooz. Yash dostał mdłości, więc wyszedł. Julian i Sooz posprzeczała się o coś i Julian stwierdził, że się ewakuuje. Sooz i ja dokończyliśmy butelkę i usnęliśmy w salonie.

Widział pan albo słyszał coś niezwykłego?

Byłoby trudno cokolwiek usłyszeć. Deszcz walił w okna, wiatr świszczwał w kominie, taka to była pogoda tej nocy. W pewnym momencie Sooz powiedziała, że gdzieś pod oknem błysnęła latarka.

Pan ten błysk widział?

Nie, nie widziałem. Ale nie byłem... szczególnie skupiony.

O której to było?

Nie mam pojęcia. Był z nami Julian, wydaje mi się. Pamiętam tylko, jak Sooz mówiła, że zobaczyła światło, i jak wołała za Noelem i Rosie, ale nikt nie odpowiadał. Prócz tego nic więcej. Później pamiętam dopiero rano. Nade mną stała Theo z kubkiem herbaty, mówiąc, że powinniśmy iść ich poszukać.

Obecnie jest pan pod wpływem alkoholu?

Tak, jestem. Dzisiaj wolę nie być trzeźwy.

Najlepiej byłoby zamiast tego napić się herbaty albo kawy. Może by pan coś zjadł.

Nie, dziękuję.

Dobrze. Może pan wrócić do reszty. Dziękuję.



XII

Deszcz. Obiecany angielski deszcz – niekończąca się mżawka i stalowe chmury. Tak to wyglądał poranek za oknem.

Ranki po napadzie paniki są zwykle dziwne w swej zwyczajności. Kilka godzin wcześniej wszechświat rozpadał się jak domek z kart, a gdy już nadszedł dzień, wszystko wróciło na dawne miejsce. Wyjawszy zmęczenie, Stevie czuła się dobrze. Lęk czasem bywa dziwnym świrem.

Poza tym rzecz jasna straciła noc z Davidem w Londynie. Zaprzepaściła ją oszołomiona lękiem i tabletką. Oczywiście zdaniem Davida nie byłby to powód do zmartwienia. Miniony wieczór nie całkiem się udał, ale też nie był kompletną porażką. „Dziś pójdzie lepiej”.

Dziś – zgodnie z harmonogramem – znów mieli przed sobą pełno wycieczek. Stevie zbudziła się późno, więc szybko wzięła zimny prysznic i wciągnęła bluzę i dżinsy. „Kiedyś w tym względzie się bardziej postaram, dzisiaj to jeszcze nie jest ten dzień”. Na podeszwie lewej stopy zrobił jej się dokuczliwy bąbel, więc wetknęła do buta złożoną chusteczkę. Nie było to najlepsze rozwiązanie, ale na razie musiało wystarczyć.

– Co z tobą? – spytał Nate, gdy wychodziła. Oparty o drzwi swojego pokoju, miał na sobie skosmacyony, wyciągnięty brązowy sweter i poplamione dżinsy. Szare angielskie światło bardzo do niego pasowało. To światło dla odludków, duchów, księżąt i chuliganów. I dla pisarzy.

– Okej – odparła.

– Zachorowałaś? – spytała Janelle, wychodząc na korytarz z Vi. Postarały się jak zwykle. Vi włożyła fioletowe ogrodniczki i srebrnoszary golf. Janelle – wydziergany własnoręcznie kosmaty, prześwitujący czerwony sweter i dopasowaną do niego kolorystycznie czapkę.

– To tylko napad lęku – odrzekł Stevie. – Już nic mi nie jest.

Vi ścisnęła rękę Stevie, żeby dodać jej otuchy. Po chwili znaleźli się na tłocznych ulicach. Ranek był zimny, jak to w Londynie.

– Wsiadamy do autobusu – oznajmiła Janelle. – Rozpracowałam mapę. Jedziemy do Westminsteru, a to niedaleko. Większość zabytków, które dziś zobaczymy, jest blisko siebie.

Na przystanku dołączyli do gromady osób dojeżdżających do pracy. Wgramolili się do autobusu i wspięli na piętro. Zdobyli przednie siedzenia i otrzepali z papierków po cukierkach i plastikowych butelek, aby już nic ich nie rozpraszało. Mieli stąd dziwną, zmienną perspektywę Londynu – i co rusz ulegali złudzeniu, że sunący naprzód autobus wsysa rowery i auta, tak jak wieloryb pochłania wszystko, co napotka na drodze.

Zaczynali w opactwie westminsterskim, o którym Stevie słyszała nieraz, lecz nigdy nie znalazła czasu, żeby o nim pomyśleć. „Opactwo” brzmiało tak, jakby mieszkali tam mnisi lub zakonnice, a okazało się ogromną katedrą. Kolejny dzień, w którym kolejny przewodnik ekscytował się datami

i murami, jak również mężczyznami o imionach Henryk i Edward. Jak inne, widziane już tu przez nią budowle, opactwo było dziełem Henryka III, który miał taką obsesję na punkcie Edwarda Wyznawcy, że musiał upamiętnić go aż katedrą. Gdy ją zbudował, pochował w niej Edwarda, ułożył na wielkim posztumencie, który z upływem czasu ogolocili z ozdób modlący się przy nim wierni.

– Tak bywa, gdy fani się rozbestwiają – rzekł Nate, patrząc na grób i bezmiar sufitu. W olbrzymiej katedrze człowiek miał czuć się mały. Świątynia zdaje się piąć ku niebu. Budzące groźne echo organów, ulotny, nieziemski szmer głosów wkoło. Człowiek gubi się w tym, stopniowo ginie. Przestrzeń napiera – znaj swoje miejsce. Bez względu na to, jakbyś się starał, ktoś tu ma większą władzę niż ty.

W tym miejscu również, jak poinformował ich przewodnik, spoczywa wielu angielskich władców oraz osobistości nauki i kultury. Pochowano ich tutaj ponad trzy tysiące, a jeszcze więcej uwieczniono w marmurze, kamieniu i szkle. Nagrobne rzeźby królowych i królów wyobrażają ich odpoczywających. Można więc zrobić i robi się chętnie selfie z królową Elżbietą I.

Przeszli na drugą stronę pod pałac westminsterski, siedzibę parlamentu. To miejsce, w którym nie wykonywano egzekucji, tylko o nich decydowano.

Następna przerwa. Następna kanapka. Obowiązkowe zdjęcia z wielkimi lwami pod kolumną Nelsona. Zwiedzanie National Gallery w biegu, w przepoconych ubraniach. Kulejąc, Stevie wciąż poprawiała chusteczkę w bucie, która uparcie usiłowała się z niego wydostać. W końcu wyjęła ją z myślą, że jakoś przecierpi ból.

Sztuka, sztuka, sztuka, sztuka, sztuka, sztuka. W którymś momencie wszystko straciło sens w nadmiarze bodźców i informacji, które musieli odfajkować.

– Na liście mam jeszcze dwadzieścia jeden uczelni – oznajmiła ni stąd, ni zowąd Janelle.

– Co? – Vi studiowała mroczną martwą naturę z owocami. „Trudno powiedzieć, czy ją naprawdę interesuje”. Jak nikt umiała przybrać wyraz obojętnego zaciekawienia. Marzyła jej się praca na rzecz naprawy świata, wymagająca udziału w kongresach poświęconych nudnym sprawom i prowadzenia rozmów ze straszonymi ludźmi, więc beznamiętne spojrzenie opanowała do perfekcji. Był to jej dar.

– Tak sobie myślę. Dwadzieścia jeden uczelni. Siedem w Bostonie... nie samym Bostonie. W Massachusetts. Muszę zawęzić listę.

– Okej.

Czując, że temat uczelni w tej chwili niezbyt ciekawi Vi, Janelle zwróciła się do Nate'a.

– Za dużo ich, prawda? – spytała. – Nie mogę składać aż tylu podań. To obłąd.

– Według mnie spoko – odparł Nate, który na płótna z owocami patrzył kompletnie niewzruszony. Nate znosił wszystko przy założeniu, że za godzinę coś zje, a w niedalekiej przyszłości dane mu będzie побыć samemu.

– Gdy odpowiedzą, znów będę musiała decydować, więc lepiej okroić listę od razu. Znaczy: nie twierdzą, bym się dostała na wszystkie...

– Dostaniesz się – ucięła Vi.

– ...no, ale gdyby, musiałabym to ogarnąć. A ponadto opłata za przyjęcie tych podań wyniosłaby około dwóch tysiąków. Nie wspominając o pisaninie itede. Czuję... że może... Siódemka jest niezłą liczbą? Albo dziesiątka? Do ilu startujesz?

– Na razie nie wiem – odrzekł Nate.

– Tak, ale nie do dwudziestu jeden, prawda?

– Mhm – przyznał.

Janelle nie wciągnęła do rozmowy Stevie, pewnie dlatego, że Stevie pochłaniał obraz ze stojącą wokół stołu grupką mężczyzn w czerni, w ogromnych kapeluszach. Po cóż ją pyta o uczelnię? To

jakby spytać o zdanie na temat inflacji jednego z miliardów gołębi na Trafalgar Square.

Stevie uradowała się, kiedy zabuczał jej telefon i zobaczyła esemesa od Davida.

„Gdzie teraz jesteście?”

„W National Gallery” – odpisała.

„Niedługo kończycie? Bo czekamy przed wejściem”.

„Czekacie?”.

Stali na schodach. David i roztrzęsiona Izzy w różowym płaszczu oversize.

– Musicie mi pomóc – rzekła Izzy. – Ciotka Angela zaginęła.

– Zaginęła? – powtórzyła Janelle.

– Zniknęła. – Izzy kiwnęła głową. – Od tamtego wieczoru nie odpowiada na wiadomości. To nie w jej stylu. Odpowiada mi zawsze. Więc poszłam do niej dziś po południu, by sprawdzić, co się z nią dzieje. Wchodzę do domu... Jej nie ma. Naczynia, jedzenie z naszego spotkania nieposprzątane. Ciotka nie zostawiłaby tego na wierzchu. Coś tu jest nie tak! Zajrzałam do tabletu na esemesy... Spójrz.

Wyjęła z torby tablet i pokazała Stevie część długiego łańcucha wiadomości z wieczoru, w którym odwiedzili Angelę.

21.23. ANGELA: Chciałabym zaproponować spotkanie. Może w ten weekend? Sądzę, że powinniśmy pogadać. Seb, Merryweather jest wolne?

21.23. ANGELA: Nie pytałabym, gdyby nie było to ważne.

21.27. SEBASTIAN: Tak, dom jest wolny i pewnie w ten weekend się uda. Co się dzieje?

21.28. THEO: W razie czego mogłabym nagłośnić rzecz w mediach. Czy coś jest nie tak? Dobrze się czujesz?

21.29. SOOZ: W tej chwili siedzę za kulisami. W sobotę wieczór mam spektakl, ale w niedzielę nie gramy. Co się dzieje?

21.31. PETER: W ten weekend mam zabrać dzieci do Świata Świnki Peppy, ale chętnie zrezygnuję.

21.31. PETER: Co się dzieje?

21.32. THEO: Ange?

21.33. SOOZ: Ange, nic ci nie jest?

21.41. YASH: Brzmi to poważnie, Ange. O co chodzi?

21.45. ANGELA: o to, co się stało.

21.45. ANGELA: musimy pogadać

21.46. ANGELA: i lepiej z tym nie zwlekajmy.

21.46. ANGELA: Miała guzik.

21.47. THEO: ?

21.48. SOOZ: ?

21.48. YASH: Guzik?

21.49. PETER: co?

21.50. SOOZ: Muszę wracać na scenę. Niech ktoś mi wyjaśni, co się dzieje.

21.51. SEBASTIAN: Możesz do mnie zadzwonić?

21.55. THEO: Ange?

21.57. THEO: Ange możesz odebrać?

21.58. PETER: Właśnie też zadzwoniłem i odezwała się poczta głosowa.

22.16. SOOZ: Wróciłam. Czy ktoś mi może powiedzieć, co się dzieje?

- 22.18. YASH: Gubię się, nie mam najmniejszego pojęcia.
22.21. JULIAN: Jestem u kogoś na kolacji. Czy coś się stało? Co się dzieje? Mam co sekundę nową wiadomość.
22.22. THEO: Ange zadzwoń kiedy się rozłączysz.
22.24. SOOZ: Kto z was z nią rozmawia?
22.25. YASH: Ja nie. Ktoś może wie, co się stało?
22.26. PETER: Ja nie.
22.27. JULIAN: Co nie tak z Ange? Muszę wracać do stołu.
22.29. THEO: Ange, proszę zadzwoń.

– Dalej to samo – powiedziała Izzy. – Wiadomość za wiadomością z pytaniem, gdzie jest. Między innymi ode mnie.

– Co to za guzik? – spytała Stevie, przewijając stronę w dół.

– Nie mam pojęcia – odparła Izzy.

– Nie jest to jakiś brytyjski idiom?

– Nie.

„Izzy ma rację. Wygląda to kiepsko”.

– Więc pomyślałem – odezwał się David – że moglibyśmy się przydać. Pójść do jej domu i się rozejrzeć, sprawdzić, czy jest coś podejrzanego. W sumie to jakby twoja działka.

Uśmiechnął się nad wyraz czarująco. Istotnie – Stevie wkraczała w cudzą przestrzeń, co się wiązało z jej życiową pasją. Robiła to nieraz w Akademii Ellinghama, kiedy doszło tam do zbrodni i zaginięcia. Zdarzyło jej się zrobić to Davidowi, który czasami jej to wymawiał. Jej pęd do badania cudzych przestrzeni był dla nich zarówno poważną sprawą, jak i przedmiotem żartów. „Niefajnie, że mówi o tym tak lekko”. Tak czy inaczej Stevie stwierdziła, że dobrze będzie się tam rozejrzeć.

– Możemy chwilę pogadać? – zwróciła się do Izzy. – Musimy ustalić, co robimy.

– Jasne. Jasne!

Stevie odeszła na bok z Natem, Janelle i Vi.

– Myślisz, że coś jest na rzeczy? – spytała Vi.

– Nie wiem – odrzekła Stevie. – Angela przeszła potworną traumę. Później coś plotła na środkach przeciwbólowych. W każdej ze znanych mi historii zbrodni... każdy, kto doznał takiego szoku, ma hipotezy, chce to rozwikłać. Była na haju. Naprawdę nie wiem.

– Ale zniknęła – wskazała Vi.

– Ludzie świrują – odparła Stevie.

– Gdy ktoś świruje, trzeba mu pomóc, więc idź i działaj – rzuciła Janelle. – A my sklecimy dzisiejszy raport.

Nadeszła pora, by przetrząsnąć dom.



XIII

Przed zacisznym domkiem w Islington czekał But. Donośnie miaucząc, ocierał im się o kostki jak szalony. Izzy podniosła go z ziemi.

– Biedactwo! Patrzcie. Głodne. Przerażone.

Lecz But najwyraźniej był w świetnym nastroju. Mruczając, przytulił się do twarzy Izzy, a potem wsunął jej pyszczek pod sweter.

Izzy wyjęła klucze i wpuściła ich do domu. Kiedy wchodzili do ciemnej sieni, Stevie potknęła się o coś i chwyciła ściany. Spojrzała pod nogi i zobaczyła wielki stos poczty, wśród niej błyszczące ulotki Domino's Pizza.

– Widzisz? – rzekła Izzy, wyciągając jej spod stopy komunikat samorządu lokalnego. – Dzisiejsza korespondencja. I patrz, jej płaszcz i torba zwykle są tutaj. – Wskazała kołki przy drzwiach wejściowych.

Panował tam spokój właściwy domom, które choćby na chwilę zostawi się samym sobie. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak w chwili ich wyjścia tamtego wieczoru. Na stoliku do kawy były ślady po kubkach i garść okruszków – tam, gdzie jedli kolację.

W kuchni zostały resztki dań na wynos, torba i pojemniki. Na pewno było to ich zamówienie – na paragonie przypiętym do torby widniało imię Izzy. W zlewie piętrzyły się brudne talerze z plamami z curry, oblepione ryżem. Obok stały kubki po herbacie i półotwarta paczka ciasteczek.

– Nie umyła talerzy – zauważyła Izzy. – To nie w jej stylu. Przed wyjściem nigdy ich tak nie zostawiła. I żywność musiała mieć schowaną.

Ogólny stan kuchni dobitnie wskazywał, że Izzy nie kłamie: Angela jest schludna. Na czystym stole stała ozdobna pasiasta misa, pełna pomarańczy i jabłek. Stevie otwierała szafki i zaglądała do środka. Była w nich fura przeróżnych kubków, a wszystkie stały tam, gdzie powinny. „W tym domu naczynia myje się szybko, nic nie zasycha, nie wabi much. Tu się nie czeka, aż zarosną pleśnią. Wiadać, że nagle dom wypadł z rytmu”.

But przerożliwie jęczał nad miską, więc Izzy wzięła saszetkę karmy. Zaczął jeść, ledwie mu jej nasypała, głośno ciamkając, zadowolony. „Izzy się chyba nie omyliła. Kot je łapczywie” – myślała Stevie. „Na pewno dotąd nie zaznał głodu, karmę dostawał zawsze na czas”. Przejrzała salon i przystanąła przed fantazyjnym drapakiem w kącie. Wszędzie wały się kocie zabawki. Kuweta w łazience buchała smrodem, przepelniona odchodami.

Sterie ponownie obeszła parter. „Okna – zamknięte i zablokowane”. W kuchennym była klapka dla kota wiodąca na dach podpiwniczenia, lecz żaden człowiek nie mógłby się zmieścić w zaledwie kilkucalowym otworze.

– Co jest pod tym mieszkaniem? – spytała Stevie. – Inne mieszkanie?

– Nie – odpowiedziała Izzy. – Ktoś wynajmuje piwnicę na skład. Prowadzi firmę cateringową, trzyma tu zapasowe krzesła i stoły.

– Sprawdzalaś piętro? – zapytała Stevie.

– Jasne! Sprawdziłam cały dom. Pokażę ci.

Domowe biuro Angeli mieściło się na półpiętrze. Była to nieduża przestrzeń z szafami na dokumenty, stosami książek oraz tablicami z korka pełnymi notatek, wizytówek i zdjęć. Na biurku leżał otwarty laptop. Stevie zbudziła go dotknięciem. Zażądał hasła.

– Znam je – rzekła Izzy, siadając. – Kiedyś zdarzyło mi się skorzystać z laptopa ciotki, gdy zawieruszyłam telefon. Brzmi „Kleve”. Tak jak w Anna z...

– Anna z?

– Anna z Kleve. Czwarta żona Henryka VIII. Ta, która miała szczęście. Ale już tu szukałam. Otworzyłam każdy folder i plik. Nie ma tu nic prócz uwag do scenariuszy, no i fragmentów książki, nad którą właśnie pracuje. Przejrzałam wszystkie maile, też nic godnego uwagi. Z terminarza wynika, że za dwa dni ma spotkanie w BBC.

– A co z historią wyszukiwania? – spytała Stevie.

Sprawdziły. Internetowe życie ciotki okazało się prozaiczne. Aktualizowała profile w mediach społecznościowych. W sklepach szukała chodników i akcesoriów dla kota. Na stronach kulinarnych – prostych przepisów. Zamawiała posiłki online. Opłacała rachunki. Szperała w bibliotekach i archiwach w związku z dynastią Tudorów. Nie robiąc sobie zbyt wielkich nadziei, Stevie skopiowała historię i wysłała do siebie.

Szuflada z dokumentami, której poświęciła dłuższą chwilę, zawierała faktury za media, ubezpieczenie i paszport.

– Nie wyjeżdżała za granicę. – Stevie podniosła paszport.

Później skontrolowały sypialnię Angeli. Na krześle leżało kilka ubrań, a łóżko było pościelone i ozdobione srebrną poduszką.

– Skoro już mamy się rozejrzeć – rzekła Stevie – to gruntownie. Chodzi mi o szuflady, w ogóle wszystko.

Razem z Davidem, który do nich dołączył, pootwierali szuflady, szafki i schowki. Nie było w nich nic niezwykłego. Stevie zlustrowała łazienkę. Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że Angela wyszła z domu niedługo po ich wizycie i już nie wróciła.

– Sami widzicie – wskazała Izzy. – Wyszła po naszym spotkaniu. Boję się, że coś palnęliśmy... że ja palnęłam... coś, co ją rozdrażniło. Wiercie mi, to nie w jej stylu. Nigdy nie wyszłaby, nie uprzedzając mnie o tym.

Izzy i David spojrzeli na Stevie wyczekująco. Wszyscy liczyli, że coś zrobi – wyczaruje królika z kapelusza. A ona widziała tylko dom z zaginioną właścicielką. Wróciła do łazienki, próbując udawać, że coś jej świta. Pomacała ręczniki (były suche) i otworzyła apteczkę (normalne rzeczy, żadnej trucizny). Sprawdziła szczoteczkę do zębów – bardzo szpanerską, elektryczną z aplikacją na telefon.

Nielatwo odgrywać genialną detektyw.

– Jest jeszcze pokój pudeł – oznajmiła Izzy.

– Pokój pudeł?

Izzy zabrała ich z powrotem na korytarz. Sięgnęła do – niezauważonej przez Stevie – kłapy w suficie i pociągając ją w dół, otworzyła składane schody. Stevie wspięła się do włazu.

Szumne określenie „pokój pudeł” miało niewiele wspólnego z rzeczywistością. Był to rodzaj pawlacza z półkami na trzech ścianach, którego pochyły strop uniemożliwiał wyprostowanie się. Na półkach stały kartony pełne papierów i segregatorów. Były tam płaskie pudła z dokumentacją

historyczną oznaczone takimi naklejkami jak „Izba Gwiazdzysta, kopie głównych dokumentów”, „Thomas Cromwell 1517–1518”, „Dzieje marynarki wojennej, notatki z wykładów”.

„Gromadzi tutaj wszelkie materiały źródłowe. Nic w tym dziwnego, przecież utrzymuje się z badań”.

Stevie usiadła, a Izzy i David wcisnęli się obok niej. Znaleźli karton z materiałami z pobytu w Cambridge – katalogi kursów, sylabusy, wydruki prac naukowych, a także pudło scenariuszy Dziewiątki, pozostałości wydruków z archaicznego komputera. Angela zarchiwizowała cały przebieg swoich studiów nad podziw drobiazgowo.

Zadzwoił telefon Stevie. „Quinn. Naturalnie. Wieczorna rozmowa”.

– Tak, słucham – odebrała Stevie, próbując przybrać swobodną minę.

– Gdzie jesteś?

– W domu historyczki – odpowiedziała.

– Tej, co ostatnio?

Zawsze, gdy możesz, mów prawdę. Kłam, kiedy to konieczne. Była to prawda.

– Wyglądasz, jakbyś siedziała w jej szafie.

– Siedzę na strychu... właściwie w archiwum. Pozwoliła mi przejrzeć swoje badania.

Pogmerawszy prędko wokoło, Stevie znalazła wydrukowany na wiekowej drukarce esej pod tytułem *Anglia w okresie rozwiązywania klasztorów*.

– Interesują cię Tudorowie? – spytała doktor Quinn.

– Tak – odrzekła Stevie. – Zwiedzając Tower, zaciekałam się... Henrykiem VIII. To jakby epoka zbrodni, prawda? Był w gruncie rzeczy mordercą. No bo jak nazwać kogoś, kto zabija dwie swoje żony?

Refleksję tę skradła Angeli z myślą, że chybaby się nie pogniewała.

– Fascynujące. Pracujesz sama?

– Nie – odpowiedziała Stevie. „Jest ze mną David, ale też Izzy”. Omiotła kamerką przestrzeń wokół siebie, by pokazać ich Quinn. – Pracujemy wspólnie – wyjaśniła. – To Izzy. Jest bratanicą Angeli. Studiuje z Davidem.

Długie milczenie.

– W ciągu najbliższych kilku dni spodziewam się twoich przemyśleń na ten temat – rzekła doktor Quinn w końcu. – I może włączymy część dziejów dynastii do waszego projektu.

– Zdecydowanie – odparła Stevie, potakując. Zaszło jej w ustach, więc uśmiechnęła się mdło.

– Myślisz, że uwierzyła? – zapytał David po zakończeniu rozmowy.

– Myślę, że nie ma pewności. Chyba nie. Ale siedzenie nad esejami to nie zbrodnia, tak że nie ma się do czego przyczepić.

„W tej chwili to nieistotne. Na razie siedzę jak ta idiotka wśród sterty cudzych zadań domowych”.

– Mówi ci to coś?

Izzy spojrzała na Stevie z nadzieją, jakby liczyła, że znajdzie ciotkę w jednym z kartonów.

„Nie mówi. Całe mieszkanie wręcz milczy. Co tu w ogóle jest? Historia sprzed wieków, brudne naczynia i głodny kot. O co by teraz spytał detektyw? O partnera. No jasne”.

– Kto jeszcze jest w jej życiu? – spytała Stevie. – Spotykała się z kimś?

– Miała męża. Marvin jest w porządku. To dziennikarz BBC. Mieszka w Hongkongu. Nie widują się od lat, chociaż rozeszli się bez złości. Rozstali się, bo wiecznie był w rozjazdach, a ona tutaj.

– Ktoś jeszcze?

Izzy pokręciła głową.

– A co z rodziną? Angela jest siostrą twojej mamy?

– Tak... – Izzy na moment ściągnęła wargi. – Ale mama umarła, kiedy byłam małym dzieckiem. Zbliżyłam się do Angeli, odkąd się tutaj przeniósłam. Tato by raczej nie wiedział, gdzie mieszka. Jestem jedyną, która to wie. Nie znam nikogo z jej współpracowników. Zostaję więc ja, no i jej przyjaciele.

Stevie uszczypnęła się w nos i przejechała dłonią po twarzy.

„Zalutuję kurzem i starymi papierami, a do tego wyczerpały mi się pomysły”.

– Odlóżmy to na miejsce – powiedziała.

Przywróciwszy porządek w pokoju pudeł, zeszedli po schodkach i wrócili na parter. Stevie obeszła kilka razy salon, rozglądając się z uwagą. „Co tutaj widzę? Czego się dowiaduję?... Zamurowany kominek z pięknymi płytkami art déco. Książki. Misternie wzorzysta tapeta. Woń nieswieżego jedzenia i kocich odchodów”.

Omał nie zapomniała o rzeczy najważniejszej.

– Śmieci – rzuciła.

– Wynieśmy je może.

– Nie, nie – odparła. – Są nam potrzebne.

Wrócili do kuchni i włączyli wszystkie lampy. W kącie stał srebrny kosz pedałowiy i dwa dodatkowe do segregacji odpadów. Na zlewie leżały rękawice do zmywania. Chwyciwszy je, Stevie zjechała do szafki pod zlewem. Wyciągnęła rolkę worków na śmieci i oderwała kilka.

– Rozłóżcie je – nakazała Davidowi i Izzy.

Już po chwili podłoga została zasłana plastikowymi workami na śmieci. Stevie podniosła srebrny kosz. Śmieci w nim gnily od kilku dni, więc wydzielaly już niezły fetor. Paskudny, kwaśny i przenikliwy, toteż skrzywiła się odruchowo. Wyjęła worek i wysypała jego zawartość na podłogę. Kosze do recyklingu opróżniła metr dalej.

– Jak teraz wróci – powiedział David – na pewno będzie oczarowana.

Stevie włożyła rękawice i na kolanach zaczęła przeglądać śmieci. „Śmieci to istna archeologia. Śmieci zawsze powiedzą ci prawdę”. Najpierw recykling. „Wszystko jest czyste. Posortowane jak należy. Pozdejnowała wieczka i zgnotła pudełka”. Było tam dziewięć pustych butelek: dwie po winie i siedem po wodzie gazowanej. Co najmniej tuzin pojemników po daniach garmażeryjnych – zupach, lazaniach, rozmaitych sałatkach. „Pożywienie singielki, mocno zapracowanej”.

Śmieci z pewnością wyrzucono niedawno, bo w worku było ich niewiele. Folia termokurczliwa z jakiegoś opakowania. Przeżuta sznurówka. Dwa paragony z Bootsa, tutejszej dużej sieciówki. Ostatnio Angela złapała przeziębienie. Kupiła środek udrażniający górne drogi oddechowe i dropy na gardło. Plus płyn do mycia i szczoteczkę do zębów. Nic, co budziłoby podejrzenia.

Stevie opróżniła pojemnik na odpadki organiczne. Zawierał resztki jedzenia i tonę torebek po herbacie.

– Wypija jej hektolitry. – Szturchnęła ohydny stos. – Posiłków nie je do końca, jak widać.

But, który z zaciekawieniem śledził bieg wypadków, wybrał ten właśnie moment, by wkroczyć do akcji. Przyważywszy kawałek kurczaka, porwał go i zwiął.

– O nie, Buciku! – krzyknęła Izzy. – Zostaw to, jeszcze się pochorujesz!

Wybiegła za nim. David przykucnął. Spojrzał na Stevie zza sterty śmieci.

– Te nasze randki są super, prawda? – rzekł bez humoru. Stevie przytaknęła. – Co o tym sądzisz? – zapytał cicho, podnosząc głowę, by sprawdzić, czy nie są słyszani. Lecz nie miał powodu do obaw, Izzy ganiała po salonie, donośnie nawołując Buta.

– Wydaje mi się, że... po prostu wyszła. – Stevie wskazała niezbity fakt. – Brak śladów włamania. Brak śladów walki. Wygląda na to, że zjedliśmy z nią kolację, a potem gdzieś wyszła. Prosiłeś, abym

sprawdziła, więc sprawdziłam.

Kiwnęła głową w kierunku przegrzebanej sterty śmieci.

– No tak – przyznał David.

„Jaki ton pobrzmiwa w jego głosie? Przygnębienia, ale czemu? Zawaliliam. Oto ta wspaniała Stevie, która wpada i ujawnia, nie ma nic. Nie dokonałam cudu. Rozsypałam tylko śmieci. Całą kopę...”. Chciała coś odpowiedzieć, wytłumaczyć się, ale gdy już otwierała usta, zawołała ich Izzy.

– Chodźcie tu szybko!

W salonie zastali Izzy na czworakach na podłodze – za fotelem, który stał w kącie w miejscu, gdzie schody stykały się ze ścianą. Wyczołgała się zza niego i spojrzała na nich.

– But przywłókł tutaj kostkę z kurczaka. Jest tu otworek. Zobaczcie.

Odsunęła fotel od ściany. Boazeria pod schodami była oklejona tapetą w bujne palmy, a w rogu odstawała na kilkanaście centymetrów, wystarczająco, by mógł się tam wcisnąć sprytny kot. Obmacawszy ją, Izzy znalazła zawiasy drzwiczek niewielkiej szafki.

– Nie miałam o tym pojęcia – rzekła. – A więc to tu jest odkurzacz. I tutaj But trzyma lupy.

Stevie schyliła się, żeby zajrzeć do środka. Jak należało się spodziewać, But urządził tam małą skarbnicę. Zabawkowa myszka. Zad i ogonek prawdziwej. Torebka po herbacie. Dwa guziki. Zmięta chusteczka. Brudny patyczek do uszu. Ogołocona z winogron lodyżka.

Izzy wyciągnęła odkurzacz i wetknęła głowę do otworu. Wywlokła z szafki ciężką, masywną akówkę.

– Popatrzcie – powiedziała, ciągnąc ją na środek sa-lonu.

– Ognioodporna – stwierdziła Stevie. – Do przechowywania papierów. Ten model nie ma zamka na klucz, tylko na szyfr. – Znasz szyfr przypadkiem? – spytała Izzy.

– Niestety nie. Pierwszy raz widzę ją na oczy. Co się właściwie w niej trzyma?

– Zazwyczaj ważną dokumentację – odpowiedziała Stevie. – Testamenty. Paszporty. Rejestry. Ogólnie istotne pisma. To zasadniczo rodzaj sejfów, chroni zawartość przed powodzią i pożarem.

– Takie papiery Angela chyba trzyma w biurze. Więc co jest tutaj?

– Bez szyfru się nie dowiemy.

– Ludzie z reguły wymyślają banalne hasła i szyfry – rzekł David. – Hasło, które naprawdę zabezpiecza, to rzadkość. Którego się urodziła?

– Dziewiątego lutego.

– Więc „zero dwa zero dziewięć”. – Stevie wybrała cyfry. – Nie. To odwrotnie. „Zero dziewięć zero dwa”.

„Przecież to Anglia. Tu stale coś jest na opak”. Spróbowała obu wariantów. Na próżno.

– Rok urodzenia?

– Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty czwarty. – Izzy musiała odliczyć wstecz.

I to nic nie dało.

– Okej. – Stevie podniosła się i obesza salon, uważnie patrząc na półki. – Jest historykiem. Historia to mnós-two dat.

– Nic, tylko daty – zaznaczył David.

– Tak, ale siedzi w Henryku VIII, prawda?

– Specjalizuje się w Tudorach – odpowiedziała Izzy. – Czyli... – Zajrzała do komórki. – W okresie między tysiąc czterysta osiemdziesiątym piątym a tysiąc sześćset trzecim.

Spróbowali tych dwóch dat – daremnie. Nie sprawdziła się też koronacja Henryka VIII, ścieście Anny Boleyn i objęcie tronu przez Elżbietę I. W końcu zaczęli wybierać wszystkie kolejne lata epoki.

– A tysiąc sześćdziesiąty szósty? – rzuciła Izzy. – To ważny rok w dziejach Anglii. *Tysiąc sześćdziesiąty szósty i takie tam*¹³. – Nie były to jednak te cyfry.

– Ta grupa teatralna... – przypomniała sobie Stevie. – Nazywała się Dziewiątka. Pokombinujmy.

Jedyny wariant, który im się nasunął, brzmiał „dziewięć dziewięć dziewięć dziewięć”. Nie dał nic, tak jak „jeden dziewięć dziewięć pięć” – rok ukończenia studiów i imprezy w Merryweather. Stevie wybrała jeszcze „jeden dwa trzy cztery”, sprawdzając, czy Angela nie zachowała szyfru fabrycznego. Nie zachowała. „Aktówka nie chce nam zdradzić swoich tajemnic”.

– Czy moglibyśmy otworzyć ją siłą? – zapytał David.

Stevie wzruszyła ramionami na znak, że warto podjąć taką próbę, zaczęli więc się rozglądać za czymś do podważenia zamka. Niebawem w schowku na narzędzia znaleźli duży płaski śrubokręt. Choć próbowali kolejno wszyscy, aktówka się nie poddała.

– Bardzo solidna – orzekła Stevie. – Nie do zniszczenia. To świetny projekt.

– No i co teraz? – spytała Izzy, przybita. Niemożność otwarcia aktówki, rozgardiasz i rosnące obawy o ciotkę doprowadziły ją łez.

– Zabierzemy ją ze sobą – zdecydowała Stevie. – Jeśli Angela się odnajdzie, to przyniesiemy z powrotem. Tak czy siak, dalej próbujemy otworzyć. Dobrze?

Izzy ochoczo przytaknęła.

– Ale na pewno – rzekła – da się coś jeszcze podziałać. Jutro pomówię z policją. Obeszłam teren i nawet już byłam u kilku sąsiadów. Sprawdzałam, czy coś widzieli albo słyszeli, ale nie. Co ja tam wiem? – Z błagalną miną spojrzała Stevie prosto w oczy.

„Trzeba jej pomóc. Nie mogę jej tak zostawić. Zawiodłam w domu, a ona wciąż we mnie wierzy. David tak samo. Myśl, Stevie, główkuj, co robić. Dalej!”

– Sądzi, że jedno z jej przyjaciół popełniło morderstwo – rzekła Stevie. – Rozesłała do nich esemesa, że powinni się spotkać. Wspomina o jakimś guziku, pyta, czy Merryweather jest wolne. Więc to dotyczy Dziewiątki. Znasz któreś z nich?

– Trochę – odrzekła Izzy. – Widywałam się z Theo. Była tu kilka razy po operacji Angeli, żeby ją zbadać. Wiesz, jest lekarką. Z pozostałymi zetknęłam się wprawdzie przelotnie, ale znam ich. Słabo, ale znam.

– Skoro tamtego wieczoru rozmawiali z Angellą, teraz my musimy z nimi pogadać. Byli ostatnimi osobami, z którymi się kontaktowała, i brzmi to tak, jakby chciała się z nimi zobaczyć. Są w mieście?

– Yyy... Zaraz... – Izzy namyślała się. – Theo tak. Sooz też. Wydaje mi się, że Peter i Yash tak samo. Julian chyba jest posłem w Yorku czy gdzieś indziej na północy. Sebastian mieszka w Merryweather, czyli w pobliżu Cheltenham. Więc czworo z nich jest Londynie.

– Dobra... – Stevie podrapała się po czole w zadumie. – Musimy z nimi porozmawiać. Tylko że... teraz. Jak najszybciej. Możesz do nich napisać? Spytaj, czy zgodzą się z nami spotkać. Najprędzej, jak będą w stanie.

– Jasne – odparła Izzy, wyjmując tablet. Chwilę pisała jak szalona. – Jutro Theo pracuje dwanaście godzin – powiedziała. – Sooz... ma wieczorem spektakl. Mogłaby po południu. A... Yash... Yash i Peter. Piszą, że przyjdą do Sooz. I tam się z nimi spotkamy. O drugiej?

Podniosła głowę z nadzieją.

„Druha to dla nas środek ściśle ułożonego dnia. Dołożę starań, by się udało”.

– O drugiej – odrzekła Stevie. – Dokąd jedziemy?

**Fragment zeznania świadek
Theodory Bailey złożonego
24 czerwca 1995 roku**

Zechce nam pani opowiedzieć, co się działo tego ranka od chwili, kiedy pani się zbudziła?

Tak. Yyy... Obudziłam się około wpół do dziewiątej. Spać położyłam się około trzeciej, więc byłam jeszcze zmęczona, ale... nie umiem się wylegiwać. Zeszłam na dół i posprzątałam trochę kuchnię. Później zaczęłam chodzić po domu, sprawdzałam, czy wszyscy dobrze się czują. Znaczy, czy ktoś się nie pochorował.

Gdzie byli?

Angela, Yash i Peter w swoich pokojach. Sebastian i Sooz spali w salonie. Julian był w bibliotece.

Skutki imprezy?

Właśnie. Więc zaglądałam, pukałam do drzwi. Nie mogłam odnaleźć Rosie i Noela, chociaż obezłam chyba każdy kąt. Reszta już wstała i była głodna, stwierdziłam, że pora, by ktoś ich poszukał. Spędzili noc na dworze. Uznałam, że gdzieś padli. Chciałam sprawdzić, czy coś im... O Boże... Mogę się napić wody?

Jest pani w stanie mówić dalej?

Mhm, już tak. Wzięłam Sebastiana, bo dom należy do niego. Wyglądał tak, że pomyślałam, że przyda mu się świeże powietrze. Najpierw poszliśmy do ogrodu na froncie, a stamtąd do altany. Pokręciliśmy się po francuskich ogrodach od strony oranżerii. Obeszliśmy tył, sprawdziliśmy pawilon przy korcie. Później ruszyliśmy wśród drzew do drewni.

Przykro mi, ale jestem zmuszony o to spytać. Jak wyglądało miejsce zbrodni, kiedy tam dotarliście?

Oczywiście. Rozumiem. Drewnia jest tuż za podjazdem. Między drzewami. Leżały tam taczki. Na ziemi. Przed drewnią. Wywrócone w błocie. I stało wiadro. A drzwi drewni były otwarte, właściwie uchylone, więc dało się zerknąć do środka. Sforsowano skobel. Ktoś ewidentnie się włamał. Wewnątrz było mokro, na ziemi kałuże wody. Sągi rozbebeszono, drewno leżało w cudacznym kopcach, jakby ktoś sypał kurhany... Z początku sądziłam, że ten bałagan to sprawka złodzieja, ale nagle Sebastianowi dziwnie zmieniła się twarz i... zobaczyłam to, co on. Z jednego kopca wystawał but... Na widok nogi pomyślałam... to ci heca... Ktoś się schował pod drewnem. Ale ta noga jest nieruchoma... Nie rozu... nie mogłam... pojąć. W ogóle nie miało to sensu. Podeszłam, no i zaczęłam odsuwać pola-na... aż...

Niech się pani nie śpieszy.

Tak. Nic mi nie jest. Tak. To, co zobaczyłam... nie dawało oznak życia. Nie musiałam sprawdzać oddechu i tętna. Sebastian się cofnął i wtedy znalazł Noela. Noel też był martwy. Wyszliśmy z drewni. Sebastian doznał szoku, więc go zabrałam do domu. Zadzwoniliśmy do was.

Mówiła pani, że gdy ich szukaliście, reszta pojechała na zakupy?

Tak.

Na miejsce zbrodni natknęliście się tylko wy dwoje?

Tak.

Przesuwaliście coś oprócz polan?

Wyszliśmy czym prędzej. Widząc, co zaszło, nie chcieliśmy niczego dotykać. Starałam się być neutralna. Chciałam zdać tę relację najlepiej, jak umiem. Chyba przemarzałam, więc mój umysł...

Przepraszam.

Spisała się pani na medal. Niech pani wraca do przyjaciół, napije się herbaty.

**Fragment zeznania świadka
Juliana Reynoldsa złożonego
24 czerwca 1995 roku**

Czy może mi pan powiedzieć, dokąd się udał, kiedy zaczęła się gra?

Wyszedłem drzwiami od tyłu, przez wiatrołap.

Wychodził tamtędy ktoś jeszcze?

Sooz... Suzanna.

Dokąd pan się skierował?

Zatoczyłem pętlę po tylnych ogrodach, rozległych. Labirynt wydawał się zbyt oczywistą kryjówką. Jest tam pełno przesmyków, ale schować się nie da. Wyszedłem poszukać czegoś lepszego. Co najmniej dwukrotnie okrążyłem dom.

Zdarzyło się panu minąć drewnitnię?

Tak.

Próbował pan do niej wchodzić?

Nie. Budynki gospodarcze były pozamykane, więc co za sens?

Wiedział pan o tym od Sebastiana czy wiedział, jak ktoś ją zamyka?

Usłyszeliśmy, że jest zamknięta, i wyglądało na to, że tak właśnie było. W końcu wpadłem na pomysł, by się wspiąć na pergolę i schować na górze. Tak też zrobiłem. Myślałem, że mnie znajdą, a tkwiłem tam bez końca. Przechodzili pode mną. Z początku mnie to bawiło, ale później przemokłem do suchej nitki. Siedziałem tam godzinami. Dostawienie.

Czy podczas gry widział pan Rosie lub Noela?

Widziałem Noela.

Gdzie go pan widział?

W ogrodzie z tyłu domu.

Dokładnie gdzie?

W jednej ze stref ozdobnych żywopłotów. To istny gąszcz. Trudno powiedzieć, ale gdzieś tam.

Czy ktoś mu towarzyszył?

Nie.

Kiedy to było?

Na początku. Na samym początku.

Mógłby to pan sprecyzować?

Pamiętam tylko, że na początku. Wydaje mi się, że w ciągu pierwszego kwadransa gry. Gdy pierwszy raz szedłem przez tylny ogród.

Rozmawialiście?

Nie. Chyba mnie nie widział. Przemieszczał się szybko. Wyszedł jednym z wyjść i później go już nie widziałem.

A co z Rosie?

Nie widziałem jej.

Ostatnio był pan w związku miłosnym z Rosie?

Owszem.

Jak długo to trwało?

Rok. No, może niecały.

Rok? A więc dość długo.

Tak. Powiedzmy. No tak.

Ale niedawno się skończyło?

Tak.

Dlaczego?

Czy to ważne?

Takie pytania są konieczne. Zechciałby pan mi opowiedzieć o zakończeniu tego związku? To świeża sprawa?

Rozstaliśmy się w ciągu minionych kilku tygodni.

Z jakiej przyczyny?

Yyy... Sprawilem jej przykrość.

Mianowicie?

Czy to aż takie ważne?

Proszę mi odpowiedzieć.

Jakiś tydzień temu wszyscy siedzieliśmy w pubie. Wygłupialiśmy się, śmialiśmy. Skończyłem egzaminy, więc pewnie wypilem za dużo... Myślę, że czułem, że nie będziemy tego ciągnąć, i... całowaliśmy się z inną. Dziewczyną poznaną tam wtedy. Nie na poważnie, ale Rosie się dowiedziała. Widzieli wszyscy. Tylko że w naszej... to u nas norma... tak czasem bywa. Nie jestem... Przepraszam. Przepraszam, Rosie. Przepraszam.

(Niezrozumiale).

Na razie skończymy.



XIV

Nazajutrz trzymali się harmonogramu. Zaczęli w Muzeum Historii Naturalnej – bogato zdobionym neoromańskim pałacu pełnym kości. Stamtąd udali się do Muzeum Wiktorii i Alberta, muzeum sztuki i rzemiosła artystycznego, w którym znajduje się między innymi obejmująca pięć tysięcy lat wielka kolekcja strojów, tkanin, biżuterii i akcesoriów modowych. Janelle była w siódmym niebie, oglądając wiktoriańskie gorsety wstążkowe, buty ze starożytnego Egiptu, suknie balowe Balenciagi i kosmetyki, których nie zdążyła zużyć Frida Kahlo. Stamtąd wybierali się do Muzeum Nauki. Przy sposobności zadzwonili do doktor Quinn.

– Dzwonimy trochę za wcześnie – oznajmiła jej Janelle. – Właśnie idziemy do Muzeum Nauki, o drugim zacznie się program interaktywny o zmianie klimatu.

Była to prawda, więc nie musieli się napinać.

Umówili się, że Stevie ich teraz zostawi i wyruszy metrem na spotkanie z Izzy. David nie mógł jej towarzyszyć, bo akurat miał zajęcia. Wejście do metra na własną rękę rozgrzało Stevie i zestresowało. „Pierwszy raz w życiu jestem w tym miejscu sama, nikt nie wie, czy jadę na zachód, czy na wschód. Nikt nie wie, czy wsiądę do złego pociągu. Niesamowite. W tej chwili Londyn jest mój”.

Trzymając się planu, czujnie sprawdzała przystanki w obawie, żeby nie przegapić swojego. Knightsbridge, Hyde Park Corner, Green Park...

Piccadilly Circus. Wysiadła w kłębowisko ludzi, bagaży i płaszczy, nieogarniony natłok, który wypływał spod ziemi długimi schodami pośród migoczących reklam.

„Zwariować można” – myślała Stevie. Na zewnątrz wiodło za dużo wyjść, a tłum porywał ją i utykała w nim raz po raz. Musiała kilkakrotnie zawracać, nim wreszcie znalazła Izzy, która czekała pod pomnikiem Erosa. Izzy najwyraźniej nie spała tej nocy. Jej makijaż nie był tak idealny jak zwykle, miała wypieki z wysiłku i zimna.

– Z samego rana poszłam do ciotki – oznajmiła. – Sprawdzić, czy nie wróciła, i nakarmić Buta. Wciąż nic. Co im powiemy, gdy dotrzemy na miejsce?

– Ciotka sądzi, że jedno z jej przyjaciół może być mordercą – odparła Stevie. – Mówi to pod wpływem środków przeciwbólowych, ale tylko raz. Pewnie zachowuje podejrzenia dla siebie. Nie zdradzamy im tego, co powiedziała o kłodce. Przekonujemy ich tylko do zwierzeń. Pytamy, czy któreś ma wieści od ciotki, i zobaczymy, czy coś z nich wyciągnę na temat sprawy. Niech mówią, co tylko im przyjdzie do głowy. Dajemy im się wygadać, rozumiemy.



W Londynie nie ma takich jak w Stanach narożnych słupów z nazwami ulic. Są eleganckie tablice na rogach kamienic, często na wysokości pierwszego piętra, więc Stevie ciągle podnosiła wzrok. Patrzyła na okazałe, pretensjonalne budynki. Domy o ścianach czarnych od sadzy, jasnomiętowych i żółtych jak masło lub wykończonych kunsztownymi zdobieniami z innej epoki. Ulice zwężyły się do tego stopnia, że ledwo mieściły pojedyncze auta. Przeszły dostojną Old Compton Street, wyraźnie centrum dzielnicy gejów. Skręcały w zaułki, wędrowały uliczkami. Znalazły się w głębi dawnego Londynu, tętniącej życiem, częstokroć podejrzanej.

Sooz mieszkała przy ulicy pełnej kafejek i sklepów, zachwycających i drogich tak, że Stevie na ich widok poczuła się biedna. Surowe czarne drzwi mieściły się między błękitną kawiarnią wegetariańską a fioletowoszarzym sklepikiem z buleczkami bao. Izzy wcisnęła guzik z numerem dwa i drzwi otworzyły się z cichym buzieniem.

Wspięły się po skrzypiących schodach wyłożonych czerwonym chodnikiem, z których kilka chyliło się w lewo, tak jakby swego czasu dom przewrócono i postawiono znów byle jak. Do dwójki (na szczycie schodów) wchodziło się nowoczesnymi drzwiami, które nie pasowały do reszty wystroju.

W drzwiach stała wysoka ruda kobieta o wielkich oczach w kształcie migdałów. Ubrana w wąskie czarne spodnie i obcisły czarny golf. Stevie nie odróżniała kaszmiru od innych materiałów, lecz jakimś cudem poznała, że ciuchy są kaszmirowe.

– Isabelle! – Sooz wzięła w ramiona Izzy. Był to uścisk szeroki, zagarniający.

– To Stevie – powiedziała Izzy. – Jest moją znajomą. Przyprowadziłam ją, bo...

– Nie tłumacz się, daj spokój. Jak wiesz, w czasie studiów też wszędzie zabierałam przyjaciół. Wchodźcie. Peter i Yash są w drodze. Właśnie skończyli próbę.

Wpuściła je do małego, acz zmyślnie urządzonego mieszkania. W części głównej były białe dywan i dwie kobaltowe kanapy. Pełno czerni i srebra – i luster w niezwykłych miejscach. Przy drzwiach stał rattanowy organizer, w którym Sooz przechowywała buty, czasopisma, książki, torbki, szczotkę do włosów i kosmetyczkę. To, co powinna mieć pod ręką aktorka, gdy wraca późno do domu lub biegnie do pracy. Wykorzystując ściany do ostatniego centymetra, Sooz ozdobiła je zdjęciami i oprawionymi plakatami z przedstawień. „Ma ich dziesiątki”. Na półkach – zdjęcia w ramach. Zdjęcia poprzyczepiane magnesami do lodówki i okapu kuchennego. Pokazy slajdów w ramkach cyfrowych. Selfie robiła na długo, nim odkrył jej świat. „Ci z nią na zdjęciach... wydają mi się znajomi”. Wśród kilku osób, które pozowały wraz z Sooz, Stevie rozpoznała aktorkę z jednego z jej ulubionych brytyjskich seriali kryminalnych. Na którymś ze zdjęć czarno-białych widniała Sooz w przebraniu cyrkowego konferansjera. Tuż obok podłużnej wąskiej kuchni wisiała fotografia całego rocznika z Cambridge, wszyscy ubrani na białe i spowici w czarne togi, ustawieni przed budynkiem uczelni. Wokół żółto-niebieskiego herbu wykaligrafowano napis: „Uniwersytet Cambridge, Kolegium Magdaleny, Immatrykulacja 1995”.

Sooz spostrzegła, że Stevie zatrzymała się przed fotografią.

– Jest tu kilkoro z nas – powiedziała. – Angela, Peter, Noel i ja chodziliśmy do Magdaleny. – Wy-mówiła to jak „Marleny”. – Moźbaty? – spytała.

– Chętnie, poproszę – odparła Izzy.

Widząc zdumioną minę Stevie, Sooz wypowiedziała pytanie wyraźnie.

– Moźe herbaty? Wybacz. Napijesz się?

Stevie przytaknęła.

– Zachodzę w głowę – rzekła Sooz, napełniając czajnik. – Esemesuję. Rozmawiam z nimi. To nie ma sensu. To nie ma sensu, Izzy. To nie w jej stylu. Ange tak nie robi. Nie rozumiem.

– Właśnie dlatego przyszła tu Stevie i przyjdą tamci. Stevie jest...

– Wiem, kim. Od Sebastiana. I poczytałam o tobie, Stevie, gdy mi wyjaśnił. Możesz nam pomóc?

Ileokroć ufał jej ktoś obcy, Stevie czuła się nieswojo. Tak jak dziś rano, gdy omal nie połknęła zacyzki od ekspresu, którą jej podano w filiżance kawy. Choć chciała dodać Sooz otuchy, zapewnić, że jasne, że z wielką ochotą, to ledwie wydukała:

– Yyy... mogłabym... spróbować.

Kręcąc się po kuchni, Sooz wyjrzała przez okno. Na dachu sąsiedniego domu siedziały nieruchomo wgapione w siebie trzy koty.

– Potrafią tak... – rzekła w zadumie – przyglądać się sobie godzinami. Boję się, że niedługo skoczą sobie do gardeł.

– Któryś jest pani? – spytała Stevie.

– Mój? Skądże. Żaden. Mam uczulenie na kocią sierść. Dostaję pokrzywki na całym ciele.

Kiedy myślały o nieuchronnej batalii, woda zaczęła wściekle bulgotać. Gdy czajnik pstryknął, Sooz szybko nalała wrzątku do kubków. „Proste czynności pomagają jej pewnie się skupić”. Wzięła torebki herbaty, kubki, łyżeczki i tacę. Poruszała się z gracją osoby, która biegnie przez życie koniecznym krokiem.

Usiadły w salonie. Sooz usadowiła się wytwornie w rogu jednej z kanap, podciągając bose stopy pod siebie. Ledwie spojrzała na Stevie i Izzy znad parującej herbaty, zabuczał domofon.

– To Yash z Peterem. – Zerwała się z miejsca.

Yash Varma był wysokim ciemnoskórym mężczyzną o idealnie przyciętej gęstej brodzie. W jego brązowych oczach igrały wesołe ogniki. „Widać, że lubi się śmiać” – pomyślała Stevie. Przy wejściu zdjął zieloną marynarską kurtkę, odsłaniając tiszert Nirvany i dżinsy.

– Przepraszamy za spóźnienie – powiedział. – Koszmarna próba czytana, a jutro kręcimy. Jeżeli jakimś cudem nie dopiszemy śmieszniejszych kwestii, to obaj będziemy srali ze strachu.

– Nie robię sobie zbyt wielkich nadziei – rzekł jego towarzysz. Peter Elmore (bo tak się nazywał) był ryży, co podkreślała jeszcze rdzawa barwa jego swetra. „Celowo luzacki, pocieszenie swobodny” – stwierdziła Stevie. „Yash to energia, a Peter – flegma i umiar”.

Przedstawiając im Stevie, Izzy wyjaśniła jej obecność:

– Chcemy się dowiedzieć – rzekła – co ciotka robiła w ostatnich dniach. Ogólnie zależy nam na informacjach.

– Ma się rozumieć – przytaknęła Sooz. – Do usług.

– Kiedy ostatnio widzieliście ciotkę? – spytała Izzy.

– W zeszłym tygodniu – odpowiedział Peter. – Przyszła na przyjęcie, które wydałem u siebie. – Byliście tam wszyscy.

– Pete i ja dostaliśmy nagrodę za show, więc świętowaliśmy – wyjaśnił Yash.

– Konkurencja była żadna – dorzucił Peter. – Walczyliśmy z tylko jednym show, nie najlepszym.

– Który napisałem ja – odparował Yash. – Dlatego tak mówi. Jest bardzo zadowolony z siebie.

– Podsunąłem ci pomysł na tamten show.

– Chciałbyś.

– Zamknijcie się – upomniała ich Sooz.

– A jak się zachowywała? – spytała Izzy. – Robiła albo mówiła coś dziwnego?

Troje przyjaciół popatrzyło po sobie.

– Nie – odparła Sooz. – Była w dobrym nastroju. Pracuje nad nowym dokumentem o Henryku VIII. Opowiadała nam o nim. Zawsze jest najszczęśliwsza, kiedy coś realizuje. Miała wspaniały humor. Wypiliśmy wszyscy trochę.

– Pewnie za dużo – oznajmił Yash. – Prawdziwa impreza jak za studenckich czasów... Chyba usnęła na sofie, prawda, Peter?

– Dałem jej sypialnię – odpowiedział Peter. – Na sofie spałem ja.

– Przyniosła mi balsam do ust – rzekła Sooz. – Dałam jej balsam jakiś tydzień wcześniej, gdy wyszliśmy na miasto i spierzchły jej wargi. Porządny – Kwiat Pomarańczy od Penhaligon's. Nie jest on wprawdzie nieosiągalny, ale kosztuje dwanaście funtów. To mój ulubiony. Odkupiła go i mi wtedy oddała. To cała Ange. Ilekroć coś pożytecznego, to zawsze zwraca nowe. Zawsze oddaje wszelkie długi. Nie chce nikogo narażać na kłopot. Nie zaniknęłaby bez słowa, bo nie chciałaby nas martwić.

– Czy moglibyście opowiedzieć nam o tym, co się zdarzyło w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku? – poprosiła Izzy. – Stevie to prawdziwy geniusz. Jest niesamowita. Ma swoje sposoby na podobne zagadki. Wiem, że to dla was nietrywny temat, ale ciotka rozmawiała o tym z nami, więc pewnie chodziło jej to po głowie. Może gdy się dowiemy czegoś więcej na ten temat, to jakiś szczegół by nam wskazał, dokąd mogła pójść.

Subtelne słowa Izzy owiały salon jak wietrzyk, obezwładniając ich i skłaniając do uległości. Pod nadmiarem pochwał Stevie zaczęła się pocić. Zdjęła winylowy płaszcz i odsłoniła bluzę – nadal z plamami sosu do sałatek.

– Dobrze – zgodziła się Sooz. – Skoro sądzicie, że mogłoby to pomóc. Poznaliśmy się wszyscy jako pierwszorocznicy w Cambridge. Uczyliśmy się w różnych kolegiach. Widywaliśmy się na przesłuchaniach, a po nich piliśmy, takie tam, wiecie.

Sooz, Yash i Peter wdali się w krótką pogawędkę o tym, kto poznał kogo w którym pubie, na party lub uczelnianej imprezie oraz kto i gdzie komu kogo przedstawił, a potem – czując, że się zbyt oddalają od zasadniczej rozmowy – Sooz machnęła ręką na znak, że to nieistotne.

– Zgraliśmy się od razu... i zbliżyliśmy. Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Więc stwierdziliśmy, że założymy grupę teatralną, będziemy pisać i wystawiać swoje skecze. To dosyć powszechne wśród studentów.

– Każde robiło po trochu wszystkiego – podjął Peter. – Ale ogólnie dzielił się rolami. Ja i Yash pisaliśmy, tak jak teraz. Tak się zaczęła nasza współpraca. Byliśmy głównymi scenarzystami.

– Sporo pisała też Angela – rzekł Yash. – I Rosie zdarzało się czasem coś skrobnąć.

– Reżyserowała Theo – powiedziała Sooz, a Yash i Peter kiwnęli głowami. – Poza tym często zajmowała się produkcją, to jest załatwiała nam miejsca do grania.

– Występowali przede wszystkim Julian, Sebastian, Noel i Sooz – kontynuował Peter.

– Noel wyróżniał się wśród nas talentem – rzekła Sooz. – Genialnie wcielił się w rolę smutasów. W swoim komizmie był organiczny. Rozśmieszał widzów bez cienia wysiłku.

Peter i Yash zgodnie przytaknęli.

– Byliśmy nieźli. Mieszkaliśmy wspólnie. Studia powoli dobiegały końca. Nadeszła pora wyprawki z domu... Świat kończył się jakby i zaczynał znowu. Tak było, zanim... Kto mógł to przewidzieć. – Szykując się, Sooz potarła usta wierzchem dłoni. – Pojechaliśmy do Merryweather – podjęła. – To nazwa domu, już pewnie ją słyszeliście. Wtedy należał do rodziców Sebastiana. Teraz Sebastian jest właścicielem domu i tytułu wicehrabiego. Jeździliśmy tam czasami, kiedy mieliśmy wolne, pod nieobecność rodziców. Niezwykłe miejsce. Dorastałam w domku na przedmieściach Southampton. Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Istna magia. Tego dnia pojechaliśmy dwoma samochodami. Było gorąco, trwała fala upałów. Przez całą drogę puszczaaliśmy na cały regulator album *Parklife* Blur. Blur to grupa rockowa. Pewnie nie znacie jej, ale wtedy była na topie. Pamiętacie? – Sooz zwróciła się do mężczyzny.

– Tamtego lata – rzekł Peter – budzili wielkie emocje. Publicznie wdali się w konflikt z Oasis, drugą znaczącą kapelą. Wciąż się kłócili, prowokowali nawzajem. Każdy brał stronę jednych lub drugich, argumentował, którzy są lepsi...

– Oasis – wtrąciła Sooz. – Reszta sądziła inaczej. Jako jedyna broniłam braci Gallagherów.

– Tego samego dnia wydali nowe single, wybuchła więc wrzawa: „którzy wejdą na szczyt?” – ciągnął Peter. – Nazwano to bitwą o britpop. To trochę śmieszne, kiedy się zastanowić: pogodne lato, a ludzie żrą się o muzykę.

– Przybyliśmy tam grubo po zmierzchu – wskazała Sooz. – Pamiętacie? Wyjechaliśmy późno, bo byliśmy skacowani, a musieliśmy spakować rzeczy. Dotarliśmy, gdy się ściemniało i zaczęło padać. Pobieglśmy wybrać pokoje, które pierwsze. Zawsze nas to cieszyło. – Zmarszczyła brwi w zamyśleniu. – Coś było nie tak – powiedziała. – Rosie przez całą drogę zachowywała się nieswojo. Dotyczyło to Juliana. Chodziła z Julianem, a w relacje z Julianem wpisany był... – Potrząsnęła głową.

– Dramat – dokończył Peter. – Julian od zawsze nosił w sobie jakiś tragizm.

– Nie tylko Julian! – odrzekła Sooz. – Wszyscy byliśmy manieryczni, namiętni, pogmatwani. Tamtego dnia w każdym razie chodziło o niego. Dobrze wiedziałam, co czuje Rosie. Byłam z nim na dwóch randkach i przez prawie cały nasz drugi rok. Julian i Rosie spotykali się przez większość ostatniego, a zostali w grudniu. To Rosie powoli od niego odchodziła dla Noela. W ostatnim tygodniu pobytu w Cambridge widziałam, jak wymykają się z domu. Mieliśmy tam sfatygowany namiot... kupiony na jakiś festiwal, a potem postawiony w tylnym ogrodzie. Nie złożyliśmy go i tak sobie stał. Chodziliśmy tam czasami. Był wstrętny, ubłocony i zatęchły, ale odosobniony. Widziałam, jak Rosie i Noel wślizgują się do niego w tygodniu egzaminów końcowych.

– Rosie klóciła się z Julianem? – spytała Stevie.

– Nie mam pojęcia. Pewnie tak. Nie na poważnie... yyy... bez rękoczynów! O głupstwa. Julian był i wciąż jest bardzo, bardzo atrakcyjny. Flirtowali z nim wszyscy, a on flirtował z każdym. Wchodząc w związek z Julianem, należało się liczyć z przykrościami. Nie zawsze był wierny, co znaczy, że stale zdradzał. Ale kto w tym wieku nie zdradza? Zdarzało się to też mnie. Jednak Julian pod tym względem był najgorszy z nas.

– Mógł się jednak zezłościć na Noela i Rosie, prawda? – spytała Stevie.

Zastanawiając się nad odpowiedzią, Sooz oplotła dłońmi filizankę i podciągnęła kolana pod brodę.

– Nie – odparła po chwili.

– Nie?

– U nas to tak nie wyglądało.

– Więc Julian nie miał powodu narzekać na nikogo – dodał Peter.

– Rany boskie – rzekł Yash. – Nic, tylko Julian i Julian.

– Chodzi mi o to – wyjaśniła Sooz – że... tworzyliśmy jakby komunę. Dzieliliśmy się ze sobą wszystkim. Ilekroć ktoś coś przynosił do domu, automatycznie stawało się to wspólne. Pod koniec chyba nikt z nas już nie wiedział, które ubranie należy do niego. Ściągaliśmy z suszarki to, co na niej wisiało, nikt do nikogo nie miał pretensji... Ciuchy. Rowery. Szczotki do włosów. Książki. Jedzenie. W domu nie było własności, więc też poniekąd materializmu. W pewnym momencie każdy spał z każdym. Wiele związków powstało w trakcie pracy w teatrze. Randkowaliśmy i zrywaliśmy, lecz między nami wciąż kwitła przyjaźń. Yash, kochaliśmy się na pierwszym roku. Nie zaszkodziło nam to, Peter, prawda?

Przytaknęli na znak, że byli z nią równocześnie.

– Czasem ktoś był załamany czy wściekły, ale dostawał wsparcie od innych. Choć gniewaliśmy się nieustannie, to byliśmy lojalni. Jeżeli Rosie zrywała z Julianem, dopuszczaliśmy jej związek z Noelem. Nikt z nas nie uważał, że coś przekracza. Dreszczyk napięcia wręcz nas podniecał.

– Więcej niż dreszczyk – dorzucił Yash. – Sooz, atmo-sfera bywała gęsta.

– I to nas niosło – odrzekła Sooz. – Niepewność. Mog-ło zdarzyć się wszystko.

– Zwykle się działo – powiedział Peter. – Głośno. Bez przerwy. Od rana do nocy. Nieraz pod ścianą, za którą mieszkał Julian.

– Dlatego teraz umiem zasypiać byle gdzie. – Yash się przeciągnął, chrupnęło mu w karku. – Kiedyś usnąłem na spektaklu STOMP¹⁴, wtedy gdy wałą pokrywami kublów.

– Tak czy inaczej. – Sooz machnęła ręką, wracając do tematu. – Rosie gawędziła w swoim pokoju z Anglą, więc wyciągnęłam je na dół, na szampana. Tego wieczoru wypiliśmy go dużo, ale nie tylko, były też inne trunki. Padało, szliśmy bawić się w chowanego. Poszukiwaczem był Sebastian, a reszta się chowała. Właściwie nie było specjalnych reguł, tyle że po wyjściu z domu nikt nie mógł wracać i nie mieliśmy wstępu do budynków gospodarczych.

– Sebastian wepchnął sobie klucze do spodni, pamiętacie? – spytał Peter.

– Tego się nie da zapomnieć – odparł Yash.

– Noela i Rosie widzieliśmy po raz ostatni, gdy wybiegaliśmy w ciemności na deszcz. Nie wracali do domu, więc nam się wydawało, że gdzieś się pieprzą. Tak sądziliśmy. Na drugi dzień rano nie było ich nadal. Sebastian i Theo poszli ich szukać... – Umilkła.

– Znalezli ich – wyszeptał Peter.

Wyraźnie nie mieli nic do dodania w tej sprawie.

– Pełno tu zdjęć – rzekła Stevie do Sooz.

– No tak, bo byłam fotografem grupy. Klisza i jej obróbka kosztowały dość sporo, ale znajomy z Bootsa wywoływał mi zdjęcia gratis, więc robiłam ich, ile dusza zapragnie.

– Zdołała pani... – Stevie działała ostrożnie. – Sfotografować coś w tamten weekend?

– Mhm.

– Masz coś przeciwko? – zapytała Izzy. – Niezręczna prośba... ale... możemy zerknąć?

Sooz przytaknęła.

– Już po nie idę.

Odeszła i w okamgnieniu wróciła z trzema czarnymi kopertami pełnymi odbitek.

– Tu są ostatnie zdjęcia, które zrobiłam całej grupie. – Mówiąc to, założyła ręce. Spuściła wzrok na koperty. – Nie mogę ich zdigitalizować. Nie jestem w stanie na nie patrzeć. Przechowuję je osobno. Nie wiem, czy coś ci dadzą, ale... jeśli cokolwiek pomoże znaleźć Ange... to proszę. – Dała znak Stevie, aby przejrzała zdjęcia, i znów położyła się na kanapie. – Część jest z tygodnia, który poprzedzał nasz wyjazd. Te dwa na wierzchu zdążyłam wywołać tuż przed wycieczką do Merryweather. Pamiętam, jak pokazałam je w aucie. Ostatnią rolę zrobiłam na miejscu. Aparat długo stał gdzieś schowany. Nie mogłam nawet wziąć go do ręki. Ostatnia paczka zawiera zdjęcia, które powstały po bodaj pół roku.

Była tam masa czerwonych oczu, błysków złapanych w oknach i lustrach. Bez filtrów. Zwykle spojrzenia znad piwa czy książki, chwile z życia z tych ludzi. Robienie min za plecami przyjaciół. Ta sama dziewiątka w wielu ujęciach. Czasem pojawiał się z boku ktoś jeszcze, lecz gwiazdy spektaklu się nie zmieniały.

– Patrzcie! – zawołał Peter, podnosząc zdjęcie lysej Angeli. – Przed tym wyjazdem zgoiliła włosy.

– Faktycznie, pamiętam – potwierdziła Sooz. – Graliśmy... w Prawda czy Wyzwanie. Wszyscy byliśmy na lekkim haju. Sebastian skręcił nam mocne jointy. Uprawiał świetną odmianę konopi. To wyzwanie wyszło chyba ode mnie. Nie przypuszczałam, że Ange to zrobi. Stwierdziłam: „Wygląda naprawdę ekstra”. Przypominała Sinead O’Connor.

– To... – Yash wyciągnął ze sterty jedno zdjęcie – chyba ostatnie nas wszystkich razem. Cyknięte, kiedy wysiedliśmy z aut.

Podaj dziewczętom zdjęcie grupowe. Widniała na nim cała dziewiątka. „Uśmieški, walizki, znużenie i błogość” – Stevie jak zwykle nic nie umknęło. „W tle jakiś szary budynek z drewna. Z za-

mkniętym małym oknem nad drzwiami”.

– To ta drewnitnia – rzekła Sooz cicho. – To właśnie tutaj... do tego doszło. Zrobiliśmy to zdjęcie na pamiątkę przyjazdu. Ustawiłam aparat i włączyłam samowyzwalacz. A potem widzę, co na nim jest... – Nie była w stanie kontynuować.

– Więc jacy byli? – spytała Stevie. To pytanie zawsze skłania do zwierzeń.

– Rosie? – Zasmiała się krótko Sooz. – Była zacięta. Była z Dublina.

– Uparta – rzekł Peter, kiwając głową. – W picciu dawała radę najlepszym.

– Mało powiedzieć – potwierdził Yash. – Raz obaliła dwanaście kufli. W ciągu wieczoru. Nawet nie beknęła. Wierzcie, widziałem to na własne oczy.

– Niebywale lojalna – ciągnęła Sooz. – Gdy ktoś miał problem, szedł z nim do niej. Dzień czy noc, zawsze służyła radą. Jak ktoś chorował, to go wspierała. Gdy ją wkurzyłaś, mówiła ci o tym. Była cudowna. Z poczuciem humoru. Chyba nikt w życiu mnie tak nie rozśmieszał. Z całą pewnością zdobyłaby sławę.

– Dzisiaj prowadziłaby *Bake Off* – rzekł Peter. – Albo teleturnieje z celebrytami.

– Byłaby świetna w naszych komediach – dorzucił bez chwili namysłu Yash.

– Noel... – Wzrok Sooz powędrował na sufit. – Gdy przyjechałam do Cambridge i poznałam wszystkich, nie mogłam rozgryźć Noela. Wydawał się bardzo zasadniczy, poważny. Ubóstwiał poezję. Fenomenalnie grał komicznych sztywniaków. Grywał też czarne charaktery. Na scenie był idealnym, wrażliwym partnerem. Miał ten dar. Mimo że nie był skłonny do zwierzeń... sądzę, że kochał się w Rosie od zawsze. Czułam to. Widziałam. Ale do samego końca nie potrafił się odważyć. Dobrze, że zdążyli zaznać choć tak krótkiej chwili szczęścia...

Peter odchrząknął, a Yash spojrział w stronę okna.

– Tak – rzekła Sooz, opanowując emocje. – Rozgryziemy to. Co prawda Julian to kompletny pantan, ale świetnie sobie radzi i wykonuje dobrą robotę. Jest członkiem parlamentu. Wiem, że zasięga informacji. Jeśli będzie trzeba, obdzwoni cały świat. Ufam mu w tej kwestii, zwłaszcza że tylko on z naszej grupy może podjąć konkretne działania. Ale zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Piszę posty. Reszta też pisze. Gdybyś czegoś potrzebowała, wal do nas jak w dym.

– O każdej porze dnia i nocy – dodał Peter.

– Bez względu na to, co robi... – rzekł Yash. – Czy szuka gaci Henryka VIII, czy się gdzieś szlaja, dostanie w ucho, jak wróci do domu. Nie martw się, Izzy. Jesteśmy z tobą. Siebie też nigdy nie zostawiamy.



XV

– Więc – rzekła Stevie – sypiali każde z każdym cały czas. Mamy wiedzę, że hej.

Siedzieli w dużym okrągłym boksie restauracji w China-town. Nad makaronem po singapursku, wołowiną chow fun i naleśnikami z szarpaną kaczką Stevie i Izzy opowiadały Janelle, Nate'owi i Vi, czego się dowiedziały od Sooz, Petera i Yasha.

– Ponadto... – Izzy sięgnęła po sajonkę. – Wszyscy są wściekli na Juliana Reynoldsa. Jest posłem z północy. Ma osiągnięcia, ale trafił do gazet, bo to kobieciarz. Choć to wszystko ciekawe, nie mówi, gdzie może być ciotka.

– Są wieści z policji? – zapytała Vi.

– Już przejrzą nagrania z kamer ulicznych. Bardziej przydałoby się to teraz. Może się zdarzyć wszystko. I co ja, kurde, mam robić?

– Rozpuszczać wici – odrzekła Vi.

Vi była nieźle zorientowana w tym temacie, więc już po chwili zawiązała się dyskusja o graficznych mailach, esemesach i influencerach. Kiedy skończyli posiłek, sporządzili ulotkę, zrobili na ksero tysiąc jej kopii i pojechali do Islington. Powrzucali ulotki do skrzynek na listy i rozesłali gdzie tylko się da.

Akcję zamknęli tuż przed północą, po czym wrócili do Craven House obładowani śmieciowym jedzeniem z Tesco poczuciu, że pchnęli sprawę. Kiedy dotarli do holu, David i Stevie spojrzeli na siebie.

– Chcesz ze mną pobyć? – zapytał David.

Ogromnie chciała. Stwierdzili, że pójdą do niego. Wyjąwszy kilka osobistych akcentów, pókój nie różnił się od jej pokoju. „Niedużo tego”. David nie mógł przywieźć do Anglii za wiele, więc jego pokój był sterylny, bez wyrazu.

„No i co z tego?” – pomyślała. Ledwie David zamknął drzwi, a już ją całował, ostrożnie wiódł w stronę łóżka. Wyciągając ręce do tyłu, na osłep sprawdzała oparcie. Położywszy się na niej, okrywał pocałunkami jej dekolt. Wsunął wciąż zimną dłoń pod jej bluzkę i czule gładził ją po brzuchu. Powoli wędrował w górę.

– Całą noc – szepnął. – Nie mogłem się już doczekać...

Zamknęła mu usta pocałunkiem, podciągając bluzkę. Działali na opętańczych obrotach. Wtem dzikie pukanie do drzwi. David oderwał się od jej ust. Zmrużył powieki, pokręcił głową, obciągnął koszulę i oparł się na łokciu jak gdyby nigdy nic. Stevie podobnie.

– Wejść! – ryknął.

– Są nowe fakty! – Do pokoju wpadła Izzy, lekceważąc intymną aurę. – Po pierwsze Julian ustalił, że tamtej nocy ktoś dzwonił do ciotki. Z nieznanego numeru. Dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt

trzy. To w samym środku jej wiadomości. Zobaczcie. – Wyjęła wykaz esemesów. – O tu. – Wskazała.

21.46. ANGELA: i lepiej z tym nie zwlekajmy.

21.46. ANGELA: Miała guzik.

21.47. THEO: ?

21.48. SOOZ: ?

21.48. YASH: Guzik?

21.49. PETER: co?

21.50. SOOZ: Muszę wracać na scenę. Niech ktoś mi wyjaśni, co się dzieje.

21.51. SEBASTIAN: Możesz do mnie zadzwonić?

21.55. THEO: Ange?

21.57. THEO: Ange możesz odebrać?

21.58. PETER: Właśnie też zadzwoniłem i odezwała się poczta głosowa.

– Wspomina o guziku, no i potem już milczy. Telefon dzwoni tuż po prośbie Sebastiana, bo Peter mówi, że jej linia jest zajęta. Nieznany numer komórkowy.

– To bułka z masłem – powiedział David. – Telefon na kartę z często zmienianym numerem...

– Ale ktoś podjął ten trud – rzekła Stevie.

– Źle to wygląda. – Izzy objęła się ramionami. – Niesamowite. Odbiera obce połączenie i znika. A to nie wszystko. Oni dziś rozmawiali i umówili się w Merry-weather. Pojadą jutro i spędzą tam noc. Wpadłam na pewien pomysł... Napisałam do Sooz, udając, że nic o tym nie wiem. Powiedziałam, że się boję, no i mnie zaprosiła... Więc wtedy pytam... Przyjmie nas wszystkich. W Merryweather.

– Mamy tam jechać? – zdumiała się Stevie. – Gdzie to jest?

– W Gloucester – odparła Izzy. – W pobliżu Cheltenham. Pociągiem jedzie się około dwóch godzin. Tutaj się tylko zamartwiam bez sensu. Odpowiedź jest w Merry-weather, prawda? Oni ją znają. Musimy mieć ich na oku, a przecież tam będą wszyscy!

Stevie poczuła się średnio, zmuszona teraz tłumaczyć Izzy, że jutro czeka ich rejs po Tamizie połączony z wykładem o niejakiem Isambardzie Kingdom Brunelu, sławnym inżynierze epoki wiktoriańskiej, który budował mosty i tunele, a wyglądał jak typ spod ciemnej gwiazdy. Nie ciekawiło jej to zbytnio, ale Janelle nie mogła się doczekać i nawet planowała napisać o tym esej.

– O dwunastej jest pociąg, który dojeżdża tam przed trzecią. Błagam. Może udałoby się dowiedzieć, co się dzieje.

Stevie rozważała sprawę. „Po pierwsze: zaginiona.

Po drugie: ograniczony czas w Anglii, który ucieka z każdą sekundą. Mamy przestrzegać harmonogramu, bo pożałujemy.

Po trzecie: zaginiona była obecna w wiejskiej posiadłości, gdy popełniono tam zbrodnię, i miała na ten temat jakieś domysły.

Po czwarte: jak się okazuje, nie przyjechałam tu dla Davida, tylko dla tego domu na wsi... i Davida”.

Chwilę później Stevie przeszła na drugą stronę Craven House. Jej przyjaciele jeszcze nie spali. Wszyscy siedzieli w pokoju Vi, opychając się chipsami i kruchymi ciasteczkami.

– Coś się szykuje – powiedziała. – Posłuchajcie.

Zaczęła od pozytywnych aspektów. Na pewno wszyscy marzą o wizycie w wiejskiej rezydencji. Tak się złożyło, że właśnie dostali zaproszenie od pewnego wicehrabiego. Oczekiwała, że się oży-

wią, ale w pokoju zapadła cisza, Vi grzebała w torebce po chipsach o smaku marynowanej cebuli, Nate zmarszczył nos, jakby wstrzymał kichnięcie. Janelle podniosła na nią wzrok.

– Stevie – odparła. – Nie wiem, czy można... czy powinniśmy – z kilku powodów. Zostały nam jeszcze tylko dwa dni w Anglii. Vi i Nate muszą przecież zrobić swoje. Posiadłość na wsi to jest coś, wiadomo, ale my mamy sprawy w Londynie. Vi jutro ma wywiad z kuratorką z British Museum. To dla niej bardzo ważne, bo potrzebuje go do podań.

– Odpowiedź jest tutaj. – Stevie traciła nadzieję. – Angela coś rozwiązała, a już na pewno nad czymś pracowała. Zjawiamy się, Izzy wspomina, że Angela mówiła o zamku, gdy była na haju, Angela pisze do tamtych, że muszą pogadać, umawia się w Merryweather i ni stąd, ni zowąd znika. Bez względu na to, gdzie teraz jest, na pewno wiąże się to z morderstwem, więc by ustalić miejsce jej pobytu, trzeba ogarnąć, co tam się wtedy wydarzyło.

– Tak, rozumiemy. Izzy powinna znaleźć ciotkę. Naprawdę rozumiemy. Tyle że ciotka zniknęła tutaj, prawda? Stąd nasza pomoc w rozpuszczaniu wici.

– Chociaż ostatnio widziano ją tutaj...

– Jakie są szanse, że jest w Merryweather?

Nate i Vi przezornie milczeli, przysłuchując się roz-mowie.

– Quinn nas nie puści – rzuciła Janelle. – Już siedząc tu, napsuliśmy jej nerwów, a co dopiero... Trzeba trzymać się planu. Gdy jej powiemy, dokąd się wybieramy, od razu sprawdzi, co to za dom. Przeczyta, że doszło tam do morderstwa. Będzie wiedziała, co zamierzamy.

Stevie, rzecz jasna, brała to pod uwagę. Zdążyła wygug-łowac Merryweather u Davida. Pierwszy link prowadził na oficjalną stronę posiadłości. Wynajmowano ją młodym parom na wesela i szukającym ciekawych plenerów ekipom filmowym. Dom widniał też w Wikipedii, gdzie spisano rozmaite przyjęcia i imprezy, które w nim urządzano. Ogrody najwyraźniej cieszyły się powodzeniem ze względu na kwiaty zmieniające się wraz z porami roku. „Sebastian widać dołożył starań, by wzmianki o zbrodni nie pojawiały się w wyszukiwarce od razu”. Lecz wystarczyło dobrze poszukać, by znaleźć je zakopane pośród newsów sprzed lat. Gdy Stevie wpisała „Merryweather” i „morderstwo”, natychmiast wyskoczył artykuł ze starego dziennika. „Ktoś inny na pewno dałby sobie z tym spokój, ale doktor Quinn zna mnie i moje metody”.

Najlepsze, co przyszło Stevie do głowy, brzmiało:

– I cóż się stanie, jak pojedziemy? Na trochę. Na noc. Bez pytania Qui...

– Chcesz jej nie mówić? – obruszyła się Janelle. – Zabiłaby nas. No co ty, Stevie? Przyleci tu z miejsca i uduś nas włosami.

Stevie nie mogła się z nią nie zgodzić. „Jeśli do doktor Quinn dotrze, że jedziemy na drugi koniec Anglii, by powęszyć po domu, w którym doszło do morderstwa, to zakatrupi nas wszystkich bez dwóch zdań”.

– Stevie... – Janelle strzepnęła niewidoczny pyłek ze swetra. Cytrynowego, był to jej ulubiony kolor. – Jesteśmy za granicą. I... musimy skończyć ogólniak.

– Ja też – odparła Stevie.

– Wiem. Nie powiedziałam, że ty nie.

– Więc mogę jechać – odrzekła Stevie. – Sama.

– Chcesz, żeby Quinn cię wyrzuciła? Naprawdę, Stevie. Zaczęłaś chociaż pisać podania? Nie widzę, abyś cokolwiek robiła. Niedługo minie termin. Musisz coś zaplanować. Wciąż się za czymś uganiaasz. Nie można tak w nieskończoność.

„Jak grom z jasnego nieba”. Stevie poczuła je w splocie słonecznym. Brzemie, które pozostawało w sferze niedopowiedzeń, które ją przytłaczało, choć wypierała je ciągle. Przyjaciele przejrzel ją. „Nate, Vi i Janelle robią, co do nich należy, a ja się tylko objam, zajmuję bzdurami”.

Janelle zatrzęsła się z nerwów. Wstała i wyszła. Vi poszła za nią. Stevie usłyszała, jak wchodzi do pokoju Janelle i zamykają za sobą drzwi.

– Nie wyszło to dobrze – rzekł Nate.

– No niestety.

– Czy gdyby któreś z nas zginęło i ty byś świrowała, to zaprosiłabyś do domu gromadę obcych ludzi?

– Gdyby ktoś z nich rozwiązywał takie zagadki, to owszem.

– Moim zdaniem to dziwne. A Janelle może mieć rację. Naprawdę sądzisz, że ją znajdziesz, jadąc do Merry-weather? – Jeszcze pięć minut temu Stevie była o tym przekonana, lecz przyjaciele odebrali jej tę pewność bez-litośnie.

Po chwili Vi wróciła z Janelle.

Janelle była spokojna, choć nogi nadal drżały jej z napięcia.

– Przepraszam – rzekła. Zwykle przeprosza się ze spuszczonego wzrokiem, a Janelle patrzyła prosto w oczy Stevie. – Po prostu... martwię się. I tak już dość ryzykujemy. Mam propozycję. Zadzwoń do Quinn. Jeśli się zgodzi, to pojedź. Vi też. A ty? – zwróciła się do Nate'a.

Nate wzruszył ramionami na znak „czemu nie”.

– A jeśli odmówi, zostaniesz – dodała. – Trzymamy się razem. Umowa stoi?

Była pierwsza nad ranem, czyli w Vermoncie dwu-dziesta.

– Mogła gdzieś wybyć – zauważyła Stevie.

Janelle wzruszyła ramionami na znak „Nic na to nie poradzę”.

– Okej – odrzekła Stevie. – Umowa stoi. Zadzwoń.

Do pokoju wracała czerwona z przejęcia. „Telefon do Quinn nigdy nie jest przyjemny, a po godzinach to istny horror. Pewnie jej nie ma, jest na kolacji lub koktajlu, ma randkę albo spotkanie ze szpiegiem, czy co tam może robić, kiedy nie rządzi Akademią”. Wybierając numer, Stevie odruchowo zaciskała dłoń. I rozluźniała...

– Późno tam, prawda? – spytała doktor Quinn.

Dotąd nie wyszła, siedziała za biurkiem. Była zmęczona i wyraźnie zaskoczona.

– Mhm. Tak. Chciałam o coś zapytać. Przepraszam za porę.

– O co chodzi? – Quinn ponagliła Stevie.

– Mamy możliwość zwiedzenia rezydencji Merry-weather. Zaprasza nas właściciel. Jest arys... – Stevie się zacięła. Raptem nie była w stanie wymówić tego słowa.

„Arysko- czy arysto-? Co ze mną, do cholery!”.

– Ma tytuł szlachecki. I przyjaźni się z kimś stąd. Dom jest przepiękny. Ma nawet stronę. Proszę zerknąć.

– A w jakim celu was zaprosił?

– Tak bez powodu. W odwiedzin. Zostalibyśmy u niego do rana. To jakby hotel, tak że pokoi jest pełno.

Po drugiej stronie linii rozległo się stukanie. „Szuka”.

– Rozumiem – odparła Quinn.

– Są tam słynne ogrody...

Stevie niemal słyszała pracę synaps doktor Quinn. „To nic dobrego – inteligentna dyrektorka. Takie jak ona umieją wyczuć, gdy coś się święci. Ale swój przecież zawsze pozna swego”. Przedstawiony przez Stevie plan był podejrzany, lecz ostatecznie rozsądny. Na oko nie miał słabych stron. „Zaciekawiała się”.

Stuk, stuk. Klik, klik. Quinn oglądała posiadłość.

– To ładne miejsce – orzekła w końcu. – Uważam jednak, że powinniście trzymać się terminarza.

– Okej, ale...

– Trzymajcie się terminarza. Macie dość zajęć w Londynie. Żadnych wycieczek poza programem. O ile się nie mylę, jutro macie wycieczkę poświęconą Brunelowi. Według mnie to ważniejsze. Dobranoc.

Rozłączyła się.

Stevie w zadumie usiadła na łóżku.

„Angela Gill zaginęła. Potrzebuje pomocy. Na tysiąc procent znajdę odpowiedź w Merryweather. Mogę coś zdziałać. Na pewno czegoś się dowiedzieć. Ale Quinn się nie zgadza”.

Wstała i zażyła połowę tabletki przeciwlękowej, popijając kupionym dzień wcześniej napojem z puszki, o którym zapomniała, po czym wróciła do przyjaciół.

– Zgodziła się – mówiąc to, udała radosne niedowierzanie. – Okazuje się, że ubóstwia ogrody.

„Jak to łatwo jest skłamać. Zastraszająco łatwo”.

Fragment zeznania świadka

Petera Elmore'a złożonego

24 czerwca 1995 roku

Proszę powiedzieć, dokąd pan poszedł, kiedy zaczęła się gra?

Wyszedłem z domu. W domu byłoby przyjemniej, no ale trzeba trzymać się zasad. Na zewnątrz jest więcej kryjówek. Więcej przestrzeni.

Którędy opuścił pan dom?

Przez bibliotekę, a ściślej przez oranżerię, która przylega do biblioteki. Najpierw chciałem się schować w ogrodach od tamtej strony, ale nie było gdzie. W końcu poszedłem do ogrodów na tyłach. Tam jest o wiele więcej miejsc. Łało jak z cebra. Wcisnąłem się pod ławkę.

A czy będąc na zewnątrz, widział pan Rosie lub Noela?

Nie. Poza ziemią nie widziałem prawie nic.

Kto pana znalazł?

Yash. Ucieszył się bardzo. Na dobrą sprawę ja też. Tkwiłem tam wieki, byłem zmarznięty, złapał mnie skurcz.

Został pan szukającym.

Tak, wzięli mnie do altany po pelerynę od deszczu i latarkę. Prawie od razu udało mi się znaleźć Sooz.

A czy w trakcie zabawy zbliżał się pan lub próbował wejść do drewnitni?

Raz pewnie minąłem ją, biegnąc, ale nie podchodziłem. Zabudowania gospodarcze były zamknięte. Sebastian przypominał o tym każdemu z nas.

Co działo się, kiedy zabawę przerwano?

Wróciliśmy do domu. Zapaliliśmy świece. W salonie płonął ogień. W kominku. Odkąd wyszliśmy, przygasał, dorzuciliśmy więc drewna. Sebastian w kółko mówił o jakiejś whisky. Upart się, że trzeba jej spróbować i już. Strasznie namieszał, niestety na moją zgubę. Przedtem – na dworzec – wypiliśmy całą butelkę szampana... Plus drinkowałem dzień wcześniej... Plus co tam jeszcze... Do

tego whisky – przeholowałem. Musiałem pójść na górę zwymiotować. Później się położyłem. Theo jak zwykle przyniosła wodę. Obudziłem się chyba około jedenastej... A może w południe. Czułem się dobrze, jak to po torsjach, no wie pan?

Tak, mam takie doświadczenia. I udał się pan na dół?

Część z nich już wstała. Noel i Rosie wciąż nie wracali. Odchodziliśmy od zmysłów. Komuś... chyba Julianowi zachciało się smażonego. Jajek, kiełbasek... Ktoś miał ochotę na chrupki Monster Munch. Więc stwierdziliśmy, że jedziemy na zakupy. Sebastian i Theo poszli poszukać Noela i Rosie.

Rozumiem, że były dwa samochody: Noela i Sebastiana. Którym pojechaliście?

Sebastiana. Kluczyki Noela... cóż, pewnie miał je przy sobie. Po powrocie ze sklepu zastaliśmy tu panów... a właściwie radiowóz.

Jasne. To nam na razie wystarczy.

Fragment zeznania świadka

Yasha Varmy złożonego

24 czerwca 1995 roku

Zechce mi pan powiedzieć, co zrobił, gdy zaczęła się gra, to znaczy o dwudziestej trzeciej?

Nie jestem jej fanem, ale gram, bo... ponieważ tak się przyjęło. Mamy zasadę, że kiedy już wyjdzie się z domu, to się nie wraca albo trzeba dać fant, postanowiłem więc zostać i jak najdłużej nie wychodzić. Schowałem się pod łóżkiem w jednej z sypialń. Chciałem być w domu.

I został pan znaleziony?

Prawie natychmiast. Sądziłem, że potrwa to dłużej. Byłem zawiany. Myślałem „Ale ze mnie geniusz”. Chowanie się pod łóżkiem nie jest jednak zbyt mądre.

Więc szukał pan, Sebastian i Theodora.

Tak. Przetrzęsaliśmy dom od góry do dołu. Zajęło nam to bodaj godzinę. Przed wyjściem pewnie się napiliśmy.

O której wyszliście z domu?

W okolicach dwunastej. Trochę niechętnie, ale co było robić. Straszliwie lało. Sebastian zajął pozycję w altanie, a my znajdowaliśmy ludzi i prowadziliśmy do niego.

Czy podczas poszukiwań przechodził pan obok drewnutni?

Tak, kilkakrotnie tamtędy szedłem.

A zauważył pan tam coś niezwykłego?

Zupełnie nic.

Sprawdzał pan może, czy ktoś się tam chowa?

Budynki gospodarcze pozamykano, nie było więc potrzeby ich przeszukiwać.

Nie sprawdził pan drzwi?

Nie, nie musiałem. Sebastian miał klucze. Na naszych oczach wepchnął je sobie do spodni.

Włożył je pod rozporek?

Tak. Musiały go urazić.

Czy zauważył pan cokolwiek niezwykłego?

Nic.

Żadnego samochodu na podjeździe oprócz waszych?

Naprawdę nie było nic podejrzanego. Choć zataczałem pętle po posiadłości, to nie dostrzegłem niczego, co uznałbym za dziwne.

Znalazł pan kogoś?

Mhm, Petera. Wpełznął pod ławkę w tylnym ogrodzie. Wybrał tak „światną” kryjówkę jak moja.

Kiedy to było?

Nie jestem pewny. Wydaje mi się, że w ciągu pierwszej godziny moich poszukiwań. To ogromna posiadłość.

Rzeczywiście pokażna. Co z resztą czasu, kiedy był pan na dworze?

Wiem, że Peter znalazł Sooz schowaną w krzakach. Znaleźli Ange. Rozległ się paskudny grzmot i wszystkie światła w domu zgasty. Zostaliśmy na dworze jeszcze przez kilka minut. A gdy znaleźliśmy Juliana – na szczycie pergoli – wróciliśmy.

I co się wtedy działo?

Sebastian w kółko głądził o butelce whisky, że ma nie byle jaką, no i musimy jej spróbować. W salonie ledwie co było widać, a on się czotgał po podłodze. Szamotał się z kluczami. Wyglądało to tak, jakby toczył bitwę z szafką, więc Peter musiał pomóc mu ją otworzyć. Gdyby nie on, Sebastian rozwaliłby ścianę. Otworzyliśmy tę whisky i wypiliśmy jej trochę. Ja zaledwie szklaneczkę, ale już miałem w czubie. Wszyscy wypiliśmy dużo. Angela przegięła i poszła spać, a Peter dostał torsji, też poszedł na górę. Mnie nie udało się tam „tego” donieść... Pamiętam, że zwymiotowałem w toalecie na dole, a później wczołgałem się jakoś po schodach... Dotarłem do pokoju i padłem na łóżko. Pamiętam, jak Theo stawiała przy mnie kufel wody. A potem film mi się urwał.

Wie pan, o której to miało miejsce?

Wtedy w ogóle nic nie wiedziałem.

Więc resztę nocy spędził pan w łóżku?

Tak.

Czy coś usłyszał albo zobaczył?

Nie, byłem całkiem wypompowany. Nawet wybuch wulkanu nie wyrwałby mnie ze snu. Następne, co pamiętam, to znowu Theo – z herbatą. Był poranek.



XVI

Kiedy rano znaleźli się na stacji Paddington, Stevie ze wstydem stwierdziła, że jest niedouczona. Dotąd nie miała pojęcia, że to prawdziwy dworzec. Była pewna, że zmyślono go z racji misia. „Którego notabene można tu kupić”. Choć aż roilo się tam od restauracji, nie mieli czasu jeść na siedząco. Stevie kupiła bagietkę z serem brie i jabłkiem oraz największą z dostępnych kaw, po czym udali się pod wielki okap, tam gdzie pociągi wjeżdżają na dworzec.

Tajemniczą aktówkę zabrali ze sobą, bo choćby zawierała bombę, musieli mieć ją na oku. Ewidentnie służyła jako sejf ognioodporny, więc trzeba było ją zamaskować. Nie mogli pokazać się tam przecież z sejfem. Nie wyglądałoby to zbyt normalnie. Stevie wyjęła z kąta pokoju walizkę i opróżniwszy ją z brudów, włożyła do niej sejf, zawinięty w wiadomą piżamę, jakby stworzoną do tego celu. I teraz włókła za sobą ten balast; w plecaku niosła pod ręce rzeczy.

W wagonie było kilka wolnych stolików, każdy z czterema siedzeniami. Stevie i David usiedli obok siebie, a naprzeciwko Izzy i Nate. Vi i Janelle za nimi na bliźniaczych fotelach. Stevie słyszała zza pleców ich szepty.

Ledwie drzwi się zamknęły i pociąg ruszył, powymywali prowiant i zaczęli jeść. Izzy nie odrywała oczu od telefonu w nadziei na coś nowego, wyraźnie daremnej. Nate czytał coś na swoim. David jak oni wyciągnął telefon, oglądał coś, przygarbiony, podnosząc głowę ku Stevie. Ostatnim widokiem Londynu były tyły domów, szarych, ceglanych, ze zgrabnymi prostokątami ogródków.

Stevie powiodło się. Doprowadziła do tej wycieczki.

Kłamstwem.

Zauważyła, że kłamstwo wymaga energii. Niemało waży. „Aby w nim wytrwać, trzeba uważać na każdy krok”. Nie przewidziała, że będzie ją gnębiło.

„Kłamstwo jest radioaktywne”.

Musiała coś zrobić. Wykombinować. Ale nie miała zbyt wielu poszlak. „Mam zdjęcia Sooz. Może jakoś wystarczą...”. Wyjęła tablet, by je obejrzeć, utrwalić w pamięci. Powiększyła je najpierw.

Noel był tyką w wielkich okularach i ciuchach z lat siedemdziesiątych. Natura Sebastiana była dość oczywista. Na każdym zdjęciu trzymał kieliszek i dramatycznie pozował. Często towarzyszyła mu Theo. Krótko obcięta, nosiła różnobarwny beżkawnik, a pod nim biały tiszert. Angela jakby trzymała się z boku, paliła i obserwowała. Peter i Yash pojawiali się zwykle razem. Yash – o wyglądzie dwunastolatka – topił się w olbrzymim tiszercie. Nie miał zarostu. Zawsze tłumaczył coś lub dowcipkował, jego oblicze rozjaśniał uśmiech. Ryzy Peter wyglądał prawie tak samo jak dziś. „Nie zmienił się właściwie, tyle że wtedy miał trochę bardziej oklapłe włosy”. Rosie, drobna blondynka, nosiła kucyki. Podobnie jak Yash, na wielu zdjęciach się śmiała. Julian był bardzo fotogeniczny, jego niebieskie oczy okalały długie rzęsy. Uosabiał lata dziewięćdziesiąte – od naszyjnika z musze-

lek, przez flanelowe koszule, po artystycznie zmierzwione blond włosy. „Przypomina chłopca z boys bandu”. Zdjęcia robiła głównie Sooz, więc była zaledwie na kilku – przy czym jak gwiazda na każdym w centrum, na przedzie. Z rozpostartymi rękami, obejmując przyjaciół albo w podskoku. Przyciągała uwagę sarnimi oczami.

„Oto gracze. Dziewiątka”.

Pamięć przywiała Stevie rozmowę w domu Sooz. Wspomnienie, chociaż porwane, drażyło jej myśli. Nie dawała jej spokoju zwłaszcza wypowiedź, która brzmiała: „Wchodząc w związek z Julianem, należało się liczyć z przykrościami. Nie zawsze był wierny, co znaczy, że stale zdradzał. A kto w tym wieku nie zdradza?”.

Ostatnie zdanie wytrąciło Stevie z równowagi do tego stopnia, że roztrzęsiona wracała do niego cały dzień. „Czy w tamtych czasach panowała taka moda? A może to wciąż aktualne?”. Dotarli już do półmetka wycieczki do Anglii. Wyjazd wymagał tak długich i żmudnych przygotowań, że zapominała o drugim kluczowym jego aspekcie. „Upadek z urwiska, bolesny powrót na Ziemię...”. Każdy kolejny wieczór przybliżał ją do wyjazdu. „Tak jak Dziewiątka przed tą fatalną imprezą, odliczam ostatnie chwile do rozstania”.

Za plecami Stevie Janelle i Vi przeglądały rozpiszę ostatniego dnia pobytu. „Jutro. Podwieczorek. Teatr. A potem jeszcze tylko jeden dzień”.

– O czym jest *Ryszard III*? – zwróciła się Janelle do Vi. – Bo nie czytałam. To pewnie obciach, ale nie przepadam za Szekspirem.

„A kto w tym wieku nie zdradza?”. Sooz miała na myśli lata studenckie, a zatem w przybliżeniu obecny wiek Stevie i jej przyjaciół. „David zostanie tutaj, w przyjaznym klimacie pubów, akademika i metra. To teraz jego życie. Kto wie, co zdarzy się potem? Spędzamy masę czasu z Izzy, robiąc coś dla niej lub w związku z nią. Izzy nie jest tu nic winna. Od samego początku jest miła aż do przesady. I wierzy we mnie jak mało kto. A może to dwulicowość, może tylko udaje? Bo najwyraźniej wszyscy zdradzają...”.

– O paranoi. – Słyszysz to, Stevie obryzgała kawą podbródek i tablet. – O urojeniach – ciągnęła Vi. – Ponadto o wielkim pragnieniu konia. Zdaje się. Zajrzałam tylko do Wikipedii.

– Tak sobie myślę... – zaczęła Janelle. Nie ukradkowo, acz kierowała to głównie do Vi. – Może po inżynierii powinnam skończyć medycynę, aby budować sprzęt medyczny. Mogłabym wprawdzie i bez tego dyplomu, ale jako lekarka byłabym obcykana. Znalabym temat na wylot, prawda?

– Przecież to strasznie dużo nauki – stwierdziła Vi. – Wciąż z nosem w książkach, no pomyśl.

– Hm, studia inżynierskie to cztery, pięć lat. A gdybym zrobiła je w cztery? Do tego roczny kurs przygotowawczy i cztery lata medycyny. Doliczmy staż, który trwa trzy do pięciu...

– Straszliwie dużo nauki – powtórzyła Vi. – Skończyłabyś po trzydziestce.

– Niby tak, zgoda, tyle że równolegle robiłabym też coś innego. Na przykład... Nie wiem. Tu luźna myśl. Tak czy inaczej, gdybyśmy studiowały w Bostonie, byłoby pełno możliwości. Czy w Nowym Jorku...

Rozmowa wygasła. Nate ścisnął paczkę chipsów, która otworzyła się z trzaskiem.

Trrrrrach.

W mrocznych zakamarkach mózgu Stevie coś drgnęło.

Kielkując, myśl wydała cichutki odgłos skorupki jaja, gdy przebijają ją pisklą. Wystrzeliła tak nagle jak ostatnia petarda ze święta udaremnienia spisku przeciw król-owi.

– Chodź. – Stevie nakazała Davidowi, który wciąż oglądał coś w telefonie. Trąciła go na znak, by wstał z fotela, po czym powiodła na przód wagonu. Piętrzyły się tam bagaże. Wyciągnęła swoją walizkę. Ukłękła w przejściu, zajmując całe, próbowała znaleźć miejsce, aby móc ją otworzyć. Zagro-

działa drogę pasażerowi, który właśnie wracał z toalety. – Przepraszam – bąknęła, przywierając do aktówki. – Sekundę.

Trwało to jednak o wiele dłużej. Dopiero po kilku minutach niezdarnej walki Stevie przytaszczyła aktówkę do stołu. Kiedy na jej komendę usunęli z niego kubki i papierki, zajęła fotel przy przejściu zwolniony przez Davida, który przesiadł się pod okno.

– Gdy człowiek musi coś zapamiętać... – rzekła do grupy. – Jest historykiem i musi pamiętać. Co się zapamiętuje? Pamiętaj, pamiętaj... Co to za święta data? Te fajerwerki... No wiecie.

– Piątego listopada – odpowiedziała Izzy. Stevie spróbowała „1105”. Na próżno.

„Ale to przecież nie ta kolejność – tu, w Anglii, pisze się daty odwrotnie!”.

Zamek aktówki odskoczył z cyknięciem.



XVII

– A to ci niespodzianka – rzekł David. – No, no.

Cała szóstką ścieśniła się wokół stolika; Janelle i Vi przechylone nad siedzeniami Davida i Stevie. Przed sobą mieli szereg starannie ułożonych papierów.

Dokumenty urzędowe. W większości policyjne. Trzydzieści pięć dużych fotografii. Zeznania siedmiorga świadków. Ksero notatek śledczego prowadzącego sprawę. Raporty z autopsji. Fotokopia artykułu z gazety. A na wierzchu zapiski na kartce z liniowanego notesu, jak ustaliła Izzy, sporządzone przez ciotkę:

Kolejność zdarzeń, czas w przybliżeniu:

Tuż przed zabawą Rosie powiedziała: „Widziałam coś, czego nie zrozumiałam, ale teraz rozumiem”.

„Było o tym w gazecie”.

„Pewno mi nie uwierzysz; ja sama sobie nie wierzę”
sama sobie nie wierzy

Weszła Sooz

Pomówić później, bo zaczyna się zabawa

22.00 Początek zabawy, widzę Rosie ostatni raz – wychodzi ze mną drzwiami od frontu, prócz mnie nie widzi jej wtedy nikt

23.15 Zostaje znaleziona Theo (w domu – przez Sebastiana)

23.30 Zostaje znaleziony Yash (w domu – przez Sebastiana i Theo)

Godzina niejasna, ale prawdopodobnie przed północą: Julian i Sooz widzą Noela w tylnym ogrodzie

00.30 Zostaje znaleziona ja (w stajni – przez Theo)

1.00 Zostaje znaleziony Peter (w tylnym ogrodzie – przez Yasha)

1.30 Zostaje znaleziona Sooz (w otoczonym murem ogrodzie francuskim – przez Petera)

2.30 Gasną światła, zostaje znaleziony Julian, powrót do domu

3.00–3.30 Sooz widzi pod domem światło latarki docierające od strony drewni i podjazdu

– Badała sprawę – stwierdziła Stevie. Choć ogrom dokumentacji był ewidentny, musiała wyrazić swe zdumienie na głos. – Ciekawe, jak ona to wszystko zdobyła!

– Jest pracownikiem naukowym – odrzekła Izzy. – To jej zawód. Zna różnych ludzi, więc wie, co skąd brać. Ale to znaczy, że wątek zamka był prawdziwy. Że naprawdę posądza jedno z przyjaciół

o zbrodnię.

– No cóż, to znaczy – odparła Stevie – że prowadziła śledztwo, co mogła robić i tak, nawet gdyby szukała włamywaczy, którzy zamordowali jej przyjaciół.

Izzy postukała palcem w notatki Angeli.

– Zapisuje, gdzie kto kiedy był – powiedziała. – Bo według niej sprawcą jest ktoś z nich.

Stevie powiodła wzrokiem po stosie papierów. Jeden wyraźnie odstawał od reszty. Artykuł z dziennika. Nie miał nic wspólnego z tym, co zdarzyło się w Merryweather.

ODNALEZIONO ZWŁOKI ZAGINIONEJ UCZENNICY ZE STANÓW

Ciało zaginionej amerykańskiej uczennicy Samantha Gravis zostało znalezione w rzece Cam w pobliżu Grantchester Meadows. Wczoraj rano niejaki Donald Worth, miejscowy, spacerował nad rzeką z psem, którego zaciekawiło coś w miejscu, gdzie gromadzą się szczątki organiczne. Próbując go stamtąd odciągnąć, Worth spostrzegł martwą kobietę uwięzłą wśród patyków i roślin. Po identyfikacji policja ustaliła, że jest to Samantha Gravis.

Gravis (l. 18) pochodziła z Portland w stanie Maine. Niedawno ukończyła szkołę średnią i po raz pierwszy wybrała się do Anglii. Zatrzymała się w Cambridge u znajomego studenta Kolegium Magdaleny. Podczas tygodniowego pobytu zwiedzała zabytki i udzielała się towarzysko. Znajomi widzieli ją po raz ostatni w dniu 15 czerwca o 2.00 nad ranem. Przygotowali dla niej skromne przyjęcie pożegnalne. W ramach wycieczki Gravis miała pojechać do Londynu. Znajomi zeznali, że tamtej nocy była lekko nietrzeźwa i dopisywał jej humor. Powiedziała im, że musi wyjść, bo ma coś do załatwienia, nie zgodziła się jednak, by jej towarzyszyli. Nazajutrz rano, gdy nie wracała, poszli jej szukać i zaalarmowali policję.

Gravis nie po raz pierwszy wspomniała znajomym, że chce pobiegać po puntach – w Cambridge panuje tradycja biegów po zadokowanych łodziach płaskodennych. Przy poprzednich okazjach odwiedli ją od tego.

„Z przesłuchań osób, które towarzyszyły Gravis, wynika, że mogła biegać po puntach pod wpływem alkoholu” – powiedział nadkomisarz Nigel Rose. „Miała niewielką ranę twarzy wskazującą na upadek. Sądzymy, że na chwilę straciła przytomność i utonęła. Dryfując, ciało utknęło stopą w leżącym na dnie rzeki wózku na zakupy. Musimy podkreślić, że bieg po puntach jest niezwykle ryzykowny i skutkuje licznymi kontuzjami, o czym świadczy dobitnie ten tragiczny wypadek”.

– Zakładam, że jej wzmianka o gacie odnosi się do tego – rzekła Stevie. – Macie jakieś pomysły?

Izzy przeczytała artykuł od początku do końca i pokręciła głową.

– Nie – odparła. – Kompletnie. Pomijając, że data jest taka sama jak morderstw.

Stevie ponownie przyjrzała się kserokopii. „Umknęło mi to”.

Nie mogła być niedbaluchem.

„Raczej wątpliwe, aby Angela zbierała artykuły z dnia zbrodni bez celu. Więc ta dziewczyna, Samantha Gravis, musiała mieć coś wspólnego ze sprawą”. Szybkie wyszukiwanie w Google nie dało Stevie prawie nic – niewiele więcej niż ten artykuł. „Była Amerykanką. Zwiedzała Cambridge. Uderzyła się w głowę, wpadła do rzeki i zginęła”.

– Młoda Amerykanka wpada do rzeki w Cambridge i ginie. Tydzień później piszą o tym w dzienniku. Tego też dnia Dziewiątka wyjeżdża do Merryweather, a nocą dwoje pada ofiarą mordercy.

Kimkolwiek była Samantha Gravis, myślę, że miała związek ze sprawą. – Stevie postukała paznokciami w blat stołu. „Aż tyle tego do ogarnięcia”. – Okej... – Spojrzała na stos informacji. – Trzeba to wszystko dokładnie przeczytać.

Puścili w obieg dokumenty. Stevie zaczęła od zdjęć z miejsca zbrodni. Drewnitnia okazała się prostym drewnianym budynkiem o spiczastym dachu. Drewno było różnobarwne, miejscami brązowe, a gdzie indziej czarnopopielate. Półotwarte solidne drewniane drzwi obłaziły z szarej farby. Bezpośrednio nad nimi znajdowało się lekko uniesione okienko wentylacyjne, tak ciasne, że człowiek by się przez nie nie przecisnął. „O, są zbliżenia” – ucieszyła się Stevie. Drzwi miały prosty drewniany uchwyt, a zamykały się na metalowy skobel z kłódką. Skobel zerwano za pomocą łomu bądź innego narzędzia, rozpruwając drewno. Kłódka wciąż była nietknięta. Nieopodal drewnitni leżały w błocie taczki przewrócone do góry dnem i stało wiadro. Kilka zdjęć przedstawiało spowite w półmroku surowe wnętrze drewnitni. W głębi, pod ścianą widniały sterty drewna, które leżało też rozsypane na ziemi, gdzie wały się grabie i łopata. Stevie musiała zmrużyć oczy, by dostrzec wystającą z jednej ze stert ludzką nogę.

Kilka kolejnych zdjęć nie wymagało mrużenia oczu. Wyraźnie, bo w blasku policyjnych świateł, ujrzała cała grozę tego, co się wydarzyło. Gdy odłożyła zdjęcia, sięgnęła po nie Izzy.

– Ostrzegam – rzekła Stevie. – Są bardzo drastyczne.

Izzy podniosła je mimo to i przejrzała, wzdrygając się co chwilę.

Z obrazem miejsca zbrodni w głowie Stevie przebiegła wzrokiem raport z sekcji zwłok, niezbyt dla niej odkrywczy w kwestii tego, czym zamordowano Noela i Rosie. Odetchnęła powoli i wyjrzała przez okno. Tyły domów zniknęły. Nie wiedzieć kiedy znaleźli się w zupełnie innej, otwartej przestrzeni, z wielkimi połaciami ziemi, pociętymi przez szereg drzew i wysokich żywopłotów. „Trochę jak patchwork” – pomyślała. Gdzieś tam pasły się konie, owce lub krowy. „Jesteśmy już na wsi”. Londyn uleciał i pojawiła się inna Anglia. Rozległy dziki krajobraz. I oto pierwszy raz od początku tej przygody ogarnęło ją dojmujące poczucie zagrożenia.

„Angela nie wyszła z własnej nieprzymuszonej woli. Ktoś ją wprowadził. Ze względu na tę sprawę, ze względu na coś, co było jej wiadome lub miało stać się wiadome niebawem. A my zmierzamy prosto do jaskini lwa. Do Merryweather. Do Dziewiątki”.



XVIII

Wysiedli w Cheltenham.

Przy dworcu czekało kilka taksówek, nieczarnych i niestaroświeckich. Zwykle współczesne auta z naklejkami na drzwiach. Do jednej wsiedli Izzy, Stevie i David, a Nate, Vi i Janelle do stojącej tuż za nią.

– Jedziemy do Merryweather – rzekła Izzy do kierowcy. – To...

– Wiem, gdzie to jest, kochanieńka – odpowiedział kierowca. – Wciąż wożę tam weselników.

Najpierw jechali ciasnymi drogami wśród domków. Przekroczywszy granicę miasta, mijali pola, pooddzielane schludnie rzędami krzewów i płotami. Roilo się tam od wąskich i niespodziewanych zakrętów. Na widok vana, który wyłonił się przed nimi znikąd, Stevie bezwiednie wydała z siebie cichy okrzyk. Izzy z uśmiechem klepnęła ją w ramię. Taksówkarz, kompletnie niewzruszony, zjechał na bok z takim impetem, że porysował karoserię, zawadzając o żywopłot. Van prześlizgnął się tuż obok tak-sówki.

– Jechał pod prąd? – spytała Stevie, oglądając się za vanem.

– To droga dwukierunkowa – wyjaśnił taksówkarz. – Jesteście ze Stanów? Macie tam dosyć szerokie szosy, prawda?

„Dwukierunkowa, akurat. Minidrożyna za ścianą zieleni, która totalnie zasłania widok. Toż to śmiertelna pułapka, kręta nitka obłądu...”. Stevie stwierdziła, że pewnie nigdy nie zrozumie Anglików do końca.

Popatrzyła na Davida, który miał na tyle przyzwoitości, aby przybrać lekko wystraszoną minę, mimo że nic nie wskazywało na to, że choć trochę się przeląkł.

Skręcili w jeszcze węższą drogę, która wiodła wzdłuż niskiego kamiennego muru, a kończyła się bramą. Taksówkarz, najwyraźniej dobrze zorientowany, nacisnął guzik na ukrytym wśród liści panelu. Po uprzejmej pauzie brama wolno otworzyła się do wewnątrz. Ruszyli między wyższym ceglany murem a drzewami. W pewnym momencie z lewej strony wyłoniło się coś, co wyglądało jak żywcem wzięte z jednego z wielu znanych Stevie kryminałów kostiumowych. Olbrzymi dom ze złoto-piaskowego kamienia, który zdawał się tętnić życiem, obrośnięty karminową, jak to o tej porze roku, winoroślą.

– Nie mogę stanąć od frontu – powiedział taksówkarz, kierując wóz na żwirowany parking obok. Chwilę później zajechała tam też druga taksówka.

– Nigdy więcej – rzekł Nate, wysiadając z tyłu. Chwiał się. – Co to w ogóle było? Rollercoaster z odrzutu?

– Wąziutka droga – odrzekła Janelle, wymęczona jak on. Jedynie Vi sprawiała wrażenie zadowolonej z przejażdżki.

– Halo! – zawołał z angielską przesadą ktoś zza wysokiego muru. – Halo! – Sekundę później otworzyła się czarna brama w murze i stanął przed nimi Sebastian. Nie dałoby się pomylić go z nikim innym. „Posiwiiał, utył i wyhodował drugi podbródek”. Był w szarych spodniach i prostym, zapewne drogim, czarnym swetrze z białym wzorkiem na rękawach. Ruszył w ich stronę żwawym krokiem, wykrzykując: – Przyjechaliście! Oby bez przeszkód. Izzy. Izzy! – Objął ją w potężnym uścisku. – Coś już wiadomo? – Odsunął się, by na nią spojrzeć. – Izzy pokręciła głową. – A jak się miewasz?

– Właściwie nie wiem – odparła.

– Nie dziwię się, ale na pewno się z tym uporamy. Bez obaw, Izzy. Więc są już wszyscy? Przedstaw mnie, proszę. – Kiedy Izzy ich zapoznała, powtórzył imiona gości bez omyłki. – Dobra – powiedział, splatając dłonie. – Wejźmy od frontu. Wprowadzę was do domu jak Pan Bóg przykazał. – Wskazał kolejną bramę w innym wysokim ceglanym murze, która wiodła do prywatnego ogrodu, okolonego ozdobnie strzyżonymi krzewami. Były tam ławki i rabaty oraz kręta ścieżka żwirowa. – Witajcie w Merryweather – rzekł, skręcając za niewielką fontannę.

Ogarnął Izzy ramieniem i pochylił się, aby z nią porozmawiać. David zwiesił ramiona, kiedy szli dalej ścieżką.

– W pociągu zauważyłem – powiedział cicho do Stevie – że coś cię gnębi. O czym rozmyślasz?

– Nie mogę... – odparła półszeptem. – Nie teraz.

David zmarszczył brwi.

Zadumana Stevie nie spostrzegła nawet, jak wchodzi do prześwitu w ścianie roślin. Sebastian podprowadził ich do długiego kamiennego ganka od frontu. „Czy to można nazwać gankiem?”. Jej dom w Pittsburghu miał ganek z krzywą skrzynką na listy, banerem „Boże, błogosław Amerykę” i dwoma krzesłami z wikliny zamieszkanymi przez kilka pokoleń pajaków. To, co ujrzała, nie było gankiem, tylko otoczona balustradą sceną wzniesioną z kamienia, z pokrytymi porostami i mchem marmurowymi urnami w rogach. Ciągające się pod nią niezmierzone trawniki i ogrody zdawały się zlewać z rozległymi wzgórzami pociętymi siatką ciemnozielonych żywopłotów i drzew. W oddali pasły się swobodnie owce. Wydawało się, jakby byli tu sami na świecie. „Tylko ten sielski zakątek i my”.

Stevie odniosła wrażenie, że scena czeka na widzów – na nich.

Sebastian wprowadził ich pod portyk. Minąwszy drzwi zewnętrzne, a potem wewnętrzne, znaleźli się w wielkim holu o wysokim stropie. Choć stanowili dość liczną grupę, odgłosy ich kroków nie niosły się echem. „Niesamowite” – przemknęło przez głowę Stevie. „Ołbrzymie wnętrze, a pochłania dźwięk!”. Zegar szafkowy stojący przy schodach tykał donośnie. „Jak serce domu”.

– Są! Przyjechali! – ryknął Sebastian. Jego głos – potężny, bo szkolony – zagarniał tę próżnię. – Możecie tutaj zostawić bagaż, płaszcze połóżcie na tamtym stole.

Wskazał postawiony tam w niewiadomym celu podłużny stół z marmurowym blatem. Nad stołem wisiał obraz przedstawiający mężczyznę z dubeltówką i psem – jak nie tyle zachęta, ile przestroga przed wizytą.

– Wchodźcie, wchodźcie – zapraszał Sebastian. – Siedzimy w salonie. Właśnie zaparzyłem herbatę.

„Aha, herbata, jakże by inaczej”. Stevie przestała już jej wyczekiwać. Tę postawiono na dużej tacy na otomanie. Przy kominku siedziała czarnoskóra kobieta z fryzurą na jeża, w szarej sukience z kapturem, czarnych rajstopach i wysokich butach.

– Pamiętasz Theo? – zapytał Sebastian.

– No pewnie! – Izzy uściaskała się z Theo.

Sebastian przedstawił sobie zebranych. Okazało się, że Theo pracuje jako lekarka na oddziale ra-tunkowym Szpitala Świętego Tomasza w Londynie.

– Zorganizowałem wszystko – powiedział Sebastian. – Pokoje są gotowe. Sooz będzie lada chwila. Peter i Yash są w drodze. Julian przyjedzie pod wieczór, po kolacji, przypuszczam.

Szybko wypili herbatę i zjedli kruche ciasteczka, po czym Sebastian znów zaprowadził ich do holu. Ich amerykańskie głosy zdawały się dźwięczeć zuchwale, ale jegomość z portretu nawet okiem nie mrugnął. Pies też nie cieszył się z nagłych odwiedzin. Idąc po schodach na górę, mijali ściany obwieszone portretami ludzi widocznie wściekłych, że ich namalowano. Obrazów było bez liku – złane potem rumaki, mdlejące kobiety, wątle wschody słońca nad domami i łąkami, statki na groźnie spienionych falach, obślinione labradory, skrycie ugodzony sztyletem młodzian w średnio-wiecznym stroju. W jednej złoczonej ramie za drugą głęboki smutek, spazmy i strach. Poza tym wszędzie różne przedmioty. Na wąskim stole u szczytu schodów porcelanowa misa jakby czekająca na zrzućcie. Pod ścianą szafka pełna... klejnotów? Nad drzwiami wiosło. Na biurku lutnia. Uginające się od książek przeszklone szafy. Oprawione w ramy wiekowe fotografie. Naczynie pełne staroświeckich kluczy. Paszcza monstrualnego morskiego stwora (być może trofeum z jakiejś wyprawy). Wazon. Cała masa wazonów. Porcelanowa figurka pasterki. Dywany, niemal jeden na drugim.

Na ten widok Stevie przypomnieli się dziadkowie dotknięci nałogiem kupowania na wyprzedających – tyle że oni mieli sześć frytkownic beztłuszczowych, kilkanaście monitorów, tarczę do rzutek z baru i automat do gier ocalony z restauracji Chuck E Cheese, która poszła z dymem podpalona dla polisy.

„Te przedmioty są inne, a już na pewno dużo droższe”.

– Ciebie, Izzy, umieszczę tu, w Apartamencie Biskupim – rzekł Sebastian, włączając światło w ogromnej sypialni z bładoniebieską tapetą i łóżkiem z baldachimem. – Janelle, co powiesz na Pokój Różany? Mieszka tu duch mojej ciotecznej babki, ale przesuwam tylko okulary, więc się nie bój. Jest uroczy. Vi? Tędy, skarbie. Pokój DeVere. Nate, prawda? Tutaj, Pokój Regenta, fantastyczny. Stevie i David – tu, zaraz za rogiem. Mam dwa śliczne pokoje z widokiem na ogród.

Davidowi dostał się Pokój Mountjoya, utrzymany w rześkich odcieniach ciemnej zieleni i błękitu. Sebastian poprowadził Stevie dwoje drzwi dalej.

– Ten jest dla ciebie – oznajmił. – Liliowy. Zapewne nie przywykłaś do angielskiego ogrzewania. Tutejsze domy są pełne przeciągów. W komodzie u podnóża łóżka masz dodatkowe koce.

– Dziękuję – rzekła Stevie.

– Nie ma za co, nie ma za co. A teraz wróć na dół i sprawdź, co z kolacją. Dołączcie do nas, gdy będziecie gotowi.

Kiedy Sebastian się oddalił, Stevie zamknęła drzwi, wyjęła z walizki aktówkę i schowała ją pod łóżkiem. Podeszła do okna i otworzyła je na oścież. Nie było tam siatek przeciw owadom, mogła więc się wychylić i dotknąć winorośli otaczających okno i wijących się po ścianach. Na funkcjonalny ogród składały się schludne grządki zielonych warzyw oraz ziół wspartych na drutach i osłoniętych siatką przed wiatrem. Pod samym murem rosło kilka gruszy, których gałęzie ugiwały się od owoców. Za tym ogrodem był kolejny, a dalej roztaczało się pole aż po wzgórze z drzewami. „Anglia. Bezkrzesna zielona Anglia...”

Stevie zauważyła, że z takiego okna łatwo wypaść. Wystarczy tylko trochę się wychylić, by spojrzeć na różę, owcę czy obłok, a już się leży na kamiennym tarasie jak w kryminałach Agathy Christie.

W związku z powyższym zamknęła okno.

Łazienka była ładna. Stały w niej wielka wanna na szponiastych nogach i sofa, nieduża, taka do posiedzenia. Stevie siedziała na niej przez kilka minut, wpatrzona w wannę, walczyła z rosnącym lękiem. Oddychała powoli – i zgodnie z zasadą, że wydech ma być dłuższy niż wdech.

„Ciotka Angela. Jestem tu dla niej. Jasne, że sprowadziłam ich tu wszystkich, kłamiąc, ale to było kłamstwo w szczytnym celu, więc czy w ogóle było kłamstwem?”

Stevie musiała komuś się zwierzyć. „Nate. Nate zrozumie. Najpierw powiem jemu, a później Janelle i Vi – i wszystko się ułoży, odzyskam spokój i będę mogła wziąć się do poszukiwań”.

Wyszła na wyłożony ciemną boazerią korytarz z wieloma drzwiami. Skradała się po nim, nie bardzo wiedząc dlaczego. Zdobne dywany, chodniki, oczy na ścianach i zegar wionęły czymś, co wskazywało, że skradanie się to jedyna dopuszczalna metoda poruszania się po domu takim jak ten. Ciężkie stąpanie byłoby wulgarnie. Tak chodzi biedota. David wyszedł z pokoju.

– Hej – powiedział. – Wracasz na dół?

– Muszę tylko chwileczkę pogadać z Nate’em – odrzekła. Ścisząc głos, zapytała: – Myślisz, że im nie przeszkadzamy?

– To Anglicy – odparł David. – Narzekają za plecami. Nigdy nie mówią nic w oczy. Poza tym myślą, że Amerykanie są prymitywni, więc w sumie nie ma się czym przejmować.

– Nie są prymitywni – wciąła się Sooz. – Stevie wydała odgłos przestraszenia. Właściwie był to zdławiony pisk. Sooz przyjechała i zostawiła rzeczy w pobliskim pokoju. Miała na sobie ciemnoniebieski kombinezon ze srebrną lamówką. Gdy szła w ich stronę, zafalowały jej włosy. – Miło mi znowu was widzieć – rzekła. – Amerykanie, z którymi się stykam, są w większości przemili. Powiedziałabym wam, gdyby cokolwiek nie grało, a oni nie, no ale oni są grzeczniejsi. Bardzo się cieszę, że przyjechaliście. Na pewno lepiej pobyc tu razem niż siedzieć w domu i się zamartwiać. Chodźmy na dół, Sebastian chciałby was oprowadzić po posiadłości.

– Zejdę za moment – odrzekła Stevie.

– A ja od razu – powiedział David.

– Dobrze. Sebastian! – zawołała Sooz.

Echo rozniosło się po całym domu.

– Tak, moja droga? – padła odpowiedź.

– Masz jakiś trunek na popołudnie?

– W kuchni został po jakimś weselu cabernet. Świetny. Będzie w sam raz.

Zerknąwszy na Stevie, David ruszył po schodach.

Wolno cofając się tą samą trasą, Stevie znalazła drzwi pokoju przydzielonego Nate’owi. Zapukała – i zastała go wśród kasztanowych ścian, niemiło ciemnych jak skrzepla krew. Uplaszony na łóżku, spoglądał na telefon.

– Jak ci się podoba w nawiedzonym domu? Kiedy tańczymy Time Warp¹⁵? – zapytał.

– Muszę z tobą pogadać. – Stevie zamknęła drzwi.

– Czemu napawa mnie to zgrozą? Zamiast o smoku, którego ktoś znalazł, czy o spadaniu w bezdenną otchłań, zawsze mi mówisz o czymś tak straszonym, że normalnie włos się jeży, Stevie.

– Quinn nie zgodziła się na ten wyjazd.

Nate opuścił telefon na kolana.

– Co to niby ma znaczyć? Myślałem, że ją pytałaś.

– Pytałam...

– Ale?

Spojrzała na niego.

– Ale? – naciskał.

– Odmówiła.

Nate ukrył twarz w dłoniach.

– To żart, prawda?...

– Wkrótce wrócimy – przerwała Stevie. – I całą winę wezmę na siebie. Powiem jej, że was zbajero-
rowalam. Powiem, że wszystko to moja sprawka.

Umilkła, żeby się z tym mógł oswoić. Dopiero po chwili oderwał dłonie od czoła i spojrzał na nią
poważnym wzrokiem.

– Trzeba powiedzieć Janelle i Vi.

– Pocięło cię?

– Z tobą to norma. Musisz namącić. Masz to we krwi. Miałem przeczucie, że się nie zgodzi. Ale
ty zawsze stawiasz na swoim. Kłamstwo jest słabe, dobrze wiesz, Stevie. Ja i Vi pewnie to jakoś
zniesiemy, ale Janelle nie można okłamywać.

„Już bym wolała, by Nate się wściekł. Ma rację. Vi i on się z tym pogodzą, ale Janelle nie znosi
blagi”.

– Jak to odbierze? – spytała z lękiem.

– Fatalnie – odparł. – Załatw to zaraz. Później musimy się zastanowić, co zrobić, kiedy zadzwoni
Quinn.

– Już o tym myślałam. Nie wie, skąd dzwoniemy, więc moglibyśmy...

Nate tylko spojrzał.

– Tak, yyy...

Z dołu krzyknął Sebastian:

– Hej, chcecie zwiedzić posiadłość?!

– Powiedz jej prędko. Ja, kurde, nie powiem. Ja jej nie powiem ani nie okłamię.

„Kłamstwo to taki parszywy wyraz, cały kolczasty. Jestem kłamaczuchą. Ohydztwo”. Stevie aż za-
schło w ustach.

– Powiem jej dzisiaj – przyrzekła. – Słowo.



XIX

Sebastian powiódł Davida i Stevie drzwiami od frontu i przez chwilę stali na wielkim brukowanym ganku, patrząc na faliste zielone pola, owce i zachód słońca. Nate postanowił wycofać się z wycieczki, a Vi i Janelle przypad-ły gdzieś w czeluściach Merryweather. Izzy była zajęta rozmową z Theo, więc wokół domu krążyli tylko David i Stevie.

– To miłe z waszej strony, że przyjechaliście z Izzy – rzekł Sebastian, prowadząc ich niskimi kamiennymi schodami na trawnik. – Jak sobie radzi?

– Jest niespokojna – odparł David.

– Tak jak my wszyscy. Julian powinien mieć jakieś wieści. Na razie jednak zachowajcie spokój i róbcie swoje, to moja rada. A przy okazji zobaczycie trochę Anglii. Jak choćby ten zakątek. Moja rodzina mieszka tutaj od tysiąc sześćset siedemdziesiątego piątego roku. Mój praprapradziad przysłużył się królowi i dostał za to tę ziemię i dom. Powinienem, rzecz jasna, pielęgnować pamięć o tym, ale tego nie robię, jakoś zapominam. Tamten dom wyburzono, wzniesiono nowy, a sto lat później inny mój przodek zburzył go, bo coś mu nie pasowało. Wybudował więc ten. Czysty obłęd. Popatrzcie. – Machnął w kierunku domu za nimi. – Nie utrzymałbym go, gdyby nie zarabiał na siebie. Nawet dla kilku osób jest stanowczo za duży. Zarabia, bo wynajmuję go na wesela, mityngi, imprezy... Filmowcom. Wiosną i latem, w Gwiazdkę, w sylwestra panuje u mnie największy tłok. Za dwa tygodnie będą tutaj kręcili sceny do jakiegoś dramatu historycznego. Lubię to, zdarza mi się statystować. Kiedyś zagrałem kamerdynera. Dali mi kwestię! – dodał z uśmiechem. – Wszystkie te wielkie pokoje są otwarte dla gości i ekip filmowych. Ostatnie piętro jest moje, tam mieszkam. Zburzyłem ściany między kilkoma bardzo ciasnymi izbami dla służby. Mam spory salon, przestronną sypialnię. Mój mąż wycenia antyki w Sotheby's. Teraz jest w Wiedniu, szykuje się aukcja. Ma bzika na punkcie wyprzedzaży... Zaraz, jak to mówicie? Garażowych, tak? Umie wypatrzeć skarb w kupie złomu, kupuje cuda za bezcen, wierz mi. Mieszkamy wśród geor-giańskich trójnogich stolików, na stercie filiżanek ze strychów i piwnic.

– A kiedy mąż wyjechał? – spytała niby mimochodem Stevie.

– W zeszłym tygodniu. Te licytacje to nie fraszka.

Spacerowali wokół stawu na krańcu trawnika. Przy jego brzegu, naprzeciw domostwa stało coś w stylu greckiej świątyni.

– Nasza altana – powiedział Sebastian. – Wręcz wymarzona do sesji weselnych. Ostrożnie! – Złapał Stevie za ramię. – Ha-ha – rzekł.

Stevie wbiła w niego wzrok. Gestem nakazał jej spojrzeć pod nogi. Trawnik urywał się nagle i zaraz był rów głęboki na półtora metra. „Nieoznaczony zupełnie niczym. Nie widać go!”.

– Ha-ha – wyjaśnił Sebastian – to jakby bariera. Odstrasza zwierzęta. Akurat tutaj owce i jelenie. Nie zakłócając przy tym pejzażu. Jest niewidoczna i to chodzi. Stąd pewnie nazwa, bo zaskakuje. Przepraszam, że was nie uprzedziłem. Tędy.

Ruszyli w stronę podjazdu, gdzie trawnik ustępował miejsca drzewom, a ziemia była pokryta zlocistobrazowym kobiercem z liści.

– Dawniej... – Sebastian przekroczył opadłą gałąź – mieliśmy ogrodnika imieniem Chester. Kiedy przyszedłem na świat, liczył z półtora stulecia. Świetnie znał się na rzeczy, co odziedziczył po ojcu. Dorastał tu, więc znał każdą roślinę. Uczył mnie o nich, gdy byłem dzieckiem. Ale rośliny nudziły mnie, za to od zawsze miałem słabość do grzybów. Dziwne maleńkie... jakby dzieci lasu. Chyba się z nimi utożsamiałem. Ten... – Kucnął, wskazując grzyb z karminowym kapeluszem w białe plamki. – To muchomor czerwony. Jest powszechny na świecie. Ładny. Żywcem wyjęty z Alicji w Krainie Czarów, wygląda też jak grzyb z Super Mario Bros. Zawiera substancje psychoaktywne.

David ciekawie oglądał grzyb.

– Wierzcie, że próbowałem wszystkich, które wydawały mi się magiczne – podjął, spostrzegłszy to, Sebastian. – Chociaż rzygałem jak kot, na szczęście nigdy się nie zatrulen. Gdy do Chestera dotarło, że ciągle jem grzyby, drobiazgowo zapoznał mnie z ich gatunkami. A tutaj... nieraz można spotkać... O, jest. – Podeszedł do kopki liści, odsunął kilka patykiem. Wskazał niepozornego grzyba na grubej nóżce. Brązowego. – Amanita phalloides. Muchomor sromotnikowy. Nie rzuca się w oczy, ale jest bardzo groźny. Krótko mówiąc, zabija. Uważa się, że cesarz Klaudiusz został otruty właśnie nim. Najgorsze przecież są ciche myszki, wiadomo. Całkiem nijaki, a śmiertcionośny. Uznałem, Stevie, że skoro działasz jako detektyw, pewnie byś chciała posłuchać o leśnych zabójcach.

Istotnie chciała się dowiedzieć takich rzeczy, więc doceniła, że Sebastian to wyczuł.

Minęli wyspany żwirem podjazd i poszli wzdłuż muru obrośniętego bluszczem, a później wkroczyli przez bramę do misternie zaplanowanego ogrodu. Były tam rabaty z jednym gatunkiem kwiatów, fontanna, ścieżka i szemrzący strumyk.

– Sławę przyniosły nam te ogrody, nie dom. Zaprojektował je w tysiąc dziewięćset dziesiątym mój pradziadek Sylvester Holt-Carey, szalony pasjonat ogrodnictwa. Zwerbował szwadron ogrodników, a nasiona i sadzonki zwoził z całego świata.

Zajrzeli w okno salonu. Theo rozmawiała z kimś, stojąc. Zauważyła ich i podniosła rękę. Sebastian tak samo ją pozdrowił. Poszli francuskim ogrodem i przez warzywnik dotarli na tyły domu. W przeciwieństwie do ogrodu frontowego z jego klarowną kompozycją ten, w którym teraz się znaleźli, złożony był z kilku ścian zieleni o różnych wysokościach. „Toż to istna rezydencja... to kłębowski pokoi jakby utkanych z roślin, ścieżki jak korytarze pośród fontann i drzew”. Oglądając to wszystko, Stevie nareszcie pojęła, skąd wzięło się porównanie tylnych ogrodów do labiryntu. „Sama zgubiłabym się tu bez dwóch zdań. Gdyby Sebastian zostawił nas teraz w tym gąszczu, szukanie wyjścia zajęłoby nam z pół godziny”.

Weszli do kręgu okolonego rosliny cisami, z niedużym pawilonem i szumiącą fontanną w kształcie głowy lwa.

– Jestem udziałowcem... – oznajmił Sebastian – instytucji, która pracuje z osobami uzależnionymi. Przynajmniej cztery razy w roku urządzamy tu dla nich spotkania terapeutyczne. Chciałbym przekształcić rezydencję w ośrodek, gdzie byłoby leczenie... W dom z prawdziwego zdarzenia dla tych, którzy go potrzebują. Na razie jeszcze musimy ją wynajmować do czasu, gdy będzie nas stać na porządny remont. Zapadające się stropy nie dopingują do życia. To świetne miejsce do medytacji. Co rusz słyszemy to od gości.

– Mogę o coś zapytać? – odezwała się Stevie.

Mimo że ledwie się poznali, nie miała czasu do stracenia.

– Tak, bardzo proszę – odrzekł Sebastian.

– Czy to w stylu Angeli: wyjechać bez uprzedzenia?

– Nie – odpowiedział. – Ange wprawdzie bywa spontaniczna, ale nie zrobiłaby tego, by nas nie niepokoić. Tamtej nocy wysłała nam wszystkim esemesa, że powinniśmy się spotkać. Tu, w Merry-weather.

Wyjął telefon i – odszukawszy ciąg wiadomości – podał go Stevie, która nie pisnęła słowa, że są jej już znane. Mając je przed oczami, prowadziła przesłuchanie bez trudu.

– O jaki guzik jej chodziło? – spytała.

– Nie mam pojęcia. Uznałem, że to autokorekta.

– Kiedy ostatnio pan widział Angelę?

– Kilka tygodni temu. Na przyjęciu. U Petera. Peter i Yash zdobyli nagrodę za Rybkę w becze. To komediiowy teleturniej panelowy o aktualnych wydarzeniach. Nie wiem, czy go oglądasz. Jest bardzo dobry.

– Jak się zachowywała?

– Całkiem normalnie. Wszyscy się świetnie bawili. Jako że piłem tylko tonik, no i kładę się wcześniej, wyszedłem pierwszy, razem z Theo. Ange jeszcze została i była w wybornej formie.

– Dlaczego pan sądzi, że chciała z wami pomówić... o tym zdarzeniu?

– Cóż... – Sebastian usiadł na ławce pod cisami. Stevie z Davidem zaś na krawędzi fontanny. – Warto pamiętać, że to, co się stało, zmieniło nas. To oczywiste. Zmieniło nas zasadniczo jako ludzi. Mieszkanie tu z tym wspomnieniem to ciekawa sprawa. Takie domy są świadkami wielu wydarzeń. Wojen. Chyba są tak pomyślane, by pochłaniać takie ciosy. Wpisują się one w ich tkanę. Obcuje z domem na co dzień, więc pewnie jest mi trochę łatwiej udźwignąć ten ciężar. Ale czasem wszyscy potrzebujemy to przepracować. To nieuniknione. Trzeba stawić temu czoło. Angela na pewno nieustannie o tym myśli.

– Czy nie zdarzyło się nic podejrzanego?

– Nie złapią ich – odparł Sebastian, kręcąc głową. – Wątpię, żeby to była sprawa do rozwiązania na podstawie DNA. Do wnętrza drewnutni dostała się woda, więc nie wiem, czy zachowały się wszystkie ślady.

– Możemy o tym rozmawiać dalej?

– Tak. Jak mówiłem, wciąż mam to w głowie.

Sebastian założył nogę na nogę, usiadł wygodnie i zaczął snuć wspomnienia.

– Mój zmarły ojciec, nieodżałowany piąty wicehrabia, był draniem. Miał tylko jednego potomka, mnie, i nie mógł ścierpieć, że spłodził geja. Manifestował to na każdym kroku. Potraktowałem to jako wyzwanie, by bulwersować, rzucić się w oczy. Pod każdym względem wyróżniać się z tłumu. Piłem. To było w czasach studenckich. Każdy drinkował. Tak to już jest. Ale ja mogłem pić bez ustanku. Nie miałem sobie równych w te klocki. Palilem też duże ilości zioła. Studiowałem chemię, wierz mi lub nie. Zawsze byłem z niej dobry. Może dlatego zbliżyłem się z Theo, że fascynują nas nauki ścisłe. Rzecz jasna ona ciężko pracowała, a ja się stale objiłem. Skala ocen końcowych w Cambridge jest czterostopniowa. Najwyższą dostają genialni studenci, którzy nie szczędzą trudu i czasu. Dostała ją Theo. Potem są dwie środkowe. Dobry plus, czyli idzie ci świetnie... Dobry to stopień zadowalający: uczyłaś się mimo wagarów i imprez. A dostateczny oznacza, Stevie, że kończysz studia jedynie cudem. Mnie zależało na najgorszym stopniu; byle zdać, ale wpienić tatusia. Wziąłem więc arkusz i wypełniłem go po lebkach, wyszedłem pierwszy i biegiem do pubu. Bardzo się tym szczyliłem, ale i tak nie miało to znaczenia, bo marzyłem o aktorstwie. Wtedy wydarzył się dramat. – Sebastian spojrział na czarne ptaszysko, które zawzięcie krakało na nich z głowy

figury pośrodku fontanny, wylądowawszy tam przed minutą. – Skargi nie tutaj – zwrócił się do niego. – Proszę o kontakt przez naszą stronę. – Ta informacja zadowoliła klienta. Odleciał. – Więc... wyjechałem do Londynu. Miałem trochę pieniędzy, spadek po krewnym. Niewiele, jednak wystarczająco, żeby wynająć brudną kłitkę z Sooz. Sooz dawała z siebie wszystko na przesłuchaniach i spektaklach, ja dokładałem starań, by zmieścić się w żuła. Żuła, jakiego nie widział świat. Zrobiło się bardzo nieciekawie. Bardzo. Ćpałem co tylko wpadło mi w ręce. Nie chciałem myśleć ani pamiętać. Sooz próbowała mi pomóc, jednak udając bon vivanta, jak mogłem, migąłem się od odwyku. Półtora roku po tragedii zairzałem śmierci w oczy. Leżałem na podłodze ubikacji w jakimś klubie. Nade mną ratownicy medyczni... Bóg raczy wiedzieć, co wtedy wziąłem. Wylądowałem w szpitalu na płukaniu żołądka. Podobno byłem o włos od śmierci. Przez narkotyki rodzina zerwała ze mną kontakt. Nie odzywała się. To oni... – wskazał na dom, ale Stevie wiedziała, że ma na myśli przyjaciół – ...mnie wsparli. To Theo była przy mnie, gdy otworzyłem oczy. Skłonili mnie do podjęcia terapii. Podtrzymywali na duchu. Od początku do końca kibicowali mi wiernie. Dzięki nim pozostaję czysty i trzeźwy. Ale też chyba degrengolada i długotrwałe leczenie pomogły mi wyjść z traumy. A raczej się z nią oswoić. Poradziłem z nią sobie najlepiej z nas wszystkich, ale najpierw musiałem upaść na samo dno. Ponadto wiele zawdzięczam temu domowi. To prawdziwy dar losu. Jestem szczęściarzem i nigdy o tym nie zapominam, a pozostali... są samotni. Theo pracuje na oddziale ratunkowym, więc brak jej czasu dla siebie, a coś dopiero dla innych. Sooz miewa partnerów, którzy przychodzą i odchodzą. Angela wyszła za Marvinę, ale ten związek trwał krótko. Przewidziałem to zresztą. Peter był dwukrotnie żonaty, w obu przypadkach nieszczęśliwie. Yash nigdy nie miał szczęścia w miłości, chociaż szaleje za kimś od lat. Julian, no cóż... – Przepraszająco wzruszył ramionami. – Julian to typowy polityk. Przyłapują go na oszustwach i musi publicznie wyznawać winy. Ale jest świetny w swoim fachu, zwycięża więc w każdych kolejnych wyborach. Zasadnie, myślę, bo haruje jak wół. Tak czy inaczej ten dramat stał się naszym przeżyciem. Brzmi to potwornie, ale poniekąd nas zламаł. Mimo to nadal jesteśmy Dziewiątką. Pod wieloma względami nadal jesteśmy dla siebie nawzajem najważniejsi. Dopóki mamy siebie... nie liczy się nic.

Uderzyło to Stevie. „Dla niego w życiu liczą się tylko przyjaciele”.

Okłamała przyjaciół. W tej chwili czuła dotkliwy ból.

– Chodźmy – powiedział Sebastian, wstając i rozbijając nastrój. Poprowadził ich z powrotem drogą, którą przyszli, z tylnych ogrodów pod garaż, przed którym stały dwa samochody. – Tu. – Wskazał, wiodąc ich między kilkoma drzewami.

„Oto i ona. Drewnutnia”. Była większa niż na zdjęciach.

– Powiniennem zburzyć to cholerstwo, ale nie mogę. Źle bym się czuł.

Drewnutnia miała nowe drzwi z normalnym zamkiem na klucz. Kiedy Sebastian je otworzył, oczom Davida i Stevie ukazało się proste pomieszczenie z traktorkiem do koszenia trawy i kilkudziesięcioma belami siana. Okna były pokryte gęstą siatką pajęczyn. Na parapetach stały rzędy puszek odrdzewiacza oraz butelki smaru i opryskiwacze ogrodowe. „Słodkawy smrodek to siano z benzyną”. Stevie widziała już kilka miejsc zbrodni. „Niesamowite – tu też jest... tak prozaicznie. Żadnego znaku, neonu, strzałki, posagu. Zwykła drewnutnia, co prawda duża, ale drewnutnia”. Obešla ją, żeby ustalić jej rozmiar. „Ponad trzy metry na cztery i pół z kawałkiem, zmieściłyby się tu dwa samochody. Jest szarobura, wyblakła, widać od dawna niemalowana”. Stevie uważnie przyjrzała się drzwiom. Wokół zamka, który zastąpił skobel, spostrzegła małe, małe, małe blizny po jego wyrwananiu.

Skojarzyło się to jej ze słowami Sebastiana o muchomorze sromotnikowym. „Taki niewinny. Nijaki. Zwyczajny”.

– Pakudna stara szopa, nic więcej – rzekł, rozglądając się, Sebastian. – Już w niej nie trzymam drewna na opał. Zbudowałem na nie nową. Teraz są tutaj kosiarki do trawy. I bele siana, które w je-

sienne wieczory układamy przy ognisku jako siedzenia dla gości, by było im wygodnie, gdy popiją czekoladę albo porto.

Stevie omiotła spojrzeniem drewnię. Coś nie dawało jej spokoju. „Widniało przecież na tamtych zdjęciach. Bo chyba mi się nie przywidziało? Drewnia miała okno – wysoko u góry, tuż przy szczycie”. Podniosła głowę i stwierdziła, że nie ma okna u góry ani też szczytu. Strop był płaszczyzną i niższy, niż wskazywałyby wysokość budynku. „A to oznacza, że nad nim coś się kryje”. Szybki skan stropu ujawnił linę i nikielny zarys pokrywy włazu.

– Co jest na górze? – spytała.

– Stryszek – odparł Sebastian. – Nic ciekawego.

„Gdy chcesz od kogoś coś wyciągnąć, to nie dopytuj, a przeinacz”.

– Ach, tam się skryli złodzieje, prawda?

– Nie – odpowiedział. – Nie był używany. Podłoga przegniła.

– Więc nikt się tam nie mógł schować?

– No nie. – Sebastian pokręcił głową. – Rodzice go zamknęli, żeby ktoś się nie zabił. – Wyraźnie czując, że niefortunnie dobrał słowa, potarł oczy. – Po tragedii – dorzucił – został naprawiony. Dla bezpieczeństwa, bo nie chcieliśmy, żeby się komuś znów stało coś złego.

Być może nauczona doświadczeniem kilkudniowego zwiedzania Stevie wyczuła, że spacer się kończy.

– Zechciałby pan... – rzekła, gdy Sebastian podszedł do drzwi. – Przygotuję raport z wyjazdu dla szkoły. Muszę porobić zdjęcia, więc byłoby cudownie, gdyby pan zapozował na belach siana, dobrze? Dwie mi wystarczą, odłożę je na miejsce. Zgodzi się pan?

Sebastian zgodził się, po czym oddalił, zapewne myśląc, że w Stanach zadaje się zadania luźno związane z sianem i liczy, że coś z tego będzie. Nie całkiem się mylił.



– Siano? – zapytał David, kiedy zostali sami. – Co ty wyprawiasz?

Stevie zamknęła drzwi drewnutni i otoczyła ich ciemność. Wyjęła telefon i włączyła latarkę, kierując strumień światła na strop. Sięgnęła po linę, ale była poza zasięgiem jej rąk.

– Złap ją – nakazała Davidowi. – Pociągnij.

– Najpierw stawiasz kolację.

Poczęstowała go kuksańcem, chyba zbyt mocnym, bo zakaszał. Pociągnął za linę i otworzył właz. Widząc składaną drabinę, Stevie dała mu znak, by ją opuścił.

– Miła odmiana – powiedział David. – Zwykle włączymy do strasznych dziur w ziemi. Jakże się cieszę, że zaraz wejść do strasznej dziury wysoko nad nią.

Gdy już drabina została opuszczona, Stevie wspięła się po niej, nie tracąc czasu. „Pewnie kiedy wystawię tam głowę, osaczy mnie milion, miliard pająków”. Ale nie było tam nic poza smrodem zbutwiałych liści i kurzu. „Pusto. Martwa przestrzeń, wysoka na niecałe metr pięćdziesiąt, zawiera kilka zniszczonych kartonów”. Trzy, cztery razy uderzyła pięścią w podłogę, by sprawdzić jej wytrzymałość i wypłoszyć myszy. Lub inne stwory może tam mieszkające. Nic jednak nawet się nie poruszyło.

Stanąła jak najwyżej na drabinie i oparłszy górną część ciała o podłogę stryszkę, wśliznęła się do niego. Popelzła naprzód. Udało jej się przykucnąć i zbliżyć do okna. Okazało się mniejsze, niż wydawało się z dołu. Próbowwała je otworzyć, ale było wypaczone, więc ledwo je uchyliła.

David podciągnął się i dołączył do Stevie.

– Pięknie – powiedział. – Co my robimy?

Stevie szybko przejrzała zdjęcia w telefonie.

– Popatrz, to zdjęcie zrobiła Sooz, gdy przyjechali tu w noc morderstwa. To okno... – wskazała na okno za nimi – ...było zamknięte. A teraz spójrz, to zdjęcie policyjne zrobione na drugi dzień. – Oczywiście w pociągu sfotografowała wszystkie dokumenty. Wyciągnęła naj-wyraźniejsze ze zdjęć drewnutni zrobionych z zewnątrz. – Otwarte – rzekła, wskazując na okno. – Otwarto je w czasie dzielącym ich przyjazd i przybycie policji następnego dnia. Według Sebastiana podłoga była przegniła, tak że nie dało się tutaj wejść. A zobacz... – Pokazała następne zdjęcie miejsca zbrodni, przedstawiające krew rozbryzniętą na suficie. Wyraźnie było też na nim widać otwór, w którym powinna być lina od włazu. – Liny brakuje, więc w jaki sposób ktoś wszedł po morderstwie na ten rzekomo niedostępny stryszek, żeby uchylić okno na paręnaście centymetrów?

– A czy to ważne? – zdziwił się David. – Nikt by się i tak tędy nie wcisnął.

– Cóż, niezupełnie – odparła Stevie. – Chociaż to rzadkość, istnieją ludzie zdolni do przejścia przez kłapkę dla zwierząt. Potrafią wyczyniać takie wygibasy.

– Dziwadła albo cyrkowcy.

– Ponadto po co, skoro wyrwali skobel? Po co ktoś miałby się wyginać, wlaźci przez taką wąską szczelinę, skoro mógł wejść drzwiami? Co zresztą zrobił.

– Może policja je otworzyła?

– Policja wtedy działała inaczej – odrzekła Stevie, zmarszczywszy brwi. – Jeszcze nie bardzo wiedzieli, jak się obchodzić z miejscem zbrodni. Ale według mnie raczej nie otwieraliby okna, żeby mu robić zdjęcia w ten sposób. W raportach nie ma o tym żadnej wzmianki. Wprawdzie czytałam je pobieżnie, ale na pewno zauważyłabym coś o stryszku nad miejscem zbrodni. To istotne. Nie. Policja nie miała o nim pojęcia. Nie zajrzała tu.

– Co to znaczy? – spytał David. – Ktoś przybył do miejsca, które wydaje się niedostępne, by zrobić coś całkiem bezsensownego?

– To znaczy, że wszystko tu jest istotne. Stryszek. Okno. Cała drewnutnia. Zamknięta, otwarta. Podłoga jest przegniła i nie można się tu dostać, a jednak ktoś jakimś cudem tu był.

– Sugerujesz, że Sebastian kłamał, mówiąc o przegnicciu podłogi?

Stevie milczała chwilę. Dzień powoli dogasał.

– Być może kłamał – odpowiedziała.

– Ale Sebastian był jedyną osobą, którą wszyscy widzieli przez cały czas, prawda? Siedział w altanie. Więc po co miałby łąć o podłodze? Nie rozumiem tego.

– Ja też – odrzekła. – Lepiej wracajmy. Kto wie, czy nie zostawiliśmy przyjaciół z mordercą.



XX

Jak to się mówi, kolację podano.

Jadalnia Merryweather mogłaby pomieścić tłum i jeszcze by zostało dużo miejsca. Ponieważ urządzano w niej wesela i eventy, pod jedną ze ścian stały złożone krzesła i stoły. Nad wyłożonym marmurem kominkiem wisiało wielkie posrebrzane lustro. Ściany pokryto jasnożółtą tapetą ozdobioną ptakami pośród pnączy i kwiatów.

– Wybaczcie prostotę – powiedział Sebastian, kiedy już wszyscy usiedli do stołu. – Nie miałem czasu na obmyślenie wykwintniejszego zestawu dań.

Zza drzwi ukrytych w ścianie wyłoniła się kobieta. Niska, o krótko przyciętych czarnych włosach. Całe jej ramię pokrywał tatuaż – gąszcz bluszczu, drutu kolczastego, kwiecica.

– To Debbie – rzekł. – Organizatorka imprez. Zgodziła się wstąpić, żeby mi pomóc.

Wszyscy uprzejmie ją powitali.

Niewyszukane menu rozpoczynało się od zupy kalafiorowej ze szczypiorkiem w zwykłych talerzach cateringowych wraz z koszykami ciepłego pieczywa. Podczas gdy Debbie je podawała, okrążając stół, Sebastian napelniał kieliszki.

– Białe? Czerwone? – zapytał Stevie. – Mam też szampana z czarnego bzu.

Stevie już piła czerwone wino, lecz dotąd nigdy się nie zdarzyło, żeby w jadalni wiejskiego dworu facet mówiący z angielskim akcentem częstował ją winem tak jakby była dorosła i jeszcze do tego wytworna. Nie była dorosła ani wytworna, w jej domu nie piło się wina do posiłku. Bellowie kolację popijali colą, jak każdy przyzwoity Amerykanin. Bez cukru. Gdyby ktoś im zaproponował czerwone lub białe wino, zapewne z konsternacji sięgnęliby po pistolet.

Wydała z siebie długie westchnienie.

Sebastian wdzięcznie zwrócił się ku Izzy, aby dać Stevie czas do namysłu.

– Poproszę kawkę szampana z bzu. – Szybko wybrała Izzy, dodając: – Nie jestem w stanie pić dzisiaj wina.

Kiwnęli głową ze zrozumieniem.

Stevie zdołała już oprzytomnieć. Na tyle, aby podjąć decyzję. Wybrała jak Izzy szampana z bzu. „Bóg raczy wiedzieć, co to takiego”. Smakował trochę podobnie do sprite'a. „Wyszukanego, dla elegantek”.

– Zawiera nabiał? – spytała Sooz, kiedy podano jej talerz zupy.

– Nie, moja droga. Jest wegańska. Sprawdziłem.

– Jestem weganką – wyjaśniła Sooz gościom ze Stanów, choć zdążyli się domyślić.

– Przecież jesz mięso – odparł Sebastian.

Sooz skrzywiła się z niesmakiem.

– Nie jem go od lat – rzuciła. – Skądże! Jadam produkty na bazie roślin. Wyłącznie.

Słyszac to, Theo zmarszczyła brwi i popatrzyła znacząco na Amerykanów.

– Czy u was w szkole jedzenie jest wstrętne? – spytała grzecznie. – A może dobrze karmią?

– Dają nam syrop klonowy – odrzekła Stevie.

– I steki z łosia – dorzucił David. – Steki polane syropem. Pycha.

Kurtuazyjnie to zignorowano.

– Pete, Yash – zwróciła się do nich Sooz. – O czym przed chwilą rozmawialiście?

– Myślmy nad nowym teleturniejem – odparł Yash. – Jeszcze się nie ma czym chwalić.

– A o czym będzie?! – wykrzyknęła Sooz.

– Wymaga pracy – odpowiedział Peter.

– Z nimi tak zawsze – stwierdziła Theo. – Yash z czymś wychodzi. Peter go gasi. Yash cyzeluje, Peter się czepia. A w końcu tworzą coś genialnego.

– Pomysły – wszystkie – są moje – rzekł Peter. – Tylko dlatego, że bywam krytyczny...

– Coś jeszcze? Widzicie, z czym się borykam?

Przekomarzali się tak bez przerwy, gdy za oknami zapadła noc. Debbie wniosła kielbaski z purée ziemniaczanym. Sałatkę. („Tu purée na bazie roślin, tak, Seb? Wegańska kielbaska to która?”). Sebastian i reszta mówili jak nakręceni, podchwytywali swoje wątki i rozumieli się w pół słowa. Stevie nie rozumiała zbyt wiele z ich rozmów. Była to pogawędka osób, które znają się od dawna – do tego stopnia, że stworzyły własny język. Wszyscy zdawali się mieć głęboką wiedzę o świecie, polityce, sztuce, muzyce, literaturze. Ich pewność siebie nie zdrziwiła Stevie. „Są przecież starsi i dobrane im się powodzi?”.

Izzy włączyła się do tej rozmowy, rozprawiając o farmach wiatrowych, jakiejś aferze w parlamencie i Bake Off. Ciemnoniebieski sweter leżał na niej idealnie.

„Nie opina jej ani nie jest zbyt luźny. Wygląda, jakby skrojono go dla niej. Widać, że Izzy wie, co i jak nosić. Gdybym włożyła go ja, wisiałby na mnie albo mnie dusił. Moja sylwetka na pewno by go zawiodła. Bo tak do końca czuję tylko bluzy z kapturem. Dla nich to musi być bardzo amerykańskie, słabe, bezpłciowe i chyba też ciudopodjrzane”.

Stevie obciągnęła rękawy, by zasłonić dłonie, lecz widząc, że to bez sensu, podciągnęła je do łokci. „Tak też niedobrze; niech już zostanie jak przedtem”.

Bluzę wciąż ozdabiał sos, pamiątka z samolotu.

Stevie nie była niewyrobiona. Dużo czytała i miała niemalą wiedzę. Tu jednak jakby odjęło jej mowę, straciła rezon i dopadł ją lęk. Janelle z łatwością dotrzymywała kroku rozmówcom, zwłaszcza w tematach związanych z naukami ścisłymi. Niesamowite wrażenie wywarła na Stevie Vi. „Jest na bieżąco z polityką Wielkiej Brytanii – bardziej niż David, który studiuje stosunki międzynarodowe, i to jeszcze w Londynie, na miejscu! Tylko Nate i ja siedzimy jak trusie”. Nate skupił się na jedzeniu, a Stevie na obserwacji. „Wszyscy przy tym stole ewidentnie unikają sprawy, która ich tutaj sprowadziła. Ani słowa o Angeli. Każde dwoi się i troi, żeby było lekko i przyjemnie, byle tylko obejść straszną kwestię jej zniknięcia. Zachowują się tak, jakby na coś czekali – na wybuch, który by ich zdopingował”.

Jedząc kielbaski, Stevie patrzyła na finezyjne zdobienie ścian. Dopiero po chwili dotarło do niej, że wzór na tapecie się nie powtarza. „Nie jest to tylko ładna tapeta, tak położona, by wzór się zgadzał – to dzieło sztuki, unikat pełen niuansów, prawdziwe cacko, nie rzecz ze sklepu”.

– Jedwabna – rzekł Sebastian. – Ręcznie malowana. – Spostrzegł, jak bacznie przygląda się ścianom. – Nie jest składanką, nie ma tu spoin. Powstała chyba w latach dwudziestych. Tu i ówdzie

przetarta, ale w półmroku trudno to dostrzec. Wspaniała praca. Wątpię, by dzisiaj dało się kupić coś podobnego. Pokój w istocie jest owinięty w olbrzymi obraz, niespotykane.

– Opowiedz, Stevie... – poprosił Yash, kiedy zebrawszy puste talerze, Debbie przyniosła ciasto daktylowe z sosem toffi. – O pracy detektyw. Rozwiązałaś dwie sprawy?

Stevie splotła ręce na brzuchu.

– Yyy... Ogólnie cztery. Zależy, jak je liczyć.

– Jak to robisz? – spytała Sooz, pochylając się nad stołem. – Domyślam się, że w szkole nie ma laboratorium badań DNA. Jak rozwiązujesz zagadki zbrodni? Jakiej metody używasz?

– Yyyyy... Przyglądam się wszystkiemu.

– Klasyka – rzekł Peter.

Pewnie w obawie, że temat „profesja Stevie” sprowadzi pogawędkę na mroczne tory, przeszli do Nate’a.

– Napisałaś powieść? – spytała Theo. – Cykle księżycowego blasku?

– Znam ją – ożywił się Peter. – Namówiła mnie córka, była nią zachwycona. Więc przeczytałem.

„Nie mów, że też się zachwyli książką. Co nie oznacza, że mu się nie podobała”. Stevie spędziła z Nate’em dość czasu, by wiedzieć, że kiedy ktoś nie mówi, czy mu się podoba, to Nate uznaje, że jej nie cierpi. „Byłoby gorzej, gdyby czytelnik stwierdził, że książka jest bardzo fajna. Wtedy Nate wczłogałby się do kominika, obłożył drewnem i się podpalił. Pisarze są dziwni. Rozmowa z pisarzem to trochę tak jak rozmowa z pajakiem – na byle słowo wieje w poplochu”.

Nate z miejsca zaczął pochłaniać deser. Przeszli do Janelle. Rozmawiali o jej umiejętnościach i kompetencjach. I urzędzeniach, które buduje, wśród nich maszynie Rube’a Goldberga. Potem o Vi i jej planach, że chce zostać tłumaczką.

– A ty co robisz? – Yash spytał Davida.

David skłonił się uprzejmie.

– Obijam się – odparł i upił łyk czerwonego wina. Odpowiedź pobrzmiwała drwiną, lecz wszyscy grzecznie się roześmiali, a Sebastian wznosił na jego cześć toast wodą. – Ale odkąd tu jestem, sporo się nauczyłem. Na przykład o ustawie łososiowej z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku. Zakazuje handlu łososiem pozyskanym...

– ...w podejrzanym sposób – dokończyli prawie chórem Peter i Yash.

– Piszemy żarty do show Rybka w beczcze – wyjaśnił Peter. – Musimy znać głupie ustawy o rybach.

– Zdziwiłbyś się, ile ich jest – dodał Yash. Stevie stwierdziła, że rozmowa przybiera niezbyt ciekawy obrót.

„David jest mądry. Umie programować. Studiuje w Anglii stosunki międzynarodowe, a w kraju udzielał się politycznie, ale prawda jest taka, że im nie dorównuje, więc struga głupka”.

Spostrzegła, że wierci się, wymusza uśmiech. Już miała wspomnieć, jak latem ciężko David pracował jako ochotnik, gdy nagle w sieni rozległ się hałas. Ktoś wszedł do domu.

Wszyscy wyprostowali się na krzesłach.

– Jules – oznajmiła Sooz, wstając.

Chwilę później do jadalni wszedł mężczyzna, choć słowo „wszedł” jest tu nieadekwatne. Julian Reynolds zmienił ich orientację przestrzenną. Cała energia zebranych skierowała się w jego stronę. Przyciągał jak magnes.

Włosy piaskowej barwy miał przyprószone siwizną na skroniach. Na jego nieskazitelny ubiór składały się szare spodnie i ciemnoniebieska koszula. Zapewne włożył ją, by podkreślić kolor oczu. Czytając nieraz o przesywających niebieskich oczach, Stevie myślała, że ten epitet jest bez sensu.

„Przecież wiadomo, że gałka oczna prawie w całości składa się z wody, więc gdyby użyć jej jako broni, niczego by nie przeszyla, tylko pękłaby z hukiem”. Oczywiście były błękitne jak woda w basenie i równie przejrzyste. Kusily, by się w nich zanurzyć i zgłębić ich toń. „Kontakt wzrokowy z Julianem to niema intymna rozmowa, która wciąga tak mocno, że nie sposób jej przerwać. To zniewolenie”.

– Wybaczcie, że się spóźniłem – rzekł, wdzięcznie zdejmując beżowy płaszcz. – Operowałem. Podbiegłszy, Debbie odebrała od niego płaszcz – i nastąpiło powitanie.

– Znasz Isabelle, bratanicę Ange – powiedział Sebastian. – A to jej przyjaciele ze Stanów.

Zabrzmiało to tak, jakby łączyła ich przyjaźń na śmierć i życie, jakby czekał na chwilę, gdy będzie mógł ich przedstawić.

– Zjesz kolację? – spytała Debbie. – Jest jeszcze ciepła. Kielbaski z purée i trochę zupy...

– W pociągu zjadłem kanapkę, dziękuję – odparł. – Ale mam chętkę na coś słodkiego i kawę. Muszę obgadać z wami parę spraw.

– Więc przejdźmy do salonu – zaproponował Sebastian. – Napijemy się kawy przy kominku.

Wszyscy wyszli z jadalni do głównego holu.

– Chyba chcą pogadać sami – powiedziała cicho Ja-nelle. – Chodźcie na górę.

– Jestem za – poparł ją David.

Więc skierowali się ku schodom, mimo że Stevie chciała pójść do salonu. Na szczęście Izzy czytała w jej myślach.

– Stevie... – poprosiła – ...mogłabyś do nas dołączyć? Byłoby dobrze.

Nate rzucił Stevie zjadliwe spojrzenie, po czym odwrócił się i ruszył na górę.

– Julian pracuje też jako chirurg? – spytała Stevie, zanim weszły do salonu.

– A! Nie. „Operować” to również „przyjmować petentów”. Tak się mówi w parlamencie. Jest posłem. Rozumiesz, to slang.

„Tutaj naprawdę nic nie ma sensu”.

Zapadł już zmrok. Dorzucono drewna do kominka. Sebastian zaciągał ciężkie zasłony na noc, gdy Debbie wniosła tacę z herbatą i kawą oraz ciastem dla Juliana. Postawiła ją na otomanie.

– To wszystko na dziś – rzekł do niej Sebastian. – Debs, wielkie dzięki za pomoc.

– Jest tu gdzieś mleko sojowe albo owsiane? – spytała Sooz, patrząc na dzbanuszki na tacy.

– Tak, mleko na bazie roślin jest w tym. – Sięgnął i podał jej dzbanuszek w różę.

„Określenie «na bazie roślin» wkrótce przestanie cokolwiek znaczyć”.

– Jestem w kontakcie z policją – powiedział Julian, nalewając sobie kawy. – Rozmawiałem z nimi po drodze tutaj. Zdobyłem pewne informacje. Jak wynika z nagrań z kamer ulicznych, tego wieczoru Ange wyszła z domu około dwudziestej drugiej. Zapłaciła kartą Oyster¹⁶ i pojechała na Waterloo. Opuściła stację o dwudziestej drugiej pięćdziesiąt pięć. Na nagraniu widać jej wyjście ze stacji, ale padało i rozłożyła parasol, więc trudno ją śledzić dalej.

– Co z telefonem? – zapytała Stevie. – Mogą sprawdzić, gdzie się logował do sieci.

Julian mlasnął na znak, że nic to nie dało.

– Ostatnie logowanie, które mają, było jakieś pół godziny później, i to dość blisko stacji.

– Czyli tak: wyszła z domu i pojechała na Waterloo – podsumowała Theo. – Sama?

– Tak, sama.

– I nie widziano, aby ktoś ją krzywdził – rzekł Peter.

– Otóż to – podkreśliła Sooz. – Brak wiadomości to dobra wiadomość. Wyszła, bo miała coś do załatwienia albo po prostu chciała odetchnąć. Tak bywa. – Klepnęła Izzy po ramieniu.

– Będę nad tym nadal pracował – rzekł Julian. – Dziś umówiłem się z kimś na telefon. – Dopił resztkę kawy.

Stevie obserwowała przez chwilę Juliana. Chociaż poruszał się płynnie, z lekkością, zauważyła, że jest wzburzony. Ocienione długimi rzęsami lazuruwe oczy miał chmurne.

W przeciwieństwie do reszty nie udawał, że wszystko jest w porządku.



XXI

Niedługo potem Stevie pożegnała towarzystwo i samotnie wspięła się po skrzypiących schodach. Gdy stary zegar tykał miarowo, Holt-Careyowie z kilku stuleci świdrowali ją wzrokiem. Stropy zdawały się sięgać nieba, rzucali jej więc spojrzenia z góry.

Zastanawiała się, do kogo wstąpić. „Może zapukać do pokoju Janelle. Wyznać jej prawdę i mieć to z głowy. Mija dziewczęta, a Quinn nie dzwoni. Muszę załatwić to jak najprędzej”. Kiedy powoli ruszyła do Janelle, zaczęły jej się kotłować myśli. Angela i zamek. Esemes o guziku. Samantha Gravis. Awaria prądu i powalone drzewo na drodze. Zasady gry i zeznania, gdzie kto był w tamtą noc.

„Za dużo tego. Trzeba pomyśleć. A z Janelle mogę pogadać za chwilę”. Stevie wróciła do swojego pokoju. Chodząc w napięciu w tę i w tę, patrzyła na srebrnoliliowe ściany, obraz z rumakiem, zdobiony bok szafy. Po chwili rozległo się ciche pukanie i do pokoju zajrzał David.

– Hej. – Wszedł i cicho zamknął drzwi za sobą.

– Nie byli zbyt... spokojni? – spytała. – Nikt o Angeli nawet nie wspomniał.

– To Anglicy – rzekł David, siadając na łóżku. – Zachowaj spokój i rób swoje, wiesz. Mają to we krwi, wyspiarska flegma. Nie mów o smutkach. Mów o tenisie!

– Ponadto w tej całej rozmowie było coś nie tak – ciągnęła przejęta Stevie. – I w ogóle to wszystko jest jakieś dziwne. Że zaprosili nas tutaj z Izzy... Coś mi tu śmierdzi, nie bardzo wiem co. Wszystko to takie klaustrofobiczne.

– Cóż, sytuacja jest nietypowa. Oprócz tego jesteśmy ze Stanów. Anglia to jednak inny świat, Stevie. Więc człowiek ciągle się czuje nieswojo.

– Tak, ale przecież Angela zniknęła.

– A jeśli nie chce się znaleźć? – odparł. – Podejrzewając jedno z nich, może...

– Myślałam o tym. Esemesuje, dociera do niej, że robi błąd, ucieka, jednak... – Stevie potrząsnęła głową. – Widziałeś, ile ma zabawek dla kota? I zdjęć? Uwielbia tego kocura. Na pewno nie zostawiłaby go samego bez powiedzenia komuś. Nie zostawiłaby całego tego bałaganu. Nie oddaliłaby się z domu, nie mówiąc o tym Izzy. Powiedziałyby cokolwiek, byle tylko jej nie martwić.

David oparł się o zagłówek.

– Więc co to znaczy, że jej telefon ostatni raz logował się nad rzeką w noc, gdy przepadła?

– Co masz na myśli? – spytała Stevie. – A nie w pobliżu stacji Waterloo?

– Która jest nad Tamizą. Byliśmy tam. Blisko London Eye.

„Właśnie takie detale są mi niezbędne do zrozumienia, o co tu chodzi”.

– To nieciekawie – odrzekła Stevie. – Angeli grozi niebezpieczeństwo. Jeśli chcemy ją znaleźć, musimy ustalić, co się tutaj wydarzyło.

Przez ułamek sekundy Stevie miała wrażenie, że widzi kątem oka rozwiązanie zagadki. Że gdy odwróci głowę za szybko, odpowiedź umknie. Znieruchomiała. „Może mi wpłynie w pole widzenia”. Podeszła do okna, otworzyła je. Twarz jej owiało chłodne powietrze, rześki ziemisty oddech jesieni. „Jak tutaj ciemno”. W górze mrugały gwiazdy, a wśród nich bielił się tłusty księżyc.

Ktoś znowu pukał do drzwi. Jeszcze ciszej. David zawołał, że może wejść.

– Sorry, przeszkadzam? – spytała Izzy.

– Nie – odparł David. – Rozmawialiśmy.

Izzy weszła jak speszona zjawa i zamknęła drzwi. Zajęła miejsce na jednym z foteli w kolorze lawendy.

– Siedzą w salonie – oznajmiła. – Mówią o swoich dawnych spektaklach, rolach. Wydaje mi się, że tylko Julian robi cokolwiek. A jej telefon... Proszę, wracajmy już do Londynu, w tej chwili, zaraz. Sprawdźmy to miejsce, gdzie był ostatnio. Jest wyłączony. Dlaczego?!

– Powody mogą być prozaiczne – powiedział David, – Może przypadkiem go upuściła. Albo pozbyła się go po prostu.

– Po co miałyby wyrzucać telefon?

– Jeśli prowadzi dochodzenie – odrzekł – to nie chce, by ją odnaleziono. Bo przecież może prowadzić śledztwo? – To drugie zdanie skierował do Stevie, która milczała, nie słysząc go pewnie, zajęta wychyleniem się przez okno.

– Nie myślisz, Davidzie, że trzeba wracać? – domagała się Izzy. – Wprawdzie na pociąg jest już za późno, ale można by wypożyczyć wóz...

„Jak z tego okna łatwo wypaść. Po co podeszłam do tego okna? Coś mi kazało tu podejść. Okno. Ogród”.

– Stop! – Stevie podniosła rękę.

Był to gest dziwny i teatralny, ale musiała im teraz przerwać.

Wysunęła spod łóżka ognioodporną aktówkę. Choć przeglądała już dokumenty, to chciała zerknąć na pewne zdjęcie. Zrobione wtedy. Poczuć je w dłoni. Wysypała na łóżko wszystkie odbitki, duże, błyszczące. Poszperawszy w nich chwilę, wyловиła dwa – drewnutni z zewnątrz i to bez liny. Nim wyczołgali się ze stryszkę, cyknęła otwór z liną od środka. Otworzyła to zdjęcie i utkwiała w nim wzrok.

– Co powiedziała ciotka? – zwróciła się do Izzy. – Co powiedziała dokładnie? Powtórz.

– To, co mówiłam. Powiedziała, że kłódki nie było na drzwiach. Że według niej ktoś...

– O podłożeniu dowodu. Jak to dokładnie ujęła? Musisz się bardzo uważnie namyślić. Przypomnieć sobie jak najwięcej, Izzy. Czy powiedziała „dowód”, czy tylko „podłożono”? A może całkiem co innego?

Izzy przesiadła się na skraj łóżka i skupiła.

– Nie pamiętam tak dobrze. Niech się zastanowię... W dniu, gdy mi o tym mówiła, wybrałam się do Sainsbury's. Kupiłam jej kilka zup, a po powrocie ugotowałam porową. Ciotka leżała na sofie w salonie i oglądała telewizję. Wiadomości na czwórcę, jak mnie pamięć nie myli. Zaraz... tak, już wiem. Pokazywali morderstwo. Wtedy musiało jej się skojarzyć...

„Izzy ma taką metodę jak ja – łączy zdarzenia, tworzy opowieść. Chce to zobaczyć w całości jak obraz...”.

– I powiedziała mi coś w tym stylu: „Moich przyjaciół zamordowano, słyszałaś?”. Mówię, że tak. A ona, że wszystko było podejrzane. Potem, że na drzwiach nie było kłódki. Że sądzi, że zabił ktoś z jej znajomych. Później... mamrotała o podło... podścieleniu?

– Na pewno? A nie chodziło jej o rośliny?

Stevie na moment nie spuszczała wzroku z Izzy, śledziła każde drgnienie jej twarzy. Izzy zerknęła we wszystkie strony, przypominając sobie lub próbując przypomnieć – Stevie czytała o tej mimice w książkach o mowie ciała.

– Podłoże... Ściółka? Rośliny??? No nie wiem. Ciocia mówiła tak niewyraźnie. Język wciąż jej się plątał... Wiesz, podłożenie miałyby sens. Jak tu wydobyć z belkotu słowo? Ciotce zlewały się zdania, dźwięki... Podłoże... kurczę. Mogło mi się polićkać. Podłoże... Gleba... Więc może rośliny?

„Na bazie roślin. Sadzonki. Roślinne. A pod tym oknem w ogrodzie rosną...”.

– Rośliny. – Stevie się wyprztykała.

– Rośliny – powtórzył jak echo David.

Stevie milczała w zadumie.

– Co teraz będzie? – spytała Izzy.

„Zaczekaj” – David dał jej znak ręką.

Stevie poczuła, że to, co umknęło, znowu majączy jej w polu widzenia.

– W oknie nie musi mieścić się człowiek! – krzyknęła nagle. – To Orient Express. – Rety, wiadomo. Praktycznie nam powiedzieli.

– Co się dzieje? – domagała się Izzy.

– Coś – odrzekł David. – Dowiemy się, kiedy nastąpi.

„Otóż to. Wreszcie zaczyna się dziać”.



Sześcioro członków Dziewiątki robiło dokładnie to samo, co w chwili, gdy Stevie ich zostawiła, tyle że kilkoro przeszło na whisky. Sebastian nalewał sobie herbatę. Stevie, Izzy i David zostali ciepło przywitani i ugoszczeni herbatą lub whisky. David poprosił o whisky, gdy Izzy siadła przy Theo, wtulając się w fotel. Tymczasem Stevie przeszła przez salon prosto do kominka.

– Wszystko w porządku? – zapytał Sebastian.

– Musimy państwa o coś spytać – rzekła Stevie. Uplasowała się przed kominkiem, żeby widzieli ją wszyscy. Było jej bardzo gorąco w plecy. „Spróbuję o tym nie myśleć”. Wyjęła z bluzy jedno ze zdjęć z miejsca zbrodni.

– Co to za zdjęcie? – Yash wychylił się naprzód. – Którś ze zrobionych wtedy przez Sooz?

– Policyjne.

– Jak je zdobyłaś? – zaciekawił się Julian.

– Zdjęcie przedstawia – ciągnęła Stevie – drewnianą z zewnątrz. Zrobiono je po południu nazajutrz po zbrodni. Takim to miejsce zastała policja. Zwróćmy uwagę, że okno jest otwarte... – Podała zdjęcie osobie siedzącej najbliżej. Tak się złożyło, że był nią Sebastian. Wziął je bez słowa i obejrzawszy, podał dalej. – Coś tu się jednak nie zgadza, ponieważ na zdjęciu zrobionym, kiedy państwo przybyli, to okno jest zamknięte. Jak to się stało, że przed morderstwem było zamknięte, a nazajutrz po nim otwarte?

– To pewnie sprawka włamywaczy – odparła Theo, ledwie zerkając na zdjęcie.

– Tyle że pan Sebastian dopiero co mi powiedział, że wejść się tam nie dało, bo podłoga przeogniła. Policjanci nie weszli. Brak zdjęć stryszku. Przypuszczalnie dlatego, że nie było liny. – Stevie podniosła zdjęcie sufitu, wskazując otworek, gdzie znajdowała się lina. – Na suficie są krwawe plamy. Kiedy Rosie i Noel zginęli, właz na stryszek był zamknięty. Więc jak i po co włamywacze

mieliby wejść do niedostępnego pomieszczenia z przegniłą podłogą, aby otworzyć okno? To bezsensowne, prawda? Chyba że... – Stevie kiwnęła głową.

Omówili to na gorze. Nadeszła pora, by odkryć karty. Izzy przesunęła się na krawędź fotela.

– Po operacji – rzekła – na początku tego roku ciocia Angela była na środkach przeciwbólowych. Mieszkałam u niej, bo wymagała opieki. Któregoś razu zaczęła mówić o tamtych zbrodniach. Potarzała bez końca, że ktoś otworzył klódkę i że coś podłożono.

– Prawdopodobnie się przesłyszałaś – stwierdziła Stevie. – Ciotka mówiła o roślinach. Z pewnością. Nie żeby jedno z was tutaj kłamało... – Zwolniła tempo, by zebrać siły. – Kłamiecie wszyscy.



24 czerwca 1995 roku

13.00

To zapach wrył się w pamięć Theo najmocniej. Jako przyszła lekarka była z nim dobrze zaznajomiona. Metaliczna woń krwi, fetor ciała. Wyziewy. Wypełniając jej nozdrza, smród niemal ją dławił.

Noela i Rosie częściowo zakryto drewnem. Zepchnięto je na nich. Zarówno Theo, jak i Sebastian mieli przez resztę życia dziękować losowi, że nie było im dane zobaczyć szczegółów tej makabry. Widzieli jednak dostatecznie dużo. Nogę. Rękę. Fragment ubrania. Ciemne mokre ślady na podłodze i krew, która zabrudziła cały trzonek siekiery użytej przez Sebastiana do zahaczenia końca liny otwierającej właz w suficie.

Gdy chwiejnym krokiem wyszli z drewnutni, poraził ich dziwny, obcy blask dnia. Zbryzgana krwią blada twarz Sebastiana doprowadzała Theo do mdłości. Jego skóra niemalże straciła kolor, ledwo się poruszał, jakby bez woli.

Nad nimi rażno ćwierkały ptaki, tak jakby nic się nie wydarzyło.

– Trzeba zadzwonić... wezwać... ambulans.

Theo nie musiała mu tłumaczyć, że ambulans już jest zbędny. Policja. Pomoc. Ktokolwiek. Nikt już nie mógłby się na nic przydać, skoro przynajmniej zamordowano.

„Policja... przybyłaby i znalazła spuszczoną drabinę i pełno konopi, sprzęt do ich uprawy i ciała dwojga martwych studentów. I wyciągnęłaby błędne wnioski”.

Studiując medycynę już trzy lata, Theo nauczyła się radzić sobie z poważnymi sprawami. Ratować kogo można. Selekcjonować pacjentów. „Noela i Rosie nie da się ocalić. Teraz kto inny jest zagrożony”.

– Rośliny – rzekła.

– Kogo obchodzą?

– Zaczną obchodzić – odrzekła szybko. – Jak znajdą stryżek pełny konopi od razu cię aresztują, Seb. Mogą pomyśleć, że coś im zrobiłeś, że ich skrzywdziłeś przez te rośliny.

Sebastian nie był w stanie się tym przejmować. Nogi uznały, że czas mu odmówić posłuszeństwa. Zakołysawszy się, siadł ciężko w błocie.

– Co w takim razie? – spytał. – Co robić?

„Dobre pytanie”. Theo była reżyserką. Była strategiem.

Trzaszczyła się o ludzi. Studiowała medycynę. „Wiem, co należy. Podołam temu”.

W jej głowie zaczął kielkować plan. Adrenalina napędziła ją i przyspieszyła tok jej myślenia. „Walcz lub uciekaj”.

– Zrobimy tak. – Theo wzięła głęboki oddech. – Musimy teraz wrócić do domu i opowiedzieć wszystkim, co zaszło. Musimy współdziałać i zachować spokój.

Sebastian wybuchnął śmiechem. „Ma prawo”.

Wyciągnęła rękę i pomogła mu się podnieść. Zaprowadziła go na kraniec jednego z ogrodów otoczonych murem.

– Rozbierz się – rzekła. – Za chwilę wracam. – Sebastian posłusznie zdjął buty oraz obcisłą koszulę i spodnie. Na powrót Theo czekał więc w samych majtkach i boso. Wróciła prędko z suchym ubraniem, ręcznikiem, szklanką wody, butelką whisky i rolką papieru toaletowego. Przystąpiła do mycia Sebastiana. Zwijając i wilżąc papier, ścierała mu krew twarzy i rąk.

– Można to spuścić w WC – wyjaśniła głównie sobie. – Nie chcemy krwi na ręcznikach, bo trzeba byłoby wyrzucić je do śmieci.

Gdy usunęła już krew, podała mu whisky.

– Pij – nakazała. – Złagodzi szok.

Usłuchał, biorąc duży łyk. Kiedy alkohol spłynął mu do żołądka, poczuł, że odzyskuje kolory na twarzy. Oprzytomniał na tyle, by się osuszyć i włożyć dżinsy i tiszert, które Theo porwała z jego po koju. Nim włożył buty, Theo umyła mu stopy. Zebrała skrwawiony papier. Sebastian podniósł ubranie i ręcznik. W drodze powrotnej obmyli w strumieniu podeszwy.

Gdy względnie czysti dotarli do domu, Theo wrzuciła do pralki ubranie i ręcznik razem z kilkoma kuchennymi ścierekami. Włączyła pralkę. Pomysł ten nie był co prawda genialny, lecz w razie czego oboje mogliby zeznać, że po nocnej zabawie w strugach deszczu i błocie musieli uprać brudne ręczniki i ciuchy.

„Teraz ten trudny element planu”. Theo osłabła. Sebastian, widząc to, położył jej dłoń na ramieniu.

– Ja się tym zajmę – powiedział. – Tobie na dzisiaj wystarczy... – Wziął wielki jak nigdy haust whisky.

Następnie poszli do salonu, gdzie towarzystwo śmiało się i gawędziło, jedząc kanapki z bekonem. Czuli się, jakby przybyli z innej planety – do świata żywych, wcześniejszej rzeczywistości.

Spostrzegłszy ich jako pierwszy, Julian przybrał zmieszaną minę.

– Wszystko w porządku, Seb? – spytał. – Jak, Theo?

Wszyscy przygaśli na widok cichej pary na progach.

– Coś się zdarzyło – zaczął od razu Sebastian.

Choć zapewniali go po latach, że dowiedzieli się od niego, nic nie pamiętał. Zachował tylko nikłe wspomnienie reakcji. Obcy śmiech Yasha. Milczenie reszty. Niedowierzenie. Ktoś wybuchł krzykiem. Bodaj Angela. Gdy Sooz bąknęła coś o policji, Theo odcięła jej drogę do drzwi.

– Jest coś, co trzeba zrobić od razu – stwierdziła Theo. – Pozbyć się roślin. Bo jeśli nie usuniemy ich z domu, to Seba aresztują. Na bank.

Już nie musiała im tego powtarzać. Czuli swe myśli wręcz namacalnie.

– Jak postępować? – zapytał Julian.

– Dotykać jak najmniej – odrzekła Theo. – Jedno z nas idzie po nie na górę. Sprzątamy i pozbywamy się roślin i sprzętu, dopiero potem wzywamy policję. Musimy sprężyć się ze sprzątaniem, bo

po południu będzie tu ogrodnik.

Gdy tylko Theo wdrożyła swój plan, zaczęło jej się przejaśniać w głowie. „Nie żeby było to bezbolesne, ale przynajmniej robię coś, działam. Nie zatrzymywać się nad tym teraz! Nadejdzie pora, by to przetrwać. A później będę się zastanawiać, jak sobie radzić z traumą” – myślała.

– Potrzebne są nam worki na śmieci, dużo – rzuciła. – I rękawiczki. Mogą być kuchenne. Kosze na śmieci, środki czystości, miotła, sekator albo nożyce. I jakiś sznur.

Zaopatrzeni we wszystko, co trzeba, śpiesznie ruszyli w stronę drewni. Teraz było ich siedmiu. Po drodze wspierali się wzajemnie. Miejsce zbrodni wyglądało tak jak wtedy, gdy Sebastian i Theo je opuścili. Taczki do góry dnem, otwarte drzwi. To nie był sen.

– Ja tam wejść – rzekła Theo. – Już to widziałam... – Urwała. „To, czyli ich. Noela i Rosie. Rosie i Noela”.

– Muszę zobaczyć. – Sooz postąpiła krok.

– Sooz...

Sooz nawet jeszcze nie stanęła w progu, kiedy zamarła i się cofnęła.

– Yyy... Nie mogę. Nie jestem w stanie. Jesteście pewni? Theo, na pewno?

Dostała dreszczy. Podszedł do niej Peter. Odciągnął ją na bok i mocno objął.

Theo włożyła rękawiczki.

Najpierw na ziemi między drzwiami a drabiną porozkładała worki tak, by zachodziły na siebie. Podłoga była mokra po nocnej burzy. By się wspiąć, Theo ściągnęła buty. „Nie mogą znaleźć tu żadnych śladów”. Dotarliśmy na miejsce, otworzyła okno. „Jest wąskie, ale rośliny przejdą. Resztę – namioty, lampy i filtry – znieśliśmy jakby co po drabinie”.

Rozdzielono zadania. Theo zrzuciła rośliny z okna do wiadra. Na dole ktoś wkładał je do worka na śmieci. Opróżniwszy korytarz centymetr po centymetrze, Theo zmiotła z podłogi resztki konopi i wyspała do worka. Myślała, czy nie zamknąć okna, ale unosił się tam zapach konopi. „Musi zostać otwarte. Strzyżek trzeba jakoś wywietrzyć, dziś lekko wieje – dobrze się składa”.

Schodząc, starannie wytarła szczeble.

Przedtem odcięła i usunęła linę od wjazdu, który zatrzasnęła trzonkiem łopaty. Wycofując się, zbierała z ziemi worki.

„Jeszcze jedno. Siekiera”. Leżała tam, gdzie upuścił ją Sebastian. „Żeby tak można odwrócić wzrok...”. Theo wytarła ją, podniosła i schowała do worka na śmieci, aby przypadkiem nie zauważyła jej reszta. Opuściwszy drewnię, pobiegła nad kręty strumień, który wpływał z lasu do ogrodu. Wytrząsnęła siekierę z worka do wody, kąpiąc ją, dopóki nie zanurzyła się całkiem.

Utkwiła oczy w siekierze, niegroźnej pośród kamieni. Ujrzała odpryski rzeczywistości. „Sprzątam po zbrodni, usuwam ślady”. Noel... Trup Rosie przysypany drewnem...

„Weź się w garść, Theo” – powiedziała sobie. „Będziesz lekarką. Rób, co należy, by pomóc innym. Musisz dać radę”.

Mocno potrząsnęła głową, jakby chcąc zrzucić to brzemię. Podziałało – przynajmniej na tyle, że z podniesionym czołem dołączyła do reszty, ładującej samochody.

– Gdzie z tym jedziemy? – Yash spojrzął na worki. – Do lasu?

– Mogliby szukać – odparł Peter. – I znaleźć.

– Jest wielki, gęsty...

– Na pewno będzie pełno glin.

Peter i Yash klócili się nawet teraz.

– Kilka kilometrów w górę drogi – oznajmiła Angela – przy placu budowy stoi kontener. Widziałam, gdy wjeżdżaliśmy. Jakaś budowa w pobliżu pubu... Można by je tam zawieźć i zostawić wśród

śmieci.

Wszyscy zgodnie uznali pomysł za słuszny.

– Kto czuje się na siłach, żeby prowadzić? – spytała Theo.

– Może podołam – zaoferował się Julian. – Nie mam pojęcia, czy mi się uda, ale spróbuję.

– Jedźcie w piątkę. Pozbывacie się worków, a potem robicie drobne zakupy... Chleb, mleko, bułki czy coś takiego. Jeśli ktoś zezna, że rano ktoś stąd wyjeżdżał, będziemy mieli alibi. Gdy odjedziecie, wezwiemy policję. I od tej chwili stoimy za sobą murem. Nie tylko dziś, ale już zawsze. W porządku?

Jedno po drugim skinęli. Julian, Sooz, Peter, Angela i Yash wycofali się z podjazdu z fatalnym ładunkiem, zostawiając Theo i Sebastiana.

Oraz Noela i Rosie.

Theo wzięła Sebastiana za rękę. „Scena gotowa. Wkrótce zaczniesz się spektakl. Trzeba będzie go przetrwać, mimo że nie jest się w formie”.



XXII

Ogień w kominku rysował z trzaskiem kształty w ciemności. Zegar odtwarzał miarowe tętno. Wymieniając spojrzenia, członkowie Dziewiątki porozumiewali się między sobą bez słów. „Niesamowite, jak tu się toczy cała rozmowa”. Stevie to czuła, mimo że nic nie słyszała.

Postąpiła krok naprzód, bo żar już niemal palił jej plecy.

– Dopiero podczas kolacji – rzekła – zaczęłam składać to wszystko w całość. Z początku miałam w głowie zupełną pustkę. Ale pewne drobiazgi dały mi do myślenia. Gdyby nie powtórzyła pani „na bazie roślin” aż tyle razy, to pewnie nigdy by mi się nie nasunęło, o czym naprawdę mówiła Angela. Chodziło jej o rośliny. Później zaczęłam zastanawiać się nad tym, co usłyszałam od pana Sebastiana na spacerze. Że kiedyś często palił ziolo. Ogrodnik przekazał mu sporą wiedzę o roślinach. Gdy się skojarzy rośliny, konopie, okno zamknięte – a nagle otwarte po zbrodni, do tego jeszcze zniknięcie liny od wjazdu, to cóż, konkluzja nasuwa się sama...

– Pomieszczenie do uprawy – dokończył David z uśmiechem.

Zero reakcji ze strony zebranych. „Jeszcze chwila, a pękne. Trafiłam w próżnię...”.

Nagle ktoś westchnął.

– To moja wina – rzekła Theo.

– Nawet się nie waż – upomniał Sebastian. – Jeżeli ktoś tu zawinił, to ja.

– Wychodzi na to, że moja – wtrąciła Sooz. – Bo podświadomie chciałam to z siebie wyrzucić...

– Niczyja – uciął Peter. – Nikt nie jest winny. To było...

– Konieczne – spuentował Julian.

Stevie poczuła grunt pod nogami. Siedzący po drugiej stronie salonu David miał dziwną minę. „Nie, to nie uśmiech, to jakby grymas podziwu”.

– Czy wiecie, gdzie jest moja ciotka? – spytała Izzy.

Pokręcili głowami.

– Nie wiemy, skądże! – odparła dobitnie Theo. – Możesz nam wierzyć, gdybyśmy wiedzieli...

– Już bylibyśmy przy niej – dokończyła Sooz. – Chcemy to wiedzieć tak jak i ty. Konopie...

– Nie ma z tym nic wspólnego – dopowiedział Peter. – Kompletnie nic.

– Warto byłoby to w końcu wyjaśnić. – Sebastian zwrócił się do Stevie. – Widzę, że panujesz nad sytuacją. Tak czy inaczej odpowiedzialność biorę ja. Nie mylisz się. Miałem tutaj uprawę. Nie-wielką. Wstawiłem kilka wentylatorów i lamp. Wyhodowałem cztery, pięć krzewów, więc prawie nic. Zrywałem trochę, gdy odwiedzałem rodziców. Gdy trafiliśmy na miejsce zbrodni tamtego ranka, jak zobaczyłem rozpruty zamek, przyszło mi na myśl, że ktoś się pewnie dowiedział i wykradł ziolo.

– A wykradł? – spytała Stevie.

– Nie – odrzekł Sebastian. – Niczego nie zabrano. A znaleźliśmy... Noela i Rosie. Więc przed przybyciem policji pozbyliśmy się roślin.

– Ostrożnie – dodała Theo. – Chcieliśmy jak najmniej naruszyć drewnotnię. Kiedy weszliśmy, podłoga była zalana wodą, wszędzie kałuże, więc nie było śladów stóp. Rozłożyliśmy coś na ziemi, aby nie stąpać bezpośrednio po niej. Usunęliśmy z góry wszystko, a potem wyrzuciliśmy. Jedynie, co zmieniliśmy na dole, to uchwyt liny i siekiera.

– Gdzie znajdowała się siekiera, kiedy przyszlście? – spytała Stevie.

– Tam, gdzie zazwyczaj – odparł Sebastian. – Stała przy drzwiach. Zahaczałem nią koniec liny od włazu. Tak też zrobiłem tamtego ranka. Wziąłem siekiere i opuściłem pokrywę. Wspiąłem się po drabinie. Noela i Rosie spostrzegłem dopiero, gdy wróciłem na dół.

– Musieliśmy odciąć uchwyt liny, bo była na nim krew – podjęła Theo. – No i nie mogła tam wejść policja, bo znalazłaby ślady konopi. Trzeba też było oczyścić siekiere, usunąć odciski palców Sebastiana. Po wytarciu styliska wrzuciliśmy ją do strumienia. Nigdy nie żałowałam, że tak postąpiliśmy. Noelowi i Rosie pomoc nie byliśmy w stanie, ale mogliśmy pomóc Sebastianowi. Gdyby rośliny zostały odkryte, zamknęliby go i pewnie oskarżyli o morderstwo.

– Nie czuję żalu – dodała Sooz.

Spotkało się to ze zrozumieniem.

– Czyli ciotka wiedziała? – zapytała Izzy.

– Tak, naturalnie – odrzekła Theo. – Wszyscy braliśmy w tym czynny udział.

– Wszyscy – zawtórowała jej Sooz.

– Sprzymierziliśmy się – dodał Peter. – Stworzyliśmy zespół, by wynieść konopie. Władowaliśmy je do wozu i wywieźliśmy.

– Potem zadzwoniłam na policję – powiedziała Theo. – Najszybciej jak mogłam.

– Mhm, a co z kłódką? – spytała Stevie.

– Nie kłamaliśmy – odparł Sebastian. – Kłódkę zastaliśmy nienaruszoną, drzwi otwarte, skobel zerwany. Włamywaczom musiało być łatwiej wyważyć go łomem niż bawić się z kłódką.

Zgrzana Stevie musiała odsunąć się od kominka. Przeniosła się na drugi, ciemniejszy koniec salonu, kilka kroków od miejsca, gdzie siedział David.

– Pytanie – rzekł Yash, podnosząc rękę. – Nie usłyszeliśmy jeszcze, w jaki sposób zdobyłaś zdjęcie miejsca zbrodni i raporty policyjne.

– Miała je ciotka – wyjaśniła Izzy. – Znaleźliśmy je u niej. Bada tę sprawę.

– Chcesz mi powiedzieć, że szuka złodziei? – odparł. – Przez ślady DNA czy coś takiego? Nigdy mi o tym nie wspominała. Czy coś mówiła któremuś z was?

Pokręcili głowami.

– Skoro Angela prowadzi śledztwo – rzekła Sooz – to powinna być tutaj, prawda? Gdzie niby miałyby szukać? Poza tym czemu nie powiedziała nam o tym?

„Bo myśli, że sprawcą jest jedno z was”.

– Co wie? – zapytał Julian. – Czego się dowiedziała?

– Tylko to, co wtedy wiedziała policja – odrzekła Stevie. – Ma zdjęcia, zeznania, notatki, raport koronera.

– Ma całe akta policyjne? – spytał Julian.

– I jeszcze jedno. Kim jest Samantha Gravis?

Sześć pustych spojrzeń.

– Kto taki? – spytała Sooz.

– To było w aktach policyjnych. – Stevie wyjęła i puściła w obieg artykuł z dziennika.
– Nie wiem, kto to – powiedział Julian.
– Ja też. – Theo podała wycinek Sebastianowi, który wzruszył ramionami. Peter i Yash chwilę badali tekst wspólnie.
– Wiesz – stwierdził Peter – coś mi się mętnie kojarzy.
Yash zmarszczył brwi w zadumie. Reszta stłoczyła się wokół sofy. Sooz pochyliła się nad artykułem, opierając łokcie na ramionach przyjaciół.
– Cóż – oznajmiła – nosi datę naszego przyjazdu do Merryweather: dwudziestego trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego. Jest to też data śmierci Noela i Rosie.
Wszyscy zaczęli się naradzać, próbując znaleźć w tym sens. Ich konsternacja zdawała się autentyczna. „Chyba naprawdę nie wiemy, kim była Gravis, i usiłują to ustalić”.
Stevie już otwierała usta, żeby o coś zapytać. Wtem w drzwiach stanęła Janelle.
– Właśnie dzwoniła doktor Quinn – powiedziała. – Możemy zamienić słowo?



Stevie zaprowadziła Janelle na drugi koniec holu, pod niechętnego faceta z niemłym psem. Jako że portret ją stresował, a salon ciągle był blisko, przeszły do biblioteki i zamknęły drzwi za sobą. Nie odnalazszy włącznika światła, zdecydowały, że równie dobrze mogą rozmawiać po ciemku.

– Rozgryzłam – rzekła – to i owo. W salonie.
– Słyszałam. – Janelle odparła cicho.
„Żadnego «Brawo!», «Jesteś genialna!» czy «Super!»”.
– Tak że się zbliżam – rzuciła Stevie. – Jeszcze nie koniec, ale gdy się dowiemy, kim jest Samantha...
– Dotarło, prawda? Przed chwilą dzwoniła Quinn.
– Mmm, hmm, tak. – Stevie boleśnie zagryzła wargi.
– Nie odebrałam, bo nie zdążyłam – ciągnęła Janelle. – Więc zadzwoniła do Nate’a. Słyszałam, jak do niej mówił, że oglądamy w świetlicy film. A skoro nie oglądamy filmu w świetlicy...
Wzmógł się wiatr. Drzewa wodziły po domu końcami nagich gałęzi niby palcami. Stukotowi wtórował dochodzący z kominka jękliwy świst.
– Okej – wydyszała Stevie. – Mogę wyjaśn...
– Wyjaśnił już Nate.
– Nie miałam kiedy powiedzieć ci, że...
– Skłamałaś, mówiąc, że możemy tu przyjechać, a Quinn myśli, że jesteśmy w Londynie?
– Tak – rzekła Stevie, kuląc się w sobie. – Ale wiesz, dlaczego to zrobiłam.
Janelle zamilkła na moment. Skąpą w mroku biblioteka nie służyła tej rozmowie. Wysokie okna oświetlone księżycem rzuciły długie cienie na parkiet. Książki jak armia niemych strażników zdawały się potępiać Stevie. W pobliżu czyhał jaszczur z marmuru czy brązu, łakomie lypiąc ślepiami jak koraliki. Woniało kurzem, pastą do mebli, osądem.
– Wiem, Stevie, czemu to zrobiłaś według ciebie – odparła Janelle. – Myślisz, że po to, by pomóc Angeli, tak więc musiałaś nas tutaj zabrać za wszelką cenę.
– Powtarzaliście, że nie pojedziecie, jak się nie zgodzi...

– No ale nie kłam. – Głos Janelle pobrzmiwał gniewem. – Powinnaś była mi powiedzieć, że odmawia. Vi nie wiedziała. Kiedy zdradziłaś Nate’owi?

– Gdy dotarliśmy – odpowiedziała Stevie cicho.

– David na pewno wiedział, nie żeby to było dla niego ważne. Nie ma powodu tłumaczyć się Quinn.

– Jemu też nie mówiłam – odparła Stevie. – Ale wiesz przecież... Wiesz, czemu musiałam skłamać.

– Niestety nie wiem – odrzekła Janelle. – Wiem, że zrobiłaś to, a nie musiałaś. Komu mam ufać, jeśli nie bliskim... jeśli nie tobie?

Oczy zapiekły Stevie od łez. Odchrząknawszy, otarła je kciukiem.

– Głupio mi, że cię okłamałam. Ale poważnie, bardzo się boję o Angelę, a Merryweather to jedyne miejsce, w którym mogę się dowiedzieć, co się z nią stało. No więc postąpiłam wstrętnie. Kiepska ze mnie przyjaciółka. Ale działałam... działałam ze słusznych pobudek.

– Czy dzięki temu kłamstwu jesteś bliżej rozwiązania? – spytała Janelle.

– Tak, coraz bliżej. Znalazła się w tarapatach. I potrzebuje naszej pomocy. Nie zwojuję tu wiele sama. To nasza sprawa, nasze śledztwo.

Stevie udobitniła to tak mocno, jak tylko mogła.

„Bez Janelle, Nate’a, Vi i Davida naprawdę byłabym do niczego. Tworzymy jedność jak ci w salonie. Tworzymy jeden organizm, system. Mimo ciemności Stevie widziała złoty sweterek Janelle, warkocze schludnie owinięte chustą w pomarańczowo-brązowe paski. „Niby jaskrawo, ale jesienią – jak zwykle świetnie wie, co założyć”. Janelle wspierała ją na każdym kroku, umiała naprawić wszystko, z matką, tą trudną, była za pan brat. „Osoba, na której można polegać”.

Janelle troszeczkę spuściła z tonu, zawsze wrażliwa na potrzeby innych.

– Wiesz – rzekła – gdybyś mi powiedziała, że Quinn nie zgadza się na ten wyjazd, wymyśliłybyśmy, jak z tego wybrnąć. Nie chcę, aby ktoś skrzywdził Angelę. Tylko się wściekałam, że z nami pogrywasz. Gdybym wiedziała... wpadłoby się na coś. Razem. Ale mi nie zau-fałaś.

– Ufam we wszystkim – odparła Stevie. – Tyle że całkiem się pogubiłam. Co zrobić, aby ci to wynagrodzić?

Janelle westchnęła.

– Nie kłam i już. Kłamstwo straszliwie zatrzuwa życie. Ale, Stevie, masz mało czasu. Zostało ledwie półtorej doby. Nasza wycieczka dobiega końca. Głęboko wierzę w twoje zdolności, ale ta sprawa... Nie wiem, czy zdążysz. Być może będziesz musiała zlecić jej rozwiązanie komu innemu. Tak wyglądają realia, Stevie. Czy coś planujesz, nim wyjedziemy?

Odpowiedź była przecząca. „Nie mam pojęcia, co będzie dalej. Bo przecież nigdy nie przewiduję. Kolejne ruchy przychodzą same. Nic nie obmyślam, idę na żywioł”. W przypadku tego śledztwa tak samo Stevie nie miała metody ani planu.

– Jutro wracamy do Londynu – przypomniała Janelle cicho. – Robimy to, co jest w harmonogramie. Pijemy herbatę. Idziemy do teatru. Kończymy podróz. Nie możemy spieprzyć sobie życia, kierując się przeczuciami. Musimy planować i ufać sobie nawzajem.

Stevie wzięła to sobie mocno do serca.

– Już nigdy więcej – szepnęła. – Przyrzekam.

– No, mam nadzieję – odrzekła Janelle. Później, po dłuższej chwili, dodała: – Spisałaś się tam na medal, Stevie. Ciesz się, że jesteś tak błyskotliwa.

– Na całe szczęście mam ciebie.

– Racja, ale nie przeginaj – odparła Janelle. Chociaż zabrzmiało to dosyć groźnie, Stevie wyczuła w jej głosie wesołość.



XXIII

Stevie wyczerpała swoje zasoby intelektualne na ten wieczór.

Po tych wszystkich odkryciach i rozmowie z Janelle studnia jej natchnień zupełnie wyschła. „Chcę się zakopać w łożu na górze, zasnąć i nie budzić się cały tydzień”. Wyszła do holu głównego, gdzie czekał już na nią na schodach David.

– Brakowało mi takich wieczorów – powiedział. – Rozwiązałaś wszystko, rozpętuje się piekło. Na ogół łądujemy w jakichś dołach, a dziś idzie nam całkiem nieźle.

Stevie nie miała siły się przekomarzać. Usiadła obok niego. Zapuszczając żurawia w stronę salonu, widziała, że wciąż rozmawiają i podają sobie zdjęcia.

– Quinn zabroniła ci tu jechać, prawda? – zapytał David ściszonego głosem.

– Yyy, niezupełnie – odrzekła Stevie.

– Ty to się nigdy nie zmienisz – rzucił.

– Więc według ciebie jestem kopnięta.

– Zrozum to, jak chcesz. Nie użyłbym tego słowa.

– W sumie pasuje – odparła Stevie. – A co innego miałabym zrobić?

Nie odpowiedział, wziął ją za rękę i wodził kciukiem po wnętrzu jej dłoni. Wolno i czule. „Uspokojenie. Otucha. Miłość”. Tym drobnym gestem uruchomił ją całą. Drzenie, subtelny ustawiczny ton narastał. „Jak rozgrzewająca się orkiestra...”. Poczula przyływ energii. Zmęczenie i lęk rozwiały się. „Błogostan. Emocjonalne katharsis i boskie, boskie podniecenie”.

– Możemy już iść na górę? – szepnęła.

David wstał. Jego wzrok mówił wszystko.



W pokoju Stevie nie zapalili nawet światła. Wbiegli tam, potykając się o własne nogi. Zamknąwszy drzwi, David obrócił się do niej. Całowała go z pasją, zachłannie, tak mocno, że aż uderzył głową o ścianę. Ku jej radości podniósł ją i rzucił na łóżko. „Swobodnie, jakbym nic nie ważyła”. Lekko odbiła się od materaca. Kiedy się nad nią pochylili, liczyła, że zaraz ją pocałuje. Była gotowa pójść na całość. Tutaj, w Merryweather, byłoby to jak w Bridgertonach. Lecz on zawisł nad nią z nikłym uśmiechem. Patrząc jej w oczy, powiedział po chwili:

– Poprzedniej nocy chciałaś mnie chyba zapytać, czy uprawiałem już seks, prawda, Stevie?

„Zdumiewające, w ogóle mnie to nie peszy!”.

– Mhm – odparła.

– Ale nie zapytałaś. Jaką odpowiedź chciałaś usłyszeć?

– Prawdziwą. Bo podejrzewam, że tak.

– Więc uprawiałem.

Poczuła coś między smutkiem a satysfakcją. „Jest okej... Trochę dziwnie... W gruncie rzeczy to spoko...”.

– Często? – spytała.

David się zaśmiał. „Nie nieprzyjemnie”.

– Co znaczy „często”?

– Pobiliś rekord?

Teraz roześmiał się na całe gardło. Podniósł się znad niej, przeturlał obok. Leżeli twarzą w twarz na poduszce.

– Spiałem ze swoją ostatnią dziewczyną, nim przyjechałem do Akademii. No i raz w Akademii, a właściwie w Burlington. Ellie zabrała mnie tam na imprezę. Poznałem kogoś... To było jednorazowe.

Ellie. Ich przyjaciółka ze szkoły Ellinghama. „Dziwnie rozmawiać o niej w ten sposób, poza kontekstem tamtej makabry”.

– Chcesz się dowiedzieć jakichś konkretów?

– Chyba nie, nie w tej chwili – odparła.

– No, a ty? – David wsparł się na łokciu.

– Naprawdę musisz mnie o to pytać?

– Odpowiedź pewno brzmi „nie”, ale pytam.

– I dobrze myślisz – odrzekła Stevie.

– Pytasz mnie... nie bez powodu?

– No raczej.

David rozważał przez chwilę.

– Dobra, chcesz... o tym pogadać, Stevie? Bo... powinniśmy pogadać. Zanim...

– No – przytaknęła. – Choć to już przemyślałam. A więc... czy... chciałbyś?

Roześmiał się krótko.

– Tak – odpowiedział. – Ma się rozumieć. Ale... też nie ma żadnego przymusu. Wszystko ma swój czas. Tak, jestem chętny. Ale pamiętaj, to ty zdecydujesz. Ze mną jak z dzieckiem. Wiesz, o co chodzi...

David był lekko napięty. „Jak nie on”. Stevie patrzyła na jego twarz opromienioną blaskiem księżyca.

„Jeśli nie teraz, to kiedy? Nie można wymarzyć sobie lepszej okazji. Więc nie ma sensu się zastanawiać”.

– Mówię „tak” – rzekła.

– Dziś czy w przyszłości?

– Dziś, teraz, David.

– Zabrałem gumki. Nic nie słyszałaś.

– Gdzie są? – spytała.

Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął małe opakowanie.

– Jak powiesz „przestań”, to przestaniemy. Mów do mnie. Zrobię, co tylko zechcesz. Żebyśmy mieli jasność w tej kwestii.

– No i wzajemnie – odparła Stevie.

Przeprowadziwszy już tę rozmowę, patrzyli sobie przez moment w oczy. Przez pół sekundy Stevie sądziła, że czar przysł, ale tak się nie stało – w tej samej chwili zanieśli się śmiechem. „Ludzie udają, że to Bóg wie co. Tymczasem to niepoważne, komiczne. To jest turlanie się po całym łóżku, gryzienie uszu, pieszczoty szyi, szamotanina z ciuchami, które akurat teraz stawiają opór. To rozdrzeganie mięśni pod skórą, bijące z ciała kochanka ciepło. Nie wiem za bardzo, do czego zmierzamy, ale przepelnia mnie to jak lawa. W holu coś słyhać, nie słyhać? Nieważne”. Stevie zniknęła w niebiańskim pejzażu utkany z włosów Davida i pościeli. „Nie liczy się nic, przyszłość ani studia, tylko...”.

Rozległo się pukanie do drzwi. Głośne, miarowe i natarczywe.

– Kto tam?! – krzyknęła wreszcie bez tchu.

Bez odpowiedzi wparowała Sooz. Miała na sobie długi czerwony szlafrok i modrą piżamę w skaczące tygrysy.

– Wiem, kim... Oj! – Spojrzawszy na nich, zamrugwała speszona i zasłoniła oczy, aby ich nie krępować. – Zdawało mi się, że slysze „proszę”. Bardzo przepraszam. – Wycofała się z pola widzenia, ale nie domknęła drzwi. – To jednak ważne. Musicie zejść. Wiem, kim jest Samantha Gravis.



Zebrała już nie w salonie, lecz w kuchni wszystkich, w tym Nate'a, Janelle i Vi. Wyrwani ze snu, byli w piżmach lub w tym, co kto miał właśnie pod ręką. David – w tiszczynie i spodniach dresowych. Stevie wciągnęła bluzę do seksu.

– Och – rzekła Janelle, zauważając jednocześnie piżamę Stevie. (Stevie zdążyła dobrze ją zapiąć). Ciuch ten, choć skromny, został nabyty z myślą o nieco węższej widowni. „Ciekawe, czy wciąż jestem czerwona i czy się nadal pocę jak mysz. Kark mam wilgotny, pewnie to widać, i włosy chyba jeszcze się jeżą”. Na szczęście nikt nie dbał o wygląd Stevie. Sooz zgromadziła ich wokół stołu, na którym czekał otwarty laptop.

– Nie mogłam zasnąć, nijak – zaczęła. – Myślałam o tym, co się dziś działo, zdjęciu w gazecie. Twarzy dziewczyny. Dręczyło mnie to. Skądś już ją znałam. Stwierdziłam: „Muszę przejrzeć swój zbiór. Trwało to długo, bo mam tego masę... Tak czy inaczej w końcu znalazłam. – Wskazała na skan starego zdjęcia.

Widnieli na nim członkowie Dziewiątki – młodzi o lśniących twarzach, z fryzurami z lat dziewięćdziesiątych, ubrani byle jak – ustawieni przy barze w pubie. Za nimi ozdobne uchwyty kranów do piwa i uwieczniony przypadkiem napelniający kufel barman. Czerwonooki jak reszta. Na krańcu mizdrzył się Sebastian, zmrużył powieki przed fleszem. Schowana pod jego ramieniem Theo uśmiechała się do czegoś lub też kogoś. Obok niej garbił się wysoki Noel w za dużych okularach, z opadającymi ciemnymi włosami. Stojąca przy nim Angela dźgała kwiatem obiektyw jak mieczem. Peter w koszulce do rugby w zielono-niebieskie pasy odrzucał głowę ze śmiechu, bo Yash najwidoczniej opowiadał jeszcze żart. Jedynie Julian pozował świadomie, wykrzywił usta w zagadkowym półuśmiešku. Miał luźny tiszert i przewiązaną w pasie kraciastą koszulę.

Stała tam jeszcze jedna osoba. Na skraju kadru. Jakby niechcący. Mimo że lekko odwróciła wzrok, jej rysy były dosyć wyraźne. Miała na sobie ogromną bluzę z logo Oxfordu.

Sooz ją wskazała.

– Oto i ona. Ta Kanadyjka.

– Co?! – Yash omal nie upuścił kubka z herbatą. Podbiegł i schylił się. Spojrzał na ekran.

– Ta Kanadyjka? – powtórzyła Stevie. Też chciała spojrzeć, lecz członkowie Dziewiątki stłoczyli się wokół Sooz i laptopa. Yash siadł na jednym z drewnianych krzesel.

– Ta Kanadyjka. – Pocierał czoło. – Boże.

– Dlaczego wciąż powtarzacie, że Kanadyjka? – spytała Stevie.

– Bo powiedziała, że jest z Kanady – odparła Sooz.

– Dawniej Anglicy niezbyt lubili ludzi ze Stanów – wyjaśniła Theo. – Toteż niektórzy Amerykanie, wiesz, udawali, że są z Kanady. Dla nas akcenty kanadyjski i wasz na dobrą sprawę brzmią identycznie.

– Okej, więc kim jest ta Kanadyjka? – odrzekła Stevie. – Znaczy Samantha. Wiem, jest Samantha. Ale jak ją poznaliście?

– Nie poznaliśmy – odpowiedział Peter.

– Poniekąd ją znamy – dodała Theo. – Ale nie bardzo, Peter ma rację.

– Znamy ją – rzekł Yash. – Ja ją poznałem.

– Julian na pewno – wtrąciła Sooz.

„Nic nie rozumiem; to jakieś rebusy?”

– W naszym ostatnim tygodniu w Cambridge – rzekła Sooz – w trakcie egzaminów czy po egzaminach, gdzieś w tym okresie, siedzieliśmy w pubie. I poznaliśmy tam Kanadyjkę. Amerykankę... Samantha Gravis. Nie przedstawiała się chyba, prawda? Nazywaliśmy ją inaczej.

– Alice. – Yash dobrze to zapamiętał. – Gdy usłyszałem, że jest z Kanady, wspomniałem o ich policji konnej, a ona dobrze nie rozumiała, myślała, że chodzi mi o Alicję. W pubach zazwyczaj jest bardzo głośno. Pewnie podała nam swoje imię, my jednak spobiliśmy ją Alice. Wyraźnie jej się to spodobało, śmiała się, że jest z Krainy Czarów.

– Zdjęcie zrobiłam ja – rzekła Sooz. – Widać tu wszystkich z wyjątkiem Rosie. Czyli to było tej nocy, kiedy Julian ją zdradził

– Koniecznie musisz... – Julian podniósł głowę.

– Przestań, próbuję przybliżyć to Stevie. Rosie uczyła się do egzaminu albo robiła jakieś badania, toteż nie było jej z nami w pubie. A Julian migdalił się z Kanadyjką. To przez nią Rosie i Julian zerwali... – Julian znów podniósł głowę w proteście. – Każde z nas z nim zrywało, ilekroć zdradzał, a zdradzał stale i z kim tylko mógł. Ileż ja razy zrywałam z tobą z tego powodu? Cztery czy pięć?

– W naszym przypadku, wiesz dobrze, Sooz, ty też nie zawsze bywałaś wierna...

– Rzecz w tym, że przez to Rosie i Noel skończyli razem – spuentował Peter.

– Ale jej nie rozpoznaliście? – zapytała Izzy.

– Kanadyjkę pamiętam – odpowiedział Julian. – Ale jej zdjęcia nie rozpoznałem.

– Julian miał wiele kontaktów – rzekła Sooz.

– Sooz, czy mogłabyś...

– Następną wieczór spędziła ze mną – oznajmił Yash. – Była urocza. Lubiała się bawić. Ubóstwiała muzykę. Mówiła, że świetnie czuje się w Anglii, bo stąd są zespoły, które uwielbia. W przeciwieństwie do Juliana nie sypiałem ze wszystkim, co się rusza, tak że to spotkanie było dla mnie wyjątkowe. Bardzo mi się spodobała. Planowała zostać w Anglii jeszcze dzień czy dwa, więc pożyczyłem jej kilka kompaktów, wyjąłem je z torby, zawsze miałem coś przy sobie. Dałem nasz adres, licząc, że wstąpi, by je zwrócić. Ale nie przyszła. Pomyślałem, że świsnęła płyty i wróciła do Kanady.

– Cóż, nie wróciła – rzekła Sooz. – Bo zginęła. Nie wiem, jak i dlaczego Ange połączyła to wszystko, jednak znaliśmy Samantha Gravis.

– Zginęła, kiedy biegła po puntach? – spytała Stevie. – To jakiś zwyczaj?

– Mhm. – Sebastian pokiwał głową. – Wiesz, Cam-bridge leży nad rzeką Cam. Puntki to łodzie o płaskim dnie. Pływają nimi głównie turyści. Przed nocą wiąże się je burta w burtę. Biegają po nich ludzie pod gazem.

– Jak łatwo spaść z nich do wody?

– Bardzo – odparła Theo. – Ale jest płytko, więc zasadniczo to nieszkodliwe. Co prawda kiedyś krążyły plotki, że można złapać chorobę Weila, rzecz jasna w wodzie. Wbrew dawnym opiniom leptospiroza to jednak rzadkość. O wiele groźniej byłoby utknąć w leżącym na dnie wózku sklepowym. Ale wygląda na to, że uderzyła się w głowę podczas upadku, co może spotkać każdego, prawda?

– Znaleźli ją gdzieś pod Grantchester Meadows – powiedział Peter. – Więc między Cambridge a naszym domem. Może właśnie zmierzała do nas z twoimi płytami, Yash.

Yash się odchylił i potarł czoło.

– Straszne to – westchnął. – Straszne, mój Boże.

– Czyli że znana wam dziewczyna... – Stevie zaczęła podsumowanie – ...doprowadziła do rozpadu związku. Zniknęła, po czym utonęła w Cam krótko przed śmiercią Noela i Rosie. Gdy to się stało, mogła być w drodze do was. A w dniu waszego wyjazdu tutaj ukazuje się wzmianka o znalezieniu jej zwłok. Tej nocy giną Rosie i Noel. Angela, kiedy kojarzy te fakty, tak samo znika.

– Gdzie moja ciocia? – spytała Izzy.

Nikt nie odpowiedział.



XXIV

Ujmując rzecz delikatnie, nastąpiła zmiana nastroju.

Dom czuwał. Stevie nie mogła się oprzeć wrażeniu, że rozbudzeni są nie tylko ludzie, ale i Merryweather. Twarze z portretów, jęk i skrzypienie drewna, powiewy wiatru smagające okna działały na nią dotkliwiej niż dotąd. Głowa pękała jej od informacji.

Wróciwszy na górę, Stevie stwierdziła, że wielkie łóżce to pobożowisko. Skłębiona kołdra i prześcieradło splotły się, tworząc coś na kształt węzła. Po wygładzeniu wilgotnej pościeli padła na łóżko. David położył się obok, schylił, by ją pocałować, gdy raptem usiadł.

– Dziwna noc – rzekł.

– Przedziwna. Może tylko poleżmy?

W milczeniu uniośł ramię, tak aby mogła swobodnie wtulić się w niego. Muskał jej włosy, bawił się nimi, kiedy dumiała, co to oznacza. Nie wiedzieć ile minęło czasu, gdy zobaczyła, że zapadł w sen. Wsparta na łokciu patrzyła chwilę na zarys jego twarzy w ciemności. Niemal bezgłośnie wymknęła się z łóżka i równie cicho chwyciła tabletkę. Na palcach przeszła do łazienki, w której siadła na sofie pod oknem. Musiała. „Bo kto ma sofę w łazience?... O, peñnia”. Księżyc rozświetlał, bieleł ogrody.

By lepiej wczuć się w otwartą sprawę, Stevie starała się zanurzyć w dźwiękach. Uruchomiło to zawsze jej umysł. „Lata dziewięćdziesiąte, więc britpop. Wciąż wspominali o zespole Blur”. Wyglądała go zaciekawiona. Nie знаła ani jednego numeru, lecz jej uwagę przykuł Country House. Po śmiałym intro („Jak wstęp do imprezy”) bardzo angielski głos rzekł: „A więc tak...”.

Stevie wcisnęła repeat, by mieć w uszach ciągle muzykę Wiejskiego dworu. Znów przeglądała każdy dokument. Chciała prześledzić całą historię. „Samantha Gravis, Amerykanka, zwiedzała Anglię jak teraz ja. Jej czas tu, podobnie jak mój, był ograniczony. Tak samo jak ja poznała Dziewiątkę. Całuje się z dwoma chłopcami. Pożycza płyty od Yasha, dostaje ich adres. Można założyć, że lekko pijana idzie odwiedzić ich i oddać płyty. Wtedy nie było jeszcze komórek, więc nie zna swojej lokalizacji. Może ma mapę lub blade pojęcie, gdzie się kierować. Jest późno. Ciemno. Kto miałby powód, by skrzywdzić Samanthę?”

Z Samanthą migdalili się Julian i Yash. Julian i Rosie chodzili ze sobą – to ona sprawiła, że się rozstali. Czyżby Samanthę zabiła Rosie? Czy to jest kluczem do tej zagadki? Czyżby Angela myślała o niej, mówiąc, że podejrzewa jedno z przyjaciół? No i co dalej? Rosie i Noel giną za karę? Zrobił to Yash? Z ich słów wynika, że wszyscy byli ze sobą związani emocjonalnie. Co rusz tworzyli miłosne relacje, po czym zrywali w porywach zazdrości. Godzili się, później znów obwiniali. O to, co zaszło, wściekliby się każdy”.

Stevie przysnęła. Ocknęła się, gdy tablet spadł jej z kolan i uderzył o posadzkę. Parsknęła i rozejrzała się spłoszona po łazience. Sprawdziła czas. Była piąta nad ranem.

Wylączyła muzykę i potarła twarz dłońmi. Nie miała rozwiązań. „Kawa. Trzeba mi kawy!”.

David spał twardo, przykryty pod sam nos białą kołdrą. Jedna ręka zwisała mu bezwładnie z łóżka. Miał na niej stary zegarek od ojca. „Duży zegarek, nadgarstki silne, masywne...”. Patrząc na jego potężne ramię, walczyła z myślą, czy nie wrócić do łóżka. Kusiło ją, by zbudzić go pocałunkami, by dokończyli to, co zaczęli. Przez moment stała, ciągnięta w przeciwnie strony. Po czym ruszyła zrezygnowana ku drzwiom.

„Czasu coraz mniej, a pytań bez liku”.

Idąc przez hol na piętrze, minęła porcelanową misę, szereg wazonów i posępne portrety. Zeszła schodami, u których stóp wiekowy zegar czujnym tykaniem pilnował całego domu. Na dole snuł się nikły ślad dymu z kominka. Stevie wróciła do wielkiej kuchni. Włączyła światło. Krzesła wciąż stały poodsuwane od stołu. Podniosła czajnik i napełniwszy go wodą, odstawiła na bazę, po czym wcisnęła guzik. „To całkiem proste”. Nagle poczuła się jak u siebie.

„Mogłabym tu zamieszkać. Studiować z Davidem w Anglii. Być może, kto wie, jest mi pisane tak żyć, jeździć do wiejskich posiadłości jak ta...”.

Naprzeciw okna stał ceglany mur. Wychyliła się nad zlewem, by spojrzeć na ciemne wczesnopoprannne niebo. Wtem kątem oka spostrzegła postać odbitą w szybie. Zatchnęło ją, mimo że był to tylko Nate, który wczłapał do kuchni z laptopem. Ubrany w dużą, brązową bluzę z kapturem i spodnie od piżamy w niebieską kratkę.

Stevie skinęła na przywitanie. Siadł i szeroko rozłożył nogi.

– Rozwikłaś już to wszystko? – spytał, wskazując kuchnię, Merryweather, zagadkę morderstwa i ogólnie życie. Pokręciła głową.

– Po co ci on? – Kiwnęła w stronę laptopa. – Piszesz?

– Mhm – odpowiedział ciut za szybko.

– Oto zupełnie nowy ty – rzekła Stevie. – Dotąd wzbraniałeś się przed pisaniem, a teraz piszesz przez cały czas.

– Nie mogłem zasnąć. – Nate odłożył laptop. – Mieszkamy w jakiejś kryminalnej grze. Dobiegł mnie hałas i zobaczyłem, że to ty. To chyba słuszne być tu w tej chwili. Klimat zagęszcza się coraz bardziej.

Stevie spojrzała na niego, mrużąc oczy. Opierał ręce na zamkniętym laptopie, tak jakby mógł on się otworzyć i ujawnić jakieś sekrety. Lecz teraz miała ważniejsze sprawy na głowie. „Nerwowe działania pisarskie Nate’a będę musiała zbadać kiedy indziej”.

– Czytam od a do zet wszystko, co zdobyła Angela, ale to nic mi nie daje – rzekła. – Nie dopatruję się tu niczego. – Przygryzła wargi, potrząsając głową. – Może po prostu był to rabunek, skoro wiadomo, co trzymali w szopie.

– Więc ktoś tam przyszedł, by zwędzić ziolo?

Wypowiedziawszy tę koncepcję głośno, Stevie stwierdziła, że jest sensowna. „Czyżbym za szybko ją odrzuciła? Warto by było się tam rozejrzeć”.

– Co byś powiedział na mały spacer?

– Stevie, ty teraz mówisz poważnie?

– Spytałam tylko, czy byś się przeszedł.

– Nocna przechadzka po posiadłości, w której grasował zbir z siekierą? Jasne. Zwłaszcza gdy przy tym usłyszysz hałas i zechcesz sprawdzić, skąd dobiega. Super.

– Prawie już świta – zauważyła Stevie.

– Nadal jest ciemno.

– Zbrodniarz nie wraca na miejsce zbrodni. Uderza jak grom, nigdy dwa razy.

– A w naszej szkole ciągle ktoś ginął.

– Wyjątek potwierdza regułę. Nic nam nie grozi, możesz być spokojny

– Nie. Poczekajmy, aż wszędzie słońce.

– Czas nam się kończy – odparła Stevie. – Jeżeli mam się czegoś dowiedzieć, muszę dowiedzieć się tego dzisiaj. Niedługo wstaną, to z nimi porozmawiam. Teraz jest właśnie najlepsza pora, aby raz jeszcze obejrzeć teren. Poza tym nikt tu nie ma rewolweru.

– Mają siekiery – przypomniał Nate.

– Zabić siekierą to nie hop-siup.

Mówiąc to, Stevie wyłączyła czajnik, który już chwilę bulgotał wrzątkiem. Poszła do przedsiionka i odszukała kalosze. Wzięła też jeden z płaszczy. Na półce przy drzwiach stały latarki. Chwyliła dwie: dla siebie i dla Nate'a, który dołączył tam do niej i oznajmił:

– Jeszcze trochę, a przestanę za tobą nadążać.

– Naprawdę?

– Nie wiem. Niewykluczone.

Z westchnieniem sięgnął po najbliższy płaszcz nieprzemakalny. Wciągnął go i odebrał od Stevie latarkę.

– Myślisz, że trzeba coś wziąć? – zapytał. – Dla bezpieczeństwa. Na wszelki wypadek.

Rozejrzawszy się, Stevie spostrzegła młotek leżący wśród narzędzi ogrodniczych pod ławką. Podniosła go i wsunęła do kieszeni płaszcza. Głęboko.

– Proszę. Zadowolony?

– Młotek. – Nate kiwnął głową. – Cudownie. Zabierzmy więc nasz młotek do lasu.

Drzwi były zamknięte od środka na klucz. Stevie go przekreśliła i wyszli na ziąb.

Powietrze przesycała wilgoć i woń opadłych liści. Księżyc zalewał ziemię mlecznym blaskiem. „Latarki są prawie zbędne, ponadto już chodziliśmy po lesie po zmroku”. Ich szkoła stała na szczycie góry w głuszy o wiele głębszej niż ta. W lesie spędzili minione lato, prowadząc śledztwo w sprawie morderstwa. „Tutaj to zresztą nie sam las, to wieś”. Stevie dodała sobie utuchy. W prześwitach między drzewami z rzadka ukazywało się pole, mur, trawnik.

Z myślą, że może im coś zagrażać, mocno ścisnęła rękę młotka. „Nie, na sto procent nic się nie zdarzy. Nie ma szans, aby się stało coś złego”.

Szli wysypanym żwirem podjazdem długim na dobre ćwierć kilometra, zanim dotarli do drewnianej bramy, bardzo solidnej, aż dwumetrowej. Zerknąwszy na zdjęcia w tablecie, Stevie uznała, że to raczej ta sama.

– Brama zamyka się automatycznie – powiedziała. – Jest elektroniczna. Kiedy prąd wysiadł tamtego ranka, przestała działać. Trzeba byłoby więc ją wyważyć, a tak się nie stało. Droga tuż za nią była zablokowana od wpół do czwartej do wpół do siódmej, bo usuwano awarię. Nikt wtedy nie mógł tu wejść samochodem ani vanem. Co wobec tego robią złodzieje? Idą tu pieszo w okropną burzę całą noc?

– Możliwe – odparł Nate.

– I nikt ich nie widzi? Ani jedna z tylu osób biegnących wokół domu? Tylko Rosie i Noel i tylko przy drewnutni? Ale to też jest problematyczne. Bądź Rosie, a ja będę złodziejem, okej? Odkrywasz mnie lub ja odkrywam ciebie. Mogłabym uciec, ale na przykład świruję. Chwytam siekierę i cię zabijam. – Stevie zamierzyła się na Nate'a młotkiem zbyt sugestywnie jak na jego gust. – Zabiłam cię. Cholera jasna. Mój błąd. I co tu zrobić? Powinnam zwiewać. Nie zwiewam. Ukrywam cię pod drewnem. W pewnym momencie rozbijam żarówkę, więc chyba nadal macham siekierą. Po co? Pal li-

cho. Trwa to tak długo, aż znowu ktoś się pojawia. Zamiast uciekać, zabijam też jego... – Teraz podniosła młotek ostrożniej. – I ukrywam. Dlaczego wciąż stąd nie idę?

– Bo pada? – podsunął Nate. – Znaczy, yyy, to słaby powód...

Stevie pokręciła głową.

– Więc ci geniusze, co przyszedli tu w deszczu po garstkę gandzi, a popełnili podwójne morderstwo, ulatniają się niezauważeni. Sooz wprawdzie mówi, że widziała pod oknem błyski latarki, ale że się upiła, śledczy ją ignorują. Ponadto przeczy to ich hipotezie o włamaniu. Policja pomija też niezbite fakty, że Rosie wiedziała, że coś nie gra, i musiała widzieć ten artykuł o Samancie, który ukazał się akurat wtedy rano. Nie. – Potrząsnęła głową, pewna jak nigdy. – Jest tu jakaś logika. Samantha Gravis. Rosie. Noel. Jedno prowadzi do drugiego. Problemy rodzą problemy.

– Znam staruszkę, która połknęła muchę – oznajmił Nate.

– Słucham?

– Znasz tę piosenkę? Śpiewaliśmy ją w przedszkolu. Jest o staruszce, która połknęła muchę. Później polyka pająka, by ją złowił, i coraz większe stworzenia, by pożerały poprzednie.

Odwróciwszy się, Stevie ruszyła z powrotem. Po prawej był las, po lewej drzewa, niski mur i początek wielkiego trawnika. Kiedy zbliżali się do domu, skręciła w tamtym kierunku, przelazła przez krótki kamienny murek i przeszła po trawie w stronę sztucznego stawu z altaną. By się tam dostać, musieli przekroczyć strumień, ale że w miejscu, gdzie się znaleźli, był dosyć wąski, zrobili to sprawnie, stawiając nieduży krok.

Altana to częsty element w powieściach kryminalnych. Zabójcy chętnie chowają ciała pod nią lub obok. Ma to sens, jako że jest tylko kaprysem, wyrazem ekstrawagancji zblazowanych bogaczy. Zbudujmy sobie grecką świątynię! Inaczej ktoś uzna nas za pomyłonych.

Altana w Merryweather przypominała front świątyni – składała się z czterech kolumn i lekko spadzistego daszku. Nie miała żadnych pomieszczeń wewnętrznych. Pod daszkiem można było skryć się przed deszczem albo słońcem, wypić herbatę lub urządzić piknik.

– Przez całą noc czytałam zeznania świadków – rzekła Stevie. – I przeglądałam notatki Angeli. Starala się dowiedzieć, kto był gdzie i kiedy. I świetnie, tyle że między dwudziestą trzecią a drugą trzydzieści właściwie wszyscy byli gdzieś w terenie, niewidziani przez innych. Pojawiają się tu czy tam, ale poza zasięgiem wzroku, wyjąwszy Sebastiana, który był tutaj. Miał w spodniach klucze do drewni, która jest dobrze widoczna. Nie było gdzie się schować. – W sadzawce za nimi, nie głębszej niż na metr, pływało kilka karpki koi. Stevie patrzyła, jak suną pod powierzchnią wody. – Biegly ogląda zwłoki około czternastej – podjęła. – Ustala, że Rosie i Noel zginęli o tej samej porze między dwudziestą trzecią a czwartą nad ranem. Czyli do zbrodni mogło dojść w ciągu nocy, a sprawcą może być każde z nich. – Oparła czoło o kolumnę. – W życiu tego nie rozwikłam – mruknęła. Jej oddech wzniecił w powietrzu biały obłok. – To beznadziejne. Mam rezydencję, gdzie popełniono morderstwo, dom pełny podejrzanych, stos dowodów i nic. – Odepchnęła się od kolumny i oddaliła parę kroków, by spojrzeć na owce na polach w oddali. Owce skarżyły się głośnym beczaniem. Wśród drzew mignęło kilka jeleni, które skubały świeżą trawę. Nate podszedł do Stevie, gdy o czymś sobie przypomniała. – Ha-ha. – Ścisnęła go za ramię i wskazała w dół.

– Ki czort? – Popatrzył na rów pod sobą.

– Ma odstraszać zwierzęta, a nie zakłócać pejzażu. Nazywa się ha-ha.

– Brzmi jak śmiech tego dziecka z Simpsonów! Ludzie naprawdę są porąbani.

– Bezsprzecznie. – Stevie usiadła na ziemi, tak że jej nogi dyndały nad ha-hą. Piżama z miejsca nawilgła od rosny, nieprzeznaczona do takich akcji. „I chyba w ogóle jest do niczego. Tymczasem David śpi sobie na górze. Zostało już tak mało czasu, a wszystko wydaje się beznadziejne. Więc w imię czego się męczyć?... No bo gdzieś tu była Angela”.

– Możemy chwilę pogadać o czym innym? – zapytał Nate, siadając obok Stevie, która odwróciła się do niego zaskoczona. – Yyy, skoro siedzimy na tym cholernym odludziu, a miałem zamiar... Uznałem, że ta wycieczka to dobry moment, więc skoro tkwimy tu o świcie bez wyraźnego powodu... – Dobierał słowa z trudem, zezując na błady księżyc.

– To? – podrzuciła.

– Okej – powiedział. – Wiesz, ty i David...?

Zmieszana Stevie przekrzywiła głowę.

– Ty i David – powtórzył Nate. – Janelle i Vi. Nie wiem, czy dostrzegasz, ale to... do mnie nie pasuje.

– Co nie pasuje?

– Związki miłosne – wyjaśnił. – Bycie z kimś.

– Zauważyłam – odparła.

– Nie... Chodź mi o to, że... w ogóle. – Stevie musiała się nad tym chwilę zastanowić. – Mówię, że jestem aseksualny. Czuję to zawsze, ale nazwałem dopiero w ostatnich miesiącach. Dowiadujesz się pierwsza.

„Że ma taką naturę, wcale mnie nie zdumiewa, ale niesamowite, że dzieli ze mną czymś tak osobistym”. Stevie straciła mowę. Aby otrzeć łzę z oka, udało, że wpadł jej tam włos.

Nate patrzył na jej wzruszenie z rezerwą.

– Reszcie też powiesz? – spytała.

– Pewnie niedługo. Janelle mi robi na drutach szalik dumy.

– Poproś, by ci zbudowała dron.

– Zrobiłaby to, prawda?

– Tak – odrzekła Stevie. – I jeszcze czapkę.

– Zaczekam aż wrócimy, i wtedy im powiem. To dla mnie trudne. Chwilowo się wyprztykałem. – Potarł oczy zaspany. – I tak już tyle się dzieje. Chciałem powiedzieć ci to tutaj, stwierdziłem, że to właściwy moment. Oboje byliśmy na nogach i robiliśmy coś głupiego.

– Poczekaj. – Stevie spojrzała na niego badawczo. – Czy to się wiąże z tą nagłą potrzebą pisania? Czy ujawnienie pomaga ci pisać?

– O rany, przestań. – Nate potarł czoło. – Piszę i już. Piszę bez przerwy.

– Nieprawda – rzekła Stevie półgłosem. – A zresztą co tam.

Wciągnął powietrze, więc nieco zmieniła kierunek rozmowy.

– Wiesz, jak jesteś dla mnie ważny. Gdybyś potrzebował nerki, to wal do mnie jak w dym.

– I dlatego uznałem, że najpierw zdradzę to tobie. Chyba się już nie da być bliżej niż my. Dlatego chodzę z tobą krok w krok.

Przez chwilę patrzyli na siebie porozumiewawczo. „Nate, potargany, chudy, zadziwiająco silny, z rękawami bluzy naciągniętymi na dłonie. Nie przypominam sobie, abym istniała bez Nate’a”. Po mału rozkwitał srebrzysty świt. Wszystko spowite było mgłą, przez krople rosy prześwitywał miękki blask. Świat nabrał magicznej aury, złagodniał jak przepuszczony przez filtr.

– Okej. – Stevie wstała. – Dość z uczuciami, dobra? Wracajmy. Zaraz odmarznie mi tyłek.

Ledwie zwróciła się z powrotem w stronę domu, ujrzała postać biegnącą ku nim z czymś w rękach. Ogarnął ją lęk – i nagła potrzeba, by zepchnąć Nate’a do ha-hy, ratować mu życie. „To koniec. Po kiego go tu przywlokłam? Zginie!”.

Była to Theo z parującymi kubkami. Ubrana stosownie do pogody w wełniany płaszcz, czapkę pod kolor, dzinsy, sweter. Nie tak jak oni.

– Zauważyłam was przez okno – powiedziała. – Z reguły wcześniej wstaję. Nie umiem się wylegiwać. Pomyślałam, że marzniecie, więc przyniosłam coś na rozgrzewkę. Amerykanie pijają przecież rano kawę. Chyba nie macie nic przeciwko rozpuszczalnej?

Ten zwyczaj Theo odnotowano w zeznaniach. „Przynosiła im wodę, herbatę i kawę. Jak to lekarka troszczyła się o wszystkich”.

– Trochę za wcześniej na spacer – rzekła. – Ale wygląda na to, że w ogóle nie poszliście spać.

– Rozważaliśmy to wszystko – odpowiedziała Stevie szczerze.

– Ja też.

Mówiąc to, Theo siadła na kamiennym stopniu altany. Stevie tak samo. Nate się przycałił, oparty o filar.

– To bardzo dziwne uczucie... – westchnęła Theo. – Ujawnić sekret, który skrywałam przez tyle lat. To, co zrobiłaś wczoraj, jest imponujące. Niesamowite... Czuję, że czegoś tu brak. Nie czegoś... kogoś, rzecz jasna.

– Ma pani pomysł, gdzie może być? – spytała Stevie.

– Gdybym miała najbłedsze pojęcie, już byłabym tam, gdzie Angela, nie tu.

– Bo według pani jest w tarapatkach – stwierdziła Stevie.

Theo na chwilę spuściła wzrok.

– Pracuję na oddziale ratunkowym – odparła w końcu. – Na co dzień stykam się z różnymi problemami, począwszy od tych najbardziej przyziemnych, skończywszy na wręcz niemieszczących się w głowie. Może wydarzyć się wszystko. Nie spekuluję. Każdy przypadek traktuję inaczej. Tutaj wiem tylko, że Ange wyszła z domu wieczorem, wsiadła do metra i odtąd jej nie widziano. Nic z tego – dodała – nie wróży dobrze.

– Pracuje pani na nocnych dyżurach?

– Nie, w ciągu dnia. To plus stażu pracy. Ale sprawdzałam, wierz mi, sprawdzałam. Sprawdziłam każdy oddział ratunkowy w Londynie, wiem, że policja sprawdza je w całym kraju. Przyjazd tu... Przynajmniej mogliśmy być razem i wesprzeć Izzy, a nie martwić się w samotności.

Theo roztarła zmarznięte dłonie.

– Cokolwiek się stało – stwierdziła Stevie – ma przypuszczalnie coś wspólnego z tym, co zdarzyło się tutaj, a w każdym razie z tym, co się zdarzyło według niej. Mówiła pani coś na ten temat? Czy wspominała o swoim śledztwie?

– O śledztwie nie – odrzekła Theo. – Jedyne, czym w ogóle się podzieliła... W dniu, gdy ich znaleźliśmy, tamtego popołudnia. Policja przesłuchiwała nas wszystkich kolejno. Angela dostała dreszczy, to czasem wynik szoku, więc poszła na górę wziąć gorącą kąpiel. Zaniósłam jej herbatę. Była potwornie przygnębiona. Jak i my wszyscy, co zrozumią. Na myśl o tym, co się stało, cała się trzęsła. Wtedy mi powiedziała, że gdy przyjechalibyśmy, Rosie chciała pomówić z nią o czymś ważnym na osobności, ale nie miała jak. Potem Angela opowiadała, że podczas gry na drzwiach nie było kłódki i dochodziło spod nich światło...

– Wiedziała pani o tym?

– Pamiętaj, Stevie, że upiliśmy się w nocy i że nazajutrz byliśmy w szoku. Nie wiem, na ile wiarygodne są nasze wspomnienia lub relacje. I nie wiem, co wnosi historia o kłódce, przy założeniu, że jest prawdziwa.

– Pisała do was o jakimś guziku. Rozumie pani, co miała na myśli?

– Nie mam pojęcia. Musiała zrobić literówkę. Tak czy inaczej niedługo śniadanie. Sebastian mógłby wykarmić pułk.

Rzekłszy to, Theo wstała i skierowała się do domu. Szła żwawo i pewnie, jak przystało na osobę, która cały dzień przemierza szpital i stale jest gdzieś potrzebna.

– Nie masz wrażenia, że ta kawa to pretekst? – Nate podniósł kubek, by ogrzać twarz parą. – Czuję, że chce nam o czymś powiedzieć. Nie tylko o tej rozmowie z Angelą.

Theo dotarła do schodków na taras, weszła pod portyk i zniknęła im z oczu.

– Wydaje mi się... – odparła wolno Stevie, omiatając spojrzeniem okazałą fasadę – ...że nie może spać, bo właśnie do niej dotarło, że sprawy sprzed lat wyglądały inaczej, niż myślała.

– To pewnie niemiłe zaskoczenie.

– Jest bardziej niż zaskoczona – oznajmiła Stevie. – To bystra babka. Wpadła w panikę.



XXV

Wróciwszy do pokoju, Stevie nie zastała w nim Davida. Gdy przyłożyła rękę do miejsca, gdzie spał, poczuła słaby ślad jego ciepła. Dobiał ją gwar i odgłosy kroków. „Więc Merryweather się obudziło”.

Wzięła szybki prysznic, korzystając z wymyślnej i bardzo przyjemnej funkcji „łagodny deszcz”. Użyła wytwornych kosmetyków z łazienki. Wyszła pachnąca kwiatem pomarańczy i gardenią. Gdy otrząsnęła już włosy z wody, wciągnęła dżinsy i odwieczną bluzę, po czym ruszyła z powrotem na dół.

Po głównym holu przechadzał się Julian. Głośno rozmawiał z kimś przez telefon i przeczesywał włosy palcami.

– ...mhm, wiem, Fiono, ale we wtorek. Dopiero wtedy jest głosowanie. Tak, wiem...

– Dzień dobry – rzekł ktoś za Stevie. „O, Sooz”. Na tle surowej ciemnej boazerii przy schodach jej rude włosy zdawały się płonać. Miała na sobie różowy kombinezon podwinięty nad kostkę i białe głany. – Mam nadzieję, że trochę pospałaś po tym, jak cię wczoraj obudziłam. „Czy mi się tylko wydaje, czy położyła nacisk na «pospałaś?»”. – W kuchni jest kawa i herbata. – Minęła Stevie i poszła w tamtą stronę.

W salonie siedzieli naprzeciw siebie Yash i Peter, skupieni, z otwartymi laptopami. Peter, przygarbiony, był w dżinsach i swetrze w pomarańczowo-czerwone pasy, podkreślającym miedziany kolor jego włosów. Powieki opadały mu tak ciężko, jakby zaraz miał usnąć, ale Stevie spostrzegła, że czujnie wpatruje się w Yasha. Yash – w spodniach od dresu i bluzie z kapturem – pokazywał na migi grę na puzonie albo coś nieprzyzwoitego.

– ...i w tym momencie mówimy, że to fiut – powiedział.

– To zbyt oczywiste – odparował Peter.

– A może o coś o spuszczeniu psów?

– Przecież to było trzy tygodnie temu.

– To mimo wszystko nie ten sam żart.

– No dobrze, jednak zanedo podobny.

– Więc nawiązanie – zauważył Yash.

– Nie nawiązanie. Zwykła powtórka.

Yash zwichrzył w zadumie kręcone włosy.

Po schodach schodził teraz ktoś jeszcze. Odwróciwszy się, Stevie zobaczyła Nate’a w wyciągniętym czarnym golfie i zlachanych dżinsach. Wilgotne po kąpieli włosy przylegały mu do czoła.

– Hej! – rzucił, stukając palcami w poręcz. – Co robisz?

– Patrzę – odrzekła Stevie. – Pewnie tak właśnie wygląda pisanie.

Yash zorientował się, że mają widzów, więc przywołał ich gestem. Salon nad ranem wyglądał dziwnie. Zasłony wydawały się za grube, krzesła za niskie i za miękkie, a szklanki, kieliszki i tace z drinkami nie pasowały do tak wczesnej pory.

– Tak właśnie pisze się żarty – rzekł Yash. – Rzucam pomysły, a on je wyszydza.

– Nie, redaguję – poprawił Peter.

Yash machnął ręką na znak „Widzicie?”.

– Tu – podjął Peter – mamy ministra. Wciąż zdradza żonę i zawsze wpada. W tym roku pojawi się po raz trzeci. Musimy pisać wciąż nowe puenty.

Za nimi Julian przemierzał hol, nadal rozmawiając o głosowaniu.

– Nie, to nie o nim – powiedział Yash, widząc, że Stevie spogląda w tamtym kierunku. – Tym razem nie, choć do tego serialu piszemy też skecze na temat Juliana.

– Jeśli chodzi o zdradę itepe – dodał Peter – przez lata zebrano się full materiału. – Zamknął, a raczej zatrzasnął laptop. – Pieprzyć to, teraz nic nie wyczaruję. Zjedzmy śniadanie i zaczniemy znowu.

Od strony kuchni dochodził zgiełk. Sebastian, Theo i Sooz byli pochłonięci różnymi zajęciami. Theo rozmawiała przez telefon o pacjencie.

– ...wysłałam wiadomość na neurologię, ale na razie nikt nie odpowiada. Wyniki badań krwi już wróciły?

Sooz piła kawę i przeglądała gazetę. Sebastian biegał między kuchenką, lodówką, zlewem i konturem, sprawując pieczę nad garnkami i tacami. Wokół roznosiły się smakowite zapachy smażonego boczku i kielbasek oraz wielu innych potraw, tajemniczych dla Stevie.

– Jedliście kiedyś angielskie śniadanie? – zapytał wesoło Sebastian. – To, że tak powiem, ikona kultury. Jajka, kielbaski, bekon, fasolka, pomidor, pieczarki i najważniejsze... – Podniósł coś na kształt ciemnego salami. – Black pudding.

– Pudding? – zdziwił się Nate.

– Nie, to nie deser. – Sooz zmarszczyła nos. – Jest z krwi, na kontynencie nazywają to kaszanką. Szczęśliwie są i wegańskie kielbaski dla tych z nas, którzy nie jadają skrzepów.

– Wieprzowa krew i przyprawy. Delicje.

– Pycha – wybąkał ponuro Nate. Sooz przytaknęła mu z satysfakcją.

– Nie zrażaj się, chłopcze – zachęcał Sebastian. – Częstość tu angielską klasykę. Yash, wyjmij bekon z opiekacza, proszę. Peter, pieczarki i pomidory są tam na dole, na pewno już doszły. Stevie, Nate, zechcecie zanieść do jadalni filiżanki i talerze?

Kiedy zanieśli naczynia, Stevie podniosła ze stołu butelkę po winie z ubiegłego wieczoru. Długo ją ogłądała.

– To jest butelka – powiedział Nate. – Przyłóż do ucha, a zaszumi winorośl.

Stevie odstawiła butelkę, dopiero kiedy zaczęto wносить śniadanie. Yash wszedł z tacą skwierczących jeszcze kielbasek i bekonu. Peter z półmiskiem pieczarek, pomidorów i fasolki. Sooz odsuwała wegańskie potrawy od black puddingu i tłuszczów zwierzęcych. Na samym końcu pojawił się Sebastian z półmiskiem jajek i grzankami w stojakach.

– Zawołaj Theo i Juliana – poprosił grzecznie Sooz.

Sooz oddaliła się i wkrótce donośnie rozbrzmiał jej szkolony głos. Ogarnął całe wielkie Merryweather, echo poniosło go w głąb korytarzy.

– Macie ochotę dowiedzieć się czegoś o etykiecie wiejskiego domu? – spytał Sebastian Nate’a i Stevie. – Do stołu zawsze podawała służba. Wszystkie posiłki, wyjąwszy śniadanie. Śniada-

nie goście podają sobie sami z kredensu. Mnie to urządza, jako że jestem leniwy i nie mam ochoty zwracać sobie dupy obsługą tych obiboków. Poza tym wszyscy lubią przyjęcia bufetowe.

W progu stanęła znękana Theo.

– Na pogotowiu znów poranny koszmar. Musiałam się tłumaczyć, że jestem poza miastem. Umieram z głodu – oznajmiła.

Weszły Vi i Janelle, wezwane esemesem przez Nate'a. David pojawił się po dłuższej chwili, a Izzy na końcu. Stevie uznała to za ciekawe, lecz odepchnęła od siebie tę myśl.

Nadal nie było Juliana.

– Zawsze ostatni – westchnął przeciągle Sebastian.

– Wyjechał walczyć o kraj – rzekł Peter.

– Napiszę do niego – powiedziała Theo.

– Tak czy tak bierzmy się do jedzenia.

Po napełnieniu talerzy wszyscy zgodnie zajęli miejsca przy stole.

– Co zamierzacie? – spytała Theo.

– Musimy wracać dziś do Londynu – odparła Janelle, zezując na Stevie. – Nasz pobyt w Anglii dobiega końca. Jutro lecimy z powrotem do Stanów.

– Czy planujecie coś milego na ostatni wieczór? – zaciekawiał się Sebastian.

– Herbatkę – odrzekła Vi. – W jednym z hoteli w Soho. A potem idziemy do Barbicanu obejrzeć *Ryszarda III*.

– O! – rzekła Theo. – Przy tym spektaklu pracuje troje moich znajomych. Mogłabym dać im znać, że się wybieracie. Gdybyście chcieli, pokażą wam kulisy.

– A ty, Izzy? – zapytał miękko Sebastian. – Możesz zostać tu z nami albo wrócić z przyjaciółmi...

– Wolę już wracać – odpowiedziała Izzy. – Mam do przejrzenia notatki z wykładów, poza tym muszę skończyć referat. Nakarmię Buta i posprzątam u cici. Straszny u niej bałagan. Może zostanie tam i poczekam na nią.

– Rozsądny pomysł – stwierdził Sebastian.

– Mam głupie pytanie: chcę przywieźć coś ojcu – rzekła Stevie. – Uwielbia whisky, a tu mi wolno ją kupić... – Z miejsca przykuła tym uwagę przyjaciół, świadomych, że nigdy by nie kupiła rodzimemu whisky. Najwyżej magnes na lodówkę. – Zabrzmi to dziwnie, ale... czytałam w państwa zeznaniach o jakiejś rzadkiej, niesamowitej butelce. Piliście... wiem, że się znacie na rzeczy...

– Tak, oczywiście. – Sebastian pokiwał głową. – Wątpię, abyś ją znalazła w sklepie wolnocłowym, a nawet gdyby, i tak nie kupisz.

– Dlaczego?

– Jest warta dziesięć tysięcy funtów – odrzekł i odkroił sobie spory kawałek kiełbasy. – Właściwie była. Dziś byś musiała zapłacić czterdzieści. Co najmniej.

– Wypili państwo whisky za dziesięć tysięcy funtów?

– Tak. Oczywiście. Do ostatniej kropelki.

– Ty miałeś bzika na jej punkcie – rzekł Peter.

– Nie ja. Mój ojciec. Kolekcjonował rzadkie butelki. A rzadszej niż ta wyszukać było nie sposób. Z całą pewnością ceniał ją wyżej ode mnie, więc się uparłem, że trzeba ją wypić – w geście przekory.

– Tyle że omal nie zburzyłeś domu, pamiętasz? Gdy wyciągałeś ją wtedy z szafki – przypomniał Yash.

– Skądże. Obszedłem się z szafką kulturalnie.

– Czołgałeś się przecież – wtrąciła Theo.

– Ze świecą, którą ci odebrałem – dodał Yash. – Później zacząłeś dźgać drzwiczki szafki jak wściekły i gdyby w końcu Peter nie pomógł ci jej otworzyć, to niewątpliwie rozbiłbyś ją w drobny mak.

– Sprawdziłem po prostu wytrzymałość drewna.

– Te zadrapania zostały do dzisiaj – rzekł Yash. – Ktoś usiłował je zamaskować, ale wciąż są.

– To sprawa kota – odparł Sebastian. – Na pewno.

– Ty nie masz kota – zauważyła Sooz.

– Mam ciebie – odrzekł. – To mi wystarczy.

W drzwiach stanął Julian. Jak zwykle miał wielkie wejście.

– Jajka wystygły, kochanie – westchnął Sebastian. – Ufam, że twoi wyborcy wiedzą, jak się dla nich urabiasz.

Julian w milczeniu popatrzył nad stołem na towarzystwo: przyjaciół i obcych, których dopiero co poznał. Jego prowokujące zwykle spojrzenie było skupione. Wszyscy czekali w napięciu. Stevie zastygła i odłożyła widelec.

– Znaleźli Ange – powiedział cicho.

– Gdzie? – zapytała Izzy. – Gdzie jest?

– Dobrze się czuje? – dodał Yash.

Jedno przez drugie dopytywali zaciekawieni. Ale nie Theo. Theo wbiła wzrok w talerz.

– Znaleźli ją... – Julian wyraźnie próbował zachować spokój. – W Tamizie.



XXVI

Ciało Angeli wypłynęło w pobliżu Limehouse, dzielnicy we wschodnim Londynie, gdzie rzeka zakręca. Wiadomo było tylko tyle. Przerwali śniadanie. Izzy wstała i wyszła. Tuż po niej David. Pospiesznie, w ciszy Vi, Janelle i Nate. Stevie – choć chciała – nie mogła się ruszyć. Angela była jej sprawą, jej podopieczną. „Wiedziała o czymś potwornym. Teraz to koniec”.

– Usiądźmy w drugim pokoju – rzekła łagodnie Theo, ogarniając ramieniem zapłakanego Yasha. – Jest przytulniejszy.

Peter i Sooz podtrzymywali się nawzajem. Sebastian chwilę siedział bez słowa, opanowany. Wreszcie ze wzrokiem wbitym w Juliana powiedział:

- Dziękuję... za telefony. – Julian ponuro kiwnął głową.
- Chodź, Seb – poprosił. – Chodźmy z innymi. No chodź.

Stevie została sama jak palec przy długim stole, na którym pośród półmisek fasolki i jajek kładły się słabe promienie rannego słońca.

Nagle poczuła przemożną chęć ucieczki.

Znowu zaczęło się zbierać na deszcz. Stevie włożyła słuchawki do uszu. Włączyła podcast, aby zagłuszyć wszystko wokół. „Zawiodłam, i to na całej linii” – myślała. „Nie ocaliłam, nie odnalazłam Angeli, nie poradziłam sobie z zagadką sprzed lat. Nie wiem, co zaszło w dziewięćdziesiątym piątym, kto zabił. Byłam właściwie w połowie drogi, ale co z tego? Nie ustaliłam sprawcy dwóch morderstw. Jestem do kitu”.

Posiadłość była wprost wymarzona, by się zagubić. Ściany zieleni i kręte ścieżki wciągały, kusily, aby się z nimi stopić, nie patrzeć wstecz. Dom krył się wśród drzew, murów, wysokich żywopłotów. Dało się słyszeć tylko śpiew ptaków, chichot strumienia. Stevie znalazła się pod szemrzącą fontanną. „Strzyżone krzewy... świątynia dumania”. Po rozpoznaniu zaburzeń lękowych polecono jej zapisać się na medytację. Zapominała o tym, chociaż wiedziała, że medytacja obniża stres i świetnie wpływa na mózg. Wyłączyła podcast i przytknęła powieki, starając się wyciszyć. Słuchała ptasich skarg pod niebem i szumu fontanny.

„Ktoś tutaj jest”. Otworzyła oczy.

– Nie chciałem cię wystraszyć, przepraszam – rzekł Julian. – Wyszedłem, aby trochę odetchnąć i... – Wyjął z kieszeni paczkę papierosów. – Pozwolisz?

Stevie kiwnęła głową. „Co mam powiedzieć po tym, co zaszło? Że nie wypada palić, bo stracił bliższą osobę?”.

– Z nas chyba tylko ja jeszcze palę – westchnął i usiadł na ławce przy Stevie. – Nie mów nic Theo. Byłaby zła. – Wsunął papierosa do ust i zapalił. Nawet, a może zwłaszcza w tej chwili Julian czarował niezwykłym urokiem. Jego zgarbienie było wytworne, stylowo oparł dłoń na kolanie. „No i te

oczy: ma podwójne rzęsy? Co w nich jest, że tak hipnotyzują?”. – Właściwie chciałem z tobą pomówić – rzekł, wydychając długi kłęb dymu. – Jesteś wnikliwa, to oczywiste. Wczoraj czytałem o tobie. Twoje osiągnięcia są godne podziwu.

– Dzięki – mruknęła Stevie pod nosem.

– Wczoraj wieczór pytałaś, czy namierzili telefon Angeli. Zdobyłem więcej szczegółów, niż zdradziłem.

– Czuję – odpowiedziała.

– Z logowań wynika, że przemieszczała się między Waterloo a Vauxhall, to znaczy nad rzeką. Punkty te dzieli około dwóch i pół kilometra. Ta okolica nocą jest pusta. Odgadłem, co to może oznaczać. Milczałem, by was nie denerwować, czekałem, aż będzie wiadomo na pewno. – Głębiej zaciągnął się papierosem, patrzył na niego przez długą chwilę, a potem zgasił bardzo starannie na metalowym oparciu ławki. Sprawdził, czy pet się nie tli, po czym go wsunął z powrotem do paczki. Paczka wróciła do kieszeni spodni, dopiero wtedy wyjął telefon. – Mam nowe wieści od informatora. Chciałbym poprosić cię o opinię.

Mówiąc to, podał telefon Stevie. „Mhm, to mail od kogoś z policji”.

Ciało znalezione w Limehouse o 19.50. Zgon stwierdzono na miejscu. Nastąpił prawdopodobnie przed dwoma dobowi. Brak widocznych obrażeń. Torebka zawierała: portfel (zaw. 40 funtów szterlingów i karty kredytowe, nienaruszone), pęk kluczy, telefon, kartę Oyster, nową szczoteczkę do zębów Oral-B w opakowaniu, pudełko strepsils, blister nytolu (brakowało sześciu z siedmiu tabletek), pięć dużych kamieni. Identyfikacja oparta na kartach w portfelu, zweryfikowana na podstawie zdjęć, identyfikacja formalna jest w toku. Sekcję zaplanowano na jutro rano.

– Nytol jest lekiem nasennym – rzekł Julian. – Przypuszczam, że domyśliłaś się tego po nazwie. Nie ma tu wątpliwości, co się wydarzyło.

– Skąd wzięła kamienie? – zapytała Stevie. – Skąd się je bierze w Londynie?

– Nad Tamizą jest dużo plaż. Nietrudno znaleźć kamienie na brzegu, zwłaszcza kiedy jest odpływ. Sprawdziłem to. Tamtej nocy był o dwudziestej trzeciej. Chciałbym cię spytać, czy te szczegóły... Jak sądzisz, czy Izzy byłoby łatwiej, czy trudniej, gdyby je poznała? Jesteś jej koleżanką i masz podobne doświadczenia... Czy mam jej o tym powiedzieć?

– Myślę – odparła Stevie po dłuższej chwili – że Izzy powinna poznać szczegóły, ale będzie jej łatwiej, gdy dowie się od nas. Zechciałby pan mi przysłać je mailem? Pokażemy je Izzy w odpowiednim momencie. Albo zrobi to David.

– To bardzo słuszne – zgodził się Julian. Wysłał jej zrzut ekranu mailem. Podziękował, przeprosił, że zakłócił jej spokój, i zostawił ją samą wśród kojącej zieleni.

Stevie też nie miała wątpliwości na temat tego, co zaszło. „Pięć dużych kamieni i sześć tabletek na sen”. Patrzyła na środki uśmiercenia Angeli.



Stevie zastała w domu niepokojący spokój. W otwartym salonie nie było nikogo. „Rozeszli się” Zegar tykał ospale. Wyjąwszy rzadkie odgłosy rozmów, wokół panowała cisza.

Wracając do pokoju na górze, Stevie słyszała zza drzwi stłumione szluchy, strzępy zdań. Prędko się spakowała, schowała aktówkę do walizki, a potem przeszła na palcach pod pokój Davida. „W tej chwili hałas byłby niestosowny”. Zapukała cichutko, ale nikt się nie odzywał. Stwierdziwszy, że

jeszcze trochę połazi, skrzyła za róg, jako że dotąd tam nie była. Zza drzwi jednego z pokoi dobiegł ją słaby głos Davida. Gdy zapukała, po chwili rozległo się „proszę”. Weszła do pogodnej różanej sypialni, na środku której stało łóże z baldachimem. Siedzieli na nim David i Izzy. „No nie, trudno to nazwać siedzeniem”. Izzy zwinęła się w kłębek, przyjęła pozycję embrionalną. „Opiera głowę na piersi Davida...”. Stevie poczuła gwałtownie wzbierającą w gardle żółć i z całych sił nerwowo zaciśnęła dłonie w pięści.

– Hej – powiedziała.

– Sekundę, Iz. – David łagodnie wyslizgnął się spod Izzy, która padła bezwładnie na poduszki twarzą w dół. Wskazał Stevie, by wyszła z nim na korytarz.

– Nie wygląda... najlepiej.

– Jest w złym stanie – potwierdził.

– Samochód będzie za parę minut – rzekła Stevie. – Chcesz, żebym zebrała twoje rzeczy?

– Izzy musi tu zostać jakiś czas – odrzekł cicho. – Chce tu pobyc. Chyba nie powinienem zostawić jej samej.

– Zostajesz? – spytała.

– Tylko na kilka godzin. Pociąg jest po południu. Wy i tak macie plany na dzisiaj. Herbatkę i spektakl czy coś w tym stylu. Możemy spotkać się później.

David się nie mylił – mieli zajęte całe popołudnie.

„Izzy doznała olbrzymiej straty: koniecznie trzeba ją teraz wesprzeć, David więc robi to, co należy, ale ten wyjazd zaraz się skończy. Liczy się każda sekunda. Przejazdzka autem, siedzenie w pociągu... Opuszczam Anglię, więc to się już nie powtórzy”.

Stevie na siłę przybrała minę najstosowniejszą do sytuacji, pełną powagi i zrozumienia. Zaczęła ogarniać ją potworny smutek. Przeszywał ciało, paraliżował.

Po chwili zatrzeszczał żwir na podjeździe. „To nasz samochód, pora się zbierać”. Gdy wyruszyli, odwróciła głowę, by jeszcze spojrzeć na Merryweather. Dom kurczył się między drzewami, aż zniknął.

– Udał się pobyt? – spytał kierowca.



W pociągu panował nastrój przygnębienia. Janelle i Vi siedziały po jednej stronie stolika, a Stevie i Nate po drugiej. Gdy usłyszeli od Stevie, co powiedział jej Julian, przez pewien czas prawie się nie odzywali. Bo i o czym mówić?

Wyjazd nie przyniósł nic dobrego. Kończył się źle. Pogoda była fatalna. Deszcz stukał w okna.

– Herbatka jest o czwartej – rzekła Janelle. – Powinniśmy zdążyć na czas.

„Ostatni dzień w Anglii. Herbatka i teatr. Zwykle atrakcje turystyczne. Powinniśmy świętować – to wisienka na torcie”.

– O co chodziło z butelką po winie, a potem z whisky? – zapytał Nate. – Kombinowałaś coś przy śniadaniu...

– Nie wiem do końca – odrzekła Stevie. – Gdy zobaczyłam tę pustą butelkę, to skojarzyłam, że wtedy pili. To punkt wieczoru, o którym mówi każde z nich. Kiedy wrócili, pili tę wyszukaną whisky. A później wszystko jakby się kończy.

– Myślisz, że byli naćpani czy coś? – spytała Janelle.

Stevie wymijająco pokręciła głową.

– Nie wiem, co myślę. Tylko... coś w tym jest. Czuję, że ma to znaczenie dla sprawy.

– Mogłabym coś powiedzieć? – wtrąciła się Vi. – Podejrzewasz o morderstwo jedno ze swoich przyjaciół. Przypadkiem zdradzasz to siostrzenicy, będąc na środkach przeciwbólowych. Ta mówi o tym świeżo poznanej grupie Amerykanów, wśród nich osobie, która rozwiązuje sprawy zbrodni. Prosisz przyjaciół, aby spotkali się z nimi w miejscu, gdzie doszło do tego morderstwa. Po czym wychodzisz z domu, bierzesz tabletki nasenne i skaczesz do rzeki.

– Jedną zostawiasz w blisterze w torebce – wskazała Stevie. – Na wypadek gdyby ktoś miał pytania.

– Ktoś ją odurzył i wrzucił do rzeki. – Nate westchnął. – Wszyscy tak myślimy, prawda?

– Zdecydowanie – odparła Stevie. – Zapewne.

– Ale co można na to poradzić? – Janelle nie chciała być nietaktowna. Pytanie było rozsądne, lecz odpowiedź brzmiała, że nic.



XXVII

Herbatka była w hotelu w Soho – szykownym, znanym z wykwintnych podwieczorków. Wszyscy zgodzili się pójść, lecz przed drzwiami Nate raptem zaczął się wycofywać.

– Może by lepiej coś zjeść? – zapytał. – Pięćdziesiąt funtów za jedną herbatę?!

– Prócz niej podają kanapki i desery – odrzekła Janelle. – No chodź, daj spokój. Trzeba zaliczyć angielską herbatkę. Oj, chodźże. Przecież się umówiliśmy. Dziś jest ostatni dzień tej wycieczki, więc miejmy z niego jakiś pożytek.

Atmosfera nie była szampańska. Siedli przy stole w podłym nastroju. A stół nakryto przepięknie. Bujne bukiety kolorowych kwiatów obok zielono-białych porcelanowych filiżanek cieszyły oczy. Ale nie ich. Kelner postawił przed nimi trzy poziomą paterę pełną kanapek – cieniutko krojonych prostokątów bez grama skórki. Przedstawiał każdą kolejno, mówił, z czego się składa. Wędzony łosoś i serek kremowy. Ser stilton, jabłko i majonez. Kurczak w curry i seler. Suszona szynka z Yorkshire i musztarda. Następna patera – również piętrowa – ugięła się od bułeczek scones i gęstej kornwalijskiej śmietany oraz dżemu i lemon curd, malutkich ciastek czekoladowych, tarty z jabłkami i galaretką jeżynową, ciasteczek marchewkowych przyprawionych kardamonem. Na stole pojawiały się coraz to nowe naczynia, talerzyki na małe potrawy, pełna białych i brązowych kostek cukiernica, srebrne sztućce, sitka do herbaty i podstawki pod nie oraz specjalne nożyki do rozprawiania śmietany...

Z myślą „Jak tego dużo!” Stevie przypomniała sobie sutą kolację u Angeli – nieprzeliczone miski curry, ryż z żółtymi plamkami na wierzchu, sześć albo siedem rodzajów chutney, najrozmaitsze dodatki oraz chleb i podplomyki...

„Angela opowiadała o Annie Boleyn. O egzekucji. Głośno wzywając wymagowanego pomocnika, kat wywołuje u ofiary odruch odwrócenia się tam, skąd powinien on nadejść, po czym sprawnie obcina jej głowę. Fortel ułatwia zabójstwo...”

– Coś nie w porządku? – spytał kelner zmartwiony widokiem nietkniętych kanapek i deserów.

Wszyscy rzucili się na jedzenie, aby mu dowieść, że nic im nie jest, że są jak inni zwykli turyści. Stevie zdołała przełknąć czekoladowe ciasteczko, które wylądowało w żołądku jak grudka mokrego piasku. Sprawdziła wiadomości. Ani słowa od Davida.

„Jak leci?” – napisała. „Wiesz, kiedy wracasz?”

Nie odpowiedział. Zbliżała się piąta, a przedstawienie było o siódmej. Stevie cieszyła się na nie tak bardzo jak na oblanie kolan gorącą herbatą. „Ale co robić? Angela nie żyje. Nie dość, że całkiem sknociałam sprawę, to jeszcze jutro wyjeżdżam z Anglii”.



Ryszarda III wystawiano w Barbicanie, olbrzymim centrum sztuki wzniesionym z betonu – istnej fortecy, czymś na kształt Tower – jak dowiedzieli się od Janelle, znów w stylu brutalistycznym.

– Jak mogli postawić coś tak koszmarnego? – spytała Vi. – Ktoś tu chyba był ślepy.

– A mnie się nawet podoba – odrzekł, rozglądając się, Nate. – Przypomina farmę wilgoci, na której mieszkał Luke Skywalker.

– Mnie też – stwierdziła Janelle. – Kojarzy mi się z maszyną.

– Oto dwa różne podejścia do wielkiej bryły z betonu – rzekła Vi.

Dla Stevie *Ryszard III* polegał na dwupółgodzinnym siedzeniu w ciemnościach – z króciutką przerwą w środku na zakup w foyer kosmicznie drogich M&M's, polykanych pospiesznie pod betonowym filarem. Po scenie i poza nią biegali ubrani w tuniki mężczyźni, z których co drugi był Ryszardem bądź Edwardem, albo też lordem Cośtamcośtam. Z rzadka pojawiał się też niejaki William Catesby, żeby widzowie się jeszcze bardziej gubili. Przez cały ten czas Stevie trzymała telefon na kolanach, sprawdzając wieści od Davida, które nie nadchodziły – ku irytacji sąsiadki, której sapanie i cmokanie zmusiło ją do wyjścia i przesiedzenia końcowego kwadransa w kularach. „Więc opuściłam błaganie o konia”. Lecz i tak zgadłaby, jak to się skończy.

Stevie nie miała ochoty się złościć ani łązić po foyer, mając zaledwie kilka godzin do zostawienia Anglii, Davida, sprawy, mążcego deszczu i herbatek.

– Dlaczego wysłaś? – spytała Janelle.

– Sorry – odparła. – Dłużej nie mogłam wytrzymać.

– Mnie też się niezbyt podobało. – Vi potarła meszek na karku.

Wszystkich dręczyły wydarzenia tego dnia i nie pomogłaby na to największa liczba ciasteczek, herbaty ani wrzeszczących w teatrze angielskich lordów.

Wracając (metrem) do Craven House, przygaszeni milczeli. Wiedzieli, że pobyt już się właściwie skończył, do tego zmokli, bo niewidzialny jak zwykle deszczyk zaatakował ich w drodze na stację.

– Dowiem się tego w samolocie – orzekła Janelle ni stąd, ni zowąd. – Ile uczelni. Mam osiem godzin i pewnie zero internetu. Powinnam w końcu to załatwić. – Wchodzisz? – zwróciła się cicho do Vi, jako że projekt ten w dużej mierze był wspólny.

– Może – odparła Vi. – Zobaczymy. Bo mogę woleć pooglądać filmy. Samoloty są strasznie... Przygnębiają mnie czasem.

Janelle objęła ją i pocałowała w czoło. „Jest zawiedziona, ale skoro samolot przygnębia Vi, to nie ma mowy, żeby zdołała to przepchnąć”.

– A ty? – Janelle spytała Nate'a. – Chciałbyś mi pomóc przy spisach?

– Co?

– Muszę pokalkulować – odrzekła. – Coś wybrać. Można by robić te spisy razem. Więc jak?

– Nie, dzięki – odmówił Nate.

– Powiedz przynajmniej, do ilu startujesz. Muszę to rozgryźć. Coś sobie wreszcie uściślić.

Stevie podniosła głowę znad telefonu, którego zasięg w metrze i tak był żaden. „Janelle się męczy. Pierwszy raz widzę ją w takim stanie. Wyjazd ją rozczarował i jest mocno przybita, więc działa, by mimo wszystko na nim skorzystać”.

– Do ilu dotąd wysłaś? – cisnęła Janelle. – Rozumiesz, muszę mieć jakiś punkt odniesienia. – Nate spojrział na nią w taki sposób, jakby groziła mu pistoletem. – No dawaj, mów już. Naprawdę.

To sekret?

Wyraz twarzy Nate'a dobitnie wskazywał, że tak. „Ciekawe, czemu uparcie milczy; bez sensu”. Stevie zaczęło coś świtać. Dopiero teraz dotarło do niej to, co niechęć dostrzegła dawno, tyle że nigdy nie przykładała do tego wagi. Nate stale pisał, a raczej robił coś w komputerze. Od czasu do czasu opuszczał kawę albo posiłek, a jego karta kredytowa nie działała.

– Boże, ty przecież składasz podania – rzekła Stevie. – Tym się zajmujesz.

Nate leciutko się zarumienił. Trafiła.

Janelle i Vi spojrzały na nią niepewnie.

– Ile? – spytała Stevie.

Nate łypnął na nią na znak, że nie pożyczycy jej drona dumy.

– Siedemdziesiąt jeden – odezwał się wreszcie.

Zebrani na moment zamilkli.

– Czy to w ogóle legalne? – zapytała w końcu Vi.

– Ciekawe, jakim cudem złożyłeś aż siedemdziesiąt jeden podań. – Janelle nie dowierzała. – Musiałbyś aplikować gdzieś codziennie przez minione dwa miesiące.

– Nie codziennie. – Nate zwiesił ramiona. – Nie codziennie. Jest aplikacja ogólna, więc sporo rzeczy można powielić. Nie żebym...

– Skąd wziąłeś tyle referencji? – chciała wiedzieć Vi.

– Do Akademii się nie zwracałem – niemal wyszeptał. – Poprosiłem wydawcę, agenta i gościa, który prowadzi targi książki. Dostałem od nich referencje, które można kopiować, więc potem tylko wstawiałem nagłówki.

– Siedemdziesiąt jeden – powtórzyła z naciskiem Janelle. – To znaczy... Ile cię to w sumie kosztowało?

Nate zdradził już tak wiele, że był gotowy wyznać wszystko.

– Pięć tysięcy siedemset czterdzieści dolarów. Jak dotąd. W niektórych jeszcze nie ściągnęli mi z karty. Na razie nie wiem, gdzie pójdę, okej? Więc pomyślałem, że skoro dla studiów mam się założyć na resztę życia, to powinienem wybrać właściwą uczelnię. Ale to same... smętne ceglane gmachy, po których łązi się z plecakiem i robi prezentacje przed tablicą z trójkątami, więc nie mam, kurde, pojęcia, którą z nich wybrać. Są takie niszowe, gdzie kierunek wymyśla się samemu, tak że można studiować historię filiżanek lub wibracje albo co się komu zechce. Są też duże, z gmachami z kolumnadą, które wyglądają jak miasta i oferują totalnie wszystko. Są w metropoliach i w ślicznych mieścinach, gdzie liście stale zmieniają kolor. Niektóre są położone nad oceanem. Jest taka, gdzie wszyscy wciąż kitesurfują...

– Ty i kitesurfing – przerwała Janelle.

– Nikt tam nie zmusza do kitesurfingu!

– Lubisz plażować? – spytała Stevie.

– A kto nie lubi? Jestem pływakiem! Tak tylko mówię, rozmyślałam na głos. Nie wiem, gdzie idę, więc chcę przeprowadzić poszukiwania na wielką skalę.

Pociąg zatrzymał się na ich stacji, wszyscy wysiedli – znowu w milczeniu. Stevie rozwinęła przynajmniej jedną zagadkę, nawet jeśli wzbudziło to więcej pytań niż odpowiedzi.



Kiedy dotarli do Craven House, Stevie ruszyła prosto do pokoju Davida. Zastukała do drzwi, ale nie odpowiadał. Pytając kolejne mijane osoby, dowiedziała się wreszcie, gdzie mieszka Izzy. „Na samym końcu tego korytarza, za dwójgciem drzwi przeciwpożarowych. Potem tam będą schody na dół”. Zeszła po schodkach. Trzech. „Kto to budował?”. Za drzwiami grała muzyka – cicho. „Coś spokojnego”. Gdy zapukała, rozległy się szmery. Po chwili Izzy otworzyła drzwi. Ku zdumieniu Stevie natychmiast wzięła ją w objęcia.

– Wejdz – powiedziała.

Pokój był taki jak pokój Stevie, lecz nie miał w sobie nawet cienia chłodu. Na łóżku leżała gruba kołdra, jaskrawożółta w białe kropki. Ściany zdobiły grafiki oraz barwne tablice z przyklejonymi terminarzami, spisami lektur i garścią odręcznych notatek. Na biurku wśród piętrzących się książek i butelek po szampanie stały dwa grawerowane kieliszki do wina, a lustro okalało boa z piór. Podłogę zakrywały puszysty biały dywanik i niezliczone kosmate poduszki. Uplasowany na nich David skinął na powitanie, ale nie ruszył się, żeby wstać.

– Mogę zamienić słowo z Davidem? – spytała Stevie.

– Tak, naturalnie. Jasne, że tak.

David oderwał się od podłogi bez entuzjazmu, na jaki liczyła. „O co tu chodzi? Sądząc po minie, nie bardzo kwapi się do rozmowy. Dzisiaj jest przecież ostatni wieczór. Nasza ostatnia wspólna noc w Anglii”. Wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi.

– Kiedy wróciłeś? – spytała, siłąc się na obojętny ton.

– Jakąś godzinę temu.

„Dopiero przed godziną?”.

– Przejdziemy się?

– Tak – odpowiedział. – Wciąż jest rozbita. Pozwól mi zostać z nią jeszcze moment, a potem przyjdę.

– Nie było cię cały dzień. – Stevie nie chciała, by zabrzmiało to tak ostro. Drażliwie.

– Właśnie zmarła jej ciotka.

– Wiem o tym – odrzekła.

– Muszę upewnić się, że da sobie radę, i później przyjdę do ciebie.

– Jesteś na mnie wściekły?

– Co?

– Bo zawałiłam. – Stevie ściszyła głos. Ludzie wchodzili i wychodzili z pokoi, poza tym Izzy była tuż obok.

– Tu nie chodzi o ciebie – odparował David. – Nie chodzi o to, że sobie nie poradziłaś, a wcześniej miałaś same sukcesy.

Stevie odebrała to jak policzek. Skuliła się. Dotknął ją do żywego, uraził jej dumę. Stała prosto.

– Jeden czort – rzekła. – Nie przejmuj się tym.

Odwrociła się i odeszła, nie mówiąc nic więcej. „Zaraz zawoła i mnie dogoni”. Przystanąła na chwilę przy drzwiach przeciwpożarowych, udając, że szuka czegoś w kieszeni, ale David nie przyszedł. Pokręciła się znowu przy drugich drzwiach i w holu. Prawie już zawracała, kiedy do niej dotarło, że to bez sensu. „Nic mi to nie da”.

Musiła się dostosować do jego zamiarów.

Czekała za ciut uchylonymi drzwiami, snuła się, siłąc na nonszalancję. Robiła miny i pozy w stylu „Jestem gotowa, choć bez przesady”. Starła skupić się na czytaniu, czegoś posłuchać, obejrzeć serial. Ale musiała zachować czujność, by jej nie umknął żaden szmer w holu. Ślad wiadomości. Minęła północ. A potem pierwsza. A później druga.

Poprzedniej nocy nie zmrużyła oka. Była skonana, opadła z sił. Zasnęła na siedząco, w bluzie do seksu, drzwi nie zamknęła.

Nikt się nie zjawił.



XXVIII

Stevie zbudził miarowy stukot kropel o szybę. Za oknem szarzał londyński ranek.

„Noc zmarnowana i teraz zostało...”. Popatrzyła na telefon. „Do wyjazdu na lotnisko mam tylko cztery godziny, a David nadal się nie odzywa”.

Wczorajsza sytuacja była fatalna. „Przedziwna sprzeczka... David ma rację, skupiałam się na sobie, na nas. Izzy doświadczyła okropnej straty. Ale to był mój ostatni dzień, a on go spędził z Izzy. Teraz mijają ostatnie godziny. Czy potrzeba pobycia z chłopcem, dla którego przeleciałam przez ocean, to aż tak wielkie wymaganie?”.

Pomyślała, że może brak esemesów to dobry znak. „Tacy jesteśmy – gniewamy się, rozstajemy, a potem wracamy do siebie z nową energią... Tylko jest tak mało czasu”.

Wzięła pospiesznie prysznic. Brakowało jej „łagodnego deszczyku” i pięknie pachnących kwiatowych mydeł. Ubierała się trochę mokra, więc dżinsy lepiły jej się do nóg. Popatrzyła na rzeczy walające się po pokoju – brudne ubrania, torby, słoiczek dżemu dla mamy, paczkę fikuśnej herbaty, kryminał, kable, przejściówki, urządzenia do naładowania i dokumenty do znalezienia. „Muszę to ogarnąć. Ale też muszę zaraz się spotkać z Davidem. Sprowadzę go tu i pogadamy, gdy się będę pakować. I tak powinnam oddać Izzy aktówkę”. W zamieszaniu powrotu z Merryweather bez Izzy i Davida zabrała aktówkę automatycznie.

Przebiegła przez korytarz, omijając powolną windę i schodząc po schodach o wiele za szybko. W holu minęła smutną choinkę i pognąła schodami do pokoju Davida. Zapukała. Nic. Zapukała ponownie. Spróbowała otworzyć. Zamknięte.

Napisała do niego.

„Gdzie jesteś?”.

„Kupuję kawę na ulicy” – odpisał.

„Spotkajmy się pod domem” – odpowiedziała.

Pomyślała, że może odniesie aktówkę Izzy, ale stwierdziła, że trwałoby to za długo. Wyszła z nią z domu i trzęsąc się z zimna, wypatrywała Davida na frontowych schodach. Powrót zajmował mu dobry kwadrans. „To niepoważne. Teraz się liczy każda sekunda”. Starła się opanować. Nie pokazywać po sobie zniecierpliwienia ani frustracji. Zachować spokój, tak jakby nic się nie działo. „Zwykła dziewczyna z ogniotrwałą aktówką. Wkrótce odleci i zostawi chłopaka”.

David wyłonił się wreszcie zza zaparkowanej furgonki. Poły jego drogiego płaszcza łopotały na wietrze. Był w wyświechtanym zielonym tiszercie i dżinsach. Na głowie miał czarną czapkę z dzianiny. „Znów zero starań. Pewnie się nawet nie kąpał. Wiadomo”. To organiczne niechłujstwo stanowiło o jego uroku. Budziło w Stevie furię i równocześnie dreszcz podniecenia.

– Wziąłem dla ciebie – rzekł cicho. Lód w sercu Stevie już topniał.

– Dzięki – odparła, przyjmując kawę. Liczyła, że siądzie na schodach przy niej, lecz stał. „Nie uśmiecha się. Słusznie. Niedługo się rozstajemy”. Ale miał chłodne, wręcz nieobecne spojrzenie.

– Nie chciałbyś... usiąść? – spytała.

– Może się przejdźmy – zaproponował. Ruchem głowy wskazała na ciężką aktówkę. – Poniosę ją. Pospacerujemy.

– Muszę się jeszcze spakować.

– Przez dziesięć minut popatrzmy na Londyn.

Choć Stevie mogła poświęcić tyle na spacer, czuła, jak puls jej stopniowo przyspiesza.

Ruszyli znaną drogą w stronę rzeki, ale David szedł wolno.

– Nie napisałeś wczoraj.

– Nie napisałem. Przepraszam.

– Ani nie wpadłeś.

– Nie chciałaś.

– Powiedziałam „Jeden czort”. Nie żebyś...

Nie było czasu, by to roztrząsać, choć Stevie była na niego wkurzona. „Ostatnią noc, która miała należeć tylko do nas, strwoził na semantykę i małostkowe uwagi”.

– Nie pytasz, co z Izzy. – David lknął kawy.

– Jak się czuje? – spytała.

– Dość nieciekawie, mimo że po angielsku trzyma fason. Ma rozmawiać z przedsiębiorcą pogrzebowym w sprawie organizacji pochówku.

Stevie nie wzięła tego przedtem pod uwagę. Nie zastanawiała się, czym tak naprawdę jest pogrzeb. Nic nie wiedziała. Nie była dotąd na pogrzebie. „Żeby planować pogrzeb samemu? Dzwonić do przedsiębiorcy?”.

– Przepraszam – rzekła. – To nie było przez ciebie.

– Wiem. Ale i tak...

„Powiedział: «Tu nie chodzi o ciebie»”.

David zatrzymał się, chociaż nie doszli jeszcze do rzeki. Stali na ulicy przy przystanku autobusowym. Dopił kawę jednym haustem i wyrzucił kubek do śmieci.

– Czy... przechodzimy na drugą stronę? – spytała. – Bo muszę się już pakować i liczyłam, że mi potowarzyszysz.

Potańczył czubek nosa.

– Wiem – odparł. – Rozumiem... rozumiem.

„Dlaczego jest tak zdeprymowany?”. Poczwała w sercu nieznaną ucisk, tak jakby krew cofała się w jej żyłach.

– Co będzie teraz? – spytała Stevie.

David opuścił i przechylił głowę. Wbił wzrok w dostawczy rower przy słupku. Wytrzeszczał oczy, jakby chcąc się przebudzić. Szczelniej owinął się płaszczem.

– Ty i ja – westchnęła. – Sądzę... – Stevie zadrżała, przeszyta potwornym dreszczem. Mięśnie jej zeszytwniały. – Chyba nie warto już tego ciągnąć. – Spojrzała na dłonie. – Nie składa się nam.

– Co masz na myśli? – Lęk Stevie rósł.

Nie dowierzała. „Nie, to nie może się dziać!”.

– Myślę, że... nie ma to sensu.

– Chodzi... o Izzy? – spytała.

David zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie. Nie o Izzy. Nic nas nie łączy. Chodzi o... mnie. Yyy... – Zadzwoił telefon Stevie. – Powinnaś odpowiedzieć. – Chciała roztrzaskać telefon o ziemię, ale zerknęła na niego. „To Janelle”. Nie odebrała. – Wybacz – rzekł David. Nie zwrócił oczu ku niej. – Powinnaś chyba już wracać. Tak będzie łatwiej.

– David... – wychrypiała.

Ewidentnie wzruszony, ukrył ręce w kieszeniach.

– Daj znać – powiedział – czy doleciałaś bezpiecznie.

Po czym obrócił się i ruszył ulicą. Zabrał aktówkę. Stevie chciała pobiec za nim, lecz nie mogła się ruszyć. Stała jak przyklejona do ziemi. Myśli ścigały ją w dół. Spadek nastroju czuła niemal namacalnie. Nieomal widziała jego kolejne fazy. Było to nawet zabawne, nie roześmiała się jednak, bo szumy w uszach sprawiały jej straszny ból.

Telefon znowu zadzwonił, więc odebrała.

– Gdzie jesteś? – spytała zdyszana Janelle. – My właś-nie...

– David mnie rzucił. – Stevie załapała się łzami.

– Zaraz będziemy – odparła Janelle bez namysłu. – Gdzie jesteś?



– Co się, u diabła, stało? – zapytał Nate, kiedy kilka minut później Janelle i Vi prowadziły Stevie z powrotem do pokoju. Plakała tak spazmatycznie, że aż dostała czkawki. Janelle i Vi pomogły jej się położyć.

– Rzucił ją – wyjaśniła Vi.

– Cooo? Akurat teraz?

– Akurat teraz – odrzekła Janelle. – Ponieważ to dupek.

Sytuacja była krytyczna, należało ją więc opanować. Innymi słowy, Janelle dostała pole do popisu. Najpierw zbadała wzrokiem rozgardiasz. Sądząc po niemal ucieszonej minie, na podobne wyzwanie czekała od dawna.

– Okej! – rzuciła. – Mamy pięć minut. Vi, wyjmuj wszystko z szafy i szuflad. Po prostu rzucaj to tu na stertę. Ja poukładam i popakuję. Nate, idź po wodę dla Stevie.

Nate się ulotnił, by szukać wody.

Działy sprawnie na pełnych obrotach. Wszystko, co lądowało na stercie, Janelle zwijała po obejrzeniu. I pakowała – schludnie, starannie, znajdując miejsce na każdą rzecz. Brudna bielizna oraz skarpetki i przepocone tiszerty... Płaszcz, który Stevie wzięła na zapas, i nieotwarta paczka tamponów. Słoiczek dżemu i kubek do kawy pozawijała w grubsze ubrania. Przejrzała kosmetyki, zostawiła to, co nie nadawało się już do użytku lub stwarzało ryzyko wycieku. „Coraz mniej płacząc” – spojrzała Stevie. Nie miała już łez ani energii.

Ruch Janelle oszałamiał ją jak jaszczurkę.

Nate wrócił z butelką wody. Podszedł do Stevie bardzo ostrożnie, tak jakby zaraz miała wybuchnąć. Stevie przyjęła od niego wodę i spróbowała trochę się napić, co jednak odnowiło jej czkawkę. Nate usiadł przy niej – nie za blisko.

– Chcesz, żebym... – Szukał przez moment słów. – Nie wiem, na przykład kopnął go w jaja?

– Tym ja się zajmę – mruknęła Janelle, wkładając ostatnie rzeczy do torby. – Gdzie paszport, Stevie?

Rozejrzawszy się, Stevie wskazała na plecak. Dały jej jeszcze paczkę chusteczek i zaraz wszyscy wyszli w pośpiechu. „Może za chwilę otworzy się winda i David stanie na korytarzu gotów przeprosić i wszystko odwołać” – myślała Stevie.

Rzecz jasna na próżno.

Vi już zdawała klucze w recepcji. „A więc już nie mam tutaj pokoju”.

– Klucze właściwie niczym się nie różnią – rzuciła Vi do recepcjonistki, gdy ta wkładała je do skrytek. – Powinno przecież być więcej wzorów...

Janelle dała im znak, że samochód podjechał. Było po wszystkich. Znowu samochód, znów autostrada, wracali drogą, którą przybyli.

Przed Davidem Stevie nigdy nie miała chłopaka, więc nie wiedziała, co znaczy nagle go stracić. Nie doświadczyła rozstania. „To nie ma sensu. To David. Mój David”. Zza wyrwy, jaka powstała w jej życiu, wylaniał się obcy, niejasny widok. Anglia niknęła kilometr po kilometrze. Patrzenie na krajobrazy za szybą podkreślało nieuchronność odjazdu. Stevie zamknęła oczy. Ciemność przyniosła najpierw potężną falę żalu – nieokielzanej i niepojętej emocji. Stevie szła na dno w koszmarnym lęku, że nie przeżyje. Zaciśnęła mocniej powieki, próbując przypomnieć sobie sztuczki medytacyjne, których się nauczyła, by radzić sobie z paniką. „Wycofaj się w głąb siebie najdalej, jak tylko potrafisz. Dopuszczaj myśli i uczucia. Po prostu je przyjmuj i pozwól im być”.

Cały ogrom tej męki był nie do nazwania. Usiłowała uchwycić, że to ból, strach, ból, cierpienie, panika, ból, mdłości, zażenowanie, gniew, strata...

Wtem przez to wszystko zaczął przebijać się głos.

„Widziałaś” – powtarzał. „Widziałaś”.

„Co widziałam i gdzie?”

Głos w głowie Stevie mamrotał, odchrząkiwał niepewny. Niemal słyszała, jak przegląda notatki.

„W domu” – odrzekł nareszcie. „Widziałaś to u niej w domu”.

Stevie chwyciła się ostatniej deski ratunku. Była gotowa poświęcić każdą najmniejszą cząstkę siebie. Zaciśnęła zęby, włożyła słuchawki do uszu i włączyła britpop prawie na full. „Wczuć się w tamten czas. W rytm. Sposób myślenia. Jazgotliwe gitary i żartobliwe teksty”. Nie otworzywszy oczu, opływała w myślach dom Angeli. Zmaterializowała się w salonie, spoglądając na sofę. „Jaki ma kolor? Szmaragdowy. A ściana za nią jest szaroniebieska. Na stoliku do kawy leżały okruchy. Pachniało curry... a potem to curry cuchnęło w śmieciach. Co jeszcze? Angela trzymała pieniądze w kuchni. Ogniotrwała aktówka pod schodami. Książki we wszystkich pomieszczeniach. Książki i egzekucje...”

– Jesteśmy na miejscu – szepnęła Vi.

Samochód stanął przed wielkim, zimnym gmachem lotniska Heathrow. Weszli do środka, włączyli torby, czekali w kolejce. Torby zostały oznakowane i zabrane na przenośniku, po czym udali się do punktu kontroli bezpieczeństwa, gdzie musieli włożyć do koszy pozostałe rzeczy.

„Pozostałe rzeczy. Zaraz, zaraz, więc co? Tabletki nasenne. Kamienie. Klucze. Telefon. Krople na gardło. Pewnie szczoteczka do zębów. Coś jeszcze”.

Podążając za resztą, Stevie przedzierała się przez tłum. Oszołomiona patrzyła smutno na bezmiar towarów oferowanych jej przez lotnisko, zanim wyjedzie. „Przecież nie można opuścić Anglii bez whisky, kompletu porcelanowych filiżanek, Misia Paddingtona, biografii ponurego sportowca, za drogiej torebki oraz szala i kilku flakonów perfum... Czyżby lotniska służyły wyłącznie trwonieniu fisy?”

Były tam jednak też praktyczniejsze propozycje. Co drugi sklep oferował podróżnym słodycze, wodę, przywieszki na bagaż, szczoteczki do zębów. To, czego można zapomnieć, lub to, co bywa niezbędne w drodze.

„Widziałaś” – rzekł głos, kiedy Stevie przepuszczono po odprawie bezpieczeństwa. „Przeszłaś tuż obok”.

– Dobrze się czujesz? – spytała ją Janelle. – Bo od godziny nie odezwałaś się słowem.

– Tak – odbąknęła. – Powinnam kupić wodę.

Ostatnie funty wydała na gigantyczną butelkę wody i batonik. „Anglia się skończy za niecałą godzinę”. Każdy krok Stevie po surowych białych korytarzach Heathrow oddalał ją od wszystkiego. „To koniec”. Kierując się złościstożółtymi znakami, dotarli do swojej bramki. „To już ostatnia tutaj kontrola paszportowa”. Stevie stanęła za przyjaciółmi. Nie dbała o to, że oczy zaszyły jej mgłą.

„Jeśli wyjedziesz” – odezwał się głos – „nie dowiesz się nigdy”.

„Muszę” – odparła.

„Wtedy się nigdy nie dowiesz, co zobaczyłaś. Nie dowiesz się nigdy, co się zdarzyło”.

Nate został przepuszczony. Janelle. Vi. Stevie wyszła z kolejki.

– Gdzie się wybierasz? – zapytał Nate.

– Muszę się tylko wysiusiać – odrzekła. – Wracam za moment.

Byli już w poczekalni. Wbiegłszy do najbliższej toalety, Stevie zamknęła się w jednej z kabin. Puls jej przyspieszył, a blask jarzeniówek otoczył aureolą jej pole widzenia.

„Było tak blisko, na wyciągnięcie ręki”. Zaciśnęła powieki. „Co ja takiego widziałam?”.

Buczenie. Esemes.

„Wszystko w porządku?”.

„Tak. Siusiam”.

„Jeszcze?”.

„Pospiesz się, Stevie”.

„Właśnie wsiadamy”.

„Stevie, jesteśmy w samolocie. A TY?”.

Stevie była w kabinie. Została tam, gdy usłyszała: „Po raz ostatni wzywamy pasażerów lotu siedemnaście do Bostonu. Wszyscy muszą natychmiast zgłosić się do bramki numer dwadzieścia siedem”.

„Właśnie zamknęli wejście na pokład. CO TY, CHOLERA, WYPRAWIASZ, STEVIE?”.

Wyszła z kabiny i przytrzymała się umywalki, gdy ogłaszano, że bramkę zamknięto. Wzięła telefon i napisała odpowiedź. Do wszystkich.

„Muszę to skończyć. Polecę następnym. Nie kłamię. Nie wciągam was w to. Widzimy się w domu”.

Wyłączyła telefon, odwróciła się i ruszyła do wyjścia.



XXIX

Samotny powrót do Londynu po zmroku był doświadczeniem niecodziennym. Do Paddington pojechała tym samym ekspresem, który ją zawiózł na Heathrow. Nie czekało na nią ciepłe łóżko. Nie czekał czuły chłopak. Nie mogła liczyć na wsparcie przyjaciół. Skończyły jej się środki na wyjazd od Akademii Ellinghama. Miała jedynie siebie i telefon rozładowujący się gwałtownie. Nim padł, wysłała wiadomość. Gdy przeczytała odpowiedź, odchyliła głowę i próbowała zamknąć oczy. Skupić myśli. Jak tylko mogła, starała się zrzucić straszliwy ciężar, który ją dławił.

„Mam tu zadanie do wykonania”.

Pociąg wyrzucił ją na Paddington, gdzie wylonila się z tłumu dojeżdżających do pracy. Resztkę energii z baterii zużyła na nawigację GPS, i tak udało jej się w końcu trafić pod lśniące czarne drzwi domu Angeli.

Czekała tam Izzy w niebieskim płaszczu i czapce z pomponem. But lasił się do niej, smętnie pomiaukując. Była bez makijażu, od płaczu spuchły jej powieki.

– Nie zdążyłaś na samolot – przywitała się, gdy Stevie podeszła. – Będziesz miała kłopoty?

– Tak – odpowiedziała Stevie.

– Czego szukasz? – spytała Izzy, otwierając drzwi.

– Nie wiem. Ale wiem, że coś widziałam, coś, co wyjaśni całą sprawę. Muszę się tylko tu znowu rozejrzeć, aż do mnie dotrze, co zobaczyłam.

Dom opuszczony choćby na kilka dni nabiera osobliwego klimatu. W kątach zbiera się zimno, a meble zasnuwa ciemność. Wszystko spowija cisza jak kurz. W powietrzu unosi się ciepki zapach. Kotu to jednak nie przeszkadzało. Śmignął schodami na górę jak nietoperz z piekła rodem i nie goniąc za niczym, równie szybko zbiegł na dół.

Stevie uderzyło to z miejsca. Poprzednio była tak bardzo zajęta, że nie dostrzegła oczywistości. Podeszła do małej szafki pod schodami, wciąż niedomkniętej – jak zeszyłm razem. Włączyła lartarkę w telefonie i wsunęła głowę do środka. Po długiej chwili udało jej się wymacać paskudztwa, które zgromadził tam But: szczątki martwej myszy, torebkę po herbacie, brudny patyczek higieniczny, chusteczkę...

I dwa guziki.

Po wydobyciu ich z kociego skarbcza umieściła je w świetle na stoliku do kawy. Jeden był srebrny, drugi jaskraworóżowy. Kiedy już im się przyjrzała bliżej, uznała, że chyba niczego nie wnoszą. „Gdyby były kluczowe dla śledztwa Angeli, schowałyby je w aktówce. Nie zostawiłaby na wierzchu, wiedząc, że może dobrać się do nich But. Poza tym były tuż przy aktówce”.

– To jest nasz dowód? – spytała Izzy. Patrzyła na nie pełna zwątpienia. – Z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego?

Stevie straciła nieco pewności siebie, słysząc jej ton.

– To są guziki – odpowiedziała. – Chciałam je obejrzeć i nic więcej.

– Ten... – rzekła Izzy, wskazując różowy. – Musiał oderwać się od jej swetra. Ma taki kolor, zapina się z przodu. Mogę to zaraz sprawdzić na górze. – A ten... – Schyliła się, by na niego zerknąć. – Jest tutaj logo Stelli McCartney.

„McCartney. McCartney... Skąd ja znam to nazwisko?”

– Wydaje mi się – powiedziała Izzy – że w latach dziewięćdziesiątych Stella McCartney jeszcze nie miała własnej marki. Sekundę, już sprawdzam.

Kiedy Izzy szukała tego w telefonie, Stevie coraz bardziej traciła pewność siebie.

– Marka istnieje od dwa tysiące pierwszego – rzekła Izzy. – Kojarzę to, bo kiedyś pożyczałam ten sweter.

– Guzik nie dawał mi spokoju. – Stevie starała się udawać, że panuje nad sytuacją. – Chciałam po prostu to sprawdzić.

– Rozumiem, jasne! – odparła z przekonaniem Izzy. – Rozglądaj się. Ufam ci. Rób to, co uznasz za stosowne.

„Izzy mi ufa...”. Stevie uświadomiła sobie powagę tego, co robi. „Zniknęłam w obcym kraju, a teraz stoję w ciemnym domu denatki, próbując zlokalizować niejasne przecucie”.

Zdjęła płaszcz i wzięła się do roboty.

Otworzyła torbę i wyłowiła ładowarkę do telefonu, po czym ruszyła po schodach, muskając palcami szarą balustradę. Na ciemnym korytarzu na górze podłączyła telefon do gniazdka, uruchomiła tryb „nie przeszkadzać” i puściła składankę britpopowych hitów. Wreszcie włożyła słuchawkę do uszu i rozpoczęła obchód piętra.

Najpierw poszła do sypialni. Pedantyczna Angela starannie składała kaszmirowe swetry, a buty przechowywała w przezroczystych pudełkach. Na nocnym stoliku leżała tylko jedna książka – biografia Katarzyny Howard z zakładką w środku. „Jedna książka, a nie tak jak u mnie: bezładna sterta przy łóżku”. W łazience Stevie szperała chwilę w apteczce. Nitka do zębów. Dezodorant. Zapasowe główce do elektrycznej szczoteczki do zębów. Pojemnik kremu pielęgnacyjnego do ciała. Zmywacz do paznokci. Butelka jaskraworóżowego płynu na niestrawność. Pigułki antykoncepcyjne. Lekarstwo na przeziębienie.

Żadnych tabletek nasennych.

Krążąc po biurze, omiotła wzrokiem grzbiety książek historycznych na półkach. Przyjrzała się każdej oprawionej fotografii. Były tam oficjalne zdjęcia z Cambridge – grupowe z rozdania dyplomów, z absolwentami w dziwnych ciemnych szatach bez rękawów, z białymi kołnierzami. „Wyglądają jak skunksy”. Oprawione plakaty z występów Dziewiątki. Plakaty z filmów dokumentalnych Angeli. Jej zdjęcia z przyjaciółmi i rodziną, między innymi Izzy w różnym wieku.

Stevie usiadła na fotelu obrotowym i zakręciła się. „Czym kierowałaś się, Angelo, gdy gromadziłaś dowody? Jak wpadłaś na trop Samantha Gravis? Co zapamiętałaś, widziałaś albo usłyszałaś? Co przywołało wspomnienie o Amerykance udającej Kanadyjkę, która flirtowała z twoimi dwoma przyjaciółmi, a potem wpadła do rzeki... Zginęła tak jak ty. Kto ma słabość do rzek? Kto mógłby zabić, wykorzystując zbiornik wody? Kto mógłby zabić, posługując się siekierą?”

Stevie dostrzegła tu pewne sprzeczności. „Samantha dostała w głowę i utonęła w płytkiej wodzie. Angelę uśpiono, faszcerując ją lekiem, więc raczej nie cierpiała. A Rosie i Noel? Z pewnością cierpieli”.

– Mów do mnie – rzekła do lampy na suficie. – O czym wiedziałaś? Kto cię wezwał, Angelo? Co tu widziałam, co nie ma sensu?

Do biura zajrzał But. Otarł się rudym cielskiem o futrynę i zamruczał donośnie. Podeszedł do Stevie i na powitanie trącił ją pyszczkiem o łydkę. Dał się jej podnieść i radośnie zwiotczał w jej ramionach.

– Czego, cholera, brakuje mi, kocie?

But zwinął się w kłębek na kolanach Stevie. Chwilę głaskała go w zamyśleniu. Podjechała do biurka i wzięła długopis, żeby sporządzić listę.

Co się ciągle powtarza:

Kłódka

Guzik

Samantha Gravis

„Te trzy byty jakoś składają się na odpowiedź. Co je łączy? Niewiele. Kłódka znajdowała się na drzwiach drewnutni. Samantha Gravis przebywała w Cambridge. Nikt nie wie, gdzie jest guzik, i nie wiadomo, czym jest. A może nawet wcale go nie ma...”.

But ziewnął i przeciągając się, omal nie spadł jej z kolan. Złapała go.

W głowie kielkowała jej myśl, napędzana jego mručeniami. Pozwoliła mu wyrwać się i zeskończyć na podłogę. Jak burza zbiegła na dół, do kuchni, gdzie Izzy zmywała obrosłe pleśnią naczynia po curry.

– Te esemesy – rzekła. – Pokaż mi jeszcze raz.

Starala się nie krzyknąć ze zniecierpliwienia, gdy Izzy zdejmowała rękawiczki i wyciągała tablet z torby. Chwyciwszy go, szybko przejrzała rozmowę.

21.46. ANGELA: i lepiej z tym nie zwlekajmy.

21.46. ANGELA: Miała guzik.

21.47. THEO: ?

21.48. SOOZ: ?

21.48. YASH: Guzik?

21.49. PETER: co?

21.50. SOOZ: Muszę wracać na scenę. Niech ktoś mi wyjaśni, co się dzieje.

21.51. SEBASTIAN: Możesz do mnie zadzwonić?

21.55. THEO: Ange?

– Odebrała telefon o dziewiętej pięćdziesiąt trzy. To znaczy siedem minut po napisaniu ostatniej wiadomości. Ten guzik zwrócił czyjąś uwagę. Siedem minut, siedem minut... – Stevie powtarzała te słowa przez dobre siedem minut. Roztrzęsiona, rozglądała się po kuchni beznadziejnie. Coś mimo wszystko widziała w tym domu. – Co zobaczyłam, do licha?! – ryknęła. „Odpowiedź w całej rozciągłości dotyczy Angeli – jej zachowań, słów, tego, co pchnęło ją do działania za ledwie moment po naszym wyjściu. Przydałoby się odtworzyć ten wieczór”. – Chodź – nakazała Izzy, która z wybaluszonymi oczami śledziła jej słowotok i dzikie spojrzenia. – Siedziałam tu – rzekła, lokalizując na podłodze swoje miejsce. – Ty byłaś tam. Siądź tam. Dokładnie jak wtedy. Przypomnij sobie, o czym rozmawialiśmy, nim zajęliśmy się morderstwami.

– Przeważnie o historii. O Tower i Guyu Fawkesie. O Annie Boleyn i to dość długo. O jej egzekucji, czym różniła się od typowych. Ścinał ją kat sprowadzony specjalnie z Francji. W przypadku ścięcia za pomocą topora ofiara kładzie głowę na pniu, ale w przypadku miecza musi ją trzymać prosto, więc kat zastosował fortel, by utrzymała głowę...

Stevie patrzyła na dwa guziki na stoliku do kawy.

Wszystko, co zgromadziła, przypuszczenia, błędne myśli, cała wiedza, którą przyswoiła dotąd z powieści i dokumentów kryminalnych oraz czytanych do białego rana artykułów w Wikipedii, doświadczenie i wszelkie bezwiedne spostrzeżenia – zagotowało się naraz w jej głowie. Wrzało, pieniało się i kipiało. Wreszcie wybuchło jak wulkan z sody i octu z eksperymentu, który robiła w podstawówce. Stevie doznała olśnienia. „To zmyłka”.

Znieruchomiawszy, spojrzała na Izzy.

– Nie ma żadnego guzika – rzekła.

– To, że go jeszcze nie znalazłyśmy...

– Nie, nie – ucięła. – Rzecz w tym, że go nie ma. A skoro guzika nie ma... – Naszło ją tyle niejasnych myśli, że chcąc je wyrazić, straciłaby wątek. – Wyniosłaś śmieci?

– Cuchnęły – odrzekła Izzy.

– Nie mów, że je zabrano!

– Chyba są jeszcze w kublach przed domem.

Zrywając się z krzesła, Stevie potknęła się o własne nogi. But, przerażony, umknął gdzieś w ką. Zbiegła po schodach i wychyliła się nad ogrodzeniem, żeby się dostać do kublów. Wciąż były pełne smrodliwych odpadków. Powyciągała worki i zaniosiła do domu. Wysypała zawartość na kuchenną podłogę, nie fatygując się już, by ją czymś przykryć. Grzebała w śmieciach gołymi rękami, odsuwała serwetki i opakowania po jedzeniu. Jej wzrok padł na świstek poplamiony curry i oblepiony resztkami ryżu. Podniosła go i lustrowała kilka minut, po czym pobiegła do łazienki na górze. Chwilę ją sprawdzała, a następnie wolno wróciła do salonu i spojrzała na Izzy.

– Musisz zadzwonić do tej znajomej rodziców, wiesz, pracownicy London Eye.

– Po co?

– Dlatego, że wiem, co się zdarzyło, i teraz muszę to udowodnić. – Stevie ścisnęła brudny papier. Czy płonęły jej z podniecenia.



XXX

Panował przenikliwy chłód, a od Tamizy ostro wiało. Stevie łzawiły oczy, kiedy bojowym krokiem przemierzała z Izzy Embankment i Hungerford Bridge. Nie odwróciła głowy w prawo, aby spojrzeć na Parlament ze świecą o tej porze tarczą Big Bena. Nie była tu, żeby podziwiać widoki, wspominać pobyt z Davidem i resztą.

„Jestem tu teraz jako detektyw. Skupiona. Mierzę się z zimnem. Sama”.

– Ile czasu nam dadzą? – Stevie zapytała Izzy.

– Myślę, że tyle, ile potrzeba. Trwa konserwacja jednej kapsuły, więc koło jest wyłączane. Obsługa opuści nas, gdy wyślemy wiadomość. Byli przemili, kiedy im powiedziałam, że chodzi o uczczenie zmarłej.

Tak to zorganizowały i tak zwały do London Eye sześcioro członków Dziewiątki. Izzy napisała do nich, że załatwiła prywatną przejażdżkę, by mogli w spokoju unieść się nad Londyn i oddać hołd Angeli nad rzeką, w której ją znaleziono. Julian i Sebastian zatrzymali się w mieście, by uczestniczyć w pogrzebie i pobyć z przyjaciółmi. Sooz zastępowała akurat dublerka, a Theo wzięła kilkudniowy urlop. Wszyscy byli na miejscu, więc zebranie ich nie nastręczało większych trudności.

Stevie pociągała nosem. Zmarła i złapał ją katar. Czuła się brudna i zaniedbana w znoszonym stroju podróżnym. Jej płaszcz z winylu był bardzo cienki. „W sumie to dobrze, chłód mnie pobudza”.

Gdy Stevie i Izzy dotarły pod London Eye, szóstka czekała już na nie na ławkach. Nikt nie ustawał się już w kolejce. Wysiedli wszyscy pasażerowie.

– Dzięki, że przybyliście – zagała Izzy. – Wiem, że to trochę nietypowe, ale ciocia ubóstwiała nim jeździć, a skoro łączą nas rodzinna więź...

– To piękny gest – przerwała jej Theo. Ochryple, jakby dużo płakała.

– Stevie – rzekła Sooz. – Sądziłam, że wszyscy dziś wyjeżdżacie.

– Spóźniłam się na lot – odparła Stevie. – Jako że Izzy daje mi nocleg, chciałam... Rozumie pani.

– To ładnie z twojej strony – pochwalił Yash.

– Oto nasz mały wkład w uroczystość – rzekł Peter, podnosząc koszyk z butelkami i szklankami.
– Coś do wzniesienia toastu – dodał.

Izzy podeszła do operatora platformy i wytłumaczyła mu, kim są. Po chwili wprowadził ich do kapsuły. Drzwi się zamknęły i koło ruszyło. Stevie patrzyła na ogromne szprychy. Rzeka ginęła, mroczna, posepna. Londyn lśnił wokół migotliwym blaskiem. Peter i Julian otworzyli butelki i napełnili szklanki. Rozdali whisky pijącym alkohol, reszcie – szampana z czarnego bzu. Yash wziął prężność głośnik i włączył muzykę. „Britpop. Wiadomo. Coś Blur”. Stevie już знаła brzmienie tej grupy. Szedł wolny, rzewny numer *Best Days*.

Kiedy kapsuła szybowiała w górę, przyjaciele objęli się, zachęcając Izzy i Stevie, aby do nich dołączyły. Mimo że było to niezręczne, Stevie wśliznęła się między Sooz a Juliana.

– Kochamy cię, Ange – oznajmiła Sooz. – Jest nam ogromnie, ogromnie smutno.

– Kochamy cię – zawtórował Sebastian.

Powtórzyli to Julian, Peter, Theo, Yash, Izzy. Stevie spuściła głowę. Przed samym szczytem kapsuła zwolniła, później stanęła. Chwiała się pod uderzeniami wiatru.

– Za Ange! – Sebastian wzniósł szklankę. – Znacząco historii. Pisarkę. Myślicielkę. Pijącą.

– Za Ange! – krzyknęli wszyscy chórem. Stevie nieśmiało podniosła „wykwintnego sprite’a”.

Rzecz jasna Dziewiątka, a właściwie Szóstka, zrobiła z toastu małe przedstawienie. Lecz gdy umilkli, gdy wiatr bił o kapsułę, ten bąbel ze szkła i metalu ponad wodą – Stevie uznała, że już najwyższy czas. Porozumiewawczo spojrzała na Izzy, która ocierała łzy ręką, rozmazując makijaż.

Izzy odchrząknęła.

– Szczerze mówiąc... – zaczęła dość osobliwie. – Sprowadziłyśmy was tu, aby pogawędzić. Bo... Stevie ma wam coś do powiedzenia. Usiądźcie, proszę.

Stevie odczuła tak dojmującą tęsknotę za przyjaciółmi, że niewiele brakowało, a wybuchnęłyby płaczem. „Nate, Vi i Janelle lecą do domu. A David jest tu, choć równie dobrze mógłby być na Marsie”.

Teraz nie mogła o tym myśleć. Miała coś do zrobienia. Zamiast się uplasować na stabilnej ławie pośrodku kapsuły, musiała niestety stanąć na jej przodzie, bo chociaż tam najbardziej trzęsło, to stamtąd było ją najlepiej widać i słychać.

– Chciałabym porozmawiać o guziku – rzekła. – Wspomnianym przez Angelę w esemesie.

– O właśnie. – Yash szczerzej owinął się szarym płaszczem z kaszmiru. – O co to chodziło?

– To była wiadomość – odparła Stevie. – Wiadomość do przyjaciela. Usiłowała coś przekazać któremuś z was. Zrozumiałam tę wiadomość tylko dlatego, że byłam tam tej nocy, kiedy ją wysyłała. Ludzie nieraz czerpią pomysły z otoczenia. Korzystają z przykładów, które znają, które coś dla nich znaczą. Jak wam wiadomo, Angela była obeznana z historią. Wiedziała wszystko o Henryku VIII i jego żonach. W trakcie wizyty, którą jej wtedy złożyliśmy, opowiadała nam szczegółowo o egzekucji Anny Boleyn. O tym, że król specjalnie sprowadził francuskiego kata, który zabijał mieczem, a nie toporem. – Ostatnie słowo zmieniło nastrój w kapsule wręcz namacalnie. Zaczęli słuchać ze zdwojoną uwagą. – Głowa ofiary musiała być w takiej pozycji, żeby mógł to załatwić jednym ciosem. Ten kat używał fortelu. Wołał wyimaginowanego pomocnika, żeby przyniósł mu miecz, na co ofiara odwracała się tam, skąd powinien on nadejść. Kat miecz trzymał już w ręku. Gdy szyja była ułożona jak trzeba, brał zamach i ciał. Drobne oszustwo, a jakie skuteczne, tak to mniej więcej ujęła Angela. I wtedy nasunęło się jej, by zrobić zmyłkę. By skłonić kogoś do odwrócenia głowy. Była zmęczona czekaniem, zmęczona tym, że właściwie nie wie, co naprawdę wie. Dopiero co usłyszała, że pod działaniem środków przeciwbólowych zaczęła mówić o tamtych zbrodniach... – W tej samej chwili przysły wszelkie pozory. Do zgromadzonych dotarło, w czym uczestniczą, stwierdziła więc, że miarka się przebrała. Chciała poznać odpowiedź. Postanowiła wezwać pomocnika z mieczem. Coś ujawniła. Częściowo natchnął ją Henryk VIII, resztę pomysłu poddał jej kot. Kot krałdł guziki. Gdy tam byliśmy, chciał odgryźć mi guzik od płaszcza. A gdyby tak istniał dowód? Co jest dobrym dowodem? Coś niewielkiego, co może odpaść od ubrania. Zobaczyła to właśnie. Esemesuje, że ma guzik. Jest to strzał w ciemno. Jak nie zadziała, nie szkodzi. To nic takiego. Ot, literówka. A jak zadziała... – Stevie objęła wzrokiem szóstkę. – I zadziałało. Po siedmiu minutach ktoś do niej zadzwonił. Zaraz potem włożyła płaszcz i wyszła spotkać się z tą osobą. Fakt, że tam poszła, wskazuje coś istotnego. Według mnie nie sądziła, że spotka się z zabójcą. Raczej liczyła, że ten, z kim się spotka, ma takie same podejrzenia jak ona. Tymczasem szła na spotkanie z mordercą Sa-

manthy Gravis, Noela i Rosie. Szła spotkać się z kimś, kto otworzył drewnitnię. Kto tamtej nocy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku miał klucz i chciał za wszelką cenę to zataić.

Zwróciła się ku Sebastianowi, który, nagle pobladły, przechylił się do tyłu.

– Ja nie...

– Nie – rzekła Stevie. – W zeznaniach świadków na temat nocy było coś ciekawego, co początkowo wydawało mi się bez znaczenia. Kiedy je jednak przeczytać powtórnie, skupiając się tylko na jednym, natychmiast staje się oczywiste, co zaszło. Ktoś miał klucz. Zatem gdzie były klucze? Podobno w pana spodniach. A przypomina pan sobie, jak chciał otworzyć szafkę, by wyjąć whisky? Nie otwierała się. Nie dlatego, że był pan pijany. Tylko dlatego, że nie miał właściwych kluczy. Ale potem otworzył pan szafkę. A kiedy? – Zwróciła się ku mężczyźnie, który wychylał się naprzód, z łokciami na kolanach, z zaciekawioną miną. – Kiedy pan je podmienił – oznajmiła Peterowi.



23 czerwca 1995 roku

23.00

Zaczęło się od dziewczyny, którą poznali w pubie. Tej Kanadyjki. Amerykanki. Samantha. Tak miała na imię. Peter powinien był wyczuć, że jest ze Stanów. Miała po amerykańsku gęste kręcone włosy. Amerykański szeroki uśmiech i śmiałość. Julian poznał ją pierwszy, jak przystało na Juliana. Nawet w najmniejszym stopniu nie był monogamistą. Wiecznie trzepocząc długimi rękami, posyłał wszystkim niewinne spojrzenia. Kto nie uległby jego jasnyniebieskim oczom! Uwiódł Sannthę w ułamku sekundy.

Peter przyglądał się temu znad piwa. „Typowe” – myślał. „Coś okropnego”.

Postawny, piękny niczym Apollo, Julian nie musiał o nic zabiegać. Był zdolny – śpiewał i grał na gitarze, miał także spory talent aktorski. Gdyby chciał, z miejsca dostałby angaż. Już zaciekawili kilka agencji. Lecz wybrał prawo i politykę, gdzie też wybiłby się dzięki urodzie i wdziękowi.

Peter zaś marzył o telewizji, od zawsze chciał się parać rozrywką. Nigdy nie pragnął niczego bardziej, toteż pracował, by to osiągnąć. Gorliwie pisał, studiował seriale i cyzelował każdy swój żart. Wyjeżdżał z Yashem na festiwale do Edynburga i do Londynu. Wiedział, że czeka go straszna harówka, że nieraz będą bez grosza przy duszy. Nie było ich stać na wynajęcie mieszkania, toteż szukali wolnego pokoju.

Popijał, patrzył i złość w nim rosła. Rosła świadomość, że zaraz wyfruną w świat, gdzie aż się roi od takich Julianów. „Ktoś mu powinien dać kopa w tyłek”.

Peter miał dosyć. Opróżnił kufel i wyniósł się z pubu, mówiąc, że jest przemęczony, co było zgodne z prawdą. Gdy wolno szedł do domu wzdłuż rzeki, frustracja rosła w nim z każdym krokiem. Rosie pilnie uczyła się do egzaminu. Mimo niesprzyjającej pory poinformował ją, co widział. Mówił łagodnie, przepaszająco, z całego serca żałował Rosie, ale też poczuł nieklamana radość na widok jej surowego spojrzenia. Choć występki Juliana wcale jej nie zaskoczyły, to potwierdzenie zraniło ją do żywego. Czy miała wilgotne, nie rozpląkała się jednak. Jej drobnym ciałem wstrząsał

dreszcz furii. Podziękowała mu i otarła zbląkaną łzę. Później czekała na Juliana w ogrodzie z butelką coca-coli, którą – ledwo się zjawił – wylała mu na głowę.

Peter oglądał to z okna na górze. Scena wprawiła go w wesoly nastrój.

– Powiedziałeś jej? – spytał Yash, kiedy siedzieli u siebie tej nocy, słuchając wrzasków dobiegających z ogrodu. – Gdy wróciliśmy do domu, wiedziała, więc wy-gadałeś...

– Stwierdziłem: „Niech wie” – odpowiedział Peter.

– Fatalne wyczucie czasu, zważywszy że ma egzamin. Ale okej. I tak od dawna łązi za nią Noel. Czasami gdzieś wymykają się razem. Przypuszczam, że tak się to właśnie skończy.

Domysły Yasha były słuszne. Rosie spędziła tę noc wtulona w długie ramiona Noela. Chociaż płakała, pewno robili coś jeszcze. Peter nie został wtajemniczony w szczegóły, które i tak obchodziły go średnio.

Nazajutrz Kanadyjka wróciła do pubu i Peter poczuł się lepiej.

Julian dąsał się w kącie, nie miał ochoty na towarzystwo. „Jest śliczna” – myślał. „Może by podejść, zagadać...”. Ale ubiegł go Yash; już opowiadał jej dowcip. A ona śmiała się, śmiała, śmiała. Wprost pękała ze śmiechu. Podczas gdy w kontakcie z Julianem kierowała się tylko żądzą, to Yash ewidentnie ją zafrapował. Było widać, że świetnie się rozumieją, że wiele ich łączy. Yash się nachylał i stroił miny, by jak najbardziej rozśmieszyć dziewczynę – która jak on dawała z siebie wszystko, gestykulując i też żartując.

Peter znów patrzył na to znad kufla. Było to nietypowe, tym bardziej więc nieprzyjemne.

Miał już tych ludzi po dziurki w nosie. Kochał ich – pewnie – lecz już z tym kończył. „Melodramaty. Rywalizacja. Wieczna potrzeba imponowania”.

Nazajutrz Peter nie zjawił się w pubie. Wracał pieszo do domu po długiej sesji powtórkowej. Wtedy ją ujrzał, szła chwiejnym krokiem połą ścieżką nieopodal rzeki. Rzecz jasna wiedział, dokąd się kieruje. „Po zmroku nikt nie zapuszcza się z centrum do Grantchester Meadows, chyba że tutaj mieszka albo kogoś odwiedza”. Szła do nich, żeby zobaczyć się z Yashem. Peter dogonił ją i się przedstawił. Kojarzyła go mgliście. Ledwie jej mignął wśród tamtych.

„Wiadomo”.

Amerykanka była pijana i rozbawiona. „To moja ostatnia noc w Anglii” – tłumaczyła. Chciała oddać Yashowi kompakt. „A może byśmy zwinęli łódź?”. Namawiała Petera, by popłynęli do domu. Pomysł był głupi, ale zdawała się go kokietować. „Czyby sprawy przybrały dla mnie korzystny obrót?”. Poszedł więc z nią do jednego z wielu małych doków, gdzie były przycumowane punty.

To się nie stało przez niego. To było nieporozumienie. Prawdę mówiąc, zapomniał większość szczegółów. Pamiętał tylko przestrasch i zamęt. Że odskoczyła od niego i łodzią zakotyssało. Że uderzyła się w głowę i wpadła do wody. Zaczęła wrzeszczeć, belkotać coś o policji, on tego jednak nie zrobił, nie skrzywdził jej, skąd. Wpadła – i znalazł się w złym położeniu. Gdyby czegoś nie zrobił, z pewnością byłby skończony.

Przytrzymać kogoś pod wodą to pestka.

Tak się zaczęło – od feralnego powrotu.



Rosie coś wiedziała.

Rano obserwowała go zza kuchennego stołu, spytała, kiedy wrócił. „Ciekawe, po co”. Skłamał, a jakże. Ale już wiedział, Rosie coś czuła. Rosie była osobą silną i pełną zapału. Gdy w coś wcho-

dziła, nie odpuszczała.

Nie było wieści o Amerykance. Ciekawe, czemu nie było wieści. Cam jest płyciutka – to nie ocean. Nie znaleziono jej? Jakim cudem? Zwłoki unoszą się przecież na wodzie. Chyba że o coś zaważdziła. Cam była pełna wózków sklepowych. Można zaczepić się o coś takiego. Amerykanka gładzi tam utknęła. Czas mijał, a z każdym kolejnym dniem zdawało się to mniej rzeczywiste. Czyżby to w ogóle się nie zdarzyło.

Ale zdarzyło się, naturalnie.

Rosie wciąż obserwowała Petera. Widział to. Widział teraz tak dużo. Cały gąszcz rzeczy, które dotychczas były dla niego niedostrzegalne. Cechy, zagrania i tiki wszystkich. Tak... Zabieganie Sooz o uwagę. Niezdecydowanie Juliana. Potrzebę Yasha, by rozmieszczać jak nikt inny. Przesadną apodyktyczność Theo. Angeli przeproszenie, że żyje. Blichtr Sebastiana i żarty, że jest panem na włościach, które nie były do końca żartami. Cwaniactwo Noela.

Nieprzejednanie Rosie.

Gotowość Rosie do wchodzenia w kłótnie. Żarliwa niechęć do ustępowania.

Cóż go to teraz miało obchodzić? Za tydzień uwalniał się od nich wszystkich. Musiał go prze-trwać, to już niedługo, później rozstaną się i będzie spokój. Jechali jeszcze do Merryweather. I do-brze. Musiał odpocząć od Cambridge.

Aż tego ranka, gdy wyjeżdżali – na pierwszej stronie gazety jej zdjęcie! „Odnaleziono zwłoki za-ginionej uczennicy ze Stanów”. Peter przeczytał artykuł biegiem i ogarnęło go uczucie ulgi. Odkrył, że była Amerykanka, że nazywała się Samantha Gravis. Co najważniejsze, widniało tam zdanie, że spadła z punta, będąc pod wpływem alkoholu. Odetchnął jak po nadludzkiej wysiłku. Zniszczył ga-zetę i zwymiotował. „Jedźmy, wynieśmy się już z tego domu, spakujmy się, jedźmy i niech to się skończy!”. Tymczasem wszyscy strasznie się grzebali. Nim wyjechali, Rosie wybrała się po coś do miasta. Wróciła dziwnie milcząca, nieswoja. Jak nigdy.

Musiała widzieć artykuł i skojarzyła fakty.

Nabrał pewności, że trzeba coś zrobić. Rozmyślał nad tym przez cały tydzień i teraz się to skry-stalizowało.

Zważywszy zachowanie Rosie w minionym tygodniu, Peter był pewny, że wsiądzie do wozu No-ela, więc ruszył w tamtą stronę. Lecz gdy to zrobił, Rosie skrzyła i dołączyła do jadących z Sebastia-nem. Nie poszedł za nią. Już włożył torbę do bagażnika wozu Noela. Musiał się z tym pogodzić. Po-jechał z Noelem, Julianem i Angelą.

Noel i jego pasażerowie byli największymi palaczami w grupie, więc z okien nędznego golfa przez całą drogę buchały kłęby dymu. Z lichych głośników szły na full numery Blur i Pulp. Od po-czątku do końca podróży do Merryweather Peter uśmiechał się, potakiwał i udawał zaciekawio-nego wszystkim, o czym mówiono. Ale myślami był gdzie indziej. Planował każdy krok. Pierwszym z nich było zdobycie kluczy. „Kiedy wejdziemy, Sebastian gdzieś je odłóż”. Okazało się to nad wy-raz proste. Gdy już wcisnęli się do środka, klucze jeszcze przez chwilę tkwiły w zamku. Peter je wy-jął i prędko podmienił, Sebastianowi rzucił swoje. Sebastian nawet nie spojrział, wziął je bezmyśl-nie, więc się nie zorientował. Poza tym panowało spore zamieszanie.

Peter pobiegł na górę wielkimi schodami, mijając dawnych Holt-Careyów na portretach – wiceh-rabiów, damy i wojskowych w mundurach. Jeden z pokoi, na których mu zależało, był jeszcze wolny. Mały i ciasny, wyłożony wściekle zieloną tapetą, nie budził zachwyty, ale miał jeden istotny walor – było z niego wyraźnie widać drewnutnię. Peter wyrzwał przez okno – Noel i Rosie jeszcze nie weszli, naradzali się w ogrodzie. Podniósłszy głowę, Rosie go zobaczyła. W sekundzie, gdy ich spoj-żenia się spotkały, odebrał niemy komunikat: „Wiem, co zro-biłeś”.

Siląc się na swobodę, pomalutką odszedł od okna, lecz grunt już palił mu się pod nogami. Tylko je-den jeszcze pokój wychodził na ogród warzywny i drewnutnię. Sąsiedni. Peter usłyszał w nim ruch.

Zebrał się w sobie, wyjął z kieszeni papierosy i zapukał do drzwi. Angela krzyknęła, by wszedł. Stała przy otwartym oknie.

– Zgubiłem w aucie zapalniczkę – rzekł. – Mogę skorzystać z twojej?

– Jest w torbie – odparła. – Tej niebieskiej na łóżku.

Peter otworzył torbę i po chwili wygrzebał z jej dna żółtą jednorazową zapalniczkę.

Szczęściem dla niego Ange już była przy oknie. Choć stał kilka kroków dalej, zobaczył, że Rosie i Noela nie ma w ogrodzie, spokojnie mógł więc podejść do okna i wyrzucić. Widok na garaż i drewnutnię zasłaniały drzewa, posadzone zapewne w tym celu. Peter dziękował w duchu krezusom, którzy stawiając ten kolos, dołożyli starań, by nie musieć oglądać cudzej pracy.

Przez moment, stojąc tam razem z Angelą, rozważał porzucenie planu. Rozczulił się, kiedy ją tutaj ujrzał. Zawsze bardzo ją lubił. Ange ogoliła się na zero, gdy grali w Prawdę czy Wyzwanie. Ciemnobrażowy meszek, który kielkował jej na głowie, podkreślał piegi i głębię piwnych oczu. Sprawiała wrażenie przygnębionej. Angela była uczuciowa i lojalna, widział, jak trudno jest jej pogodzić się z faktem, że to ostatni ich wspólny tydzień jako studentów i współlokatorów. Przyszło mu na myśl, że w ten letni wieczór, srebrzysty, pachnący mokrą ziemią i różami, nie może stać się nic strasznego. Że może powie Angeli i wszystkim. A gdy im powie, będzie mu lżej. „Nikt by nie wątpił, że to nie moja wina. Należę przecież do Dziewiątki. Dziewiątka zawsze trzyma się razem”.

W oddali rozległ się potężny grzmot. Zaczęło padać.

– Myślisz, że gramy mimo deszczu? – Usłyszał głos Angeli.

Wyrwany raptem z marzeń Peter odzyskał trzeźwy ogłód sytuacji. Nie mógł im tego wyjawić, rzecz jasna. Nikt nie oznajmia przyjaciółom, że utopił dziewczynę, którą poznali w pubie. Gdyby się nawet upierał, że był to wypadek, Rosie znała prawdę. „Chodźmy już grać!”. W przeciwnym razie siedzieliby tam i pili, a wtedy Rosie wypaplałaby wszystkim. Musiał więc dopilnować, by gra odbyła się planowo. Oddał Angeli zapalniczkę i zostawił ją zamyśloną przy oknie.

Ukradkiem obszedł ciemny korytarz na piętrze, zapisując w pamięci, kto zajmuje który pokój. Kiedy miał schodzić, spostrzegł, że Rosie kieruje się prosto do drzwi Angeli. Zamarł i się cofnął. Wszedł do pustego pokoju pomiędzy swoim a Angeli. Było to jedno z najgorszych pomieszczeń w domu. Nie miało nawet okna. Dawniej służyło pewnie za garderobę albo mieszkanie kogoś ze służby, osoby niegodnej świeżego powietrza ani widoku na Merryweather. W ścianie dzielącej je od pokoju Angeli były drzwi, więc Peter przytknął do nich ucho, ale przez muzykę w domu i burzę zdołał zrozumieć tylko powtarzane często imię Julian.

„Pieprzony Julian. Jakżeby inaczej”. To był najczęstszy problem w pigułce.

Rozległ się odgłos ciężkich kroków. Ktoś pokonywał po dwa stopnie naraz. Była to Sooz, zawsze głośniejsza od reszty. Niosła szampana. Pocziwa, niezawodna Sooz. Usłyszał, jak poleca tamtym zejść na dół. Gdyby mógł, chętnie by ją wycałował – a już ją całował, jak zresztą wszyscy – tak bardzo teraz mu się przysłużyła, że nie posiadał się wprost z radości. Kiedy uchylił drzwi, by wyjść z pokoju, zobaczył, że Rosie i Ange zwlekają. Tym razem słyszał ich słowa wyraźnie.

– Pogadamy potem – rzekła cicho Rosie. – Przyjdź po grze na górę, tutaj się spotkamy.

– Ale co jest grane? Co się stało? Powiedz.

– Nie teraz. To poważna sprawa, teraz nie dam rady.

Sooz poganiała je. Rosie odwróciła się w ostatniej chwili.

– Muszę siku, bo pęknę – powiedziała. – Idźcie. Dołączę do was za moment.

Sooz i Angela ruszyły na dół, a Rosie w stronę swojego pokoju. Peter wychynął z kryjówki, próbując jej nie wystraszyć. Wystraszył tak, że przywarła do ściany.

– Rose – rzekł po cichu. – Muszę z tobą pomówić. Wydaje mi się, że Yash ma kłopoty.

„Wyraźnie ją to zaskoczyło. Spostrzegłem, że jest mniej spięta”.

– Co?

– Yash potrzebuje twojej pomocy. Wiesz, o co chodzi. Musimy pogadać. Bez świadków. W cztery oczy. Idź do drewnutni. Mam klucz. Spotkamy się tam, gdy gra się zacznie.

Kiwnął pewnie głową i zbiegł po schodach. Zdażył na sam koniec przygotowań do gry. Już się pocił. Musiał zapanować nad sobą. Odkąd gra się zaczęła, nie spuszczał oka z Rosie. Wychodząc z Angelą drzwiami od frontu, Rosie spojrziała na niego. Skierował się w prawo, przeszedł przez bibliotekę, a potem wymknął się od strony szklarni. „Lepiej zachować pewien dystans. Nie deptać jej po piętach”. Ale też szybko zatoczył pętlę wokół domu, docierając na miejsce. Z początku sądził, że Rosie tam nie ma, po chwili jednak usłyszał jej głos. Stała za jednym z drzew przy drewnutni.

– Jakie kłopoty? – spytała, gdy podszedł.

– Nie tutaj, Rosie. W środku.

Ciężkie krople deszczu kapały mu z kaptura na twarz. Przegrzebał tuzin kluczy Sebastiana przy breloku, nim wreszcie znalazł pasujący do kłódki. Otworzył drzwi i weszli. Drewnutni nie zamykało się od wewnątrz. Nie mógł pozwolić, by ktoś im przeszkodził. Gdyby spróbował zablokować je sam, Rosie by pewnie wpadła w panikę.

– Pomóż – poprosił. – Trzeba zamknąć te drzwi. Trzeba się schować, bo nas usłyszą.

Po krótkim namyśle Rosie wzięła grabie i podparła drzwi na tyle, by się nie dało ich otworzyć.

– O co ci chodzi z Yashem? Zamierzasz mi wmawiać, że coś jej zrobił?

Podejrzania Petera były niestety słuszne, a to toczyło się już zbyt szybko.

– Ona... – mamrotał, grając na zwłokę. Brakowało mu słów. Miał zapamiętać do końca życia, jak wyglądała Rosie w tej chwili. Takiej jej dotąd nigdy nie widział. Była drobna, ale zdawała się nad nim górować. „Jej martwe, lodowate spojrzenie, ręce splecione na piersi...”.

– Widzieliśmy cię – Rosie w końcu przerwała ciszę.

Nie spodziewając się tego zupełnie, nie odparł „Co?”, tylko:

– Wy?

Na ustach Rosie igrał półuśmiech. Peter poczuł, jak traci grunt pod nogami.

– Tej nocy, gdy zniknęła, wpadła do rzeki, usłyszeliśmy wrzaski dwóch osób. Jedna z nich miała akcent północnoamerykański, wydało nam się, że to dziewczyna. Wyszliśmy z namiotu, by sprawdzić, co się dzieje. Ale już było cicho. Niedługo później przechodziłeś ścieżką. Poruszony i mokry. Nie miałam pojęcia, co zobaczyłam, dopóki rano nie zerknęłam na dziennik. Było w nim jej zdjęcie. Zdjęcie tej Kanadyjki. Nie Kanadyjki, tylko Amerykanki. Nazywała się Samantha. To właśnie o niej mi powiedziałeś, że całowała się z Julianem, a potem flirtowała z Yashem. Yash dał jej nasz adres. A teraz nagle chcesz mnie przekonać, że Yash ją skrzywdził. Yash by nie zrobił czegoś takiego. – Peter wpadł w poploch. Musiał się opanować. Musiał odegnać oślepiające go mroczki. – Obserwuję cię – rzekła Rosie. – Od tamtej nocy. Próbuję pojąć, co zobaczyłam. Tam się coś stało, Peter. Co się z nią stało?

– Chyba żartujesz – odparł. Lecz jego głos zabrzmiał sucho.

– Nie, nie żartuję. Nazajutrz nawet zapytałam, o której wróciłeś. Skłamałeś, Peter. Co się tam stało?

Musiał postarać się bardziej. Nadać głosowi pewniejszy ton.

– Naprawdę myślisz, że jestem zdolny kogoś skrzywdzić? Po drugie po co?

– Myślę, że jesteś ambitny – odparła. – Wszyscy jesteście. Myślę, że stało się coś złego. Dotąd nie byłam tego pewna. Już jestem.

„Te słowa przesądziły sprawę. Bo cóż innego mógłbym zrobić? Czy miałem wybór? Było to bardzo zbliżone do zajścia z Amerykanką”. Musiał ratować własną skórę. Poczuł, jak lęk go opuszcza, a myśli się wyostrzają. Skoncentrował się jak nigdy dotąd. Kłamstwo było już łatwiejsze.

Za drzwiami stała oparta siekiera. Ta, dzięki której Sebastian dostał się na stryszek.

– Rose – powiedział spokojnie. Potarł dłonią czoło jakby zakłopotany, próbując rozeznąć swoją sytuację. Grał w skeczu, to wszystko. Skeczu o nieporozumieniu. Grał wnerwionego klienta, który nie może się dogadać ze sklepową. – Ty chyba...

Zbliżył się do niej w pół zdania. Był urodzonym sportowcem, wybornym krykieciście i tenisistą. Choć rzadko miał w ochotę, by zagrać – gdy już to robił, to znakomicie. Siekiera miała długi trzonek, więc musiał mocno się zamachnąć. Po pierwszym ciosie Rosie wydała dziwny jęk. Kolejne poszły łatwiej. Nie trzeba było wielu. Siekiera to nader skuteczne narzędzie. Kiedy był pewny, że jest po wszystkim, zdyszany, spojrzal w dół. Postać na ziemi nie wyglądała już jak Rosie. Przypominała worek.

Puls mu przyspieszył, a w głowie szumiało. „Skąd ta euforia? Nie mam powodu się cieszyć”. Organizm reaguje na nadmierne napięcie. Na półce były rękawice robocze. Włożył je i odciągnął Rosie na drugi koniec drewni, pod stertę drewna, którym delikatnie ją przykrył. Spozstrzegł, że robiąc to, wciąż do niej mówi.

– Przepraszam cię, Rose. Strasznie przepraszam, Rose. Nie miałem wyboru, Rose. Wszystko ułoży się, Rose...

Mówił to szczerze. „Przebac, mi, Rosie. Nie chciałem, uwierz, by do tego doszło”.

Ktoś się dobijał do drzwi. Ciałem Petera wstrząsnął spazm zgrozy.

– Halo? – rozległo się. „To któraś z dziewcząt”. Nie słyszał dobrze przez łomot serca i szelest ulewy. Przystawił ucho do drzwi.

– Halo? Kto tam jest? Widziałam światło pod drzwiami. Ej, otwórz, tutaj jest okropnie... Mam szampana!

Angela. Grała po prostu. Uspokoiwszy na siłę oddech, czekał, aż będzie pewny, że sobie poszła. Tymczasem musiał patrzeć na stertę polan, pod którą leżała Rosie. Było to nie do zniesienia. Zamachnęła się siekierą i rozbił żarówkę. Drewnię zalał smolisty mrok.

Tak było lepiej. Bez światła. Tylko szum deszczu. Oparł się o drzwi, zamknął powieki i słuchał.

„Rosie mówiła, że mnie widzieli. Wyszli z namiotu. Zakładu ruchania. Gdy przybyliśmy, Noel i Rosie rozmawiali objęci pod murem ogrodu. Sądząc po luzie Noela, nie zna on całej historii... ale gdy tylko odnajdą Rosie, rzecz wyjdzie na jaw. Noel od razu skojarzy fakty i przyjdzie po mnie”.

Peter oczyścił siekierę szmatą i oparł przy drzwiach na wypadek, gdyby nie zdążył wrócić na czas. „Która to? Która to mamy?”. Spojrzal na zegarek. Zbliżała się północ. „Jak to? Dopiero?”. Choć od ich wyjścia minęła ledwie godzina, zdawało mu się, że trwało to cały wiek.

Wyjrzał na zewnątrz – czekała go tylko deszczowa noc. Po opuszczeniu Rosie i drewni zatrzasnął z powrotem kłódkę na drzwiach i w kilku susach dopadł zwirowanego parkingu. Natura przysłała mu w sukurs. Deszcz obmył go do czysta, usunął krew z płaszcza, dłoni i kaloszy. Peter odchylił głowę, biegnąc, żeby przemoknąć do cna.

Jako że musiał znaleźć Noela, to potrzebował sam dać się najpierw odnaleźć. Zostać poszukiwaczem i dostać latarkę. Usłyszał głosy dochodzące z tyłu domu. Przemknąwszy między drzewami, okrążył kort. Gdzieś tam wśród krzewów kryli się Yash i Angela. Ruszył ku głosom i wpełzł pod pierwszą z brzegu ławkę. Zauważony przez Yasha, który wyszedł zza krzewów, błyskając latarką, Peter udawał, że ucieka.

– O ty lachudro! – Yash rzucił się za nim ze śmiechem. – Ange! Znalazłem Petera!

Peter udał, że się potyka, i dał się schwytać Yashowi. Yash i Angela zabrali go do altany, gdzie Sebastian wręczył mu żółtą pelerynę i latarkę.

– Naprzód! – zarządził Sebastian. – Idź szukać.

– Kto jeszcze został? – zapytał Peter.

– Rosie, Julian, Noel i Sooz. Znajdź ich i prowadź do mnie!

„Więc Noel wciąż gdzieś tam jest”.

Kiedy trzeba kogoś znaleźć, by ocalić własną skórę, zazwyczaj się go znajduje. Szkopuł w tym, że Noel umiał się chować rewelacyjnie. Był bardzo zwinny i gotów na wiele. Ponadto lubił się wspinać. „Na pewno jest gdzieś na górze. Mógł wdrapać się na którąś część domu, mógł wyjść przez okno na dach. Nie. Nie. Nie w taką noc. Za śliśko. Zbyt ryzykowne”.

W trakcie szukania Noela Peter znalazł Sooz schowaną pośród żywopłotów. Zmarnował cenny czas, prowadząc ją do Sebastiana. A potem znowu oderwał się od reszty i ruszył przez las. „Może na drzewie? Tyle ich tutaj, że nie sposób przeszukać każde, więc trzeba byłoby go zwabić”.

– Noel! – wołał łagodnie, przedzierając się przez gęstwinę. – Noel, jesteś jej potrzebny!

Przez pół godziny myszkował wśród drzew, oświetlał latarką gałęzie. Skierował się do niewielkiego sadu w pobliżu tylnych ogrodów. Drzewa w nim były niższe, bardziej więc obiecujące. Gałęzie, bujne jak w lesie, rosły już bliżej ziemi. Noelowi byłyby łatwiej się wspiąć i w razie czego uciekać. „Że też nie zacząłem tutaj”.

– Rosie... – powtarzał Peter, idąc przez sad. – Jesteś potrzebny Rosie. – Wtem cichy szelest gdzieś nad nim. – Noel, jesteś potrzebny Rosie – powiedział. – Koniecznie musisz jej pomóc.

Szelest przybrał na sile. Noel zsuwał się z drzewa tuż za plecami Petera.

– Co nie tak z Rosie? – Zeskoczył z najniższej gałęzi.

– Nareszcie jesteś – powiedział Peter ze szczerą ulgą. Zgasił latarkę. – Prosiła, żebym cię do niej zabrał. No dalej.

– A co się stało? – Noel posłusznie podążył za nim przez czerń.

– Trzeba być cicho. Chodź. Prędkiej. Sam się prze-konasz.

Po drodze prawie wpadli na Sooz, minęli ją jednak niezauważeni. W pewnym momencie do Petera dotarło, że się nie może doczekać tego, co wkrótce nastąpi. Było to tak potworne, tak zatrważające, że przyprawiało o mdłości i zarazem euforię. Wiedział, że w jego głowie zachodzi coś przedziwnego, że dzięki morzu szampana i adrenaliny myśli i widzi tak przenikliwie jak nigdy. Bliski już moment rozstrzygający o jego losie wywołał w mózgu eksplozję reakcji chemicznych.

Peter otworzył drewnię, a Noel schował się za nim. Trzymając jedną rękę na siekierze, drugą dał znak Noelowi, by wszedł. Otaczała ich ciemność.

Noel nie wiedział, co go czeka. Peter był tego pewny. Pierwszy cios trafił go chyba w ucho czy twarz. Całkiem zaskoczył i zdezorientował.

Peter uderzał bez końca.

Przykrył Noela równie troskliwie jak Rosie.

Z drewni wyszedł piętnaście po drugiej. Burza się nasilała. W zupełnym mroku przeszedł na drugą stronę domu. I wtedy, jakby boskim zrządzeniem, padł prąd.

Wszyscy ruszyli pospiesznie pod dach. Drząc, zdejmowali mokre kalosze i ubrania. Opatuleni kocami, znów otwierali szampana. Raptem Sebastian zaczął się czołgać ze świecą w rękę, żeby się dobrać do najcenniejszej whisky tatusia. Do otworzenia szafki był mu niezbędny klucz.

„Drogę wyznaczył mi chyba Wszechmocny... a może jest tak, że życie staje się prostsze, gdy człowiek nie ma zbyt wielu wyborów. To dla mnie szansa”.

Peter padł na podłogę i wziął udział w popisie Sebastiana, grzebiąc w skradzionym pęku kluczy w poszukiwaniu właściwego. „Zwycięstwo!”. Szafka została otwarta, whisky zdobyta, klucz zaś powrócił do ręki Sebastiana, tak jakby tkwił w niej przez cały ten czas.

„Musiałem zadbać już tylko o jedno. By się udało, musieli widzieć, jak idę spać”. Peter (zgodnie z prawdą) oznajmił, że ma nudności, po czym wycofał się do swego pokoju. Ponad godzinę siedział na posadzce łazienki, starając się opanować i stwierdzając, że idzie mu nieźle. Czekał na Theo,

która jak zwykle po nocnym pijaństwie miała się zjawić u niego ze szklanką wody. Chciał być w pokoju, gdy będzie robiła obchód. „Szczęście, że znam przyjaciół na wskroś”. W końcu usłyszał, jak Theo wchodzi i woła do niego. Zza drzwi łazienki odkrzyknął, że czuje się dobrze.

Zostawiła wodę.

Ledwie odeszła, sprawdził po cichu piętro. Angela, Yash i Theo wrócili już do pokoi. Zostali jeszcze Julian, Sebastian i Sooz. Zszedł więc na parter tylnymi schodami i chwilę czaił się przy salonie, żeby policzyć dobiegające z niego głosy. Sooz ochrzaniała Juliana. „Brawo, Sooz!”. Sebastian był wyraźnie znudzony ich sprzeczką.

Wszyscy zostali policzeni. Peter mógł dokończyć sprzątanie.

Najpierw potrzebował ubrań. Dziewiątka wymieniała się i dzieliła ubraniami, więc ich zdobycie nie nastręczało trudności. Noel wydawał się idealny – nic by nie spostrzegł, bo nie żył – ale był chudy i nosił ubrania vintage, najczęściej z lat siedemdziesiątych. „Sprzątanie miejsca zbrodni w obcisłych dzwonach to głupota. Muszę się zaopatrzyć w coś, co mniej rzuca się w oczy, żeby się nikt nie połapał, gdy zniknie. Więc Julian. Siedzi na dole, pewnie ma spodnie od dresu i tiszert, które nadają się do tej roboty. Jak się okaże, że mu zginęły, to nie”.

Przebrany Peter udał się do przedsionka, gdzie włożył kalosze i rękawice ogrodnicze, następnie wziął z półki łopatę. Ostrożnie wrócił do drewnitni, kryjąc się pod murami domu i ogrodu. Musiał pracować szybko. Ptaki zaczęły już swe poranne trele, niebawem wszędzie słońce. Za dnia dotrze do niego, jak makabryczny popełnił czyn. Uderzy, zmiażdży go to, co się stało.. Tymczasem zmuszał się do działania. „Jeszcze trochę i będzie po wszystkim. Pierwsze zadanie: otworzyć drzwi tak, by wyglądało to na napad. To przecież szopa pełna konopi”. Chwycił łopatę. Po kilku próbach niemal ją złamał, lecz drzwi poddały się i otworzyły.

Pomimo ulgi, że w środku nie zobaczy zbyt wiele, bezwzględnie musiał zlustrować miejsce zdarzenia. Oświetlił latarką stopy drewna, rozbitą żarówkę, krew na podłodze. Wyciągnął taczki i przewrócił przed szopą. „Niech się wydaje, że ktoś przeszkodził w ich wynoszeniu”.

Z siekierą było już trochę trudniej. Gdy ją podnosił, zrobiło mu się niedobrze. „Na umazanym krwią ostrzu... te strzępy. Nie. Nie!”. Odwrócił wzrok. Odłożył ją na stałe miejsce przy drzwiach. W ramach ostatniej próby zaciemnienia obrazu zbrodni z beczki stojącej na zewnątrz wylał na podłogę trochę wody, niszcząc ślady stóp i tylko częściowo zmywając krew. Prócz tego zalał pas trawy i błota między drewnitnią a żwirowanym podjazdem, by i tam zatrzeć wszelkie odciski stóp. „Chociaż dla śledztwa nie będą wiążące. Tej nocy wszyscy chodzili w kaloszach”.

Kiedy już miał wracać, coś mu zaświtało.

„A gdyby zakłócić porządek wydarzeń?”. Podkraślony się na front domu, Peter zobaczył światło w salonie. Kilka osób wciąż nie spało. Podszedł tak blisko, jak tylko mógł się odważyć, włączył latarkę, poświecił przed sobą, po czym ją zgasił i pobiegł z powrotem.

Po tylnych schodach wspiął się na piętro. Już był w pokoju. Zdjął i wepchnął ubranie pod szafkę, żeby pozbyć się go rano. Kąpiel lub prysznic byłyby za głośne, więc cicho umył się nad umywalką. Następnie do niej zwiymiotował. Położył się spać.

Wypił wodę od Theo.

Rankiem, rzecz jasna, Peter spodziewał się policji. „Znajdą dowody przerwane włamanie. Znajdą całe te konopie. Sebastian może pójść za to za kratki”. Było mu przykro. „Ale to koniec. Nie da się zrobić nic więcej. Dla przyjaciół będę przyzwoitym człowiekiem. Będę ich wspierał. Pomogę im przez to przebrnąć”. Nie czuł nic poza dobrocią i miłosierdziem wobec ich wszystkich, wobec wszelkiego stworzenia. „Zostanę kims” – myślał. „Nic z tego nie pójdzie na marne”.

Głęboko zasnął. Nie śnił o niczym.



XXXI

Za nimi skrzyły się szklane wieżycy City. Kapsuła drżała niepokojąco. Szóstka przyjaciół Angeli była widownią baczną, choć zbitą z tropu.

– Coś wam opowiem – oznajmiła Stevie. – Teraz mam dla was już tylko historię. Ale historia jest bardzo sensowna. Wszystko w niej zgadza się z dowodami. Tak więc zaczyna się od Samantha Gravis, Amerykanki, która zwiedzała Anglię, a udawała, że jest z Kanady. Każde z was miało z nią do czynienia. Julian i Yash flirtowali z nią. Miała wasz adres i kilka płyt Yasha. Zanim zginęła wczesnym rankiem piętnastego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku, prawdopodobnie szła do waszego domu. Sądzone, że to przypadek turystki, która pijana dokazywała po ciemku na łodzi, wpadła do rzeki i utonęła. Zgadza się, że wasz dom był nad rzeką, a na podwórku... w ogrodzie stał namiot?

– Zakład ruchania – podesunęła Sooz. Twarz jej zastygła pod wpływem szoku.

– Mogli tam chodzić Rosie i Noel, gdy nawiązali miłosną relację?

– Do tego służył. Randki. Seks. Tak.

– Więc mamy związek. Dziewczyna ginie w rzece. Rosie i Noel są w pobliżu rzeki. Tej nocy Rosie widzi coś, czego – jak sama mówi – nie może pojąć. W dniu, gdy jedziecie do Merryweather, w gazecie piszą, że znaleziono Samanthę. Jest tam jej zdjęcie. Jeśli oprzemy się na zeznaniach, byliście w Cambridge cały ten dzień. Wyjechaliście około dwudziestej. A zatem Rosie miała dość czasu, by to przeczytać. Tak też zrobiła. Nagle rozumie to, co widziała. Chce opowiedzieć o tym Angeli – już w Merryweather – jednak nie zdąży. Potem wychodzi z Noelem w burzę. Nigdy nie wraca, tak jak i Noel. Tu pojawiacie się w historii wy. Świadczenie tego, co nastąpiło. Pani wie, że według Angeli tej nocy na drzwiach drewni nie było kłódki. Tak powiedziała. Czy to się zgadza?

Theo, do której skierowała pytanie Stevie, kiwnęła głową, odpowiadając:

– Myślałam, że była pijana albo zła, że z konieczności tak skłamał mi.

– Prawdopodobnie jedno i drugie – odrzekła Stevie. – Ale się nie myliła. Gdy przechodziła obok drewni, ktoś w niej mordował bliską jej osobę. – Dała im moment, by to przelknęli. To nieprzyjemne usłyszeć takie słowa na dużej wysokości, w zamkniętym pomieszczeniu. Lecz należało to do jej planu. – Niektóre rzeczy są niemal identyczne. Na przykład klucze, zgodzicie się ze mną? Brelok zazwyczaj przyciąga wzrok, a klucz wygląda jak każdy inny. Gdy zdawaliśmy klucze w recepcji, tak powiedziała moja koleżanka. Nikt się im nie przygląda. Kiedy to sobie uprzytomnimy, wszystko się staje znacznie jaśniejsze. Gdy przybyliście do Merryweather, otworzył pan drzwi. Może odłożył klucze, gdy weszliście? Nawet na chwilę, na parę minut? Nie musiałyby to być zbyt długo.

– Przypuszczam, że tak – odparł Sebastian. – Tak się normalnie dzieje z kluczami. Wiem, że miałem, gdy gra się zaczęła.

– Na pewno przed grą miał pan jakieś klucze. Wszyscy widzieli, jak chował je w spodniach. Te klucze jednak nie były pana. Te wziął pan... – Stevie spojrzała wreszcie na Petera, który nie zmienił wyrazu twarzy. – Spotkał się z Rosie w drewnitni – ciągnęła. – Otworzył kłódkę i zastawił drzwi od środka. Z policyjnego raportu wynika niezbitcie, że Rosie i Noel ginęli kolejno, najpierw Rosie. Wtedy dowiedział się pan o Noelu? Pochował ją pan. Rozbił żarówkę. Nie mógł pan patrzeć na to, co zrobił? Czy nie chciał, by Noel spostrzegł jej zwłoki? – Zero reakcji ze strony Petera. – Stevie cisnęła. – Może jedno i drugie. – Wzruszyła ramionami. – Ale w pewnym momencie zjawia się tam Angela. Widzi, że na drzwiach brakuje kłódki. Wie doskonale, że coś jest nie tak. Bo powiedziała jej o tym Rosie. – Tu Stevie przeszła do części, która miała być dla nich najbardziej przykra. – Rosie i Noel nie żyli już, kiedy prąd wysiadł i wróciliście do domu. Wiem to, bo wtedy oddał pan klucze Sebastianowi. Pewnie chciał wsunąć mu je do spodni, ale wciąż ta historia o pełzaniu do szafki... Nie udało mu się jej otworzyć, aż pan dołączył do niego, rzecz jasna. Padł na podłogę i otworzył szafkę, a to dlatego, że miał jego klucze. Na oczach wszystkich wręczył je Sebastianowi. Już były zbędne. Musiał pan jednak jeszcze o coś zadbać. Ustawić scenę. To miało wyglądać na włamanie. Powiedział, że go mdli, i poszedł na górę. Kiedy teren był czysty, znów wymknął się pan na dół. I wyszedł z domu bez większego trudu, bo jest tam jakieś sto pięćdziesiąt drzwi. Potem otworzył drewnitnię na siłę. Wyciągnął taczkę i wiadro. Zrobił coś jeszcze na wszelki wypadek: poszedł pod salon i błysnął latarką. Widziała to Sooz.

Sooz wstała i zaczęła okrążać kapsułę, popatrując na Petera. Yash zamknął się w sobie. Theo w zadumie analizowała sprawę, jakby sprawdzając logikę Stevie. Julian zajął się dłońmi, rozciągając palce. Tylko Sebastian patrzył w twarz Peterowi, przyglądał mu się, przenikał go wzrokiem.

– Udałoby się prawdopodobnie – i się udało – powiedziała Stevie. – Drewnitnia była pełna konopi. Policja z miejsca więc uznałaby, że ktoś się włamał, żeby je ukraść. Kłopoty miałyby jedynie Sebastian... Nagle jednak coś się wydarzyło. Theo wkracza do akcji, by mu zapewnić bezpieczeństwo. I w pozbywaniu się roślin biorą udział wszyscy. Tak przyjaciele pomogli zaciemnić obraz i uwiarygodnić kłamstwa o tamtej nocy. Kłamstwo jest beznadziejne. Wpędza człowieka w samotność. Czy poczuł się pan lepiej, angażując w nie wszystkich? Bo w grupie zawsze raźniej, czy tak? – Tylko w tym jednym jedynym momencie Stevie dojrzała w nim cień emocji. – Więc – rzekła – to był koniec. Tyle że... Angela spostrzegła brak kłódki. Okłamała policję, ale ją to dręczyło. Czowała, że tamtej nocy coś było nie tak. Chciała dowiedzieć się, czego nie usłyszała od Rosie. Wiem, jak to jest, kiedy nie można czegoś rozwiązać. Opanowuje to kompletnie umysł. Wykorzystała swoje umiejętności badawcze, zdobyła zapisy i raporty. Nie mogła zdradzić wam, co robi, bo nie miała pojęcia, komu zaufać. Ukryła śledztwo przed całą grupą, ale potem musiała przejść zabieg i zażywała środki przeciwbólowe. Te środki pomieszały jej w głowie. W dniu, gdy zniknęła, jedliśmy z nią kolację. Wszystko było w porządku, dopóki Izzy nie wspomniała o tym, co mówiła Angela, kiedy je brała. Nastrój się zmienił w ułamku sekundy. Angela nagle musiała wracać do pracy i grzecznie wyprosiła nas z domu. Co dzieje się, kiedy ją zostawiamy? Jest zła, bo jej myśli poszły w świat, wypowiedziała je na głos. Jej obawy są prawdziwe. Wie, że coś nie gra, a teraz jeszcze siostrzenica sprawdza jakąś dziwną detektyw ze Stanów... – Stevie wskazała na siebie. – Oby ktoś teraz tego nie rozdmuchał! Nie może już tego znieść. Wyciąga telefon i pisze do przyjaciół. A teraz wróćmy do guzika i wyjścia Angeli przez drzwi.

Wreszcie po wszystkich tym Peter drgnął. Gdy się prostował, strzeliło mu w krzyżu. Spojrzał na Stevie. Po chwili spytał:

– Czy ta przemowa wynika z myśli, że klucze są do siebie podobne? Bo oznajmiłaś moim najbliższemu, że odebrałem życie trojgu naszych przyjaciół, argumentując to faktem, że klucze wyglądają podobnie. Niezręcznie jest mi to ciągnąć. Przyszliśmy tutaj, by kogoś uczcić, tym-czasem...

– Skądże – ucięła spokojnie Stevie. Gdy zaczął mówić, poczuła się lepiej. Potrzebowała bodźca, natchnienia. „Cisza to koszmar, tak deprymuje”. – Było coś jeszcze. Torebka Angeli. Julian pokazał

mi listę tego, co w niej znaleźli. Proszę posłuchać, odczytam ją panu. – Miała przygotowane zdjęcie w telefonie, który się nie chciał obudzić od razu i musiał trzykrotnie rozpoznawać twarz. – „Torebka zawierała: portfel (zaw. 40 funtów szterlingów i karty kredytowe, nienaruszone), pęk kluczy, telefon, kartę Oyster, nową szczoteczkę do zębów Oral-B w opakowaniu, pudełko strepsils, blister tytolu (brakowało sześciu z siedmiu tabletek), pięć dużych kamieni”. Czy coś się tu wyróżnia?

– Stawiam na pięć dużych kamieni – odparł Peter.

Stevie pokręciła głową.

– Nie. To pan je tam włożył. Dziwna jest ta szczoteczka do zębów. – Stevie szperała w plecaku, do którego ostrożnie włożyła wyłowiony ze śmietnika paragon poplamiony curry. – Przejrzałam jej śmieci z nocy, gdy zniknęła. – Wypowiedziała to jak komunikat: „Poszłam na plażę, bo było słonecznie”. – Angela kupiła środek udrażniający górne drogi oddechowe, dropsy na gardło, płyn do mycia i szczoteczkę do zębów. Gdy się z nią widzieliśmy, brało ją przeziębienie, więc środek udrażniający i dropsy mają sens. Płyn do mycia jest oczywisty. A szczoteczka już nie. Miała szpanerską elektryczną szczoteczkę. Na co byłaby jej taka zwykła? I kto zabiera szczoteczkę do zębów, planując rzucić się do Tamizy?

– Może gdy ją kupiła – zastanawiała się Izzy – to zapomniała wyjąć ją z torby?

Stevie pokręciła głową.

– Lek na przeziębienie był w łazience – odrzekła. – Zakupy rozpakowała w domu. Paragon był w śmieciach. Kiedy się cierpi na infekcję gardła, noszenie dropsów jest uzasadnione. Ale szczoteczki nie potrzebowała, musiała kupić ją w innym celu, bo zawinęła osobno w torebkę. Tak jakby chciała ją komuś dać. A co wszyscy mówią o Angeli? Że była bardzo sumienna. Że gdy pożyczali sobie nawzajem ciuchy, to ona jedna je oddawała. Kiedy ją wszyscy widzieli ostatnio? Na party w domu Petera. Gdzie nocowała. Więc mogła nie mieć szczoteczki do zębów. Odkupiła szczoteczkę. Tamtej nocy, wychodząc, włożyła ją do torebki, żeby mu zwrócić. Nikt tak nie robi, gdy podejrzewa, że idzie na spotkanie z mordercą. Szła nieświadoma. Coś się tam stało.

– Więc – westchnął Peter – klucze i szczoteczka do zębów? Doprawdy?

Rozejrzał się, ale we wzroku pięciorga przyjaciół wyczuł obcość.

– Cóż – cicho rzekł Yash. – Jeżeli nieprawda, łatwo to obalisz, co, Peter? Julian jest w stanie zdobyć informacje. Idę o zakład, że wszystko da się odtworzyć. Zamiast Angeli poszukaliby w miejscach kamerach ciebie. W twoim mieszkaniu. Gdzie był twój telefon. Mógłbyś to zrobić, Julianie, prawda?

– Tak – odparł Julian. – I zrobię. Dziś wieczór. Wywrócę mu życie do góry nogami.

– Nie martw się, Peter – rzekł Yash. – Skoro tego nie zrobiłeś.

Peter wyraźnie był wzburzony. Zachowywał kontrolę, ale drżały mu usta.

– Odkąd pamiętam, drażniłeś mnie, Julianie – rzucił ze złością. – Wszystko się zawsze kręciło wokół ciebie, prawda? Z kim Julian sypia, flirtuje i kogo zdradza. Tak w nieskończoność. A teraz proszę. Pan poseł. Polityk.

– Czy się ludzisz, że to będzie tylko Julian? – zapytała Sooz, wstając i podchodząc do niego. – Współdziałaliśmy, żeby ratować Sebastiana. Teraz to powtórzymy. Właściwie czemu by nie wyważyć tych...

Sebastian chwycił ją od tyłu i odsunął od Petera. Izzy już wyciągnęła telefon i mówiła:

– Możecie nas opuścić. Tylko proszę o pośpiech. Ktoś... yyy... zachorował.



XXXII

Dochodziła dziesiąta. Po chwili oznajmił ją światu Big Ben. Byli na dole, na pewnym gruncie. Stevie ulżyło.

Sooz powstrzymano przed wyrzuceniem Petera przez szklane drzwi. Zapewne i tak by się jej nie udało. Kapsuły zostały zaprojektowane z myślą o bezpieczeństwie, więc nie da ich się otworzyć od środka, Sooz była jednak gotowa na wszystko. Ledwie wrócili na ziemię, Peter odszedł szybkim krokiem. Płaszcz łopotał mu na wietrze. Gdyby ponownie nie powstrzymali Sooz, pobiegłaby i wpcnęła go do Tamizy. Teraz siedziała w objęciach Theo i Sebastiana. Julian rozmawiał przez telefon, a Yash oparł się o mur na brzegu, by wytchnąć.

Obserwując ich, Stevie i Izzy usiadły razem na ławce obok.

– I co się stanie z Peterem? – spytała Izzy.

– Nie wiem – odrzekła Stevie. – Mam chyba rację, ale trudno to udowodnić. Właśnie dlatego musiałam ujawnić to tu. Chodziło mi o sytuację napięcia. Miał się wystraszyć. Zacząć popełniać błędy. Wierzę im wszystkim, gdy zapewnniają, że to wyjaśnią.

– Myślisz, że pójdzie do więzienia?

– Myślę, że to zależy od tego, co znajdą. – Stevie spojrzała na Izzy.

– A już szukamy – oznajmił Sebastian, zbliżając się do nich z Sooz. Theo odeszła zająć się Yashem. – Poruszmy niebo i ziemię. – Siadł przy nich. – Gdzieś przecież musi być więcej dowodów... kamery, jacyś świadkowie czy coś. Znajdziemy wszystko, co trzeba, zapewniam. Wie, że jego życie w jego pojęciu dobiegło końca.

– Julian to może i dupek, ale nasz. – Oplótłszy się ramionami, Sooz rozważała to chwilę. – Właściwie nie jest aż taki najgorszy. Ma swoje wady, a jednak... wyszedł na ludzi. – Skierowała uwagę na Yasha i Theo. – Będzie mu trudno. Pisali wspólnie od lat. Ale zadbamy o niego. A... – Theo ujęła Yasha za rękę, gdy rozmawiali. – No patrzcie państwo. – Sooz rzekła to do Sebastiana. – Najwyższy czas. Może wyniknie z tego coś do-brego.

– Tak, oby – odparł Sebastian z zadumą. – Być może w końcu do tego dojdzie.

Zamasztyłym krokiem podszedł Julian, wsuwając telefon do kieszeni.

– Właśnie jestem po rozmowie ze swoimi kontaktem w policji. Każą komuś wyciągnąć nagrania z kamer i sprawdzić rejestr połączeń Petera z komórki. Wykorzystamy wszystko, co trzeba – media społecznościowe, cokolwiek – by znaleźć kogoś, kto tamtej nocy widział go z Ange. Zajmiemy się tym.

Tak piątka się zjednoczyła.

– Spóźniłaś się na lot – rzekł Julian do Stevie. – Przez to. – Stevie przytaknęła. – Grożą ci konsekwencje? – Stevie znów przytaknęła. – Załatwimy tę sprawę. Za to, czego tu dokonałaś. Pewna wy-

bitna lekarka... – kiwnął głową w stronę Theo. – ...leczy cię dzisiaj z... Co powiesz na grypę żołądkową? A jeden z członków parlamentu z radością zadzwoni do twojej szkoły, żeby wszystko wyjaśnić.

– Zwymiotowałaś na mnie – dodała Sooz. – Chętnie to opiszę. Szczegółowo.

– Kłamiemy jak z nut. – Sebastian przechylił się i zdobył na uśmiech. – Łżemy od wieków.



Przyjaciele rozeszli się, odprowadzwszy najpierw dziewczęta do taksówki, którą miały pojechać prosto do Craven House. Stevie musiała jeszcze przyrzec, że przenocuje u Izzy.

Czarne londyńskie taksówki są przestronne. Do jakby małe pokoje na kółkach. Pasażera i kierowcę dzieli ścianka z plastiku, komunikację zaś zapewnia im interkom.

– Myślisz, że Peter mógłby nas śledzić? – spytała Izzy. – Chyba się martwią.

„Kto wie? Taki desperat potrafi posunąć się do wszystkiego”.

– Peter kierował się strachem – odrzekła Stevie. – Zamordował cztery osoby, żeby się ustrzec kłopotów. To motywuje go do działania. Boi się. A teraz wie, że jest obserwowany. Nie można tego bagatelizować, ale... czuję, że będzie udawał niewiniątko albo ucieknie.

Chwilę milczały, gdy obok przetaczał się Londyn. Nocą był oświetlony jak teatr. Fasady domów, pomniki zalewał jaskrawy blask, migotały reklamy, drogę w ciemnościach wyznaczał fiolet neonów.

„Mam teraz czas na rozpoznanie własnej sytuacji. Jestem tu sama, bagaż odleciał, został plecak. Nate, Vi i Janelle są gdzieś daleko, poza zasięgiem. Nie ma Davida”.

Rażona falą czegoś niepojętego, Stevie musiała szybko odwrócić się do okna, bo oczy wezbrały jej łzami. Zaciśnęła dłonie w pięści. Rozmazał jej się kontur Londynu. Łkając, liczyła, że Izzy w zadumie nic nie spostrzeże...

– Dobrze się czujesz? – spytała Izzy półszeptem. – Wiem, co się stało. Wiem od Davida. Bardzo mi przykro.

Stevie spuściła szybę i zaczerpnęła powietrza. Chłodne i rześkie, nie ukoilo jej jednak.

– Byłam niemądra – wyznała łamiącym się głosem.

– Tyyyyyy?

– Byłam zazdrosna. Zazdrosna o ciebie.

– O mnie?

„Dobrze, że doszło do tej rozmowy. Dowiemy się, kto na czym stoi”.

– Podejrzywałaś, że... ja z Davidem? Stevie, mam kogoś... i też mi niełatwo, naprawdę. Więc ja i David... Daj spokój. To absurd.

Stevie nie kryła zaskoczenia.

– Masz kogoś? Nie mów. Nigdy nie wspominałaś.

– Tyle się działo – odparła Izzy. – Nie było czasu.

„Nie wiedzieć czemu dotąd nie przyszło mi do głowy, że życie Izzy może nie kręcić się wokół Davida. Chyba zgłupiałam z miłości”.

– Wczoraj – wyznała Stevie. – Czekałam na niego. Nie przyszedł. To była nasza ostatnia noc w Anglii. Zostawiłam mu otwarte drzwi i nie przyszedł. Śądziłam, że jest u ciebie.

– Był – odpowiedziała Izzy. – Wyszedł jakąś godzinę po tym, jak zapukałaś. Wciąż mówił o tobie. Byłam za bardzo wstrząśnięta, żeby go słuchać. Chciałam iść spać, byłam skonana, ale on siedział na podłodze i mówił bez przerwy. Nieraz tak robi – w kółko o tobie opowiada.

– Więc siedział z tobą i mówił, że chce ze mną zerwać – stwierdziła Stevie.

– Nie. Nic takiego nie padło. Właściwie wczoraj mówił o sobie. Niech to nie zabrzmii jak pretensja – był dla mnie miły przez cały dzień – ale wieczorem wpadł w jakiś kryzys, a ja nie miałam siły mu pomóc.

– Chwileczkę! – Stevie odwróciła się do Izzy, nie dbając już o to, że twarz ma mokrą, a z nosa zaraz wypłyną jej smarki. – O co chodziło?

– Mówi wyłącznie o tobie. Jest tobą onieśmielony. Stevie to, Stevie tamto, Stevie to rozwikłała, Stevie pobiegła do lasu. A wczoraj mówił, co zrobiłaś w Merryweather, i że nie wie, dokąd to zmierzają, i że ty jesteś wyjątkowa, a on nie. Takie rzeczy. Dopóki nie przyjechałaś, dopóki się nie poznałyśmy, byłam prawie pewna, że cię nie polubię, no bo ileż można słuchać o tej genialnej Stevie bez wad?

Na coś takiego Stevie nigdy by nie wpadła. Wszelkie domysły, podejrzenia i wizje przysły jak bańka mydlana. „David ma kompleks na moim punkcie? David nie boi się niczego”.

– Kiedy mi po południu przyniósł aktówkę i powiedział, co zrobił, miał dziwną minę – ciągnęła Izzy. – Rozumiem, czemu ci się wydawało, że zdradza cię ze mną, tym bardziej że go zastałaś w moim pokoju. Stevie, pomogłaś mi. Pomagałaś mojej ciotce. Więc muszę ci się odwdzińczyć. Musi być z tego jakiś pożytek. – Wyrażnie się ożywiła. Wyprostowała na siedzeniu. W jej oczach znów pojawiło się światło. Chciała być w ruchu, aby odegnąć ból.

– Co? – zapytała Stevie. – Nie mam pojęcia, co robić.

– David to kretyn. Uroczy kretyn. Jest impulsywny. Nie zerwał z tobą, bo mu na tobie nie zależy, tylko dlatego, że się panicznie boi cię stracić. Jestem o tym przekonana. I teraz pewnie żałuje, i odchodzi od zmysłów. Mówiłaś mu, że tu jesteś? Wysłałaś wiadomość?

Stevie pokręciła głową.

– Okej. – Izzy wyjęła telefon i napisała esemesa. Pokazała go Stevie.

„Popelniłeś błąd ze Stevie, prawda? Jesteś idiotą. Co cię napadło?”.

Pauza. Trzy kropki. Zniknęły. Wróciły.

„Wiem”.

Znowu ciąg kropek.

„W pubie. Wódki sssodową už dwaścia funtów nawaliłemwypijeszysko wófkii sodowa”.

– Rozumiesz? – spytała Izzy. – Ratuujmy go, zanim osuszy ten pub. Przepraszam! – krzyknęła do kierowcy, który włączył interkom. – Pod Siedmiu Biskupów!

W tym momencie zawirował cały świat. Płacz ustał. Ulice gnały je w stronę Davida.

„Na pewno wszystko się ułoży”.

Po paru chwilach dotarli do pubu. Gdy weszły, Stevie uderzył zapach piwa i ścisk. Rozejrzawszy się, Izzy po-wiodła ją dalej przez tłum zgromadzony przy barze i na parkiecie.

„Już tylko chwila i będę z nim”.

Izzy odwróciła się nagle z kwaśnym uśmiechem.

– Właśnie napisał. Nie ma go tutaj. Jest w domu. Powinnyśmy...

Izzy nie popatrzyła na telefon ani zegarek.

– Co mówisz?

– Tędy! – Wskazała Izzy. Jej wigor był sztuczny. Chwyliła Stevie za rękę, by poprowadzić ją z powrotem, ale Stevie się wyrwała. „Nie umie kłamać. Davida nie ma w domu”. Działo się coś dziw-

nego.

– Pizza! – krzyknęła Izzy. – Umieram z głodu. Muszę coś zjeść. Nie jadłam, odkąd...

Stevie zerknęła przez ramię Izzy, choć ta starała się zasłonić jej widok. W tym samym boksie, gdzie tydzień temu siedzieli razem, był David. Ujrzała tył jego płaszcza i głowę.

Twarzy nie zobaczyła.

Bo przywierał nią do innej twarzy.



Podziękowania

Udało się. Wreszcie napisałam książkę o zagadkowej zbrodni w angielskiej posiadłości. Był to jeden z moich życiowych celów. Mała Maureen spędzała niezliczone popołudnia z głową w kryminalach, snując marzenia o znalezieniu zwłok w bibliotece. W grach zespołowych byłam totalną oferumą, ale zabójcę wykrywałam bez pudła.

W pracy nad *Dziewięciorgiem kłamców* pomogło mi wiele osób. Pragnę wyrazić najszersze podziękowania dla wszystkich.

Nic nie byłoby możliwe bez mojej agentki Kate Schafer Testerman z KT Literary. Mieszkamy razem. Pracujemy razem. Jesteśmy nierozłączne. Prace nad książką koordynowała, leżąc na porodówce (nie prosiłam jej o to, stwierdziła, że się tam nudzi), jeżdżąc konno, a potem też z niemowlęciem na rękach. Mogę liczyć na nią w każdej chwili. Jesteś najlepsza, skarbie. Do zobaczenia w Las Vegas.

Mam szczęście współpracować z fantastyczną redaktorką Katherine Tegen. Wspiera nas (mnie i Stevie) we wszystkich przygodach. Bez jej natchnionego udziału te książki nigdy by nie powstały. Dziękuję z całego serca. Niemordowanie towarzyszy mi również Sara Schonfeld, odpowiadając na każdy mój mail, każdą wątpliwość. Chciałabym podziękować wszystkim pracownikom HarperCollins, zaangażowanym w pracę nad *Dziewięciorgiem kłamców*, a więc Alexandrze Rakaczki, Vanessa Nuttry, Jessice White, Davidowi DeWittowi, Joelowi Tippiemu, Leo Nickollsowi, Taylanowi Salvatiemu i Michaelowi D'Angelo. Najserdeczniej dziękuję promującej moją twórczość Megan Beatie.

Przyjaciele napełniają moje życie radością i podsuwają mi nowe pomysły. Podczas pandemii gościła mnie i wspierała w pracy Cassie Clare. Dzięki długiej rozmowie z Holly Black udało mi się uporządkować niektóre wątki. Jak zwykle wielu cennych uwag dostarczyła mi mądra i przenikliwa Robin Wasserman. Kelly Link ma pokręcone wyobrażenie na temat miłości. Za liczne rady i wskazówki dziękuję Rooseveltowi Sinkerowi. Danowi Sinkerowi – za napęd.

Dziękuję Alexandrze Padfield Young, że zabrała mnie do ogrodów Hidcote, a Marion i Domowi Youngom za wspólną wędrowkę po angielskim lesie i wiedzę na temat jego flory. Alexander Newman wyjaśnił mi zasady zdawania egzaminów. (W Oxfordzie – nie Cambridge. Byłby niepokieszony, gdybym to pominęła). Tu pomógł mi też bardzo Simon Cole i zaraził miłością do Manic Street Preachers.

Dziękuję mojemu mężowi za to, że był ze mną duchem w swej Alma Mater i że planował wraz ze mną morderstwa. Prosi, abym Ci przypomniała, że Cam jest pełna zarazków i wózków sklepowych, więc nie należy w niej pływać.

Dziękuję, rzecz jasna, Tobie, za przeczytanie tej książki. Liczę, że pobyt w Merryweather się udał.



Przypisy

- 1** Yash ma na myśli Edinburgh Festival Fringe – festiwal artystyczny organizowany w Edynburgu od 1947 roku (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- 2** Merryweather (*ang.*) – piękna pogoda.
- 3** Stanford University, Tufts University – wyższe uczelnie w Stanach Zjednoczonych.
- 4** Kings College, Pembroke College – kolegia wchodzące w skład Uniwersytetu w Cambridge.
- 5** Ha-ha (*ang.*) – ukryty element architektury krajobrazu uniemożliwiający przekroczenie granicy ogrodu lub parku, ale nie przesłaniający widoku na okolicę – zwykle wąska fosa, rów, kanał lub uskok tarasowy na stoku.
- 6** Cytowane i parafrazowane przez Sebastiana kwestie Henryka V pochodzą z dramatu *Król Henryk V* Williama Szekspira w przekładzie Leona Ulricha, Gebethner i Wolff, Kraków 1895.
- 7** Cytowane kwestie *Ryszarda III* pochodzą z dramatu *Król Ry-szard III* Williama Szekspira w przekładzie Leona Ulricha, Gebethner i Wolff, Kraków 1895.
- 8** *Bagpuss* – brytyjski serial animowany dla dzieci z 1974 roku.
- 9** London Dungeon (dosł. loch londyński) – atrakcja turystyczna Londynu, otwarta w 1976 r. przy Tooley Street, w pobliżu stacji metra Waterloo. Odtwarza krwawe wydarzenia historyczne w realistyczny sposób, mający przyciągać zwłaszcza młodą widownię.
- 10** Mowa o The Shard – wieżowcu w dzielnicy Southwark na południowym brzegu Tamizy.
- 11** Fragment rymowanki za: https://pl.wikiquote.org/wiki/V_jak_vendetta.
- 12** Footlights (właściwie Cambridge University Footlights Dramatic Club) – powstały w 1883 r. brytyjski amatorski teatr studencki. Wielu spośród jego aktorów (m.in. Emma Thompson, John Cleese, Hugh Laurie, Eric Idle) zdobyło światową sławę. Stałą siedzibą grupy jest ADC Theatre w Cambridge.
- 13** Izzy przywołuje wydaną w 1930 r. książkę W.C. Sellara i R.J. Yeatmana *1066 and All That: A Memorable History of England*. Jest to żartobliwe ujęcie historii Anglii, parodia stylu nauczycieli z początku XX wieku.
- 14** STOMP – powstały w Brighton w 1991 r. brytyjski teatr tańca. Tancerze tworzą rytmiczną muzykę perkusyjną przy użyciumiot, koszy na śmieci lub stalowych rur.
- 15** *Time Warp* – piosenka z wystawionego po raz pierwszy w 1973 r. w Londynie musicalu Richarda O'Briena *The Rocky Horror Show*. Akcja musicalu toczy się w starym zamczysku. Dwa lata później Jim Sharman nakręcił na jego podstawie film muzyczny *The Rocky Horror Picture Show*.
- 16** Karta Oyster – karta elektroniczna, którą płaci się w komunikacji miejskiej w Londynie.